

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XL.

ROK X.

TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1885.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Grudnia 1885 r.

IWAŚ.

NOWELA

Z ŻYCIA LUDU WIEJSKIEGO W HALICKIÉJ RUSI.

I.

Ciężki był dla niéj przednówek tego roku. Nędza była w chacie, a dzieci miała czworo — drobne robactwo, z którego człowiek nawet i w domu nie ma jeszcze pożytku. Słabość i pogrzeb męża wyczerpały wszelkie jéj zasoby, a własna niemoc nie pozwalała jéj chodzić na zarobek.

A no robiła co mogła, aby podołać kłopotom. Ogród oddała w zastaw, krowę sprzedała, ażeby dług spłacić u żyda. Ale nie było rady, dług jak stał, tak stał, i dźwignąć się z biédy nie miała sposobu. Nieraz już myślała o tém, czy nie lepiéj byłoby umrzéć? Niedaleko od jéj chaty był staw, a na jego dnie spokój i cisza. Ale jakże zostawić sieroty bez opieki!

Postanowiła więc pójść z najstarszym do dworu. Uczesała go, umyła i w czystą ubrała koszulinę; może go tam przyjmą na służbę do cieląt, lub do gęsi? A może go wezmą do stajni, albo do kuchni na naukę, jeżeli się państwu chłopiec spodoba.

I czemuż by im się nie miał podobać Iwaś-zazula? Nie daremnie przecie na niego chuchała; nie darmo go pieściła gołąbka. Ładne to było, jak paniątko, a dobre, a ciekawe.... Czemuż by się państwu nie miało podobać?

Szli tedy w promieniach wiosennego słońca; ona blada, smutna i znękana,--on trzymając się jéj spódnicy i rzucając wkoło ciekawe spojrzenia.

Ranek był jasny i świeży. Słońce wzbiło się już na półtora chłopa w górę, świecąc na bezchmurném niebie, ale nie zdołało jeszcze wypić porannéj rosy, błyszczącéj na trawach i ziołach. W cieniu wierzb przydróżnych świegotały wróble. Około dziewan i bo-

diaków, rosnących nad rowami wzdłuż opłotków, brzęczały pracowite pszczółki i barwne igrały motyle. Rozkwitnięte po sadach grusze i jabłonie napełniały powietrze miodowym zapachem. Z ogrodów dolatywał śpiew dziewcząt, zajętych robotą.

Kobieta szła ze spuszczoną głową, pogrążona w ciężkiéj zadumie. Drepcąc bosemi nóżkami przy boku matki, przypatrywał się Iwaś z zajęciem swawoli ptaków i motyli, tańcowi muszek, igrających po nad wodą, perełkom rosy, skrzącym się na burzanach,— zwyczajnie jak dziecko, co jeszcze nie rozumie!

Ciężko było na sercu biednéj wdowie. Ba, gdyby żył jeszcze mąż nieboszczyk, czyżby się musiała z Iwasiem rozstawać? O, nie bez wątpienia! On by nie pozwolił dziecka oddawać w cudze ręce. Kto wie, jaki tam będzie los biednéj sieroty w tym wielkim białym dworze, co patrzy tak dumnie czarnemi oknami? Kto go tam zaczesze? kto umyje? kto przygarnie? kto popieści?

Otarła fartuchem łzę z oka.

— A pamiętaj Iwasiu—rzekła—jak do nas wyjdą pan, lub pani, żebyś ich pocałował w rękę.

— Dobrze, mamuniu.

— A w oczy im patrz, jak do ciebie będą mówili.

— Dobrze, mamuniu.

— A jak cię spytają wiele masz lat, to powiesz, żeś skończył dziewięć.

— A jak nie spytają — to co?

— Jak nie spytają — odparła z smutnym uśmiechem — to nic nie powiesz.... Tylko pamiętaj nie chować się za mną, a patrzéć w oczy.... Państwo dobrzy, nie dadzą skrzywdzić sieroty!

Wtém wyfrunęła z pod płotu, który mijali, pliszka, gnieżdżąca się w tarninie i, uleciawszy kilkanaście kroków, zapadła w przydrożne krzaki. Iwaś pogonił za nią myślą i oczyma. Szli tedy czas jakiś daléj w milczeniu.

— A co ja będę robić we dworze?—zapytało nagle pacholę.

— Czy ja wiem?... Może cię wezmą do kuchni, może do stajni, a może do pokojów na lokaja.

— A jak ja będę w stajni, to będę jeździć na dużym koniu?

— Będziesz.

— W czerwonéj czapce?

— W czerwonéj.

— To ja pójdę do stajni, mamuniu.

— Pójdziesz gdzie państwo każą.... Ich wola, twój mus!...

— A co to jest mus, mamuniu?

— Jakby ci to powiedziéć?.. Mus to mus!...

— Jakto mus, to mus?

— To widzisz tak.... Ty chcesz do koni, a państwo każą ci paść cielęta; to musisz paść cielęta z ochotą, dla tego, że mus, to mus!

Ale Iwaś nie słyszał już tego wywodu. Z niedalekiéj kuźni ozwał się huk młotów: dziń bam, dziń bam! Chłopczyna zwrócił wzrok i słuch w tę stronę.

Stała na przydrożu kuźnia omszonym pokryta dachem. Z sterczącego nad nią komina wylatywały iskry złote, podobne do roju muszek, wirujących w słońcu. Z wnętrza jéj odzywało się ciężkie sapanie miecha, i rytmiczny tupot młotów, kowających rozpalone żelazo. Przed wrotami stał wóz, około którego krzątało się kilku chłopów, pomagających „majstrowi“ w robocie. Iwaś nie mógł oderwać oczu od tego widoku.

— Daj Boże dzień dobry, Maruniu! — ozwał się z głębi kuźni głos męski w chwili, gdy ją mijali nasi znajomi.—A co to, nawet nie popatrzycie w tę stronę?

— Dzień dobry wam, panie majster, daj Boże!—odparła wdowa, krocząc daléj.

— Cóż to nie zatrzymacie się?... Idziecie daléj jak posłaniec z listem... A gdzież tak śpieszycie, Maruniu?

Mówiący to wyszedł przed wrota kuźni. Był to mężczyzna lat przeszło czterdziestu, niskiego wzrostu i krępéj silnéj budowy. Rysy twarzy miał pospolite, ale w oczach i uśmiechu wyraz łagodnéj dobroduszności. Zawinięte do góry rękawy koszuli, odsłaniały muskularne i żylaste ramiona. Ręce zgrubiałe i od węgli czarne, oraz skórzany fartuch, który mu biodra opasywał, zdradzały kowala.

— No i gdzież tak śpieszycie, Maruniu? — zapytał jeszcze raz z wesołym uśmiechem, podchodząc ku wdowie i jéj dziecięciu.

Marunia opowiedziała mu swoje zamiary. Uśmiech znikł z twarzy poczciwego kowala. Czoło jego zasępiło się smutkiem. Słuchając, kiwał głową i wzdychał.

— Ej, ej — rzekł w końcu. — Czy nie szkoda to chłopca do dworu?... Dziecko kuma mojego Semena.... Wieczna pamięć nieboszczykowi!.. *We dwori, to tak jak w mori*.. Zmarnieje tam biedactwo, zmarnieje.... Co z niego tam zrobią, pijaka, taj próżniaka... Patrzcie na dworskich Maruniu: kucharz, lokaje, furmani—wszystko hulaki i nieroby!

Splunął z niechęcią, wymówiwszy te słowa.

— A potém służba, mocny Boże! — zaczął znowu po chwili. Państwo dobrzy, nie ma co gadać, ale czy to państwo wiedzą?... Będą starsi słudzy pomiatać sierotą, będą go bić, katować, ej.... Czy to nie wiecie Maruniu, jak to bywa?... Komuż się poskarży niebożątko?

— Tak co mam robić, Matwiju, co mam robić?—zawołała szlochając nieszczęsna. — Chleba nie ma w chacie, a dzieci krzyczą jeść!... Robiłam, co mogłam, wyprzedałam się, pozastawiałam wszystko: kożuch, korale, świtę.... Nie mam już nic w domu, a zarobić także nie mogę, bom chora.... Patrzcie, co ze mnie zostało—skóra i kości!... Kto wié, może mi już śmierć?... A no, takbym chciała dzieci umieścić.... Gdybym wiedziała, że nie zmarnieje biedactwo, to bym mogła przynajmniéj spokojnie umierać.... Och nieszczęście, nieszczęście!

— Ej, Maruniu, ej! Nie płaczcie—odparł wzruszony.—Nie płaczcie, bo mnie tu coś za serce ściska, taj sam płakać gotowy, ej!... Czy to nie ma Boga i ludzi na świecie? ej... Przecież macie krewnych... Jest brat wasz Szymko, taki bogacz... On wam pomoże.

— Szymko?.. Czy to nie wiecie, panie majster, że cudzy lepsi od swojaków?... Szymko wiedziéć nie chce o mnie, ani o dzieciach.... Chodziłam do niego, prosiłam, płakałam, daremnie! Tak jakbym mówiła do drzewa, albo do kamienia... Procesowali się z moim nieboszczykiem o grunt, taj dotychczas zapomniéć nie może... Nie ma Matwiju rady, nie ma, muszę chłopca oddać do dworu!.. A serce płacze, oj płacze, aż strach!

— Tak dajcie mnie chłopca, Maruniu... Nie będzie miał krzywdy u mnie... Nauczę go kowalstwa.... Nie będzie służył nikomu... Będzie miał „wolę"; będzie swój pan!

— Wy byście go do siebie wzięli Matwiju, wy? — zawołała uradowana.

— Czemu nie!... Bogu dzięki chléb jest, a gdzie się żywi czworo, tam się znajdzie co zjeść i dla piątego.

— Dziękuję wam Matwiju, dziękuję! Bóg wam to zapłaci, żeście się zmiłowali nademną, nad sierotą.... Dziękuję wam, dziękuję!

I ujęła dłoń kowala, chcąc go pocałować.

— Nie ma za co, Maruniu, nie ma za co!.. Ręka rękę myje, noga nogę podpiera... Toż i człowiek powinien pomódz człowiekowi... A potém to taki ładny chłopiec, jak paniątko... Będzie z niego kowal co się nazywa... Widzicie, jak się przypatruje robocie.... Hej-na, chłopcze!.. Dalibóg, nie słyszy, tak się zapatrzył!

— Iwasiu — zawołała matka — Iwasiu!

Ale chłopiec istotnie nie słyszał wołania, zasłuchany w tupot młotów, zapatrzony w iskry pryskające z rozpalonego żelaza. Twarz mu pałała rumieńcem, oczy mu się śmiały uciechą. Kowal podszedł ku niemu i położył mu rękę na ramieniu.

— Iwasiu, chcesz być kowalem? — zapytał dobrotliwie.

Iwaś spojrzał na matkę z westchnieniem, i spuścił oczy.

— Mamunia chcą mnie oddać na służbę do dworu — odparł smutnie.

— A ty byś wolał kuć żelazo młotem? — zapytał kowal.

— Wolałbym, ale mus.

— Nie ma musu, chłopcze.... Jak chcesz być kowalem, to mamunia pozwolą.

— Pozwolą? — zawołał malec uradowany.

— Z pewnością... Zostaniesz u mnie „na nauce"; postawię cię przy miechu, a jak dorośniesz przy kowadle....

Chłopiec rzucił się w objęcia matki, i począł ją ściskać i całować z zapałem.

— Nie mnie dziękuj, Iwasiu, nie mnie—zawołała wdowa łkając radośnie. — To Bogu i panu majstrowi powinieneś dziękować... To on twój dobrodziéj, twój tato... Idź pocałuj go w rękę, gołąbku... A pamiętaj go zawsze słuchać tak, jak mnie słuchałeś, bo teraz już do niego należysz....

I płakała i śmiała się biedaczka, zasmucona rozłąką z dziecięciem, uradowana myślą, iż przyszłość jego jest już zapewnioną.

— Bóg wam zapłać, panie majster—wołała co chwila.—Nie będziecie mieli z Iwasiem kłopotu... Dobre to i posłuszne dziecko; co każecie, to zrobi bez przymusu.

Potém pogawędziwszy jeszcze chwilę z kowalem, uściskała chłopca ze łzami w oczach, i odeszła do domu szczęśliwa.

II.

Biedna wdowa mogła być spokojną o los swojego dziecięcia. Siła jeno robiła starego Matwija chłopem, ale serce miał miękkie, jak kobiéta!

Powiadają starzy, że to zawsze tak bywa, i że kto prawdziwie silny, ten prawdziwie dobry i łagodny. Złośliwemi bywają tylko małe pieski; wielki brytan nie robi krzywdy nikomu. Tak to już mądrze zarządziła matka nasza przyroda. Inaczéj skądże by słabemu była ochrona?

— Nie mogło być, nie mogło być! — powtarzał po odejściu wdowy poczciwisko, kując młotem rozpalone żelazo. — Taki ładny chłopiec pomiędzy dworaków!.. Dziecko kuma Semena, *wiecznaja pamiat' jeho duszy!*... Nie mogło by być, nie mogło!.. Przygarnę, jak syna wychowam... Przecież sierota, to *Bożaja detyna!*

I poglądał tkliwie na Iwasia, który wytrzeszczając ciekawe oczy, przyglądał się robocie. Patrząc na jego zachwyt, ocierał stary

kowal z oczu wilgoć kosmatą ręką. Może go tak rozrzewniała myśl o sierocéj doli Iwasia, a może też sobie własne dziecięce przypominał dzieje? A no kto to może powiedziéć?

Matwij nie był rodem z Zabłociec. Piętnaście lat temu przybył do wsi, jakoś w trzy miesiące po śmierci dawniejszego kowala. Wziął młot do ręki, stanął przy kowadle, i zaczął kuć. A że kuł dobrze, więc go państwo przyjęli na zapłatę od sztuki, nie pytając, zkąd przybył, i co dawniéj porabiał?

Graniczny pas, a szczególniéj okolica Brodów roiły się wtedy takimi „*zawołokami.*“ Kto po tamtéj stronie coś przeskrobał, — komu zaciężyła dłoń władzy lub dziedzica, ten przekradał się przez granicę i szukał tu schronienia, jak gdyby w nowéj Siczy. Tutaj mógł już siedziéć bezpiecznie, używając „woli“ bez przeszkody. Opieszałe władze austryackie nie ścigały przybyszów.

Była to rzeczywiście ziemia obiecana dla tych rozbitków; istny raj, gdzie każdy mógł znaleźć to, do czego miał upodobanie! Bliskość Brodów i możność szwarcunku otwierały źródła obfitego, a łatwego zarobku. W szajkach więc szwarcowników wiodły oczajdusze daléj żywot swój pól żołnierski, pół złodziejski, tocząc otwartą wojnę z „akcyźnikami.“ Trudniąc się drobnym handlem, a krążąc po miasteczkach i dworach, mogli daléj cyganić burłacy. Spokojniejszy osiadał gdzieś stale na wsi, sprawując, tak jak Matwij, jakieś rzemiosło.

Miała atoli ta ludność koczownicza jeden wspólny rys: pewną kozaczą butę i gorącą miłość swobody, a nienawiść wszelkiego poddaństwa. Cechy te, oraz większa głąb' uczucia, i silniejsza napiętość namiętności odróżniały ją od bardziéj powolnych mieszkańców.

Powodziło się z początku w Zabłoćcach Matwijowi. Ludzie go szanowali, choć był „zawołoką,“ a pieniądze mu płynęły do kieszeni jak woda. Już to prawdę powiedziawszy, nie było na pięć mil w około równego mu kowala, ni stelmacha. Umiał wóz zbudować i okuć, umiał pług postawić i zamek zrobić i młocarnię naprawić, kiedy się w niéj coś popsuło.

Na wszystkie go też rozchwytywano strony, a jak bywało robotę swoją powiezie na jarmark, chociażby nawet do Złoczowa, to zaledwie stanie z nią na rynku, a już ją rozrywają kupcy, płacąc bez targu — pięknemi, jak obrazki, banknotami.

Ludzie aż w głowę zachodzili, co on robi z temi pieniędzmi? bo nie pił i nie hulał, jak inni kowale. Ale Matwij nic nie mówił, jeno składał grosz do grosza, aż pewnego dnia poszedł do dworu, i wyliczywszy panu na stół „sześćset srebrnych“, kupił sobie na własność kuźnię ze wszystkiém narzędziem, trzy morgi gruntu, ogród i chału-

pę. A no tak wyszedł „zawołoka“ na gospodarza, i miał dom i wolę. i nikt już nie miał mu nic do rozkazu.

Dziwili się temu ludziska bardzo, ale to był dopiero początek. Mając dom i grunt i ogród, zapragnął Matwij żony. Już to prawda, że do takiego gospodarstwa potrzebna była gospodyni, bo i dobytku było trocha, i czeladników czasem aż dwu, a to wszystko trzeba było nakarmić,

Ale z drugiéj strony jak się żenić, to żenić młodo, a nie dopiero wtedy, kiedy człowiek ma już na karku z okładem czterdziestkę. Kto wtedy myśli o kochaniu!

Jednak Matwij zapomniał o tém, bo mu w oko wpadła była dworska dziewczyna. Mówiono że mu coś zadać musiała, bo się w niéj rozkochał do szaleństwa. Odradzano mu by się nie żenił z dworską, co to i pracować nie umie i w głowie ma tylko rozpustę. Ale gdzie tam, przepadał za nią biedaczysko! W oczy mu bakę świeciła, a śmiała się z niego poza plecyma. Zwyczajnie czarownica!

Razem z żoną weszło nieszczęście do jego chaty. Podczas gdy mąż pracował w kuźni, hulała młoda kowalka w karczmie z galantami, rozrzucając pieniędzmi, i pozostawiając gospodarstwo na opiece swéj matki;—bo i świekrę wziął był poczciwy Matwij do siebie.

Ludzie donieśli o tém biedakowi. Inny byłby żonę bił, albo może i napędził niewierną, ale on umiał tylko cierpiéć. Oczarowała go była czarnemi oczyma!

Tak żyli z sobą trzy lata,—ona w rozpuście, on w bólu i tęsknocie! W końcu zbrzydziła sobie do reszty zbyt łagodnego męża. Pozostawiwszy dwuletnią córeczkę, a zabrawszy z chaty wszystko co się unieść dało, uciekła z lokajem.

Matwij szalał z rozpaczy. Myślano, że się obwiesi, albo téż na śmierć rozpije, ale nie zmienił w niczém swego trybu życia. Posiwiał tylko, lecz pracował daléj niezłamany, pocieszając się pieszczotą dziecięcia.

Z ludźmi nie mówił nigdy o swojém nieszczęściu. Czasem tylko z świekrą, którą dla dziecka zatrzymał przy sobie, rozmawiał o niewiernéj;—czasem spuściwszy głowę na piersi, w tęskną popadał zadumę. Wtedy pocieszał się szepcząc: „Powróci, powróci!“

Tymczasem lata płynęły jak woda, a o wiarołomnéj nie było i słychu. Przepadła tak jak kamień w wodę razem ze swym kochankiem. Pod opieką babki rosła mała Zośka tak pięknie jak ruta majowa, a ojciec ją pieścił—pieścił i hołubił bez końca. Nie miał dla niéj surowego słowa, nic jeno uśmiechy i całunki, całunki i uśmiechy!

Więc też psute przez babkę i ojca, nie znało to dziecko innéj woli prócz swojéj, i nie znosiło żadnego przeciwieństwa. Najmniejszy opór drażnił je i pobudzał do gwałtownych wybuchów. Wtedy strofował ojciec rozdąsaną Zośkę, ale łagodnie, prawie z pokorą, jak gdyby się bał ją na siebie rozgniewać.

Potém, gdy zasnęła, skradał się cichaczem do jéj pościeli, i pieścił śpiącą, i przepraszał za zbytnią surowość. Nie ma się czemu dziwić! Szalał biedaczysko, a to dziecko było teraz dla niego wszystkiém na świecie!

Na szczęście Iwasia przylgnęła Zośka od razu do swego młodego towarzysza. Różnica wieku nie była pomiędzy niemi zbyt wielką, bo dziewczę miało już siódmy rok, i było nad swe lata rozwiniętém.

Bawili się więc razem w dni świąteczne, kiedy w kuźni pracy nie było, bujając jak para jasnych motyli. Iwaś wykręcał z wierzby sopiałki i grał na nich swéj przyjaciółce, albo ją uczył pleść wianki z kwiatów, albo też jéj nawlekał na nitkę korale jarzębiny. A kiedy strojna w te klejnoty szła się niemi pochwalić pomiędzy inne dzieci, i wzniecała ich zazdrość, wtedy bronił ją przed ich napaścią.

Wywiązała się też niebawem pomiędzy niemi dziecięca przyjaźń, w którą Zośka kładła całą swoją gwałtowność. Byli wiecznie z sobą razem i nie kłócili się nigdy. To prawda, że Iwaś ulegał zawsze swéj towarzyszce, po części z wrodzonéj łagodności i życzliwości dla swéj przyjaciółki, po części dla tego, że widział, iż tak wszyscy w domu robili.

Zośka ze swéj strony nadużywała nieraz téj uległości. I nie dziw—wszak przywykła do tego, by ją słuchano.

Było coś drapieżnego w jéj przywiązaniu, co jednak nie zrażało małego sierotki. Przyzwyczaiła się mu rozkazywać, a on przyzwyczaił ją słuchać. Więc go chciała mieć zawsze przy sobie, tego powolnego i życzliwego niewolnika. Tęskniąc za nim przybiegała nieraz do niego do kuźni;—nieraz też musiano go w powszedni dzień w chacie zostawić, aby dogodzić woli upartego dziewczęcia.

Tak upłynęło lat sześć. Iwaś, którego odumarła matka, wyrósł był na silnego chłopaka i pomagał już majstrowi w lżejszéj robocie; — Zośka wyszedłszy z dziecinnych lat, wyręczała już babkę w gospodarstwie. Z biegiem czasu ścisnęły się były silniéj jeszcze węzły, które ich łączyły. Można by prawie było powiedzieć, że się kochają.

Aż dnia jednego—było to przed żniwami—przyszedł do kuźni wędrowny chłopiec nie starszy może od Iwasia. Zabiedzone to było i zmęczone podróżą, bo szedł aż gdzieś z pode Lwowa, uciekłszy ze

dworu, gdzie go w kredensie trzymano lokajom do pomocy. Opowiadał, że się tam nad nim znęcali i kamerdyner i lokaj, oraz że zbiwszy przez nieuwagę jakieś drogie naczynie, umknął ze strachu przed katowaniem. Już to prawda, że blizn i sińców miał na ciele co niemiara. Ale kto wie, jakto tam było, bo z oczu mu nie patrzyło nic dobrego.

Stary Matwij rozrzewnił się tém opowiadaniem, a niechęć ku dworakom odezwała się znów w jego sercu. Żal mu się zrobiło tego biedaka, który tak wymownie opowiadał swą niedolę, a szedł— jak mówił—za służbą do Brodów, gdzie we dworze wuj jego był furmanem. Zaprowadził więc chłopca do chaty, kazał go nakarmić i zatrzymał na noc, litując się nad sierotą. Taka to już była natura tego człowieka!

Mały włóczęga opowiadał dzieciom późno w noc cuda o swoich przygodach, o dworze, w którym służył, o miastach, w których bywał, ba nawet i o Lwowie, gdzie ludzie mieszkają w domach większych od cerkwi, w pośród ścian złoconych, tak jak obrazy. Wszystko to drażniło ciekawość Zośki, która o czemś podobném nigdy nie słyszała. Opowiadane cuda rzucały odblask swój na bajarza, który w wyobraźni dziewczęcia, przyjmował rozmiary bohatera. Nie puściła go z domu nazajutrz, i poczęła się ojcu naprzykrzać, aby zatrzymał sierotę.

Zatrzymał więc Matwij włóczęgę, bo tak kazała Zośka. Iwaś już pomagał majstrowi przy robocie, a w kuźni potrzeba było kogoś do miecha. Najmować codzień pomocnika, czy też trzymać stałego, to prawie na jedno wychodziło. Zresztą opróżniło się jedno miejsce przy wspólnéj misie, gdyż odszedł był właśnie starszy czeladnik, powołany do wojskowéj służby.

Tak tedy przybył Iwasiowi i Zośce nowy towarzysz.

III.

Nie było wielkiego pożytku z małego włóczęgi. Tyle tylko że w kuźni i pod oczyma starego kowala, zajadle miechem dmuchał,— ale do kowalstwa wcale nie był ciekawy.

Gdzie jemu do Iwasia! Niebo a ziemia! Tamten bywało pożera oczyma robotę; — ten obojętnie patrzy na wszystko, jak gdyby spał.

I w chacie także nie było z niego pociechy. Z własnéj ochoty nie rwał się do pracy, a jak mu drew każą narąbać, albo coś zrobić koło chudoby, to się zabiera do tego „jak ksiądz do parastasu.“ Mó-

wił, że tego nie umie, bo nigdy we dworze nie robił. Zwyczajnie dworak-nieroba!

Ale dzieciom imponowała właśnie ta jego niezręczność. Zdawało im się, że towarzysz ich z innéj ulepiony jest gliny. Nawet imię jego, Ignac, jak go we dworze przezwano, choć był po prostu tylko Hnatem, dodawało mu w ich oczach powagi. Mieli dla niego szacunek, jak dla jakiego paniątka.

Zmiarkowawszy to, umiał mały włóczęga skorzystać z swego położenia, trzymając się wobec nich coraz bardziéj z waszecia i opowiadając im cuda o tém, czém był, na co patrzał, i co robił. Widząc, jak się Ignac niezręcznie bierze do roboty, śpieszył mu Iwaś z pomocą, pokazując, jak się to robić powinno. On wtedy przypatrywał się z udaném zajęciem, nie przykładając ręki;—podziwiał, chwalił, dopóki nic już nie było do zrobienia.

Niebawem jednak zaprzestał i tego udawania. Stosunek w chacie zmienił się był zupełnie. Nie Zośka tam już była panią, ale on. Pozbywszy się wszelkiego przymusu, nie ukrywał wcale swoich złych skłonności. Wydobył fajkę z węzełka i kurzył w ukryciu, kradnąc prawdopodobnie tytoń majstrowi, lub przychodzącym do kuźni gospodarzom.

Umiejętność palenia nadawała mu w oczach dzieci jeszcze więcéj blasku. Widziały w nim nie dziecko, jak oni, lecz dojrzałego już mężczyznę.

Mianowicie zachwycała się Zośka, patrząc weń jak w tęczę, gdy się zaciągał dymem, gdy wypuszczał kółka, lub spluwał uroczyście. Zdawało jéj się, że ma przed sobą co najmniéj zaklętego królewicza!

Niebawem téż ochłodła w przyjaźni dla Iwasia, przywiązując się coraz bardziéj do małego włóczęgi. Nie on jéj szukał, ale jego ona,—smucąc się, gdy jéj unikał, uradowana gdy jéj nie odtrącał, szczęśliwa gdy raczył coś opowiadać.

A miał téż co opowiadać Ignac, który nie z jednego pieca chleb jadał,—nie tak jak Iwaś, nie znający nic prócz czterech ścian kuźni, i granicznych kopców Zabłociec. Umiał mały bywalec ślicznych bajek co niemiara: o zaklętych królewiczach i rozbójnikach, o złodziejach i wróżkach, o cyganach i czarownicach,—ale ich nie chciał opowiadać daremnie. Płacić musiała mu za to, wyłudzając pieniądze u babki, lub ojca, czasem nawet u Iwasia, gdy sierotka co w wolnych chwilach zarobił.

Ignac wtedy kupował sobie tytoniu, lub biegł do karczmy, skąd wracał na wpół pijany. Dzieci ukrywały to przed kowalem. Iwaś ciekawy bajek swego towarzysza, robił i za niego i za siebie wszyst-

ką robotę. Mały włóczęga odpłacał mu to pogardliwą łaskawością, wysługując się nim, niby uprzejme jakieś, ale swéj wyższości świadome paniątko.

Tak tedy kleciło się w tym dziecięcym światku, coś na kształt romansu, mającego w sobie wszystkie znamiona, jakie zwykł mieć dramat małżeński, gdy się rozgrywa pod wiejską strzechą.

Zośka, w której się odzywała krew matki, wnosiła tam całą swą wrodzoną gwałtowność, nadającą jéj życzliwości dla Ignaca jakąś dziwnie płomienną cechę. Opanował ją mały włóczęga wyższością swego zepsucia. Bezwstydne jego samolubstwo drażniło ją i pociągało bardziéj jeszcze ku niemu. Zobojętniawszy, więcéj nawet, zniechęciwszy się ku Iwasiowi, była podobną do mołodycy, która wzgardziwszy mężem, zdradza go dla wyzyskującego ją kochanka.

Ignac, nie dający jéj nawzajem żadnego przywiązania, pozwalający się tylko uwielbiać i korzystający z jéj słabości, przypominał swém bezwzględném samolubstwem i pewnością siebie, brutalnych wiejskich galantów.

Iwaś poniewierany przez Zośkę, a wysługujący się swemu szczęśliwemu współzawodnikowi, był obrazem chłopa, zdradzonego przez żonę, a znoszącego los swój z jakąś dziwną, wyłącznie kmiecą filozofią.

Stary kowal nie widział tego co się działo pomiędzy dziećmi w chacie, przed jego oczyma. Od jakiegoś czasu posmutniał bardziéj jeszcze biedaczysko. Przyśniła mu się żona leżąca w grobie. W kuźni trzymał się jeszcze jako tako, ale w chwilach wolnych od roboty, coraz częściéj w ciężką popadał zadumę. Spuściwszy głowę na piersi, wzdychał żałośnie mrucząc z cicha pod wąsem: „Umarła, umarła!... Byłaby już powróciła, gołąbka!... Umarła, z pewnością umarła.“

Tak trwało kilka tygodni. Żniwa już minęły, i miało się pod jesień. Ignac i Zośka bujali po sadzie, wybierając z gniazd nie zdolne jeszcze do lotu pisklęta. Swawola ich nie miała granic. Dręczyli psy i koty, wkradali się do obcych ogrodów i wyrządzali sąsiadom psot bez liku. Zwyczajnie rozpusta!

Iwaś strofował z początku nieraz te wybryki, starając się odwieść towarzyszów swych od łotrowania. Ale gdzie tam! Rozpasane dzieci gardziły jego przestrogami. W oczach Zośki był on tylko głupcem, lękającym się własnego cienia. Ignac przeciwnie rósł w jéj oczach w miarę swego zuchwalstwa.

A no, tak dnia jednego — było to właśnie przy świętéj niedzieli — wyciągnął mały włóczęga Zośkę na przechadzkę. Nudno mu było w domu pod bokiem Matwija. Korciło go do fajeczki, ale jakże tu palić; a nuż stary podpatrzy? Za niemi podążył także i Iwaś, nie ma-

jąc w domu zajęcia. Sierotka przywykł już był ulegać swemu towarzyszowi. Wszak to, czego chciał Ignac, tego chciała i Zośka, a przeciwić się Zośce nawet i na myśl nie przychodziło już teraz Iwasiowi. Wiedział przecież, że to się na nic nie przyda!

Szli tedy polną drogą poza wieś, ku dworowi. Urok wspomnień życia spędzonego na lekkim dworskim chlebie ciągnął w tę stronę Ignaca nieprzepartą siłą. Opowiadał dziwa o wesołém życiu służby, o niezmierzonych skarbach panów; o ich niestrzeżoném i niezliczoném bogatwie, po które, aby je posiąść, ręką tylko sięgnąć należy.

Pociągając od czasu do czasu z fajki towarzysza,—nauczyła się bowiem już była palić od Ignaca—słuchała Zośka ciekawie tego opowiadania, które budziło jakąś nieokreśloną, lecz nie mniéj gwałtowną pożądliwość w jéj umyśle. Za niemi wlókł się Iwaś, strugając kozikiem rozpoczętą sopiałkę.

Nagle schodząc z pagórka, ujrzeli przed sobą sad dworski, szerokim okopany rowem i ogrodzony płotem z tarniny. Rumiane jabłka, złote gruszki, niebieskie śliwki, płonęły w gorących promieniach słońca, rwąc oczy ku sobie. Drzewa uginały się pod ciężarem owocu.

Zachwycone dzieci oniemiały na ten widok czarowny. Zatrzymawszy kroku, stanęły jakby skamieniałe, patrząc na to bogactwo. Myślały, że im się śni jakaś bajka. Sad wyglądał jak ów raj cudowny, o którym w książkach piszą. Ach gdyby się tam dostać do tych rozkoszy! Nawet Iwaś zaprzestał strugania i opuścił ręce, podziwiając te cuda.

— *Kob' tak hroszy*!—westchnął nareszcie, ocknąwszy się z zachwytu.

— Na co *hroszy*?—zapytał Ignac, ruszając ramionami.

— Państwo sad wypuścili sadownikom—odparł Iwaś.—Żeby tak pieniądze, to można by kupić czego dusza pragnie.

— Wielka sztuka kupić za pieniądze, to każdy potrafi—rzekł Ignac drwiąco.

— A jakże kupować inaczéj?... Bez pieniędzy?

— Ba jak?... Skoro się nie ma pieniędzy, a chce mieć jabłka, to trzeba kraść.

— Ależ to grzech!

— Durny ty z grzechem!... Ja się grzechu nie boję... Jeżeli się czego bać, to chyba tego, aby nie bili.

— A może nie złapią—szepnęła Zośka.

— Złapią, z pewnością złapią—zawołał Iwaś—sadownik pilnuje sadu, bo przecież zapłacił.

— Sadownik pilnuje sadu w nocy, a w dzień śpi w budzie—rozumował Ignac.—Jak kraść, to najlepiéj teraz!

I przeskoczywszy rów, przyłożył oko do szpary w płocie, rozglądając się po sadzie i nasłuchując pilnie.

— Ależ to grzech, to grzech!—powtarzał Iwaś.

— Co tam jabłek, co tam gruszek!—wzdychała Zośka.

— Nie ma nikogo!—szepnął Ignac, wołając Zośkę skinieniem ręki.—Ja pójdę kraść, a ty tu pilnuj... Jeżeli by kto szedł, to zaświszczesz.

— Zośka nie rób tego!—krzyknął Iwaś.—To grzech, to wstyd!.. Ja ciebie nie puszczę, ja ci nie dam!

I przeskoczywszy rów, ujął ją silnie za rękę.

— Odczep się do *did'ka*!... Oszalał, czy co?... Jeszcze sadownik usłyszy!... Kara Boża z durnowatym!

— Chodź do domu!

— Nie pójdę... Nie zostawię Ignaca samego... Idź do domu sam, kiedy się boisz.

— Ja ciebie siłą zaciągnę.

— Sprobuj!—odparła, wydzierając mu rękę.

I przyłożywszy oko do szpary w płocie, poczęła rozglądać się i nasłuchiwać, nie troszcząc się już o jego pogróżki. I on téż nie miał siły wykonać tego, co powiedział. Przywykł był słuchać jéj zawsze, jak pani. Ujarzmiła go przewagą upartéj woli. Nie umiał się jéj przeciwić. Stał więc przy niéj drżący i blady, załamując ręce, i szepcąc: „Zośka, Zośka!“

Ale nie raczyła nawet zwrócić na niego uwagi.

Tymczasem plądrował Ignac po sadzie, obrywając grusze, śliwy i jabłonie. Zwinny jak wiewiórka, wspinał się po gałęziach, nie dotykając ich prawie. Kiedy niekiedy tylko w pośród głuchéj ciszy zdradzał trzask zaledwie słyszalny, że się coś rusza w téj stronie ogrodu.

W tém ozwało się z głębi sadu głośne szczeknięcie, i przed oczyma Zośki mignął brytan olbrzymi, pędzący w stronę, gdzie plądrował mały włóczęga. Po chwili dały się słyszéć szybkie kroki, zmierzające tymże śladem. Był to sadownik, który śpieszył bronić swego mienia. Zośka ostrzegła gwizdnięciem swego towarzysza o grożącém niebezpieczeństwie. Ale już było za późno! Zażarte ujadanie psa, świadczyło, że trzyma szkodnika. Chwila jeszcze a sadownik zdąży na miejsce kradzieży.

— Zośka, Zośka, uciekajmy!—błagał Iwaś.—Widzisz jakie nieszczęście!

Zwróciła się ku niemu blada i zmierzyła go gniewném spojrzeniem.

— Gdybym ja była tobą—rzekła drżącym głosem—tobym poszła odbić Ignaca. Ale ty jesteś baba; po tobie się tego nie spodziewać!

I przyłożywszy oko do szpary w płocie, jęła znowu pilnie nasłuchiwać. Ujadanie psa zdawało się oddalać.

— Nie złapali go!.. Uciekł zawołała radośnie.

I przeszkoczywszy rów, poszła wolnym krokiem ku domowi, nie zważając nawet, czy Iwaś za nią podążył.

IV.

Dopiero wieczorem, dobrze już po zachodzie słońca, powrócił Ignac do domu bardzo poturbowany. Suknie jego były podarte, ciało pokaleczone, aż strach. Opowiadał cuda o swojéj przygodzie; mówił, jak wyrwanym z płotu kołem obronił się od napaści sadownika i jego psa, jak potém przesadziwszy płot, przebrał się krzakami leszczyny do lasu, jak wreszcie powrócił manowcami, brnąc nieraz w bagnie po kolana.

Łgał oczywiście niecnota! Od pościgu sadownika ocaliło go jedynie to, iż pozostawił pod jabłonią buty, które był zdjął, aby módz się lżéj wdrapać na drzewo. Mając taki zakład, a poznawszy szkodnika, nie potrzebował go już strażnik gonić daléj. Zaniósł jeno buty do rządcy, i wytoczył skargę, ufny, że mu wymierzoną zostanie sprawiedliwość.

Sprytem swoim odgadł mały włóczęga, co mu zagraża. Przypomniał sobie plagi, które niegdyś odbierał we dworze za swe łotrowstwa. Miałżeby teraz czekać na zasłużoną karę? Nie głupi!

Zabrawszy tedy Iwasiowi buty i odzież odświętną, wymknął się z chaty cichaczem tejże nocy jeszcze. Prawdopodobnie uciekł do Brodów. Ciągnęło go tam od dawna to, co słyszał o awanturniczém a wesołém życiu szwarcowników. Nie darmo to mówią, że wilka zawsze ciągnie do lasu!

Stary kowal nie mógł sobie wybaczyć swéj nieprzezorności, tém bardziéj, ile że mu we dworze robiono wymówki z tego powodu. Głównym winowajcą był wprawdzie zbiegły Ignac;—mimo to cężyła w pewnym stopniu odpowiedzialność i na nim. Gospodarz przecie powinien wiedzieć, kogo trzyma w swym domu. Matwij był wielce drażliwym i dbałym o swą cześć; wyrzuty rządcy bolały go zatém wielce!

Iwaś był niepocieszony po stracie butów i odzieży. Ale więcéj go jeszcze bolała surowa nagana kowala, który mu wymawiał, iż będąc starszym, i niejako synem domu, a wiedząc o sprawkach Ignaca, pokrywał jego wybryki tajemnicą. Wszakże powinien był przeszkodzić temu chociażby nawet i siłą,—powinien się był oprzeć Zośce,

i nie dać się powodować dziecku! Biedny sierota znosił cierpliwie te wymówki, czując ich sprawiedliwość i przyznając się do swéj słabości.

Najciężej jednak bolala Zośka, ale nie z powodu slusznych strofowań ojca. Przyzwyczaila się byla do Ignaca, a teraz jéj go brakło. Bawił ją swemi bajkami, imponował swą wyższością, zachwycał łotrowskim sprytem.

Odziedziczone złe instynkta zbudziły się były w jéj umyśle. Zrozumiała go i polubiła od razu, a obcując z nim dostroiła się była do niego. Dobrali się byli jak para łysych koni. Teraz go zabrakło. Chodziła jak błędna, nudząc się i nie wiedząc, co począć ze sobą.

Niekiedy probowała namówić Iwasia na jakąś psotę, ale roztropny a doświadczeniem pouczony chłopiec umiał się jéj teraz sprzeciwić. Opór uległego dawniéj sierotki, drażnił ją i pobudzał do gniewu. Nie wybuchała jednak, dławiąc się własném rozdrażnieniem, podobna do niecierpliwego rumaka, gryzącego wędzidło, które go powściąga.

Powoli jednak wróciło w chacie Matwija wszystko do dawnego trybu. Zapomniano o Ignacu niecnocie, który przepadł bez słychu. Stary kowal pracował jak dawniéj, i tęsknił jak dawniéj za swą niewierną. Ot biedaczysko!

Po niejakimś czasie powetował Iwaś swoje straty. Matwij płacił mu co tydzień guldena za robotę. Uzbierawszy tedy nieco grosza, kupił sobie chłopak opończę z kutasami, czapkę z daszkiem, spodnie w kwiatki, i czerwoną kamizelkę. Posiadanie tych skarbów napełniało go dumą bez miary.

Jednostajność skromnego życia w cichéj chacie Matwija wpłynęła z czasem i na Zośkę uspakajająco. Być może, iż z wewnętrznego pociągu, być może z nudów jeno, poczęła znowu szukać towarzystwa Iwasia. Zdawało się nawet, że się w niéj dawna ku niemu obudziła życzliwość,—mniéj może niż przedtém drapieżna i mniéj gwałtowna w swych objawach, lecz za to głębsza i stateczniejsza.

Tęskniła do niego, gdy go nie było, i przepędzała w dni świąteczne czas wszystek przy jego boku, ale mu już nie narzucała jak dawniéj swéj woli. Minione psoty wyszły jéj były już z myśli. Chodzili razem na przechadzkę, i wili znów jak dawniéj wianki z kwiecia, lub nizali jak dawniéj na nitkę korale jarzębiny. Czasem się z innémi chłopcami i dziewczętami zabawiali w *huskę*, *dida* lub *medwedia*, czasem się przyłączali do nich, gdy obchodzono *Koladę*, *Kupalę*, albo *Haïlkę*.

Wszędzie i zawsze byli z sobą razem. Nie nazywano téż ich inaczéj jeno mężem i żoną. Widząc wzajemną tych dzieci życzliwość, pocieszał się Matwij w swéj tęsknocie, myślą, że je, gdy dorosną, pożeni. Nieraz téż mówił im nawet o tych swoich nadziejach, lubując się zakłopotaniem Iwasia. Rośli tedy chłopak i dziewczyna w téj myśli, że im to „pisano“ i że będą należéć do siebie!

Tak minęło znowu lat cztery. Stary Matwij zaniemógłszy na oczy, oślepł był zupełnie. Powiadali ludzie: „Wypłakał ślepie, tęskniąc za „swoją“ biedaczysko!“

Iwaś prowadził kuźnię w zastępstwie majstra. Sierota miał już teraz lat dwadzieścia jeden, i wyrosł był na dzielnego parobka. Z twarzy mu tryskało zdrowie, kark miał gruby, plecy szerokie, a piersi jak u niedźwiedzia. Łagodność kobieca i nieśmiałość dziecięca malowały się w spojrzeniu jego niebieskich oczu i w uśmiechu.

Zresztą wdał się był całkiem w Matwija;—znał robotę jak żaden w okolicy, był pracowitym, słownym i nie pił, co się tak rzadko zdarza u kowala. To téż, gdy bywało do cerkwi pójdzie w niedzielę, w granatowéj mieszczańskiéj kapocie, w czerwonéj kamizelce, i w krasnéj chustce na szyi, pożerały go oczyma wszystkie dziewczęta. Nawet gospodarskie córki potrącały go łokciem, aby się na nie popatrzył. Mówiły, że ma oczy jak miód, i nazywały go „słodkim Iwasiem.“ Ale on nie zważał na te zaczepki;—w głowie mu było co innego!

I Zośka także wyrosła była pięknie jak topolka. Miała włosy czarne jak węgiel, kosę jak pralnik, a oczy—Boże zmiłuj się, co za oczy! Mogła by człowieka na proch spalić temi oczyma!

Powiadali starzy, że się całkiem wdała w matkę. To samo liczko białe jak gdyby krew z mlekiem, te same wilgotne usta, kraśne jak dwie świeże jagody, te same drobne białe zęby. A lubiła je téż pokazywać te zęby, śmiejąc się co chwila wesoło. Tylko że coś niedobrego było w tym uśmiechu. Starzy mówili, że tak samo śmiała się jéj matka—czarownica!

Dobra téż z niéj była gospodyni. Sama zarządzała gospodarstwem, od czasu jak się zmarło jéj babce, jakoś dwa lata temu. Chata była zawsze wybielona, statek czysto umyty, ogród porządnie uprawiony. Ludziom i chudobie nie brakło nigdy na niczém. Umiała wszystkich nakarmić;—jeszcze czasem i sprzedała wieprzka lub cieliczkę.

Wiejskie parobczaki, ba nawet i dworacy patrzali w nią jak w obraz cudowny, kiedy w śnieżnéj koszuli w kraśnéj spódnicy i w żółtych butach szła z przyjaciółkami do cerkwi w niedzielę, kołysząc się na swych wydatnych biodrach,—szykowna jak ta wrona,

gdy chodzi za pługiem po roli. Ale ona nie miała oczu dla nich, choć ją zaczepiali, choć ją namawiali z sobą do karczmy na zabawę. Była zbyt dumną, by się wdawać z nimi. Wszak miała Iwasia;—no a Iwaś? Gdzież im wszystkim, gdzie nawet lokajowi do Iwasia!..

Kochał ją téż serdecznie młody kowal, wspomnieniami tylu lat dziecięcéj przyjaźni i całym ogniem pierwszego uczucia. Ale kochał ją jakoś dziwnie, nie po chłopsku. Dla niego ona była panią, królową jasną, czemś świętém, co wzbudza cześć, i więcéj jeszcze nad samą miłość wymaga. Nie było dla niego kobiety nad Zośkę, ale sierota przyzwyczaił się był patrzéć na nią, jak na wyższą jakąś istotę.

Wdzięczność dla Matwija, przeniósł on na jego dziecko, a ta wdzięczność nadawała jego miłości jakąś odrębną. mniéj poziomą cechę. Był dla niéj zawsze pełen względów i uprzejmości; starał się odgadywać wszystkie jéj myśli i zachcenia. Ilekroć wypadło mu na jarmark do miasta, zawsze jéj z tamtąd przywoził gościńca w dowód swéj pamięci.

I ona kochała go również, i okazywała mu życzliwość swą na każdym kroku. Żyli tak w tém uczuciu, nie mówiąc sobie nawet o kochaniu. Obyli się z sobą, znając się od dzieciństwa. Wzajemne przyzwyczajenie nadawało ich uczuciu siostrzaną jakąś cechę. Miłość ich nie znała gwałtownéj pożądliwości właściwéj kochankom. Wiedzieli, że do siebie należéć będą, i czekali spokojnie dnia, kiedy się spełnią przeznaczone im wyroki. Byli pewni, że dzień ten ich nie minie, ale nie starali się go przybliżyć,—nie troszczyli się, kiedy to nastąpi.

Aż dnia jednego zawołał ich stary kowal do siebie.

— *Ditoczki*—zapytał ściskając ich ręce—*ditoczki*, wy się kochacie, nie prawdaż?

— Tak ojcze! Tak panie majster!—zawołali razem.

— No, tak trzeba-by się wam pobrać dziateczki!... Chłopiec ma lat dwadzieścia jeden, dziéwka siedmnaście; to najlepszy wiek!.. Ja jużem się postarzał i nie widzę, a chciałbym wiedziéć, komu zostawiam dziecko i dobytek... Chciałbym kołysać jeszcze wnuka, a mogę umrzéć... Kto mnie wtedy pochowa?

— Ależ tatku! Ależ panie majster!—zaprzeczyli oboje, całując go w ręce.

— Ja wiem najlepiéj, co jest, i że mi się ściele trumna!... Człowieka to nie minie... Tak chciałbym wiedziéć, żeście razem i szczęśliwi... Od dawna sobie to ułożyłem... Iwaś porządny człowiek i dobry robotnik... Chata, Bogu dzięki, jest, i kuźnia, i pole, i dobytek...

Pracować tylko uczciwie, to nie zaznacie biédy.. Lżéj wam pójdzie jak mnie, bo ja zacząłem z pięcioma palcami, a tu jest na czém pracować... Nie chwaląc się, wszystko sam zarobiłem sprawiedliwie... Teraz wszystko to będzie wasze.... Dla mnie tylko kąt w chacie, i kawałek chleba aż do śmierci, a jak umrę pogrzeb uczciwy, i krzyż nad grobem, i *mołebeń*... To mi się od was należy!

Uklękli oboje przed nim, i płacząc, poczęli mu całować kolana.

— Nie płaczcie, *ditoczki*, nie płaczcie—rzekł po chwili znowu, składając ich dłonie. Wam nie płakać, a jeno się radować... Wam słonko Boże, wam dzień jasny, wam młodość, zdrowie i szczęście!.. Kochacie się, prawda?... No tak, teraz czas myśléć o weselu... Jest tam u mnie w skrzyni trochę „karbowańców,"—toby wystarczyło. Ale trzeba, żeby Iwaś sam zapłacił za wesele, i sam kupił porządki dla siebie i dla żony potrzebne... Tak ja zrobiłem lat temu dziewiętnaście;—tak niech i on zrobi... Nie trzeba, żeby był jak ten, co „przystał" do chałupy, bo to potém jeno kłótnia i obraza Boska, a ludzki śmiech... Ileż ty masz pieniędzy teraz, Iwasiu?

— Jest u mnie bielizna i okrycie, i kożuch barani i poduszka, tak że mi prawie nic nie potrzeba. Mam w skrzyni dwadzieścia „srebrnych" bez jednego, a u Oleksy mielnika pięć karbowańców, com mu je dał, aby mi kupił zegarek, jak pojedzie do Brodów... Szewcowi dałem dwa „srebrne", żeby mi kupił skóry na buty, a od was panie majster będzie mi się także coś należéć, jak skończę wóz, co go teraz mam w robocie.

— Wszystko to mało jeszcze, synku... Za ślub trzeba księdzu zapłacić, i wesele wyprawić porządne... Musisz jeszcze popracować ze cztery miesiące... Ale to nic, bo i tak post teraz, i ślubu nie dadzą... Tak najlepiéj, *ditoczki*, będzie pobrać się po żniwach, gdzieś koło *Uspenia Bohorodyci*;—to najlepszy czas, bo i pieniądze będą, i robota nie tak pilna, i można się trochę zabawić... No tak musicie czekać do *Uspenia*, i ja także poczekam, chociaż mi pilno, może tak pilno jak i wam!

To rzekłszy uściskał szczęśliwych, i wziąwszy kij do ręki, który mu teraz wzrok zastępował, wyszedł do sadu, jak to zwykle czynił, gdy pogoda była na dworze. Miał tam stary kowal, ulubione miejsce pod gruszą, gdzie spoczywając na murawie, wsłuchiwał się w głosy tętniącego wokół życia. Świegot ptaków, brzęczenie muszek, ćwierkanie świerszczów, szczekanie psów i ryk bydła, opowiadały mu o tym świecie, którego widziéć nie mógł zgasłemi oczyma. A no tyle mu już teraz jeno zostawało pociechy!

V.

Otworzyło się więc dla Iwasia i dla Zośki nowe życie. Innemi już na siebie teraz patrzyli oczyma. Zdawało im się dotąd, że się znali dobrze, a jednak poglądali teraz na siebie, jak gdyby się nigdy jeszcze nie widzieli.

Coś się w nich zbudziło, co dotąd drzémało, coś się w nich zmieniło w jednéj chwili. Dla Zośki nie był to już ten sam Iwaś, którego kochała dotychczas jak brata,—dla Iwasia nie była to już ta same Zośka. Oboje odkryli w sobie coś, czego dotychczas nie widzieli, a to coś rwało ich ku sobie, i niejako odtrącało od siebie zarazem.

Dawniéj mogli ze sobą rozmawiać swobodnie, a teraz słów im brakło, gdy przy sobie byli. Dziwna rzecz! Wszak wiedzieli od dawna, że do siebie należéć będą, i czekali spokojnie tego dnia, nie starając się go przybliżyć. Teraz gdy już mieli pewność, kiedy to nastąpi, zdawało im się, że im krzywdę zrobiono,—że zbyt długo czekać im kazano. Cztery miesiące!—Boże miły! Jak tu wytrzymać cztery miesiące! A jednak czekali spokojnie lat tyle.

Szczególniéj Iwasiowi ciężyła ta męka. Nie mógł już jak dawniéj Zośce patrzéć w oczy. Ach bo téż te oczy płonęły teraz jak żar, i paliły go, że chociażby z skóry wyskoczyć! Unikał więc jak mógł spojrzenia tych oczu, i stronił od Zośki, chociaż go ku niéj rwało bo i o czém z nią mówić będzie teraz? Zmieniło się wszystko, zmieniło!

A ona jakby na złość, szukała go, i zaczynała z nim rozmowę, i wpatrywała się w niego témi strasznemi oczyma, i uśmiechała się do niego białemi ząbkami, jak gdyby nie wiedziała, że to go męczy. Uciekał więc do kuźni biedak, i kuł a kuł, aż grzmiało. Tak starał się tęsknotę zwalczyć pracą. Jak zmęczy ręce, to może zaśnie i niepokój.

Tymczasem zawrzało w Zabłoćcach jakieś nie bywałe życie. Nowy arendarz sprowadził się był do karczmy, i pełno tam było teraz nieznanego jakiegoś narodu.

Na wiejskiéj drodze, co z Brodów prowadzi, zapanował ruch niezwykły, jak gdyby na jakim gościńcu. Ciągnęło szlakiem niekiedy nocą aż po kilka ładownych bryk, a przy każdej szło kilku jeźdźców. Czasem jechali wolno, czasem znowu pędzili jak zawierucha.

Koniuchy podpatrzyli, że jeźdźcy ci mają strzelby i pałasze, niby zbóje, niby jacyś żołnierze. Ludzie domyślali się że to „szwarcowniki.“ Zaczęto gadać, że arendarz jest z nimi w zmowie, i że

dla tego wziął tylko karczmę, bo stała na dogodnym dla nich szlaku. Bóg tam raczy wiedzieć, ile w tém prawdy było!

Dziwili się temu na wsi ludziska, dziwili, a to był dopiero początek! Gdy minął post, zagrzmiała nagle karczma muzyką. Arendarz sprowadził gdzieś aż z Buska muzykantów,—i skrzypce, i bas, i cymbały. Parobczaki i dziewczęta, ba nawet i dworska służba zaczęli ciągnąć na muzykę, jak gdyby na odpust jaki. Czasem do karczmy przybywali i obcy jacyś ludzie, i hulali jak gdyby u siebie. Ale nikt ich nie pytał, zkąd są i jakie się tu bawić mają prawo, bo byli grzeczni, a sypali pieniędzmi jak gdyby z worka. Wszystko to piło, śpiewało, hulało i krzyczało: hu-ha, hu-ha! aż do późnéj nocy. A żyd jeno dogadywał. uśmiechał się, nalewał, i krzesał sobie zarobek.

Kiwali starzy głowami na tę rozpustę. Nawet „Jegomość“ gniewał się w cerkwi na to zgorszenie, a podobno i skarżył arendarza we dworze, za to iż ludzi pobudza do zbytku. Ale nie było rady! Żyd był w swojém prawie, bo płacił arendę, a parobcy i dziewczęta w swojém, bo ich rwała młodość do hulanki.

Zawrzała też krew młoda i w Zośce, gdy się to do niéj doniosło. Korciła ją muzyka, korciło na tę zabawę, o któréj cuda opowiadały jéj dziewczęta. Powiedziała więc Iwasiowi, że ją musi w niedzielę zaprowadzić na „ochotę.“ Kiedyż bo użyje jeżeli nie teraz? Za cztery miesiące będzie już gospodynią;—trudnoż wtedy na muzykę chodzić mołodycy!

Iwasiowi to było nie do smaku. Dobrze było mu tak jak dotąd bywało w domu, więc go też nie ciągnęło do karczmy i zbytków, na które narzekali starzy, i za które w cerkwi gniewał się „Dobrodziéj.“ Ale cóż miał robić nieboraczysko, skoro tak chciało dziewczę! Nie mógł przecie świata zawiązywać gołąbce!

Poszli tedy w najbliższą niedzielę, nic o tém Matwijowi nie mówiąc, do karczmy, oboje wystrojeni odświętnie;—on nie swój, znękany tém, iż prawdę ukrywać musi przed majstrem, przygnębiony, smutny, jak gdyby szedł za własnym pogrzebem,—ona wesoła, śmiejąca się, gorączkowo rozdrażniona przeczuciem i głodem spodziewanéj uciechy. Szła jak gdyby ją fala jakaś niosła, zaledwie nogą dotykając ziemi. On kroczył za nią chmurny, jak gdyby przybity powodzią téj toni, która ją unosi.

Pełno już było ludzi na muzyce. Rznęły skrzypki, huczał bas i brzęczały cymbały; przez otwarte okna brzmiały śpiewki, głośne tupanie i okrzyki radości. Zdawało się, iż karczmę rozsadzi ochota.

Iwasiowi i Zośce zakręciło się w głowie, gdy weszli do izby. Cieżka zaducha spowodowana gorącym oddechem tylu piersi, za-

pach dymu tytoniowego i rozlanéj wódki, uderzyły im o skronie ciepłą, wilgotną falą, odurzając ich zmysły. W tumanie kurzu widniały rozpromienione twarze dziewek i parobków, migając im przed oczyma, to znowu niknąc gdzieś w mroku. Brzmiały śpiewki i wesołe okrzyki, i od ucha rznęła muzyka. A skrzypce śpiewały: „*Ja ne znaju de idu*,“ a bas odpowiadał hucząc: „*Po bidu*! *po bidu*! *po bidu*!“

Zobaczywszy nowych a tak zacnych gości, pośpieszył arendarz na ich przywitanie. Potém usunąwszy mniéj poważnych biesiadników, umieścił ich za stołem. No, nareszcie, przecież się namyślili odwiedzić Abramka. Myślał już, że ich nie zobaczy. A warto jednak skosztować ochoty. Trzebaż więc, żeby się rozpatrzyli, żeby sprobowali „Senc“, którą sprowadza z Brodów, a trzyma umyślnie dla lepszych gości.—I nim jeszcze oprzytomnieli, zmusił ich do wypicia dwóch kieliszków ponczowéj esencyi, zaprawionéj arakiem.

Muzyka zagrała kozaka. Poszli więc w taniec oboje;—ona zwinna jak wiewiórka,—on trochę ociężały, i niezgrabny, nie mogący się poruszać wśród téj ciżby, która się zewsząd tłoczyła. Ścigali się, wymijali wzajemnie, wreszcie ujęli się wpół i poczeli wirować aż do utraty sił i oddechu. Poszli więc wypocząć za stołem, gdzie im znowu miejsce zrobił gospodarz.

W tém wszedł do gospodnéj izby gość nowy, ubrany z waszecia w kożuszek węgierski, baranią krymkę, i buty z kutasami. Wyglądał na dworskiego oficyalistę, lub na handlarza koni. Z porcelanową fajką w gębie, szedł pewien siebie uśmiechnięty;—a musiał tu częstym bywać gościem, bo go witano uprzejmie;—a musiał mieć pieniądze, bo odpowiadał na te powitania z góry, z łaskawém lekceważeniem. Iwasiowi zdawało się, że zkądciś zna tę twarz napiętnowaną wyrazem zuchwalstwa.

Arendarz poskoczył na powitanie przybysza. Widocznie to musiał być jakiś gość niepośledni, bo żyd przesadzał się dlań w uprzejmości i zaprowadził go do alkierza. Nowo przybyły zrzucił tam swój kożuszek, i wypiwszy spory kielich araku, a porozmawiawszy trochę z żydem, wrócił znów do gospodnéj izby.

Był to mężczyzna młody, lat może dwudziestu, średniego wzrostu, i szczupłéj budowy. Nie podobny był wcale do ciężkich wiejskich parobczaków. Zręczny w każdym ruchu, a żywy, wyglądał raczéj na panka. Włosy miał czarne, i czarne przenikliwe oczy. Ogorzała cera okazywała człowieka, co nie za piecem chowany. Czerwony obcisły kaftanik, uwydatniający jego kształty, robił wrażenie munduru. Harda duma, malująca się na jego twarzy, nadawała jego postaci jakieś żołnierskie piętno.

Rzuciwszy basiście garść miedziaków, kazał grać walca, i pochwyciwszy dworską dziewczynę puścił się w taniec, którego nie znano dotychczas w Zabłoćcach. Dziewczęta i parobcy obstąpili tańczących, przypatrując się im ciekawie. Było bo téż na co i patrzéć! Zwinny tancerz wykręcał swą tancerką w lewo i w prawo, wirując w takt muzyki i przytupując ochoczo. Zaciekawiona Zośka wspięła się na ławkę, aby się przypatrzéć tym godom. Dziwna rzecz, i jéj się zdało, że zna zkądciś tancerza. Ale nie! to być nie może! Któżby tak umiał hasać z jéj znajomych?

Chwilkę jednę biła się z tą myślą; potém cała się poddała wrażeniu, które w niéj budził widok rozkosznego tańca. Płonąca, z otwartemi usty, z piersią bez oddechu, pożerała oczyma wszystkie ruchy zwinnego tancerza. Ach, gdyby tak mogła pohulać w jego objęciu!

Wypadek zdarzył, że nieznajomy spojrzał w tę stronę. Oczy ich spotkały się ze sobą, i zadrżeli oboje. Tańczący spostrzegł wrażenie, jakie na pięknéj kowalce wywarł prąd, tryskający z jego źrenicy, i uśmiechnął się z zadowoleniem. Miasto daléj wirować, sunął teraz swą tancerkę przed sobą zwolna, kołysząc się, i nie spuszczając z oka pięknéj kowalki. Potém wykręciwszy się jeszcze na miejscu dwa razy, wypuścił z objęć swą tanecznicę, i pospieszył z wyciągniętemi rękami ku Zośce.

— Ignac! — zawołała drżącym ze wzruszenia głosem.

— Zośka!... Iwaś! — odparł nieznajomy, uśmiechając się życzliwie.

I podawszy narzeczonym obie ręce, ściskał ich serdecznie, przypatrując im się z zadowoleniem.

— No, a co tam?.. A jak tam?.. Zdrowiście, Bogu dzięki?... Śliczneście wyrośli: Iwaś pewno już starszym czeladnikiem, a Zośka „harna“ dziewczyna.... Dalibóg, można się zakochać!... Mój Boże, toż to minęło już cztery lata, jakeśmy się widzieli... Pamiętacie, jakem musiał uciekać.... Ha, ha, ha, ha! Zwyczajnie dziecinna swawola!

Iwasiowi przypomniała się strata butów i odświętnéj odzieży, któréj tak długo nie mógł przeboleć. Drgnął mimowolnie, chcąc rękę wydobyć z uścisku dawnego towarzysza. Ale Ignac nie dał mu przyjść do siebie, obsypując go pytaniami bez końca, i okazując mu radość swą z powodu tego spotkania po tak długiéj rozłące.

— Panie arendarzu! Dajcie butelkę „Senc“ do alkierza; ja płacę! — zawołał na żyda. — Musimy napić się czegoś dobrego, po czterech latach niewidzenia.... Mamy przecież tyle z sobą do gadania!... A potém—dodał zcicha zwracając się do Iwasia — mam z tobą przecież rachunek ha, ha, ha!.. Muszę ci zapłacić za to, com ci zabrał przed laty.

Usiedli więc w alkierzu, przy butelce ponczowéj esencyi, rozmawiając z sobą jak najlepsi przyjaciele. Ignac opowiadał im cuda o swoich przygodach, od chwili gdy chatę starego Matwija opuścił. Mówił, że po śmierci wuja odziedziczył gospodarstwo i trochę pieniędzy, -- że z tym zasobem rozpoczął handel, który mu idzie ręką, i że nie ma powodu narzekać.

Potém wypytywał narzeczonych o ich zamiary, cieszył się nadzieją ich szczęścia, smucił kalectwem Matwija, okazując im w każdém słowie przyjaźń serdeczną. Nie żałował téż przynęty, aby skłonić do picia nieprzywykłych do trunku przyjaciół. — Jak to? oni by mu odmówili, gdy ich tak z serca częstuje, po czterech latach niewidzenia? On by dla nich dał krew swoję, a oni mu odmawiają swéj łaski! „Senc" dobry, do głowy nie pójdzie! Ot pije się dla tego tylko, aby było przy czém *bałakać*.

Ale „Senc" szedł do głowy, a jeszcze bardziéj szła do głowy uprzejmość Ignaca. Iwaś i Zośka oszołomieni, poddawali się urokowi pochlebstw swego przyjaciela. W głowie im szumiał zdradziecki trunek, w uszach im brzmiały życzliwe wyrazy i zaklęcia Ignaca. Szczególniéj dla Iwasia przesadzał się sprytny bywalec uprzejmością bez granic. Uznając jego prawa do Zośki, prosił go za każdym tańcem o pozwolenie tańczenia z piękną kowalką. Iwaś oczywiście nie bronił przyjacielowi. Rozmarzony trunkiem, ociężały, nie miał sam ochoty do hulania. Szła tedy Zośka w taniec, oparta na ramieniu Ignaca, płonąca w jego objęciu, rozkoszna, dumna, szczęśliwa wyznaniami, które jéj szeptał do ucha, uradowana zazdrością innych dziewcząt, zaniedbywanych obecnie przez zwinnego tancerza.

Miało się już dobrze ku wieczorowi, gdy Iwaś przypomniał, że czas już wracać do domu. Ignac nalegał na swych przyjaciół, ażeby nie psuli ochoty i pozostali jeszcze. — Ale trudno; noc już zachodziła. Nie sposób przecież było zostawić starego Matwija w niepokoju. Już i tak zabawiano się zbyt długo. Zośka powinna by już była dawno pójść do domu. Któż bez niéj poda ojcu wieczerzę?—Rozeszli się więc, wśród tysiąca uprzejmych zapewnień, odprowadzeni aż do cerkwi przez Ignaca. Uspokojono starego Matwija zmyśloném opowiadaniem. Iwaś wziął na siebie winę zbyt długiéj niebytności gospodyni.—Przypatrywali się tańcom w karczmie, aby zadowolnić ciekawość. Trzebaż było raz przecie zobaczyć jak to wygląda!

Udobruchawszy starego, rozeszli się w końcu na spoczynek: ona płonąca jeszcze wspomnieniem uścisków i wyznań Ignaca, tańcem i śpiewem rozbujana,— on, rozmarzony trunkiem, ociężały, niekontent z siebie, iż taić musiał prawdę przed swym dobrodziejem.

Długo zasnąć nie mogli oboje. Zośce w oczach stał Ignac hardy, dumny, uśmiechnięty, szepcący jéj do ucha słodkie zaklęcia; Iwasiowi nie mogącemu zasnąć w swojéj komórce, rysowały się na tle ciemności rozpłomienione twarze dziewcząt i parobków, wirując niby tuman liści w jesiennéj zawierusze. W uszach mu brzmiały śpiewki, krzyki i muzyka, i chrypliwe skrzypki, i bas maruda, i szyderczo brzęczące cymbały. A skrzypce śpiewały: „*Ja ne znaju de idu! Ja ne znaju de idu!*“ A bas odpowiadał ponuro: „*Po bidu, po bidu, po bidu!*“

VI.

Zaczął teraz Ignac myszkować koło chaty starego kowala. Czy to idąc po wodę do krynicy, czy to wybiegłszy do sadu lub ogrodu, zawsze go spotykała Zośka na swéj drodze. Niby to jéj pomagał naczerpać wody do konewki. Piękna to była pomoc! Co naczerpie, to znowu wylewa; ot aby dłużéj *bałakać!* A śmieje się, a dowcipkuje, że dziewczę ani się opatrzy, jak upłynie jedna, druga godzina!

Kiedy bywało wyszła robić coś około grządek w ogrodzie, to on już stoi za płotem, i woła ją na rozmowę. Tak sobie żartowali przez płot; ona w ogrodzie, on za płotem i rowem na ulicy. Nieraz ona mu powiada: „Idź już, Ignac! Nie przeszkadzaj, daj pracować!“ Ale sama ani na krok nie odchodzi od płota, tylko śmieje się i narzeka. Gdyby tak odszedł naprawdę, toby go była wołała!

Powoli-powoli zanęcił się Ignac do obejścia. Na co im się pilnować, kiedy nikt ich nie pilnuje? Stary Matwij nie widzi, co się dzieje pod jego oczyma, — a Iwaś kuje żelazo w kuźni, i nie wié nic o Bożym świecie.

Zbudziła się téż w Zośce dawna Zośka z czasów pierwszego pobytu Ignaca w Zabłoćcach. Już teraz jabłek kraść nie pójdzie do dworskiego sadu, ale to samo w niéj dla sprytnego bywalca uwielbienie, ten sam głód uciechy, ta sama żądza przygód, ta sama gwałtowna namiętność. A no rozkochała się naprawdę w Ignacu. Opanował ją znowu przybłęda!

Przed nią on się nie taił z swojém rzemiosłem, — nie miał ku temu powodu. Opowiedział jéj szczerze swoje losy i wyznał, że jest hersztem bandy szwarcowników, uprawiającéj przemytnictwo na wielką stopę. Dwudziestu czterech zbrojnych drabów stało pod jego rozkazem. Towar przekradano przez linię celną podstępem; jeśli to nie było możliwém, to działano przemocą. Arendarz był z nim w zmowie i dostarczał mu o straży granicznéj języka. Zabłoćce wreszcie, nie leżące na głównym trakcie, a jednak na drodze z Bro-

dów do Lwowa lub Tarnopola, były dlań bardzo dogodnym punktem. Konieczném dla jego rzemiosła było zawiązanie pewnych stosunków z tutejszą ludnością, aby w razie niebezpieczeństwa módz zrzucić tutaj towar, i ukryć go przed pogonią.

Wszystko to dodawało Ignacowi w oczach Zośki niepospolitego blasku. Towarzysz lat jéj dziecinnych, wiodący teraz żywot ten pół zbójecki, na wpół rycerski, wydawał jéj się bohaterem. Sławę, którą pieśń ludowa stroi pamięć dawnych kozaków,—urok, którym bajki otaczają imię Dobosza, lub innych rozbójników, splatała teraz w jeden wieniec rozmarzona wyobraźnia pięknéj kowalki, i opromieniała jego blaskami postać młodego szwarcownika.

Najgorzéj na tém wychodził Iwaś, wyrugowany z serca Zośki przez Ignaca. Biedny kowal nie wiedział nic o swojém nieszczęściu. Widział, że jego narzeczona stała się dlań zimną, dumną, obojętną, że mu teraz odpowiada opryskliwie i z dawném lekceważeniem, ale nie umiał sobie zdać sprawy z powodu téj zmiany. Widocznie coś przystąpiło do dziewczęcia, ale jak przystąpiło, tak i odstąpi!

W następną niedzielę, w tydzień po spotkaniu z Ignacem, zaczęła się Zośka znowu naprzykrzać Iwasiowi, by ją zaprowadził na ochotę. Wymawiał się młody kował jak mógł, ale nie było rady. Musiał biedaczysko uledz swéj przyjaciółce. Wrócili późniéj niż tamtym razem ku wielkiemu niepokojowi Matwija, który nie wiedział, co się z niemi stało. Stary zrzędził, wymawiał, strofował, jednak i tym razem jakoś się utarło.

W tydzień potém poszła już Zośka sama do karczmy. Naszukawszy się jéj daremnie, podążył zrozpaczony Iwaś na muzykę, domyślając się, że tam pobiegła. Zastał ją hasającą w objęciach Ignaca, i począł jéj czynić wymówki. Odpowiedziała mu dumnie, szorstko, z pogardliwém lekceważeniem. Kto wié, może-by przyszło było między niemi do gorszącéj kłótni, gdyby nie Ignac. Uspokajając Zośkę, a tłómacząc Iwasiowi, że lepiéj zrobi, gdy swéj przyszłéj żonie pozwoli się wytańczyć, dopóki jest dziewczyną, pogodził sprytny bywalec zwaśnionych.

Ale zgoda ta była tylko pozorną, przynajmniéj ze strony Zośki, która zachowała w sercu niechęć dla Iwasia, i nie taiła przed nim swego gniewu. Żyli tedy oziębli dla siebie i niby obcy, ograniczając się jedynie na to, co jest niezbędném, gdy się pod jedną mieszka strzechą. Wprawdzie starał się Iwaś, którego ku niéj rwało, przełamać te lody, ale go odtrącała niechętnie, gdy się do niéj zbliżał. Młody kowal szedł wtedy do swéj komórki, jak pies skarcony za niewczesne pieszczoty. Tam siadał w samotności i marzył, nie śmiejąc

się na oczy pokazać swéj towarzyszce, by jéj gorzéj nie drażnić swym widokiem.

Po niejakim czasie opuścił Ignac Zabłoćce. Rzemiosło szwarcownika wymagało gdzieś indziéj jego obecności. Jednakże nagły odjazd jego nie stał się przyczyną zerwania stosunków pomiędzy nim a piękną kowalką. Owszem stosunki te jawniejszą przybrały cechę. Codzień przychodził do chaty starego kowala arendarz z wieściami od nieobecnego. Podejrzani jacyś ludzie wpadali do Zośki, i tajemnie z nią odbywali narady. Młoda kowalka stała sięwspólniczką herszta szwarcowników.

Pewnego wieczora, wróciwszy z kuźni, zastał Iwaś drzwi od swéj komórki otwarte. Zaniepokojony wpadł do wnętrza, aby się przekonać, czy mu czegoś nie skradziono. Zdziwienie jego było ogromne. Nie ubyło nic; owszem cała komórka założona była jakiemiś paczkami.

— Kto tu był Zośka?—zapytał dziewczyny, krzątającéj się koło ogniska.

— Nikt — odpowiedziała obojętnie.

— Jakto nikt?.. A któż rozwalił drzwi od mojéj komórkl?

— Ja!... Tak mi było potrzeba.

— Ty? A cóż to za paczki tam leżą?

— Szwarc — odpowiedziała spokojnie.

— Szwarc! — krzyknął — szwarc?... Czyś oszalała Zośka!... A zkąże ty wzięłaś szwarc?

— Krzycz, krzycz!... Czy chcesz, żeby tato usłyszał?.. Tego by mu tylko brakowało, choremu!

— A zkądże ty wzięłaś szwarc? — zapytał Iwaś ciszéj.

— A tobie co do tego?

— Nie, Zośka, tyś oszalała chyba! Przechowywać paczki szwarcownikom!... Przecież to grzech! Słyszałaś co Jegomość w cerkwi powiadał?

— Co mi tam Jegomość, co mi tam grzech?.. Zresztą to mój grzech, a nie twój!

— Co ty gadasz, co ty gadasz!.. A potém kara i wstyd... Czyż ty nie wiesz, że gdyby tu szwarc znaleźli, toby nas puścili z torbami... Zabrali by wszystko co jest.

— A tobie co do tego?

— Jakto, co mi do tego!.. Przecież... przecież ja tu mam być gospodarzem.

— Masz być gospodarzem, ale nim nie jesteś— odparła, patrząc mu w oczy hardo i uśmiechając się brzydko. — A potém, któż ci powiedział, że ja wyjdę za ciebie?

Ręce mu opadły. Osłupiał, słysząc te słowa.

— Słuchaj Iwaś!.. Chciałam ci to już dawno powiedziéć, bo mnie to nudzi, że oczy do mnie zawracasz... Ty myślisz, że masz do mnie jakieś prawo, i chcesz mi rozkazywać tak jak przyszły mąż.... Tak sobie teraz powiedz: nic z tego!.. Ty nie dla mnie, ja nie dla ciebie... Ja kocham Ignaca-sokoła, i będę jego a nie czyją.

— Ignaca! Złodzieja!.. Nie, ty chyba oszalałaś, Zośka!

— Ignac nie złodziéj, tylko szwarcownik!.. Sokół, co nie ma nad sobą pana, nie taki jak ty *najmyta*! — zawołała, mierząc go pogardliwie oczyma.—A zresztą chociażby i złodziéj — to co?.. Skoro mi się podobał!

— Zośka, opamiętaj się.... Gdzież ty możesz miéć z nim ślub? Gdzież twój ojciec na to pozwoli?

— Jak może być ślub, to będzie, a jak nie może być, to i dobrze!.. Zresztą wiédz o tém, żem już była Ignaca, i że twoją nigdy nie będę.

— Ależ twój ojciec, twój ojciec!

— Chcesz, idź mu powiedz, com ci mówiła... Zabij go za to, że cię wychował... Mnie nic już nie oderwie od Ignaca... On mój, ja jego—i tak już będzie zawsze!

Zaczęły się teraz dni czarne dla Iwasia. Wiedział, że nie ma rady z upartą dziewczyną. Choćby powiedział Matwijowi, to co? Zośka prawdę mówiła: jéj nie przekona, nie powstrzyma, nie uchroni od zguby, a starego tylko zabije! Będzie więc musiał patrzéć na to, co robi Zośka — pędząc do niechybnéj zguby. Nie może jéj przeszkadzać, bo cóż poradzi? Będzie musiał w dodatku taić to, co widzi, przed Matwijem; będzie musiał swoją pokrywać osobą wszystkie jéj wybryki. A no, tak on teraz wspólnikiem Ignaca złodzieja i Zośki niecnoty!

A jednak—jednak on ją kocha; och tak kocha, żeby na siebie wziął jéj hańbę, gdyby go chciała. Ale cóż z nią poradzi, z szaloną! Idzie już do żniw, do *Uspenia*, cóż wtedy powie Matwijowi? Jak mu wytłómaczy, czemu się nie kwapi z prośbą o ślub do księdza?

Wtedy wszystko wyjdzie na wierzch. Stary się na śmierć zagryzie, a co jemu wtedy po życiu na świecie bez Matwija i bez Zośki! Najlepiéj byłoby umrzéć, ale śmierć nie przychodzi tym, którzy jéj wołają. Ot, nieszczęście, nieszczęście!

Myślał czas jakiś o tém, czyby nie zabić Ignaca? Ale czyżby w ten sposób uratował Zośkę od zguby? Kto wié, coby wtedy zrobiła szalona? A potém, gdyby jego za karę stracili, któżby pracował na Zośkę i Matwija? Nie, niema dla niego rady! Musi patrzéć, sły-

széć i cierpiéć! Musi taić, kłamać i zdradzać! Musi się dać zwolna zabijać, i nie myśléć o zemście ani obronie! Taka to już jego dola!

I tak nie wiedział Matwij nic o tém, co się działo. Zośka obojętna na rozpacz Iwasia, a pewna jego milczenia, pędziła daléj ku swéj zgubie. Arendarz zachodził coraz częściéj do chaty; podejrzani ludzie wchodzili i wychodzili, wnosząc i wynosząc jakieś towary.

Czasem wpadał Ignac, któremu zawsze na utrzymanie bandy potrzeba było pieniędzy i wyłudzał u pięknéj kowalki zaoszczędzone grosze. Czasem wykradała się Zośka do sadu, aby rozmawiać z galantem. Ludzie spostrzegli, że do obejścia kowala prowadzi ścieżka i że płot w jedném miejscu rozgrodzony.

Iwaś pracował w kuźni, martwił się i rozpaczał, tając przed Matwijem, co się dzieje. Zośka zwierzyła mu, że się czuje matką. Jedyną jego troską teraz było to, jak ukryć przed starym kowalem nieszczęście. Odpędzał więc natrętów od Matwija, i cudem udawało mu się zachowanie tajemnicy.

Pewnéj nocy zasłyszał młody rzemieślnik głosy jakieś na podwórku. Zaniepokojony otworzył cicho drzwi swéj komórki, i wyszedł zobaczyć co to takiego. Byli to Ignac i Zośka. Spleceni uściskiem, rozmawiali kochankowie o swéj miłości. Iwaś zdrętwiał na ten widok, bezsilny w swéj rozpaczy i zazdrości. Chwilę prześladowało go myśl zabicia gacha. Tuż niedaleko stał wóz popsuty; można było wyjąć złamaną kłonicę, i jednym razem strzaskać łeb galantowi. Ale cóż potém? Co będzie z Zośką? co z Matwijem?

Wtém otworzyły się drzwi od izby. Stary kowal, zasłyszawszy rozmowę, stanął na progu, chcąc się dowiedziéć, jaki powód tego nocnego krzątania.

— A kto tam? — zapytał staruszek.

— To ja—odpowiedział Iwaś, oprzytomniawszy z odrętwienia.

— Ty, synku?... A co tam takiego?

— Psy sąsiadów ujadają.... Tak wyszedłem zobaczyć, czy broń Boże nie złodzieje.

— A z kimżeś ty rozmawiał, synku? bo słyszałem jakieś głosy!

— Co mówicie, panie majster? — zapytał Iwaś, nie wiedząc co odpowiedziéć.

— Słyszałem, żeś z kimciś rozmawiał.... Kto to taki?

— Zośka!— odparł Iwaś dziwnie złamanym głosem.—Zośka się także zbudziła. i wyszła zobaczyć co to?

— Dobrze, dziateczki, dobrze, że tak pilnujecie.... Ale teraz idźcie już spać, bo szkoda nocy.... Ja nie śpię i słyszę.... Jakby, broń Boże, co było, to was zawołam.

VII.

Zajście to oziębiło ich bardziéj jeszcze ku sobie. Namiętnéj kowalki nie rozbroiła ofiara, którą z siebie zrobił młody rzemieślnik. Owszem nawet zdawało by się, że szlachetność Iwasia podwoiła jéj dla niego wzgardę i zapalczywość. Kto wié, gdyby był o nią walczył z Ignacem, jak jeleń o swoję łanię, może byłby zdobył jéj serce, jako zwycięzca!

Tak jednak nie rozumiała tego człowieka, cierpiącego w milczeniu, poświęcającego się dla jéj spokoju, i zasłaniającego własną męką wszystkie jéj wybryki. Być może, iż się czuła obrażoną nawet w swéj niewieściéj dumie tą cichą rezygnacyą, któréj pojąć nie mogła jéj namiętna dusza. Może ją to gniewało, iż ją odstąpił drugiemu bez walki, iż nie szukał zemsty, gdy mu ją wydarto.

Iwaś z swéj strony zanadto krwawe z siebie zrobił poświęcenie, by mógł spokojnie patrzéć na tę, która była powodem jego męki. Zdawało mu się, że ją więcéj kocha jeszcze niż dawniéj, i serce mu się krwawiło na myśl, że jest dla niego straconą na wieki.

Unikali się więc wzajemnie, niby śmiertelni wrogowie, zmuszeni żyć pod jednym dachem. Gdy Iwaś przychodził na obiad lub wieczerzę, uciekała Zośka, zmyślając jakieś gospodarskie zajęcie. Gdy Zośka wracała, uciekał Iwaś do swéj komórki, zamykał się w niéj, i rozpaczał. Unikali się tak zręcznie skutkiem tego milczącego porozumienia, że się Matwij nawet nie domyślał, jaka ich przepaść rozdziela.

Tak upłynęło cztery miesiące. Żniwa już były minęły, i zbliżało się *Uspenie*. Stary kowal nie przypominał dzieciom, że czas ślubu nadchodzi. Może zapomniał o tém, nie widząc ich nigdy razem; może czekał, aż mu to same przypomną?

Dnia jednego pod wieczór, wracał Iwaś z Wołkowatycz, skończywszy tam jakąś u rządcy robotę. Rwało go coś do domu. Nie chciał się nawet zatrzymać w „kasarni" straży granicznéj, gdzie mu za jakąś lekką reparacyę dobry przyrzekano zarobek. Szedł groblą ku Zabłoćcom śpiesznie, jak gdyby go coś gnało. Młot, obcęgi i pilniki zatknął w zanadrze, pomiędzy fartuch i koszulę.

Po dniu skwarnym zasępiło się było niebo gęstemi chmurami i zmrok szary począł wcześniéj niż zwykle zapadać. Na krańcach widnokręgu zapalały się co chwila błyskawice, i daleki, głuchy, jakby podziemny grzmot odzywał się co chwila. Zanosiło się widocznie na gwałtowną nawałnicę. Iwaś szedł spiesznym krokiem, ażeby zdążyć jeszcze do domu przed burzą.

Na kilka staj przed Zabłoćcami, zamajaczyła przed nim w zmroku postać kobieca, zbliżająca się ku niemu również szybkiemi kroki. Poznał po chodzie Zośkę. Ale cóż mogło ją prowadzić w tę stronę,

chorą, w czas tak późny, i w tak niepewną pogodę? Iwaś nie mógł sobie odpowiedzieć na to pytanie. Nieokreślone jakieś podejrzenie zbudziło się w jego umyśle.

— Gdzie idziesz? — zapytał szorstko, zastępując drogę idącéj.

— A tobie co do tego? — odparła wyniośle.

— To, że cię nie puszczę, jeżeli mi nie powiesz.

— Idę do Wołkowatycz, jeżeli chcesz wiedziéć koniecznie.... A teraz ustąp, puszczaj, bo mi spieszno.

— Do Wołkowatycz? Teraz, pod noc i pod burzę?... Przecież słaba jesteś!... Cóż ty masz za interes do Wołkowatycz?

— Mam interes pilny, puszczaj!

— Nie puszczę!.. Co to za interes?..

— A tobie co, najmyto?.. Ustąp!.. Mówiło ci się, pilny interes!... Nie trzeba ci wiedziéć jaki.

— Nie powiesz?

— Nie powiem.

— To wracaj do domu!

— Nie chcę. Puszczaj!.. Nie pójdę!

— To ja ciebie zaniosę!

— Słuchaj! Chcesz wiedziéć, to ci powiem... Muszę być w Wołkowatyczach przed północą... Teraz puść!

— Cóż tam masz robić o północy?.. Cóż? Nie odpowiadasz, boisz się powiedziéć?... To pewno jakieś szelmostwo Ignaca!

— Żebyś wiedział, że to interes Ignaca, a tobie nic do niego!... Teraz ustąp!... Pamiętaj, jak nie puścisz, to Ignac ciebie zabije!

— A więc pójdziesz do domu zaraz! — zawołał kowal, ująwszy ją silnie za ramię.—Dość już mam téj hańby, tego szaleństwa!... Nie chcę, żebyś zdrowie traciła dla złodzieja!

I poczęli się szamotać ze sobą, bo Zośka opór mu stawiła zacięty, a on bojąc się, by jéj zdrowia nie uszkodził, nie chciał nadużywać swéj siły. Nagle runął Iwaś na ziemię, jak gdyby piorunem rażony. Wyrwawszy młotek mu z zanadrza uderzała go nim w głowę szalona dziewczyna z całéj siły. Uwolniwszy się w taki sposób od napaści, odeszła spiesznym krokiem i znikła niebawem w ciemności.

Téj saméj nocy właśnie, zamierzał Ignac dwoma szlakami dwa z Brodów wyprowadzić transporta. Jeden z nich mniéj był ważnym, i miał służyć jedynie do tego, by uwagę straży granicznéj odciągnąć od głównego transportu. Na drugim, większym, i z cenniejszego składającym się towaru, zależało głównie szwarcownikom. Szczęśliwe przeprowadzenie tych „paczek“ miało Ignacowi i jego wspólnikom powetować wszystkie dotychczasowe straty.

Tymczasem dowiedział się arendarz Zabłociecki, od zaufanego i pewnego szpiega, że plan wyprawy zdradzony został straży gra-

nicznéj. Na pobocznéj drodze, na lewo od Wołkowatycz, właśnie gdzie miał transport przechodzić, czyhała zasadzka, w któréj udział wzięła cała załoga Wołkowatyckiéj „kasarni.“

Położenie było rozpaczliwem, klęska niezawodna. Chybaby jakiś nadzwyczajny wypadek odciągnął strażników w inną stronę,— chybaby cud jakiś zmusił ich do opuszczenia stanowiska. Zawiadomić Ignaca o niebezpieczeństwie. nie było już sposobu.

Chytry Abramko miał wprawdzie pomysł mogący uratować szwarcowników. Ale wykonanie tego, co było potrzebném, wymagało wielkiéj odwagi, i nie sposób było się zwierzać z tą rzeczą lada komu. Poszedł więc do Zośki i przedstawił jéj groźny stan rzeczy. Ona jedna mogła wyratować kochanka. Ale działać należało natychmiast, bez wahania. Obecność jéj w Wołkowatyczach przed północkiem była niezbędną. O saméj północy miał transport mijać urządzoną zasadzkę. Szalona dziewczyna podjęła się niebezpiecznego przedsięwzięcia. Zbrodnia, którą popełnić miała, nie przerażała jéj wcale.

Noc była ciemna, rozświecona tylko łuną błyskawic, ale deszcz, na który się zanosiło, nie padał. Być może, iż bokiem poszła ulewa, bo wiatr zimny wiał od strony, gdzie się niebo paliło; nad Wołkowatyczami sucha tylko szalała burza.

Przyszedłszy do Wołkowatycz, zwróciła się Zośka w stronę koszar straży granicznéj. Cisza była w krytym słomą budynku. Nie ulegało wątpieniu, że cała załoga podążyła była na zasadzkę. Chyłkiem, ciszkiem, ostrożnie obeszła Zośka cały dom dokoła. Ciemno było wszędzie; z jednego tylko okna dobywał się słaby blask przez szczelinę na wpół otwartéj okiennicy. Zośka zajrzała do wnętrza izby, oświeconéj bladem światłem świeczki, dogorywającéj w lichtarzu. Na łóżku leżała kobieta śpiąca głębokim snem, jak o tém świadczył równy oddech jéj piersi. Koło łóżka stała kołyska. Zośka domyślała się, że to mieszkanie dowodzącego posterunkiem „respicyenta.“

Przekonawszy się, że nic wykonaniu jéj zamiarów nie stanie tak łatwo na przeszkodzie, dobyła młoda kowalka z zanadrza małą flaszeczkę nafty i sporą garść przędziwa, którą nasyciła zapalnym płynem, i wetknęła w strzechę budynku, wspiąwszy się ku niéj po drabinie. Następnie zapaliła zapałkę, i przytknęła ją do naftą przesyconéj przędzy.

Chwilę jeszcze przypatrywała się zbrodniarka z zadowoleniem swemu dziełu. Potém widząc, że buchający płomień coraz bardziéj strzechę ogarnia, zeskoczyła z drabiny, i przelazłszy płot, pośpieszyła polem na przełaj ku drodze, którędy miał iść transport Ignaca.

W połowie drogi usłyszała łoskot szybkich kroków, oraz liczne męskie głosy, rozmawiające ze sobą. Byli to strażnicy, którzy spo-

strzegłszy łunę płonącéj „kasarni“, śpieszyli na ratunek. Zośka przysiadła na ziemi za krzakiem leszczyny, kryjąc się przed nadchodzącymi.

— Biegnijcie, biegnijcie — szepnęła za niemi, gdy minęli jéj schronienie. — Biegnijcie—powtórzyła raz jeszcze przez zęby, uśmiechając się złośliwie. — Kto wié, czy nie przyjdziecie zapóźno.

To rzekłszy, powstała i podążyła śpiesznie w stronę, którędy miał przechodzić transport Ignaca, uradowana myślą, iż odwróciła od kochanka grożące mu niebezpieczeństwo. Szła lekko, nie czując znużenia, choć miejscami grzązką była świeżo zorana rola. Od czasu do czasu zatrzymywała się, zwracając oczy w stronę płonącéj „kasarni.“ Niebo jasną gorzało łuną. Oto jéj dzieło; może się niém pochlubić przed Ignacem. Teraz on ją dopiero pochwali, teraz on ją dopiero pokocha — *łycarkę!* (rycerkę).

Ale oto już słychać turkot wozów Ignaca. Jedzie *sokolik*, jedzie wesoło, i ani wié jakie mu groziło niebezpieczeństwo. Przyśpieszyła jeszcze bardziéj kroku, przeskoczyła rów i stanęła na drodze, — tu czekać będzie na niego.

Nagle, cóż to takiego? Zgiełk, krzyk, szczęk i wrzawa jak gdyby walki. Błysnęło kilka razy w ciemności i huk strzałów rozległ się dokoła. Czyżby Ignacowi drogę zaszli Ponikowiccy strażnicy? Oh nieszczęście, nieszczęście! Abramko nic nie mówił o tém!

Zrozpaczona pobiegła w stronę walki. Ale zaledwie kilka postąpiła kroków, gdy śmiertelnie ugodzona, padła trupem. Kto wié? Być może, iż zbłąkana kula, która jéj przeszyła serce, była kulą Ignaca. Dziwnie się czasem dzieje na tym Bożym świecie!

Ciężko chorował Iwaś, oszołomiony ciosem, który mu zadała szalona kowalka. Byłby niezawodnie padł na miejscu trupem, gdyby gruba barania czapka nie była powstrzymała gwałtownego razu. Szczęściem to jego nazwać można, iż proboszcz miejscowy zatrzymał się był dłużéj u Wołkowatyckiego rządcy, i powracał właśnie tą drogą. Bezprzytomnego zawieziono go na plebanię. Tam dzięki umiejętnéj pieczołowitości zachowano mu życie, i powrócono zdrowie po kilkotygodniowém leczeniu.

Kto wié jednak czy to szczęściem nazwać można, i czy nie lepiéj by dla niego było, gdyby bezprzytomny i pozbawiony ratunku, skończył był na odludnéj grobli? Co mu teraz po życiu bez Zośki i bez Matwija,—bo trzeba wiedziéć, że w czasie słabości Iwasia umarł stary kowal, dowiedziawszy się o śmierci swéj córki. A no, nie było szczęścia, nie było doli! Tak mu teraz żyć już tylko rozpaczą,—tak mu teraz wyglądać od śmierci lekarstwa na tęsknotę!

Włodzimierz Zagórski.

RUMELIA WSCHODNIA.

(*Dokończenie*).

Na opisanych już podstawach traktat Berliński i późniejsze prace komisyi międzynarodowéj w Płowdywie stworzyły nowy, *sui generis* organizm polityczny, prowincyę autonomiczną w łonie despotycznego państwa tureckiego, Rumelią Wschodnią. Zanim przystąpimy do rozpatrzenia choć ogólnikowego rezultatów całéj téj organizacyi, wypada nam w kilku słowach scharakteryzować ziemię i lud, nad którym odbył się opowiedziany tylko co eksperyment dyplomacyi europejskiéj.

Jak wspominaliśmy już wyżéj, cały kawał półwyspu bałkańskiego, któremu traktat Berliński nadał imię Rumelii Wschodniéj, otoczony jest dokoła górami, wyższemi od północy, niższemi od południa, w skutek czego klimat téj krainy stanowczo zaliczyć ją każe do błogosławionych ziem południa. Wewnątrz tych granic, powierzchnia kraju, choć górzysta i obfitująca w czarodziejsko-piękne, nie ustępujące (jak mówią naoczni świadkowie) najpiękniejszym pejzażom szwajcarskim widoki, stosunkowo jednak do otaczających ją olbrzymów może się nazwać dość równą. Niema na niéj nieprzebytych lub przynajmniéj niełatwych do przebycia łańcuchów gór z niebezpiecznemi przesmykami. Łagodne stoki i wyniosłości pozwalają na przeprowadzenie wyśmienitych komunikacyi, bez zbyt wielkich nakładów na mosty, wiadukty i tunele. Prócz mnóstwa drobnych rzeczułek, potoków i strumieni, skrapiających wodami swemi żyzną glebę Rumelii Wschodniéj, przecinają tę krainę dwie większe rzeki—Maryca i Tundża; wzdłuż biegu ich zauważyć można największe skupienie ludności. Wszystkie większe miasta i wsie znaczniejsze nad ich leżą brzegami.

Trzy wymienione przez nas warunki: ciepły, pozbawiony mroznych tchnień północy, klimat, stosunkowo płaska powierzchnia kraju i obfitość wód bieżących, powodują bajeczną, nie do uwierzenia prawie, żyzność gruntu i—co za tém idzie—zwrotnikową iście wegetacyą. W starożytności już kraj ten wraz z sąsiadującą z nim na południe Rumelią turecką znany był ze swych szerokich dolin, przyodzianych nieprzejrzanemi łanami zboża i spichrzem Grecyi nazwany. W wojnach przeciw Ateńczykom, wtedy najdotkliwszą można im było zadać klęskę, gdy zdołano powstrzymać *sitopompię* (dowóz zboża) z Tracyi. I dziś ziemia to urodzajna jak mało. Ze zbóż sieją tu pszenicę, żyto (po bułg. ръж), „czerwonkę“ (po tur. kyzyldża), jęczmień (po bułg. iczimik), owies, proso, sorgo (po bułg. sejrek), a zwłaszcza kukurydzę (po bułg. carewica). Z warzyw przemagają groch (po bułg. grach), soczewica (po bułg. leszta), bób czyli bober, ogórki (po bułg. krastawica), kapusta po bułg. zelje, lachna), cybula (łuk—po bułg.), czosnek (po bułg. czesen), pory (po bułg. pras, Allium porrum), papryka (po bułg. piperka. czuszka) i tykwa. Prócz tego ludność hoduje na wielką skalę roślinę zwaną w języku bułgarskim „patladżan“ (Solanum Melongena, po włosk. bellanzani), któréj modre, niekiedy aż na stopę długie owoce służą wielu za pożywienie codzienne. Z innych roślin, podróżnicy po Rumelii Wschodniéj wspominają o konopiach, sezamie i anyżu (po bułg. anason). Gdzieniegdzie zdarza się i bawełna (po bułg. pamuk, Gossypium). Tytuniu (po bułg. i po tur. tiutiun) mieszkańcy hodują mało, pomimo że udaje się wyśmienicie. Kartofle (po bułg. patati), dopiero niedawno w bieżącém stuleciu zaprowadzone na bałkańskim półwyspie, mało w Rumelii bywają uprawiane, a w Księstwie w wielu okolicach do dziś je znają tylko ze słyszenia. W lecie bywa tu masa melonów (po bułg. dinja, po tur. kaun) i arbuzów (po bułg. lubenica, po tur. karpuz). Tu i owdzie w pobliżu Marycy całe pola niemi są pokryte. Z drzew owocowych wymienić należy orzechy (po bułg. orjach), drzewa migdałowe (po bułg. bademi), grusze (krusza), morele (kajsiji, zardaliji), brzoskwinie (praskowi), pigwy (djuli) i rajskie jabłka (tomati). Granatów (po bułg. i po tur. nar) i fig (smokinja) mieszkańcy nie hodują, pomimo że—o ile się zdaje—udawały by się wybornie.

Prócz tych drzew pożytecznych, którym zresztą umiejętna hodowla dopomaga do pomyślnego rozwoju, odznacza się Rumelia Wschodnia, a zwłaszcza miejscowości u stóp Bałkanów położone wspaniałemi gajami, które otaczają wieś każdą i zielonym pasem łączą urodzajną równinę z powstającemi nagle stromemi zwałami Bałkanów. Są to prastare laski (po bułg. *korija* z tureckiego *kuru*=

las) z odwiecznych orzechów, kasztanów jadalnych, wiązów i dębów o olbrzymich konarach i pniach stuletnich. Wielkość tych drzew i gęste ich zagajenie jest niezwykłém zjawiskiem w bezleśnych okolicach wschodu i zmusza do podziwu nawet przywykłego do wielkich borów podróżnika z północy. Widok tych olbrzymów roślinnych przypomina ustęp ze starego Wirgiliusza o wielkim cieniu splatających się gałęzi w odwiecznych puszczach, któremi za jego czasów (1900 lat temu) były porosłe zimne doliny Bałkanów (Georgica II, 488):

o qui me gelidis convallibus Haemi
Sistat et ingenti ramorum protegat umbra!

Jednym z najbardziéj uroczych cudów téj bogatéj, prawdziwie południowéj flory są niewątpliwie rozległe pola różane, napełniające powietrze przepyszną swą wonią. Nie są to ogrody różami zasadzone, lecz całe obszary różanych krzewów, rozrzucone po polach, najczęściéj po małych pagórkach. Trudno sobie wyobrazić—powiada ks. Józef Hołubowicz, który długo podróżował i mieszkał w Bułgaryi i Rumelii—coś przyjemniejszego w naturze, jak te oazy róż stulistnych w pięknéj zieleni traw, lub śród złotych łanów zboża. Podróżni i turyści zachwycają się i nie mogą dosyć oka nasycić tym czarującym widokiem, a Bułgarzy słusznie kraj swój, a zwłaszcza dolinę kazanłycką „ogrodem róż“ nazywają. Mówiąc niżéj o przemyśle, dodamy jeszcze słów parę o tych polach różanych i o użytku, jaki z róż robią mieszkańcy.

O bogactwach mineralnych Rumelii, mimo że niezawodnie obfitują w nie góry tak Bałkanu, jak i Rodopy, nie mamy żadnych wiadomości. Snadź barbarzyńska administracya turecka przeszkadzała należytéj ich eksploatacyi, a zgnębiony lud, żyjąc z dnia na dzień nie myślał o należytém spożytkowaniu darów hojnéj przyrody. Za to korzystano od bardzo dawnych czasów z rozmaitych źródeł mineralnych o temperaturze niekiedy nader wysokiéj, których moc wielka rozrzucona po całém Księstwie bułgarskiém i Rumelii Wschodniéj. Zwłaszcza na południowym stoku Bałkanów od Anchialos do Karłowa, pod całą Sredną Górą, u północnego podnóża gór Rylskich (u źródeł Marycy), na równinie Sofijskiéj, w kotlinie Kjustendżilskiéj i t. d. spotykają się co chwila białe domy kąpielowe z charakterystycznemi kopułami. W samém mieście Sofii biją źródła siarczane o temperaturze dochodzącéj do 38° R., a w Kjustendżilu dziewięć domów kąpielowych korzysta z gorącego źródła, którego woda ma 60° R. W Rumelii Wschodniéj znane są powszechnie kąpiele kazanłyckie. Urządzenie w tutejszych domach kąpielowych jest dość ory-

ginalne. Woda zazwyczaj zbiéra się w wielkim kwadratowym lub wielokątnym basenie na dwa łokcie głębokim. Potężna budowa tych basenów z gładko ciosanych kamieni zdradza nader starożytne, może jeszcze rzymskie pochodzenie. Zresztą same nazwiska tych budynków kąpielowych przypominają, podług dra Jireczka—termy starożytne; Bułgarzy, Serbi i Turcy zarówno używają dla oznaczenia ich słowa *banja*, które jest tylko przekręceniem łacińskiego *balnea* (liczba mnoga od *balneum*) (1). Bardziéj na południe spotyka się téż nowobułgarskie słowa *lъdża*, które prof. Drinow wyprowadza ze starosłowiańskiego *ląża* (czeskie *louže*, polskie *ka-łuża*). W kąpielach tych oznaczone są dni dla różnych wyznań i płci: jednego dnia od rana do wieczora kąpią się mężczyzni chrześcianie, drugiego—kobiety—chrześcianki, trzeciego muzułmanki, czwartego muzułmanie itd. W miastach, gdzie niema takich warów naturalnych, są urządzone łazienki ze sztucznie ogrzewaną wodą; rzadko gdzie jednak tego potrzeba wobec niezwykłéj obfitości źródeł mineralnych, gorących z natury.

Na téj dziwnie pięknéj i bogatéj ziemi, ograniczonéj na wschód morzem Czarném, na północ Bałkanami, na południe i zachód górami Rodopskiemi, a obejmującéj 35,900 kilometrów kwadratowych, mieszkają obok siebie—dzięki wspomnianym wyżéj historycznym zmianom i wędrówkom narodów—najrozmaitsze i przeważnie wrogo względem siebie usposobione plemiona. Za czasów bizantyńskich siedlili się tu Grecy; potęga Symeona zostawiła wyraźne ślady w postaci nader licznéj ludności bułgarskiéj; wreszcie za rządów ottomańskich powstała tu masa kolonii tureckich. To były trzy główne pierwiastki, z których uformowała się dzisiejsza ludność Rumelii Wschodniéj. Prócz nich wszakże zwrócić jeszcze należy uwagę na wszędzie obecnych Żydów i Cyganów, którzy tu w znacznéj przemieszkują liczbie, oraz na resztki Ormian, których w VIII i IX wieku cesarze bizantyńscy osadzali koloniami całemi na równinie Płowdywskiéj i daléj na wschód aż do morza Czarnego, myśląc stworzyć w ten sposób granicę wojenną, która by przeszkadzała Słowianom posuwać się nazbyt ku Konstantynopolowi. Do ostatnich prawie czasów Europa nie wiedziała dobrze, jaki między wszystkiemi temi narodowościami zachodzi stosunek liczebny. Za czasów nawet komisyi międzynarodowéj, już po utworzeniu prowincyi autonomicznéj, powątpiewano mocno o przewadze w téj ostatniéj pierwiastku bułgarskiego. Wykazały ją z całą pewnością dopiero w roku 1880

---

(1) Ten wywód etymologiczny dra Jireczka wydaje nam się zbyt śmiałym i przeto dość wątpliwym.

pierwsze rezultaty czynionych w nowoutworzonym kraju obliczeń statystycznych (1). Otóż podług nich, Rumelia Wschodnia miała liczyć 815951 mieszkańców. W liczbie téj miało być 573560 Bułgarów, 174700 Turków (licząc w tém już 16267 poturczonych Bułgarów czyli Pomaków), 42659 Greków, 19549 Cyganów, 4177 Żydów i 1306 Ormian. Jireczek przytaczając (w r. 1882) te cyfry, ostrzega, aby niezbyt im wierzyć, ponieważ obliczenia były robione na prędce przez urzędników administracyjnych i miejscowych wójtów (kmet) gminnych, a w zbieranych w tenże sam sposób wiadomościach statystycznych w Księstwie okazała się przy późniejszém sprawdzaniu poważna omyłka, o 300000 dusz mniéj od rzeczywistéj cyfry. Dla czegoż nie mogła by się zdarzyć i tutaj? — jest ona zaś tém prawdopodobniejsza, że podług cyfr tylko co przytoczonych przypadłoby w Rumelii na kilometr kwadratowy daleko mniéj mieszkańców, aniżeli w Księstwie, kiedy tymczasem wszyscy podróżnicy jednogłośnie świadczą, iż Rumelia nieporównanie gęściéj jest zaludniona, niż krainy z naszéj strony Bałkanów. Uwagi dra Iireczka były aż nazbyt prawdziwe, podług późniejszych bowiem i staranniejszych snadź obliczeń, przytoczonych w wydanéj r. 1885 książce o Bułgaryi ks. Józefa Hołubowicza, liczby te znacznie większych dosięgły rozmiarów. Ks. Hołubowicz daje Rumelii Wschodniéj przeszło milion mieszkańców, z tego 700000 Bułgarów, 250000 Turków (razem z Pomakami), 60000 Greków i 10000c mięszanéj ludności: Ormian, Czerkiesów, Wołochów, Żydów, Cyganów i t. d. Bądź-co-bądź, pewną jest rzeczą, że głównym pierwiastkiem ludności rumelijskiéj, przechodzącym liczebnie wszystkie pozostałe razem wzięte, są Bułgarzy. Lud to, z wyjątkiem mieszkańców okolic górskich, nader cichy i spokojny; nie widać w nim bynajmniéj żadnéj z tych cech srogiéj dzikości, jakie się zwykle przypisują wojowniczym jego przodkom, pogromcom państwa bizantyńskiego. Bułgarzy dzisiejsi różnią się od Serbów właśnie tém, że nie łatwo unoszą się porywem ducha wojennego; nie wysławiają téż nigdy bohaterskich walk przodków swoich, zdaje się nawet, że je zupełnie puścili w niepamięć. Skrzętni i wytrwali w pracy, cierpliwi w niedoli, rozważni w postanowieniach, dobrzy mężowie i ojcowie, szczerzy i uprzejmi w pożyciu, serdeczni w przyjaźni, obdarzeni są oni, jak na stan swój, pełny zmian ciągłych i niespodzianych przejść, szczęśliwém bardzo usposobieniem. Wyraz spokoju i pewnéj prostoduszności cechuje oblicze każdego Bułgara, tak, że z rysów już rozpoznać ich można od chytrych i prze-

(1) Oficialna statistika na Istoczno-Rumelijskoto naselenie. Plovdiv. 1880.

biegłych Greków. Życie rodzinne u Bułgarów ma charakter czysto patryarchalny. W małéj osadzie, złożonéj z kilku chat, mieszka zazwyczaj gromadnie kilka generacyi. Synowie pospolicie nie porzucają po ożenieniu domu rodzicielskiego, ale wraz z dziećmi swemi pracują na ojcowskiéj roli, lub, jeśli już w inny sposób szukają zarobku, przynajmniéj groszem swoim wspierają wspólną ojcowiznę, a sami za to na wszelki wypadek zabezpieczony byt w niéj znajdują. Podobnie dzieje się aż do pewnych granic z ich dziećmi. To téż w jednéj zagrodzie naliczyć nieraz można od pradziada aż do prawnuków dwudziestu, albo i więcéj członków rodziny. Jeden z tych ostatnich, zazwyczaj najstarszy latami nosi tytuł *starszyny* i ma władzę zwierzchniczą nad całą rodziną. On rządzi, on się troszczy o wszystkich, on karci wykroczenia, on stara się zaspakajać wszelkie potrzeby. Gdy zaś dojdzie do pewnego wieku, w którym już władza naczelna mogłaby być dlań uciążliwą, godność starszyny przechodzi na jednego z synów. Wszyscy członkowie rodziny ulegają chętnie rozkazom i rozporządzeniom naczelnika; wypadki niekarności są nader rzadkie.

Jak wszystkie narody słowiańskie, Bułgarzy są bardzo gościnni. Wprawdzie dzięki długiéj niewoli i smutnym podczas niéj doświadczeniom zakorzeniła się w ich sercach pewna podejrzliwość względem nieznanych przybyszów, w których przyzwyczajono się lękać tajnych agentów tureckich, albo spekulantów zagranicznych, niech tylko jednak znikną powody podejrzenia, a dom i serce otworzy się chętnie dla gościa. W każdéj wsi — opowiada ks. Hołubowicz — istnieje gospoda gościnna, zwana *han*, podobna do naszych karczem, z tą jednak wybitną różnicą, że nie jest nigdy utrzymywana przez żydów, ale przez chrześcian bułgarskich, a czasem tylko przez Greków albo Cyganów. Charakter chrześciański takich hanów, już sam przez się nadaje im pewną wyższość nad naszemi karczmami. Gdy przybędzie podróżny do hanu, wychodzi zaraz na jego spotkanie uprzejmy gospodarz, zwany *handżi*, wita go zwykłem pozdrowieniem *dobre doszli* (szczęśliwe przybycie), ofiaruje swoje usługi przy wysiadaniu i troszczy się bez przypominania tak o przybysza, jak i o jego woźnicę i konie. Równie uprzejmie żegna u wrót odjeżdżającego chrześciańskim obyczajem: *z bogom*. W takim hanie znajduje się prawie zawsze sklepik, w którym można dostać wszystkiego tego, czego wieśniak zwykle potrzebuje dla zaspokojenia swych potrzeb codziennych. Han bywa także miejscem schadzek poufnych i zabawy, ztąd téż widzieć w nim można zawsze dosyć osób bądź kupujących, bądź na pogadankę albo na traktament przybyłych. Rzadko jednak spostrzedz tu można pijanych.

Jedną z nielicznych wad ludu bułgarskiego jest zabobonność. Złowrogich wróżb i różnych prognostyków zabobonnych, jakiemi się Bułgarzy powodują, niepodobna wyliczyć. Dni feralne, niektóre przypadkowe zdarzenia, przygody takie, jak potknięcie się, upadnięcie i t. p., dostatecznym stają się powodem do zaniechania podróży albo rozpoczętego dzieła. Co do dni feralnych, ma lud bułgarski osobny niemal kalendarz do oznaczenia ich. Są np. dnie, w które nie wolno wymówić słowa *mysz*, inaczéj bowiem myszy przez cały rok robiłyby szkody. Po Wielkiéj nocy aż do Zielonych świątek nie wolno pracować we czwartki, inaczéj latem grad wybije zboże—i t. p. Choroby uważane bywają, jako skutek uroku, szkodliwego wpływu złych niewiast i czarownic. Stara się téż lud bułgarski zażegnać je rozmaitemi gusłami i zabobonnemi praktykami, a lekarki wiejskie, które sobie umiały wyrobić ich monopol, mają często świetne powodzenie.

Główném zajęciem ludu bułgarskiego jest rolnictwo, do którego zachęca pracowitego wieśniaka już sama żyzność gleby. To téż jadąc przez Rumelią Wschodnią, napotkać można co chwila gromadki robotników uprawiających skrzętnie urodzajne niwy, a naokół drogi mile uderzają oko szeroko rozpostarte piękne winnice, bujne łany kukurydzy i zboża różnego rodzaju. Praca rolnicza odbywa się jeszcze starodawnym od przodków przyjętym obyczajem. Postępowe gospodarstwo nie znalazło tu jeszcze zwolenników, nie znane są jeszcze ulepszone narzędzia gospodarskie, ani nowożytny sposób uprawiania roli. Wszystko odbywa się po staremu, z większym nieporównanie nakładem siły i czasu, ale niemniej skutecznie, a przynajmniéj przystępnie dla wszystkich. Zboże oddziela się od plewy przez wianie, czyli rzucanie zboża do góry, przez co plewy ulatają z wiatrem, czyste ziarno zaś pada na klepisko. Sposób młócenia jest także nader oryginalny i przypomina głęboką starożytność. Za młocarnię służy rodzaj sanek, uzbrojonych od spodu rzędami silnie przymocowanych krzemieni. Sanie te ciągnie około osi (jakby w rodzaju kieratu) wół albo koń, a na nich siedzi dla nadania im ciężaru osoba, która pogania zwierzę. Kilku innych robotników zgarnia dokoła kłosy na miejsce, po którém przechodzą te sanie, a krzemienie ciśnieniem swojém wydzielają ziarno (1).

Ze zwierząt domowych, obok pięknych stad owiec i kóz, hodują Bułgarzy rumelscy bawoły (*bos bubalus*; po bułg. biwol, biwolica; po tur. manda). Zwierzę to żyje głównie w cieplejszych, połu-

---

(1) Obszerniejszą wiadomość o życiu domowém Bułgarów oraz o rolnictwie bułgarskiém podaje w Slovanskim Sborniku E. Jelinka p. J. A. Voraczek w artykule p. t. „Bulharske obydli (mieszkanie) a żivot v niem.“ Zeszyty 1—5, r. 1884.

dniowych strefach, w naszych północnych krainach jest prawie nieznane i dopiero w Węgrzech tu i owdzie spotkać je można. Bawół jest niższy i dłuższy, niż nasz wół domowy, ma rogi w tył zagięte i delikatną sierć barwy czarnéj lub ciemno-siwéj. Ruchy jego są leniwe i ocieżałe: owéj nieposkromionéj dzikości, o któréj często piszą w książkach, na tych zwierzętach, hodowanych w Rumelii, wcale nie znać. Mleko i masło bawole bywa bielsze i smaczniejsze niż krowie. Bawół jest nader czuły na skwar słoneczny i dla tego po całych godzinach nurza się w bagnach lub stoi. Przy wsiach rumelijskich bywają zwykle osobne sadzawki z mętną wodą, w których bawoły wygodnie aż po nozdrza zanurzyć się mogą. Dzięki częstym kąpielom tego rodzaju, skóra ich pokrywa się wkrótce jakby korą błotną, która broni je od much i palących promieni słonecznych. Nieodzownym dodatkiem przy każdym zaprzęgu bawolim jest rodzaj skopka drewnianego czy skórzanego (po bułg. kutel, czawurka, kepcze) do polewania zwierząt w drodze. Bawoły zaprzęgane bywają—podobnie jak u nas woły—za pomocą jarzem. Wozy używane na równinie rumelijskiéj są to ogromne czworograniaste kosze z czarnego pręcia, których wysokość wcale nie w odpowiednim jest stosunku do wielkości dobytku pociągowego. Widząc te ciężkie, nieforemne fury, naładowane zbożem lub słomą, poznać łatwo natychmiast, że się jest w kraju czysto rolniczym i do tego płaskim, bez nadzwyczajnych wzgórz i wyniosłości. O ile wiadomo ze statystyki urzędowéj, cena bawołów na targach rumelijskich jest znacznie wyższa, aniżeli wołów lub krów, konie używają się tylko do jazdy lub do noszenia juk podróżnych, zaprzęganie ich do wozów od niedawna dopiero zaczęło wchodzić w zwyczaj, i to głównie w bardziéj górzystych okolicach, gdzie trudniéj o bawoły. Na porzeczach Marycy, obfitujących w te zwierzęta, innego zaprzęgu jak bawoli nie ujrzéć.

Każdy rolnik bułgarski jest mniéj więcéj i przemysłowcem, o tyle przynajmniéj, że sam sobie wyrabia wszystkie przyrządy rolnicze: wozy, brony, pługi i t. d. Pług bułgarski ma swój właściwy sobie ustrój, a cały jest dziełem rolnika, z wyjątkiem radła, które się w mieście kupuje. Pomysłowość rolników bułgarskich objawia się zwłaszcza w przyrządach, które służą do sprowadzenia wody rzecznéj na pewną, niekiedy dość znaczną wysokość. Koło wysokiego brzegu osadzone jest na osi olbrzymie koło drewniane, podobne do naszych kół młyńskich, ale zazwyczaj o wiele większe. Okrąg tego koła zaopatrzony jest w sztuczne, stosownie zagięte rurki, z których każda, w miarę obrotu koła, to czerpie wodę z rzeki, to ją następnie u góry na wyznaczone miejsce wylewa. To zaś wielkie koło

obracane bywa za pomocą drugiego w górnym poziomie umieszczonego, a poruszanego siłą dwóch lub trzech wołów.

Obok domowego przemysłu, kwitną po wsiach bułgarskich rozmaite fabryki i rzemiosła, których wyroby wysyłane bywają na sprzedaż i znacznym cieszą się pokupem. Mamy tu fabryki nożów, jataganów, wyrobów metalowych, garncarskich, materyi bławatnych, dywanów, siodeł; wyrabiają się téż artykuły tokarskie, płótno, skóry, sukno. Wysoki ten rozwój przemysłu u ludu bułgarskiego był bezpośrednim wynikiem, naprzód—usuniętego dopiero niedawno braku dobrych komunikacyi, i — co zatém idzie — konieczności zaspakajania wszystkich potrzeb miejscowych wyrobami krajowemi, a powtóre—pewnéj apatyi, ociężałości i lenistwa Turków, które zmuszają ich do kupowania wszystkiego za gotowe pieniądze u Bułgarów. Po miastach Turczynki nic w domu nie robią, nie szyją nawet i nie haftują, a przytém żyją w sposób bardzo pierwotny; wszystko kupuje się gotowe na targu. Na wsiach można zobaczyć Turczynkę na polu z sierpem lub motyką, lecz co do wyrobów przemysłu domowego, to i tu muzułmanie żadnego o nich nie mają pojęcia. U Bułgarów przeciwnie, zwłaszcza po wsiach, wszystko — o ile można—wyrabia się w domu. Wskutek tego za czasów panowania tureckiego w kwitnącym były stanie t. zw. *panairy* (1), czyli jarmarki, na których sprzedawano, kupowano i wymieniano wszelkiego rodzaju wyroby i produkta konieczne do życia codziennego. Obecnie — dzięki ulepszonym komunikacyom, a zwłaszcza kolei — jarmarki te straciły swe znaczenie i zmieniły się po większéj części w peryodyczne 'targi na bydło i konie; w dawnéj świetności obserwować je można dotąd w tych okolicach Rumelii, gdzie ludność jest mieszana, a zwłaszcza tam, gdzie przewaga leży po stronie narodowości tureckiéj.

Jednym z rodzajów przemysłu bułgarskiego, który na szczególniejszą zasługuje uwagę i ocenę — ile że z pośród krajów europejskich jest niemal wyłącznie właściwym Bułgaryi — jest hodowla róż na wielką skalę i wyrabianie z nich olejku i wody różanéj. Na wschodzie, w Indyach, Persyi i Egipcie, jest to artykuł bardzo ważny, ale jego tameczna produkcya wystarcza zaledwie na potrzeby miejscowe. Europie zaś dostarcza przetworów różanych wyłącznie półwysep bałkański, którego gleba dla plantacyi różanych widocznie jest najodpowiedniejszą. Głównem ogniskiem przemysłu różanego, stolicą państwa róż jest niezaprzeczenie rumelijskie miasto Kazanłyk

---

(1) Od greckiego słowa πανήγυρις, które już w starożytnéj greczyźnie oznaczało uroczystość narodową, zgromadzenie, pielgrzymkę.

z okolicami; tu koncentrują się najbogatsze plantacye i ztąd wywozi się największa ilość olejku różanego. Oprócz Kazanłyku wszakże ma Rumelia wiele jeszcze innych miejscowości, gdzie całe tysiące krzaków różanych hodują się po polach, jak gdzieindziej wino albo chmiel. Wielkie łany róż spotykamy koło Karłowa w dolinie rzeki Giopsy, tu i owdzie koło Staréj- (Eski-Zagra) i Nowéj-Zagóry (Ieni-Zagra), oraz w południowéj części Tatar-Bazardżyckiego okręgu, pod Bracigowem, na słonecznym stoku Rodopy. Róże tu hodowane mają kwiat niepełny, blado-czerwony i należą do trzech rodzajów: *rosa damascena*, *sempervivens* i *moschata*. Podczas „żniw", odbywających się w kwietniu i w czerwcu, zbierają się całe miliony kwiatów, ponieważ dopiero 3200 kilogramów róż daje kilogram olejku. Co do tego ostatniego, rezultat nie co rok bywa jednakowy, lecz zmienia się od 800 do 3000 kilogramów. Hodowlą i dystylacyą tego pięknego kwiatu zajmują się głównie chrześcianie, Turcy w przemyśle tym nader nieznaczny biorą udział. Co się tycze pracy saméj, to tą przeważnie zajmują się kobiety, tak podczas zbierania kwiatów, jak i w czasie wywarzania ich w osobnych kotłach żelaznych. O historycznym początku tego przemysłu mało co wiedziéć można. Pewném jest tylko, że hodowla róż starszą jest znacznie od plantacyi ryżu pod Płowdywem, o których mieszkańcy do dzisiaj wiedzą, że zaprowadzili je dopiero Turcy. Ogrody róż na półwyspie Bałkańskim, czy to naturalne, czy sztuczne, są—o ile się zdaje—czémś bardzo starem. Już pierwszy dziejopis grecki, Herodot z Halikarnasu (VIII, 138) wspomina, opisując Macedonię, o „ogrodach, które podobno należały do Midasa, syna Gordyasza, a w których rosły róże samorodne (αὐτόματα ῥόδα), mające każda po sześćdziesiąt listków i odznaczające się wonią po nad wszystkie inne." Miejsca po owych ogrodach Midasa szukać należy około dzisiejszego miasta Woden, na zachód od Soluni; czarująca to kraina z bujną, wiecznie zieloną roślinnością i setkami srebropiennych wodospadów, które z połyskującego złomami marmurów stoku góry Nidży z szumem spływają na nadmorską równinę. Inni autorowie starożytni sławią znowu róże ziemi Edońskiéj, około dzisiejszego miasta Seres nad dolną Strumą, a zwłaszcza stulistne róże macedońskie, około miasta Filippi, u podnóża góry Pangaia. W napisach i innych pomnikach z epoki panowania rzymskiego na półwyspie wspomina się często uroczystość wiosenna, zwana „Rosalia." Kiedy w ziemiach bałkańskich zaczęto wyrabiać olejek różany, żadnéj nie mamy wiadomości; w Indyach nad Gangesem, w południowéj Persyi (Szyras) i w Egipcie produkcya jego istniała od najdawniejszych czasów aż do dni dzisiejszych. Bułgarska róża dzika, czyli nasz głóg, zowie się po bułg. *szipък*, zkąd

pochodzi też i nazwa wioski Szypka. Róża ogrodowa zwana jest *trandafil* (po tur. *gül*), z nowogreckiego τριαντάφυλλον, a olejek różany nazywa się *trandafilowo maslo*, lub terminem nieco zturczonym *gjulowo maslo*. Nazwa tedy świadczy o różach trzydziestolistnych.

Pomimo całego tego bogactwa kraju, oraz wysokiego stosunkowo rozwoju przemysłu u ludu bułgarskiego, handel w Rumelii Wschodniéj do ostatnich prawie czasów znajdował się w stanie zupełnéj stagnacyi. Przyczyn jéj za czasów panowania tureckiego szukać należało naprzód w opłakanym stanie dróg i komunikacyi, a powtóre w strasznym ucisku ludności chrześciańskiéj, która nie miała należycie zabezpieczonego życia, ani własności. Skutkiem obu tych przyczyn, cały ówczesny obrót produktów koncentrował się jedynie we wspomnianych już wyżéj *panair*'ach, na które—wobec nader pierwotnego sposobu życia tak Turków, jak i Bułgarów—zwożono przeważnie wyroby konieczne do zaspokojenia najpierwszych potrzeb i najczęściéj (dla braku drobnéj monety) mieniano po prostu produkt za produkt, np. pewną wagę przędzy lub wełny za odpowiednią wagę wosku lub czereśni i t. p. O handlu na szerszą skalę, a zwłaszcza o handlu wywozowym nie mogło być mowy. Wobec złego stanu komunikacyi wymagało to wielkich nakładów, a wobec mnóstwa rozbójników, i—co zatém idzie—niepewności gościńców publicznych, ryzyko było zbyt wielkie, aby który kupiec chciał się na nie decydować.

Większy ruch handlowy zbudził się w całéj Bułgaryi, a zwłaszcza w późniejszéj Rumelii Wschodniéj, w ciągu ubiegłego stulecia, gdy państwo tureckie chwiać się poczęło, gdy muzułmańska ludność co rok się zmniejszała i gdy stosunki kupieckie z zagranicą na pewniejsze weszły tory. Ludność bułgarska i grecka z każdą chwilą wzrastała liczebnie, zwłaszcza dokoła głównych ognisk kraju, Płowdywa, Śliwna, Staréj Zagóry i t. p. Bułgarzy przychodzili od Bałkanów, z północy; ciągnęła ich na południe urodzajna gleba i bujna wegetacya na porzeczach Marycy; Grecy rodzinami całemi ściągali z Epiru i wysp morza Śródziemnego. Osiadło też tu nieco Rumunów macedońskich, mianowicie po upadku Moskopola, kupieckiego *emporium* macedo-rumuńskiego. Hrabia Ferrières, podróżnik francuski (1788), znalazł w okolicach Płowdywa masę zupełnie świeżéj ludności greckiéj i bułgarskiéj, która całemi gminami prawie zajmowała się handlem z Austryą. Wywożono głównie jedwab, wełnę i bawełnę. Aż do trzeciego dziesiątka bieżącego wieku, t. j. do zaprowadzenia żeglugi parowéj na Dunaju i morzu Czarném, cały ruch handlowy w części wschodniéj półwyspu bałkańskiego zwracał się do Braszowa (Kronstadt) w Siedmiogrodzie. Za owych czasów była

w mieście tém cała kolonia tak zwanych „greckich“ kupców, czyli Greków rzeczywistych, Rumunów macedońskich i zwłaszcza Bułgarów z Sistowy, Ruszczuku, Gabrowa, Śliwna, Płowdywa, a nawet z dalekich krańców Macedonii. Jak silne w téj kupieckiéj osadzie było ożywienie, świadczy między innemi wymownie ta okoliczność, że pierwsza szkolna książka nowobułgarska, „bukwar“ (elementarz) Berowicza, drukowany był w Braszowie (1824) nakładem jednego z osiadłych tam kupców. Do dziś niejeden stary Bułgar w lisim kożuchu, z długim cybuchem w ustach, z przyjemnością rozpowiada o ówczesnych, dalekich, a ryzykownych podróżach handlowych do Braszowa, Lipska i Smyrny, które niekiedy lat kilka człowieka zdala od domu trzymały.

Wielkim ciosem dla miast i handlu wschodnio-rumelijskiego były pamiętne dotąd starszym mieszkańcom kraju zaburzenia, rzezie, mordy i rabunki za czasów anarchii tureckiéj w początkach bieżącego stulecia. Rozbestwione bandy rozbójników (kirdżali), złożone z wszelkiego rodzaju wyrzutków społeczeństwa, zrabowały i spaliły wówczas wszystkie większe i mniejsze miasta na stokach i w dolinach Rodopy, Bałkanu i Srednéj Góry, między innemi Stanimakę (Stenimacho), Kopriwszticę, Panagjurisztie i Kalofer. Jeden tylko Płowdyw został nienaruszony. Wkrótce po tych smutnych zdarzeniach przyszła inna klęska, która w najfatalniejszy sposób podziałała na rozwój handlu i przemysłu. Mianowicie, wybuchło powstanie w Grecyi. Rozjątrzeni tém Turcy poczęli swą zemstę wywierać na całéj *rai* chrześciańskiéj, a ponieważ w Rumelii przemieszkiwała dość znaczna liczba Greków, powiedzieli sobie stanowczo, nie przekonawszy się o tém należycie, że kraj cały sprzyja powstaniu, i zabrali się energicznie do prześladowania, jakoby organizujących się spisków. Nastały czasy straszne. Niepodobna było ruszyć się z miejsca, aresztowania, szpiegostwa, denuncyacye były na porządku dziennym. Łatwo pojąć, że przy takich warunkach o pomyślnym rozwoju obrotów handlowych nie było co marzyć.

Potém nastąpił okres zupełnego spokoju, miasta zwolna poczęły podnosić się z gruzów, ludność powracała do swych siedzib i poczynała zawiązywać dawne stosunki,—handel odradzał się powoli. Powoli—powtarzamy, gdyż do szybszego rozwoju brakło mu jeszcze jednego z najważniejszych warunków: komunikacyi kolejowéj. Raptowny a olbrzymi przewrót w stosunkach handlowych zanotować możemy dopiero w r. 1873, w którym otwarto drogę żelazną z Konstantynopola do Płowdywa. Cały kraj zbliżył się naraz do wielkiego świata handlowego i wszystkie obroty na nowe weszły tory. Nieszczególna to była zresztą koléj. Możemy sobie wyobrazić, jak

z początku musiało jéj brakować zupełnie charakteru europejskiego, jeżeli w 10 lat prawie po jéj przeprowadzeniu (1882), naoczny świadek, K. Jireczek w następujących niezbyt jasnych opisuje ją barwach: „Nakoniec zabrzmiał dzwonek i pociąg ruszył. Był „mięszany“, pasażerów jechało niewielu. Na plancie i między szynami rośnie bujna trawa, pociąg wesoło kołysze się *idąc mniéj więcéj z szybkością fiakra wiedeńskiego*, podróżni w czasie biegu wygodnie odwiedzają się z wagonu do wagonu, a konduktorzy siedzą zzewnątrz na ławkach przechodzących pode drzwiami wagonów, machają zwieszonemi nogami i ćmią fajki. W nocy pociągi nie chodzą, bo podobno niema potrzeby. Podróżni, jadący z Tatar-Bazardżyku do Konstantynopola, nocują w Adryanopolu i w ten sposób są w drodze dwa dni i jedną noc. Jest to koléj żelazna całkiem rodzaju „gemüthlich“, która — jeżeli kiedyś w tę stronę zwrócą się obroty handlowe między Europą i Konstantynopolem — wielu będzie musiała podledz ulepszeniom i reformom.“

Walki ostatnich czasów, zakończone wojną rosyjsko-turecką wywarły znowu wpływ nader smutny na ruch handlowy w Rumelii, dzięki któremu w miastach rumelijskich do dziś straszna panuje stagnacya. Jireczek przewiduje, że usunąć by ją mogły spokój zupełny pod względem politycznym przez pewien dłuższy czas, oraz powiększenie liczby kolei żelaznych, a zwłaszcza wybudowanie linii kolejowéj, która wychodząc z Burgas i biegnąc wzdłuż całego południowego stoku Bałkanów, połączyłaby wszystkie miasta po drodze, jak Jamboli, Sliwno, Kazanłyk, Karłowo i Zlaticę ze stolicą księstwa— Sofią. „Budowa jéj — ciągnie daléj ten wyborny znawca stosunków miejscowych — nie znalazłaby żadnych zbyt wielkich przeszkód naturalnych, ponieważ przesmyki w łańcuchu wzgórz, łączącym Bałkany ze Średnią Górą, nie są niedostępne, ani nawet zbyt wysokie. Cały szereg miejscowości handlowych i urodzajnych, ciepłych krain przytyka do téj linii, nie mówiąc już o masie siły wodnéj w potokach, spływających gwałtownie z wąwozów bałkańskich, którą wyśmienicie można by zużytkować do rozmaitych zakładów przemysłowych. Projekt takiéj kolei został istotnie w r. 1879 przedstawiony władzy rumelijskiéj, lecz dla braku środków zostawiono go bez uwagi. Właśnie podczas mojéj podróży (1881 r.) austryackie towarzystwo kolei rządowych powzięło myśl przeprowadzenia kolei z Sistowy przez Bałkany i Starą Zagórę i połączenia w ten sposób sieci dróg rumuńskich z kolejami rumelijskiemi i z Konstantynopolem, i rozpoczęło nawet studya przedwstępne na gruncie. Ale projekt ten ma bardzo mało szans powodzenia, nie mówiąc już bowiem o olbrzymich przeszkodach w łańcuchu Bałkańskim, dla pokonania

których potrzebaby kilku długich tunelów i ogromnych mostów, trzeba wziąć pod uwagę Bułgarów z Księstwa, którzy nigdy nie zgodzą się na tego rodzaju linię tranzytową, ta bowiem—podług nich—byłaby nader korzystną dla Bukaresztu i Adryanopola, a szkodliwą prawie dla miast bułgarskich.“

Stagnacya w handlu wpływać musiała naturalnie i na upadek miast, które dotychczas z ran zadawanych przez ostatnią wojnę wyleczyć się nie mogą. Wszystkie one powstały za bardzo, bardzo dawnych czasów i przetwarzały się potém stopniowo w miarę zmian państwowych i narodowościowych, jakim półwysep Bałkański — dzięki swemu położeniu geograficznemu — podlegał dość często. Ztąd pochodzi niewątpliwie ten mięszany charakter miast rumelijskich, ta rozmaitość stylów w budowlach, ta dziwna gmatwanina orientalnéj fantastyczności z prostotą słowiańską, ta wreszcie barwność typów ludowych, gwar językowych i ubiorów narodowych, które na pierwszy rzut oka uderzają cudzoziemca przybyłego do Płowdywa, Kazanłyku, Staréj Zagóry lub Stanimaki. Zwłaszcza architektura rumelijska ma swą zupełnie oryginalną cechę. Samorodni budowniczowie macedońscy, którzy są razem cieślami i mularzami w jednéj osobie i którzy od niedawna uprawiają swe rzemiosło w całéj wschodniéj połowie półwyspu, stawiają po większéj części tylko domy parterowe i to dość pierwotnéj konstrukcyi. Zbudowawszy najprzód szkielet drewniany, wypełniają otwory między belkami cegłą paloną, lub—w gorszym przypadku—surową, a czasem po prostu gliną. Dach, pokryty dachówką, wystaje zawsze na dwie, trzy stopy nad obrębem ścian. Zewnątrz domy te malują się zwykle biało, żółto, a czasem pstro. Pra-wzorem domków tych są mieszkania „szwabskie“ w Banacie i ich naśladowania w Białogrodzie, gdzie je ci koczujący majstrowie w swych wędrówkach rzemieślniczych poznali i wystudyowali. Dzięki temu, budowy ich mają jakąś powierzchowność bardziéj współczesną, zwłaszcza co do rozkładu pokojów i co do rodzaju drzwi i okien. Dawniejsze domy po miastach, i tureckie, i chrześciańskie, zbudowane są z drzewa i cegły surowéj, lub po prostu gliny; na dole mają sień z dwiema izbami, na prawo i na lewo, a na górze, dokąd wstępuje się po ciasnych wschodach drewnianych, również taki sam przedsionek z pokojami po obu stronach. Pokryte są zazwyczaj dachami, nader daleko wystającemi i opatrzone wysokiemi kominami, odprowadzającemi dym z *odżaków*, t. j. otwartych ognisk kamiennych. Właściwością wszystkich domów miejskich, które były wystawione przed wojną, jest mnóstwo okien, jedno obok drugiego, zwłaszcza w narożnych pokojach na piętrze, tak, że mieszka się tu jak w latarni. Nie szkodziło to na-

wet Turkom, bo każdy dom otoczony jest do koła wysokiemi murami glinianemi, a nadto osłaniają go od nazbyt ciekawych oczów rozrosłe korony drzew ogrodowych, śliw, morw, moreli, drzew migdałowych itd. Pierwsze piętro regularnie na metr przynajmniéj wystaje z boków nad parterem, i to nawet w Płowdywie, i w domach chrześciańskich, które bez podwórz wprost występują na ulicę, jak nasze kamienice. Stropy domów starych, zwłaszcza tureckich, ozdobione są rozmaitemi rzeźbami w guście wschodnim, niekiedy bardzo artystycznemi i zajmującemi; zazwyczaj malowane są różnemi kolorami. Mebli wewnątrz jest bardzo mało: do około pokoju biegnie najczęściéj nizka sofa, okryta kobiercami lub kolorowemi materyami (mindere); do tego kilka stołeczków, które zwykle stoją po kątach, i szafy drewniane, umieszczone w ścianach (dulapi)—oto i wszystko. Nadto, w domach tureckich, męska i żeńska połowy (selamlik i haremlik) mają oddzielne wschody, a niekiedy umieszczane bywają w dwóch oddzielnych budowlach. Kuchnia mieści się prawie zawsze w osobnéj chałupce w podwórzu. Tego rodzaju wszakże starożytne budynki nikną powoli i znikną z czasem zupełnie, tak, jak znikły już w Serbii i Rumunii. Po ostatniéj wojnie, Rumelioci poczęli myśléć o wznoszeniu trwalszych i bezpieczniejszych mieszkań, jak poprzednie klitki z drzewa i gliny. To téż dziś dużo powstaje większych domów z cegły palonéj lub kamienia, odznaczających się daleko dogodniejszym rozkładem i architekturą, na wzór europejski, i zaopatrzonych należycie w meble i wszelkie potrzebne ruchomości. Rzecz prosta, że ten postęp w budownictwie przyczynia się znakomicie do nadania miastom rumelijskim cechy bardziéj cywilizowanéj, zachodnioeuropejskiéj.

Jednóm z najstarszych miast Rumelii Wschodniéj jest założony jeszcze przez Filipa Macedońskiego—*Filippopol*, dzisiejsza stolica kraju, zwana przez Turków *Felibe*, a u Słowian znana powszechnie pod imieniem *Płowdywa*. Rozrzucone bardzo uroczo na trzech wzgórzach wyniosłych, górujących nad równiną płowdywską, miasto to jest rzeczywiście prawdziwém *centrum* Rumelii Wschodniéj, podobnie jak Tyrnowo—księstwa Bułgarskiego. Do niego schodzą się wszystkie drogi krajowe (przecina je nawet wiodąca do Konstantynopola koléj żelazna), w niem skupia się całe życie polityczne, społeczne i handlowe. Płowdyw zasadniczo różni się od Sofii bułgarskiéj. O ile ta jest miastem z gruntu nowém, bajecznie szybko powstałém z gruzów dawnego „glinianego“ miasta tureckiego, ze wszystkiemi zaletami i wadami wielkich miast europejskich, o tyle stolica Rumelii Wschodniéj jest miastem poważném, historyczném, mającém za sobą długą przeszłość dziejową. Odpowiednia téż jest i jego

powierzchowność. Ulice—jak w starych miastach włoskich—wązkie, kręte, kryjące się pod balkonami i wyskokami domów. Po bruku ich, ułożonym z wielkich kamieni, ślizgich nawet poczas pięknéj pogody, ciężko wchodzić na rozmaite strome *tepe-ta* (wzgórza), na ktorych rozłożyło się miasto. Najwyższe wzgórze *Dżambas-tepe* (po tur. szczyt kuglarza) zajmuje arystokratyczna część miasta, zamieszkana przez Greków i Bułgarów z pięknemi, obszernemi domami i willami. Mniéj okazale przedstawia się wzgórze *Nebet-tepe*. Między oboma w głębi leży cyrkuł Ormian. Na południe, u stóp Szczytu Zegarowego (*Sahat-tepe*), mieszkają na równinie katolicy rumelijscy. Życie wszakże polityczne i handlowe koncentruje się głównie na północ od wzgórz tych nad rzeką Marycą. Tu znajdujemy długą *czarszię* (rynek) ze sklepami wszelkiego rodzaju, stary *bezestan* (bazar, podobny do włoskich *fondacco*) ze sklepionemi kramami i składami i z wielkiem w środku podwórzem, daléj nowo-założony ogród publiczny na starych cmentarzach tureckich, łaźnię turecką (*hamam*) przerobioną bardzo gustownie na gmach sejmowy, wreszcie nad samą rzeką niezbyt poważny i niezbyt czysty *konak* byłych paszów, przeznaczony na mieszkanie dla generał-gubernatora. Na rzece, szerokiéj dość i bystréj w tém miejscu, rzucony most drewniany wiedzie do rozłożonego po drugiéj stronie „Rylskiego“ cyrkułu (Karszjak), zamieszkanego przez najbiedniejszych. Z budowli miejskich odznacza się kilka pięknych meczetów, mianowicie *imaret-dżamisi* nad rzeką i wielki, kwadratowy *dżumaa-dżamisi* na rynku pod samym Szczytem Zegarowym, oba—wcale piękne pomniki architektury muzułmańskiéj. Kościoły chrześciańskie, jak wszędzie w krajach niedawno z pod władzy islamu wyrwanych, skromnie się kryją w zakątach miasta i niczém osobliwém się nie odznaczają. Prócz studzien i cystern Płowdyw nie ma innéj wody; w skutek tego po ulicach krąży mnóstwo woziwodów (*sakadżyjów*), którzy w skórzanych miechach, zawieszonych na koniu po obu stronach siodła, rozwożą wodę czerpaną z Marycy. Co się tycze ludności Płowdywa, to przeważną większością jest to miasto bułgarskie. Bułgarów jest dwa razy tyle co Turków. Grecy co do liczby trzecie zajmują miejsce, potém idą Żydzi, Ormianie, Cyganie—i wreszcie niewielka liczba osiadłych tu zdawna kupieckich rodzin francuzkich i włoskich. Na ulicach słychać najwięcéj język bułgarski, lecz także i grecki, ponieważ wszyscy prawie Bułgarzy mówią i po grecku.

Obok téj stolicy—Rumelia Wschodnia posiada jeszcze sporo innych miast, odznaczających się bądź handlem, bądź przemysłem, i przyczyniających się w ten sposób do ogólnego ekonomicznego bogactwa kraju. Najważniejsze z nich, które uważamy za stosowne

tu wymienić, leżą wszystkie prawie w jednéj linii w północnym pasie kraju na południowym stoku łańcucha Bałkanów. Powodem tego jest, że pas ten obejmuje w swoim obrębie najżyźniejsze i najbogatsze okolice, prawdziwą krainę mlekiem i miodem płynącą. Nic dziwnego, że ludność od najdawniejszych czasów garnęła się w te strony i że w skutek tego więcéj tu, niż gdzieindziéj powstało ognisk życia społecznego, które zowiemy miastami. Tutaj leży, ukryty w gajach o zwrotnikowéj prawie roślinności, *Kazanłyk*, słynny po całym świecie z czarującego położenia, oraz z hodowli róż na wielką skalę i z wyrobu olejku różanego. Nieco poniżéj napotykamy *Starą Zagórę* (dawniejsze nazwy: *Berrhoea* i *Boruj-Grad*; nowsze *Eski-Zagra*, *Żeleznik*, *Stara Zagora*), znaną z wyrobów jedwabnych, sukiennych, miedzianych, skórzanych, z hodowli i produkcyi słynnéj na całym Wschodzie pszenicy „zagarki“—i z nader ożywionego handlu wszystkiemi temi produktami; daléj *Śliwno*, słynne z silnie rozwiniętego przemysłu i ożywionych targów, *Karłowo*, *Kalofer*, *Jamboli*, *Tatar-Bazardżyk*, bardziéj południowe—*Czyrpan* i *Haskjöj*, i wreszcie sławny i bardzo ożywiony port *Burgas*. Z miast tych—Płowdyw, Bazardżyk, Haskjöj, Stara Zagora, Śliwno i Burgas są stolicami sześciu okręgów, na które podzielona jest Rumelia Wschodnia. Podług liczby mieszkańców główniejsze miasta grupują się w następujący sposób:

Płowdyw	35000	Czyrpan . . .	12000
Śliwno	22000	Kazanłyk . . .	10000
Stara Zagora	18000	Stanimaka . .	10000
Tatar-Bazardżyk . .	15000	Jamboli	10000
Haskjöj	12000	Burgas	4000 (1).

Dla uzupełnienia niniejszego wizerunku Rumelii Wschodniéj, wypada nam słów parę powiedzieć o jéj rozwoju intelektualnym, ten zaś obejmuje—prócz szkolnictwa, o którém już mówiliśmy,—powstawanie drukarni, bibliotek, księgarni, towarzystw naukowych, stan czasopiśmiennictwa, oraz ruch literacki. Rozpatrując te kwestye, dopełniać musimy szczupłe nader wiadomości, które podaje Jireczek, szczegółami zaczerpniętemi z sumiennego artykułu Aleks. Teodorowa p. t. *Charakter działalności literackiéj oswobodzonéj Bulgaryi*, zamieszczonego w zeszytach 6 m i 7-m *Sbornika Slovenskiego* za rok 1883. Jak słusznie zaznacza p. Teodorow, odrodzenie narodu buł-

(1) Cyfry powyższe zaczerpnęliśmy ze wspomnianego już wyżéj dziełka ks. Hołubowicza, wydanego w roku 1885, a więc późniéj od rozprawki Jireczka, który téż podaje znacznie mniejsze liczby.

garskiego w pierwszych latach, prawie aż do końca pierwszéj połowy bieżącego stulecia, szło wyłącznie drogą polepszenia i rozwoju szkół bułgarskich. Szkolnictwo było pierwszym zarodkiem późniejszéj działalności na polu swobody, ono to właściwie przygotowało lud bułgarski do życia samodzielnego i po oswobodzeniu zabespieczyło od *fiasca* na arenie publicznéj, *fiasca* bardzo możliwego i przez wielu z całą pewnością oczekiwanego. Z chwilą oswobodzenia narodu bułgarskiego, tj. z chwilą utworzenia Księstwa i „autonomii," jak lud zwie Rumelią Wschodnią, a nawet wcześniéj, bo z chwilą przejścia przez Dunaj wojsk rosyjskich, w pomoc szkolnictwu przyszło dziennikarstwo i przejęło na siebie znaczną część owego zadania wychowawczego, które dawniéj całém brzemieniem ciążyło na szkołach. Obok podręczników szkolnych i książek dla ludu, poczęto ogólnie interesować się czasopismami, szukać w nich ziarna zdrowéj oświaty, dzięki czemu dziennikarstwo pozyskało rolę kierowniczą w całym ruchu narodowym. W księstwie bułgarskiém wszakże literatura dziennikarska straciła wkrótce cały kredyt, skutkiem wybitnie indywidualnych tendencyi i stronniczych dążności pism, znajdujących ujście w ciągłych, namiętnych, a do niczego nie prowadzących polemikach. Inaczéj było w Rumelii Wschodniéj. Tu dziennikarstwo zachowało, przez cały czas istnienia aż do dzisiaj, należytą miarę objektywnéj rozwagi i bezstronności, starało się być wyrazem opinii całego ogółu, a nie téj lub owéj partyi, i nie wdając się w próżne i bezcelowe polemiki, miało więcéj miejsca i czasu na pomieszczanie artykułów, mających na oku wysoce patryotyczny cel kształcenia i rozwijania niższych, najliczniejszych klas społeczeństwa, oraz na zbogacenie literatury narodowéj wieloma drukowanemi w felietonach literackich znakomitemi utworami, tak oryginalnemi, jak i tłómaczonemi. A więc, w szpaltach wspomnianéj przez nas wyżéj płowdywskiéj *Marycy* ukazały się w ciągu lat 1878—1883: nader poważne uwagi historyczno-polityczne A. Canowa p. t. „Bułgarya w kwestyi wschodniéj;" daléj, znaczące „Listy Bułgara rumelijskiego," w których nieznany autor (J. E. Geszow?) udziela rozumnie-patryotycznych rad kierownikom dążności narodowych po traktacie berlińskim; zajmujący opis „Walka pod Bracigowem" z czasów powstania r. 1876 przez A. Miszewa; historya „Księstwa Bułgarskiego" dra K. Jireczka, oraz podróżne jego szkice p. t. „Z Rumelii Wschodniéj"—i cały szereg utworów beletrystycznych oryginalnych i tłómaczonych. Nie mniéj sumiennie spełniały swoje zadanie: drugi dziennik płowdywski „*Głos narodu*," wychodzący w Śliwnie czasopisma „*Doradca*" (Sъwietnik) i „*Sztandar Bułgarski*," a zwłaszcza czasopisma naukowe, jak „*Red*" (Porządek) i „*Nauka*," wychodzące

w Płowdywie. Ostatnia jest organem założonego w r. 1879 przez narodowców bułgarskich „Towarzystwa przyjaciół nauk“ (*Uczenoljubivo drużestvo*), mającego na celu szerzenie oświaty słowem i czynem śród Bułgarów rumelijskich. Rumelijska dyrekcya oświecenia publicznego, w skutek starań towarzystwa, zatwierdziła wydawnictwo miesięcznika pedagogicznego „dla szkoły i domu,“ sejm uchwalił subsydyum—i od kwietnia 1881 r. poczęło wychodzić w Płowdywie czasopismo „Nauka,“ które już w samych początkach swego istnienia doczekało się drugiego wydania pierwszych swoich zeszytów w ilości 2000 egzemplarzy. Mieszając umiejętnie rzeczy lżejsze z poważniejszemi i urozmaicając treść naukową, składającą się z artykułów historycznych, geograficznych, prawnych, społecznych i ekonomicznych, nowelą, poezyą i powieścią, redakcya „Nauki“ potrafiła zgromadzić około siebie zastęp najdzielniejszych miejscowych pracowników pióra, jak J. Wazow (poeta i nowelista), S. Bobczew i K. Weliczkow (powieściopisarze), P. Slawejkow (historyk i geograf), K. Mirski (prawnik), J. Karłowski i A. Naczew (ekonomiści) i inni.

Prócz czasopism bułgarskich wychodzi też w Rumelii Wschodniéj dziennik w języku greckim p. t. Φιλιππούπολις, odznaczający się bezustanną polemiką z dziennikami bułgarskiemi i namiętnemi napaściami na rząd rumelijski.

Co się tycze literatury książkowéj w Rumelii Wschodniéj, to prawie dwie trzecie najnowszego katalogu bibliograficznego zajmują książki szkolne i podręczniki naukowe. Jest to tylko oznaka téj przewagi szkolnictwa i nieustającego jego wpływu, o których wspomnieliśmy powyżéj. Znaczną część tego piśmiennictwa naukowego stanowią rzeczy tłómaczone (przeważnie z czeskiego), moglibyśmy wszakże wyliczyć i dość sporą liczbę dzieł oryginalnych, mających swoję stosunkowo wielką wartość. Beletrystyka bułgarska zdolniejszych ma wprawdzie pracowników w Rumelii Wschodniéj, jak w Księstwie, i tam wszakże, i tu nie ma żadnego ogólnego kierunku, żadnéj szkoły: są tylko oddzielni autorowie, piszący rzeczy dobre lub niezłe, lecz nie umiejący porwać za sobą, natchnąć naśladowców i następców i utrzymać w ten sposób pewną ciągłość idei. Że smutny ten objaw jest poczęści wynikiem postanowionego przez kongres Berliński podziału ziem bułgarskich na Księstwo i Prowincyą autonomiczną, o tém ani na chwilę wątpić nie można. Rozdarty na dwie połowy, naród bułgarski uczuł pewną chwiejność na punkcie swych ideałów, potworzyły się patryotyzmy lokalne, miejscowe pojęcia, wyobrażenia i tendencye polityczne. Zabrakło duchowego punktu ciężkości dla całego narodu, zerwała się nić tradycyi—i bułgarska literatura nadobna znalazła się, jak łódź bez żagla i wiosła

na wzburzoném morzu najsprzeczniejszych pojęć i dążności. To—łatwo pojąć—osłabia ją i nie dozwala zakwitnąć należycie.

Co się tycze beletrystów-prozaików, to zgromadzili się oni przeważnie koło płowdywskiéj „*Nauki.*“ Za prawdziwie zdolnych i obiecujących uznać można wszakże tylko nowelistę i poetę J. Wazowa, oraz powieściopisarza S. Bobczewa. Znacznie słabsze są już powieści K. Weliczkowa, J. Blъskow zaś i autor, znany pod pseudonimem X. Z., nędzne tylko klecą ramoty. Szczęśliwiéj od prozy rozwija się w Rumelii poezya. Wprawdzie jedynym dobrym jéj przedstawicielem jest wspomniany już autor nowel J. Wazow, lecz za to jest to poeta prawdziwy, który za wielu starczyć może i który pięknemi utworami swemi chlubnie zaciera wrażenie niesmaku, pozostałe po różnych „płaczach“ i „odach“ (S. Kesjakowa), „lirach“ (M. Stefanowicza), i „wierszach“ (T. Aleksijewa). Pierwszym utworem J. Wazowa, który odrazu dał poznać rodakom potęgę talentu nowego autora, był pełny siły i gorącego uczucia cykl poezyi p. t. „Oswobodzeni“ (1877). Po tych wojennych strofach nastąpiły: rozkoszna idylla bułgarska p. t. „Vidul“ (1879), poemat humorystyczny p. t „Gromada“ (1880) i cykl poezyi miłosnych p. t. „Równianka kwietniowa.“ W utworach tych znać stopniowy rozwój ducha poety, lecz zarazem uderza jakaś niepewność, wahanie co do kierunku. Pewnie silnie stanął J. Wazow dopiero w wydanym 1881 r. zbiorku poezyi: „Gęśla.“ Ustęp z niego p. t. *Epopeja zapomnianych* dowodzi zupełnéj dojrzałości ducha poety i świadczy o wielkiéj oryginalności jego pomysłów. Poezya dramatyczna tak w Księstwie, jak i w Rumelii do niemowlęcia dziś jeszcze powijakach w podobna i—co gorsza—żadnych nadziei nie daje na przyszłość.

Z postępem literatury rozwija się zwykle drukarstwo i księgarstwo. Daje się to sprawdzić i na półwyspie Bałkańskim. Piśmiennictwo wyżéj stoi w Rumelii, jak w Księstwie; to też Rumelia więcéj ma drukarni (4 w Płowdywie i jedna w Śliwnie), niż Księstwo, i księgarstwo bułgarskie ma swoje główne ognisko nie w Sofii lub Tyrnowie, lecz w Płowdywie (firmy Danow i Manczow).

Oto są główne dane co do niewielkiego kraiku, utworzonego przez traktat Berliński, a dnia 16 września r. b. przyłączonego do księstwa Bułgarskiego. Nie wdając się w polityczne prognostyki, jak się zakończy cała ta sensacyjna historya w świecie dyplomatycznym, chcemy tylko—reasumując to wszystko, cośmy dotąd powiedzieli—wyprowadzić ogólne wnioski, co do konieczności takiéj unii prędzéj czy późniéj.

Na wiosnę r. 1879 wszyscy politycy europejscy i czytelnicy gazet mocno byli zaciekawieni, jak też rozpocznie swoje istnienie nowoutworzona „Roumélie Orientale“ i jakie z początków tych wyprowadzić będzie można przypuszczenia o przyszłości tego utworu gabinetowego, ukształtowanego zdala od Bałkanów i Marycy i nie mającego na gruncie żadnych antecedencyi i żadnéj podstawy przyrodzonéj. Oczekiwano z niedowierzaniem—i zadziwiono się: początki były bardzo obiecujące. Wrzenie duchów, które poprzedziło przybycie namiestnika, zwolna ucichło, a sejm prowincyi na pierwszych swych posiedzeniach dał dowody niespodziewanego taktu politycznego i zdrowego rozsądku. Nowe instytucye podług statutu organicznego nadzwyczaj prędko się zakorzeniły i niebywały ład i spokój zapanował w prowincyi autonomicznéj. Rząd rumelijski zajął się gorliwie wygajaniem ran, które kraina odniosła w poprzednich latach burzliwych. Ludność—zdało się—ucichła i zgodziła się ze swym losem. Ten spokój pozorny złudził Europę—i wkrótce przestano mówić o Rumelii Wschodniéj z takiém specyalném zainteresowaniem, jak w pierwszych chwilach. Baczniejsi jednak obserwatorowie, a zwłaszcza ci, którzy na miejscu badali stosunki rumelijskie, widzieli dobrze, że przyczyny, które w początkach kazały obawiać się o długowieczność nowo-utworzonego kraju, wcale nie zostały usunięte z biegiem czasu. Przeciwnie, istniały one wszystkie, tylko że jedne utaiły się i przycichły, jakby zbierając siły do tém silniejszego naraz wybuchu, do drugich zaś przyzwyczajono się powoli i przestano uważać je za groźne. Przyczyn tych było wiele. Najprzód, idea historyczna połączonéj Bułgaryi rozpłomieniała stale umysły patryotów bułgarskich tak w Księstwie, jak i w prowincyi autonomicznéj, i budziła i ożywiała coraz nowe projekta zjednoczenia tymczasem choćby tylko autonomicznéj Rumelii z Księstwem. To też publicyści zachodnio-europejscy domyślali się przez czas długi, że Bułgarzy rumelijscy chcą nagle zadziwić Europę jakiémś nieoczekiwaném *fait accompli*, mianowicie nagłym pronunciamentem i powstaniem, co tém łacniéj mogło nastąpić, że wojsk tureckich w prowincyi autonomicznéj nie było. Jako przygotowanie do tego służyć miały owe towarzystwa gimnastyczne, utworzone za czasów okupacyi rosyjskiéj, które i za Wogoridi'ego nie zaprzestały swych ćwiczeń. Gdy wszakże położenie rzeczy się ustaliło, towarzystwa te zeszły zupełnie na dalszy plan, a skoro Porta kategorycznie żądała ich zniesienia, urzędownie zamienione zostały w rezerwę milicyi prowincyonalnéj. Zapomniano o nich—a razem zapomniano i o idei zjednoczonéj Bułgaryi. Ta jednak istniała, a nawet więcéj jeszcze nabrała siły, gdy na mocy obliczeń statystycznych przekonano się o ogromnéj przewadze żywiołu

bułgarskiego w Rumelii Wschodniéj. Pod jéj téż hasłem i opieką odbył się przewrót ostatni.

Drugą przyczyną, która przewrót taki wywołać musiała nieodzownie prędzéj czy późniéj, była ciągła obawa mieszkańców prowincyi, aby sułtan nie zechciał wprowadzić w wykonanie przysługującego mu prawa co do osadzania garnizonów tureckich w pogranicznych fortecach lądowych i morskich. Obywatele rumelijscy, zwłaszcza w miejscowościach, które były świadkami okrucieństw wojennych w latach 1876 i 1877, powrotu garnizonów tureckich wyobrazić sobie nie umieli inaczéj, jak w towarzystwie wszystkich znanych im z bolesnego doświadczenia okrucieństw i nadużyć. Myśl o przyjściu załog tureckich związana była z myślą o powszechnéj rewolucyi Turków rumelijskich i o nowéj rzezi ogólnéj. Tymczasem Porta, podbudzana jeszcze głosami rozmaitych urzędowych i półurzędowych dzienników europejskich nosiła się ciągle z myślą skorzystania z tego swego prawa i w ten sposób utrzymywała Rumeliotów w ciągłym niepokoju, aż ten wreszcie sprzykrzył się im ostatecznie. Przyłączyli się do Bułgaryi, woląc raz przejść walkę na życie i śmierć, aniżeli w ciągłéj żyć niepewności.

Przyczyny te istniały ciągle i unią wywołać musiały. To, co się stało, nie było faktem nieprzewidzianym. Przeciwnie dawno go już oczekiwać należało. Już w r. 1882 pisał to Jireczek: „Czy Rumelia Wschodnia ma przyszłość? Gdyby była wyspą na morzu lub przynajmniéj półwyspem, istnienie jéj i rozwój były zabezpieczone na czas dłuższy, ale ona jest prowincyą czysto lądową, otoczoną dokoła sąsiadami, którzy jéj nie życzą długiego życia. Bułgarzy myślą o przyłączeniu jéj do Księstwa, Turcy o usunięciu autonomii i przemianie uprzywilejowanéj prowincyi w zwykły wilajet. Kwestya garnizonów tureckich ze wszystkiemi następstwami wisi bezustannie w powietrzu jak chmura piorunowa. Bądź co bądź, wiecznotrwałość nie jest przeznaczona Rumelii Wschodniéj; rzecz to w historyi ludzkości dowiedziona, że wszystkie „teoretyczne“ utwory polityczne z „naukowemi“ granicami, wyznaczonemi naprzód na mapach, a potém dopiero na gruncie, mogą być tylko środkiem chwilowym, lecz że narody z czasem, niekiedy po kilku pokoleniach, znajdą zawsze odpowiednią chwilę i przeprowadzą same to, co dla nich jest odpowiedniém.“

Zenon Przesmycki.

SCHILLER W POLSCE.(*)

„Przez wszystkie dzieła Schillera przebija się idea wolności, a ta idea przybierała inną formę równocześnie z postępem ukształcenia Schillera i w miarę, jak on sam stawał się innym“—temi słowy określił Goethe w słynnych swych rozmowach z Eckermannem (1) cechę główną, wybitniejącą we wszystkich dziełach autora „Tella.“ Ta charakterystyczna cecha Schillera jest walną przyczyną jego większéj popularności niż Goethego w Polsce. Goethe nigdy nie był u nas popularnym — i jakże to mogło być? Problemata, które umysł Goethego zajmowały, były ogólno ludzkiéj natury, interesowały niewielu, a z wyjątkiem „*Werthera*“ i „*Götza*“, nawet w Niemczech nie cieszyły się ogólną popularnością. Schiller przeciwnie—ideałom, które w młodości uwielbiał, wiernym pozostał aż do śmierci. Przez wszystkie jego dzieła przebija się duch wolności, ów większym umysłom właściwy popęd do rewolucyi, owo targanie więzów, które prawo narzuciło ludziom: w tym sensie był Schiller najwierniejszym uczniem Roussa, który i na Goethego wpływ wywarł ogromny, Goethe potrafił jednakowoż tendencye okresu „Burzy i zapasów“ zrzucić z siebie, Schiller hołdował niemal wszędzie tendencyom okresu, który spłodził „Zbójców“, „Götza“ i „Werthera“, który wywołał na świat takie dziwolągi, jak Klingera dramat „Sturm und Drang“ i Lenza „Die Soldaten.“ Pomimo znacznego postępu i późniejszego spokoju nie trudnoby było wykazać nieprzerwaną nić, ciągnącą się przez wszystkie dzieła Schillera. Owego klasycznego spokoju, który

(*) Praca obecna, któréj przekład na język niemiecki w krótkim czasie wyjdzie z druku, jest częścią obszernego dzieła, nad którém autor pracuje.

(1) Gespräche mit Eckermann. I, 305.

nadaje dojrzałość umysłu, a który u Goethego podziwiamy, Schiller nigdy nie posiadał. W listach swoich spowiada on się kilkakrotnie ze swéj niebiegłości w językach klasycznych. Starożytną literaturę poznawał głównie za pomocą tłómaczeń. Za tém wyznaniem przemawia także cała jego działalność. Goethe mógł powiedzieć, że w elegiach Propercyusz go natchnął, Goethe stworzył „Hermana i Dorotę“, gdzie wpływ starożytnych jest widoczny. Schiller epopei nie przedstawił, a wpływ klasyków starożytnych jest u niego bardzo mały. Być może, iż z biegiem czasu zaprawiłby się na literaturze klasycznéj do napisania poematu epicznego, lecz troski o życie, walka o byt doczesny, wątłe zdrowie nie pozwoliły mu iść torem, na którym Goethe osiągnął największą sławę.

Łatwo zrozumiéć, że Goethe-klasyk nie potrafił zjednać sobie u nas tylu zapalonych zwolenników, co Schiller-idealista. Ten ostatni był u nas długi czas uważany za pierwszego poetę niemieckiego, któremu Goethe nie zdołał odebrać berła pierwszeństwa. Jeszcze w r. 1841 pisze A. Bielowski w życiorysie Schillera, poprzedzającym poezye: „Mimo tak wielu, tak znakomitych pisarzów, jakimi Niemce w końcu zeszłego wieku zajaśniały, mimo przeważnych a wielostronnych zalet Goethego, jest Schiller największym piewcą i jedynym wyobrazicielem swego narodu. W jego żywocie z większości narodu wywiniętym, w jego serdecznéj, ludzkość ogarniającéj piersi głębiéj i wierniéj przeglądnąć można wiek i naród, niżeli w dostojnéj, zimno za umniczemi przedmiotami goniącéj, plastycznéj duszy Goethego.“ Powyższe *credo*, które Bielowski wypowiedział, po dziś dzień pozostało nie wiele zmodyfikowane, gdyż prawie każdy z nas Schillera wyżéj stawia niż Goethego.

Dzisiaj, dokonane w 80-tą rocznicę zupełne wydanie dzieł wielkiego mistrza w języku polskim pod redakcyą prof. Al. Zippera (Lwów, nakład Altenberga, 1885, 2 tomy, z illustracyami), daje nam sposobność do pomówienia szczegółowego o przyjęciu utworów jego przez poetów i inteligencyą polską wogóle.

I. *Wpływ Schillera-liryka na Mickiewicza, Brodzińskiego i Korsaka.*

Jest-to zjawiskiem fenomenalném, iż wpływ literatury niemieckiéj u nas zamanifestował się w odmiennym porządku, niż w innych literaturach europejskich. Kiedy „Werther“ i „Götz“ niemal wszędzie wywołał całe legiony naśladowań, kiedy te dwa pomniki okresu „Burzy i zapasów“, pobudziły największych poetów do napisania utworów oryginalnych („Götz“ zostawił widoczne ślady u Walter-

Skotta (1), „Wertherowi" zawdzięczają swe życie „Ostatnie listy Jakóba Ortisa," włoskiego poety Ugona Foscolo (2), u nas tylko „Werther" zostawił nieznaczne ślady w „Dziadach"; inne dzieła Goethego przeszły z wyjątkiem balad prawie bez wpływu. Balady Goethego i Schillera najwięcéj były czytane i tłómaczone i nie pozostały bez wpływu na literaturę. Schiller, którego główna działalność leży w dramacie, nie mógł wywrzéć wpływu, gdyż z wyjątkiem Słowackiego, który nosi znamiona Byrona prawie wyłącznie, nie wielu mieliśmy dramatyków. Balady jednak nie pozostały bez wpływu, liczne przekłady—a te są u narodu, którego ogół nie mówi po niemiecku dokładnemi wskazówkami poszczególnych wpływów — ukazywały się od r. 1816 rok rocznie.

Romantycy przylgnęli całém sercem do tych nowych wzorów, różniących się, jak niebo a ziemia, od bladéj literatury pseudoklasycznéj francuskiéj. Na czele stoi Mickiewicz, on sam tłómaczy rękawiczkę" Schillera, jakotéż „Amalię" wciela do swych „Dziadów." Niewiadomo nam dotychczas, ile Mickiewicz Schillerowi zawdzięcza. Tretiak, mówiąc o wpływie Schillera, powiada: „Mickiewicz jak wogóle w poezyi swojéj tak i w balladach, bliższy jest duchem Schillerowi niż Goethemu.... Podobnie jak u Schillera, tak i u Mickiewicza we wszystkich jego pierwszych balladach prześwieca, jak widzieliśmy, nie mądrość praktyczna, która nieraz tryska żywym zdrojem z poezyi Goethego, ale wyższa idea moralna." (Mickiewicz w Wilnie i Kownie. II, 125). Zdanie to niczém nieuzasadnione, bo cóż powiedzieć o „Dzwonie", o „Różnicy płci" Schillera, gdzie wszędzie widać oko filozofa i to filozofa praktycznego. Nawet balady stoją w związku z wykształceniem filozoficznem Schillera. Jeżeli kto, to Schiller znał filozofią i jéj praktyczne cele, idealistą tak bezwzględnym, jakim go chce miéć Tretiak, *nigdy* nie był (3). Przeciwnie, u Goethego widoczna wszędzie owa „idea moralna", jak w „Fauście", typie niezadowolonego uczonego, w „Torkwacie Tassie", gdzie tendencya jasno się przebija: kontrast poety a dyplomaty, w „Werterze" potęga miłości i szamotanie się ducha, uwięzionego w kajdany pod wpływem Roussa (4). Pomimo owego wielkiego podobieństwa między Mickiewiczem a Schillerem, nie wykazał p. Tretiak ani na jedném miejscu wpływu Schillera, gdy przeciwnie udało mu się wynaleść niektóre podobne sytuacye w baladach Goethego i Mickiewicza.

---

(1) Por. Brandla: Die Aufnahme von Goethes Jugendwerken in England w Goethe-Jahrbuch. III, 59. — (2) Por. Appel: Werther und seine Zeit. str. 28. — (3) Por. Überwega: „Schiller als Historiker und Philosoph" i Kuno Fischer: „Schiller als Philosoph."— (4) Por. Ericha Schmidta: „Richardson, Rousseau und Goethe."

W baladach wpływ już dlatego jest bardzo mały, że większa część balad Mickiewicza zaczerpnięta jest z poezyi gminnéj, mógł wprawdzie Mickiewicz użyć niejednego motywu zkądinąd, z Schillera prawie nigdzie nie zaczerpnął. Jeżeli mój domysł jest prawdziwy, to widocznym jest wpływ Schillera tylko w jednéj baladzie, ale i tutaj geniusz Mickiewicza utorował sobie sam drogę nawet tam, gdzie cudze motywa do poezyi swéj przyjmuje, wytłacza wszędzie cechę swéj olbrzymiéj osobistości. Wiemy z listów Mickiewicza, z jakim zapałem chciał dopiąć owéj doskonałości, którą podziwiał u Schillera. Odgłos głębokiego wrażenia balady „Żale dziewczyny“ znajduję w „Rybce“, gdzie motywa są zaczerpnięte z podań ludowych, sytuacya jednak wielce przypomina Schillera znaną baladę, zaczynającą się od słów:

„Der Eichwald brauset, die Wolken ziehn,
Das Mägdlein sitzet an Ufers Grün;
Es bricht sich die Welle mit Macht, mit Macht,
Und sie seufzt hinaus in die finstre Nacht,
Das Auge vom Weinen getrübet.“

Tak samo zaczyna się „Rybka“, gdzie dziewica skarży się na niewierność kochanka, u Schillera błaga dziewczyna o pomoc N. Panny i pomimo to są pewne reminiscencye:

„Od dworu, z pod lasu, z wioski,
Smutna wybiega dziewica,
Rozpuściła na wiatr włoski,
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka:
Załamuje białe rączki,
I tak żałośnie narzeka.“

Jeżeli Mickiewicz zdradza tu i owdzie wpływ Schillera, to daleko więcéj winien jest Bürgerowi: ponure sceny na cmentarzach, tajemnicze zjawiska duchów, koloryt ponury, dykcya urywana jest w „Ucieczce“ tak widoczną, że nie waham się powiedzieć, iż Mickiewicz tutaj korzystał z „Lenory“ Bürgera. W „Sonetach“ panuje Petrarca, to wiemy, jednak atmosfera, w któréj się niektóre sonety znajdują, tchnie duchem początkowych, bombastycznych poezyi Schillera. Znany sonet (I, str. 145, Paryż 1861):

„Wtenczas serca porywa słodkie zachwycenie,
Usta się spotykają, oko ginie w oku,
Łza ze łzą i z westchnieniem miesza się westchnienie...“

jest bez wątpienia pod wpływem reminiscencyi Schillera „Amalii“, który to wiersz Mickiewicz przełożył, napisany, jak niemniéj innego wiersza z téj saméj epoki pochodzącego; już słowo „Zachwycenie“ daje do myślenia, bo taki jest tytuł Schillera poematu: „Zachwycenie do Laury“; oprócz tego obrazy i myśli niektóre są te same: „usta się

spotykają", myśl z Schillera: „Usta, lica łączą się, drżą, palą" ; w tłómaczeniu Mickiewicza; „oko ginie w oku" przypomina Schillerowskie „dusza wionie w duszę", obraz wzięty z „Zachwycenia": „gdy mój obraz wpłynąwszy w słodkie oko twoje." Co oprócz tego Mickiewicz w ogólności winien Schillerowi, jest z pewnością dość wiele; nie da się to jednak z pewną dokładnością oznaczyć. Mianowicie poezye liryczne Schillera: jego patos, niezwykłe, entuzyastyczne opiewanie wolności nie mało przyczyniły się do ślicznych wylewów gorącego serca poety, które podziwiamy w „Dziadach." Scherer mówiąc o poetyckich płodach młodego Schillera, podnosi właśnie owego ducha rewolucyjnego, który powstał z kontrastu między rzeczywistością a ideałem poety: „Wzniosłe rzeczy starał się odmalować w obrazach olbrzymich. Lecz ciemny pesymizm zatrzymał go w więzach. Pragnienia serca jego stawiały opór prawom obowiązku. „I ja w Arkadyi urodzon —woła on—lecz tylko łzy dała mi krótka moja wiosna." Życia maj przekwitł; on nic nie doznał z szczęśliwości" (1). Prawie dosłownie dałoby się to samo o Mickiewiczu powiedzieć, i w jego duszy powstała przepaść wskutek smutnéj rzeczywistości w porównaniu z pragnieniami i dążeniem poety. Wyższość duchowa podyktowała mu słowa, które świadczą o wewnętrznych zapasach poety: „Depcę was, wszyscy poeci,—wszyscy mędrce i proroki, —których wielbił świat szeroki."

Jeżeli zaś poeta wyobraża się jak istota lotna, która skrzydłami wzbija się pod niebiosa, to obok wpływu „Werthera" widoczną jest także reminiscencya z Schillera:

„Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra...
Potrzeba mi lotu!
Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
Tam dojdę, gdzie graniczą stwórca i natura.
I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje;
Wystarczą: od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewém o przeszłość, prawém o przyszłość uderzę,
I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!
I zajrzę w uczucia Twoje.
O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie!
Jam tu, jam przybył; widzisz, jaka ma potęga:
Aż tu moje skrzydło sięga."

Nie ulega wątpliwości, że entuzyastyczne wołanie i opiewanie wolności, wzbijanie się do sfer, w których ograniczoność człowieka ustaje, żywiło się czytaniem Schillera „Tęsknoty", gdzie poeta swoje cele wypowiada grzmiącemi słowy:

---

(1) W. Scherer: Gesch. der Deutschen Litteratur. 582.

„Ach! żeby to z téj doliny,
Którą zimna tłoczy mgła,
W inne dostać się krainy,
Jakże pierśby tchnęła ta!

Wciąż zielone i wciąż świeże
Widzę pasma pięknych wzgórz;
Żeby skrzydło, żeby pierze!
Do tych wzgórz—bym leciał już.“

Obadwa te poematy mają wspólne źródło w „Wertherze,“ gdzie panteistycznym zapatrywaniom swoim Goethe daje wyraz w liście z 18 sierpnia.

Młodego Mickiewicza dykcya zbliża się więcéj do patosu Schillera niż do plastycznéj, jędrnéj mowy Goethego; Goethe nawet w młodości nie bujał w tak wysokich sferach uniesienia, jak Schiller.

Stąd téż wpływ na innych naszych poetów stosuje się do ich indywidualnych cech umysłowych i rodzaju temperamentu. Brodziński wysoko cenił Schillera, nigdy jednak nie zdradza wpływu *młodego* Schillera, widać natomiast ślady jego poezyi z czasów, gdzie młodociane tegoż zapędy nieco ostygły i ustąpiły miejsca rozważnéj refleksyi. Poemat Brodzińskiego „Piękne sztuki“ (1), gdzie występują alegoryczne postacie: poezya, muzyka, malarstwo, taniec, dramaturgia, krytyka, jest bez wątpienia pod wpływem Schillera „Die Huldigung der Künste“, a „Radość“ (2) jest naśladowaniem pięknego poematu z drugiego okresu „An die Freude“ napisany.

Z nieco późniejszych czasów okazuje Julian Korsak widoczne ślady głębokiego przejęcia się Schillerem. On sam przetłómaczył z Schillera „Oczekiwanie“ i „Nadzieję.“ Ze zbioru jego poezyi, które dzisiaj już są prawie zapomniane, wszędzie przebija się skrzętne i pilne krzątanie około nowszéj literatury niemieckiéj i angielskiéj. Zbiór ten nosi tytuł. „Nowy Parnas Polski, zawierający poezye Adama Mickiewicza, Edwarda Odyńca, Juliana Korsaka, Aleksandra Chodźki, Antoniego Goreckiego i Massalskiego“; oddział trzeci: „Poezye Juliana Korsaka i Aleksandra Chodźki. W Poznaniu. Nakładem nowéj księgarni J. A. Munka, 1833.“ — Poezye, tu umieszczone, noszą niekiedy dopisek, że są naśladowaniem z Schillera, jak „Różnica płci“ i „Do wieczności.“ Obok tego ostrzeżenia, łatwo wykazać i w innych wpływ Schillera, tak np. w wierszu „Muzyka“, przy opisie bitwy, Korsak miał w pamięci wiersz Schillera „Die Schlacht“, który, jak wiadomo, zaczyna się słowy:

„Schwer und dumpfig,
Eine Wetterwolke,
Durch die grüne Eb'ne schwankt der Marsch.
Zum wilden eisernen Würfelspiel
Streckt sich unabsehlich das Gefilde,
Blicke kriechen niederwärts,

---

(1) Pisma K. Brodzińskiego I, 69. — (2) Tamże I, 78.

An die Rippen pocht das Männerherz.
Vorüber an hohlen Todtengesichtern
Niederjagt die Front der Major
Halt!
Und Regimenter fesselt das starre Kommando,
Lautlos steht die Front.

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że ten ustęp dał pochop Korsakowi do napisania zwrotki o wpływie i znaczeniu muzyki w bitwie:

„Ty jeszcze budzisz w nas czasem
Żądze wojny, żądze chwały,
Patrz na te szerokie błonia
Najeżone włóczni lasem!
Wojennego miecza szczęki,
I wojennéj trąby dźwięki
Budzą echa po dąbrowach,
Patrz! jak wiatrem potoczone
Płyną fale szeregami,
Po dolinach, po parowach
Wyciągnięte linijami,
Płyną tłumy uzbrojone."

Motyw, który następuje po tym opisie szyków wojskowych, rozkaz hetmana, którego słowo rządzi wszechwładnie nad wojskiem, jest Schillerowski:

Spieszą, śpieszą na plac boju,
Już zaczernił pył ich czoła;
A na czole kropla znoju
Jakby kropla rosy świeci;
W tém głos wodza stój! zawoła,
I stanęli jakby wryci.

Po okresie romantycznym, który najpiękniejsze płody pod wpływem różnorodnych kombinacyi spowodował, ustaje zapał do literatury niemieckiéj, nowsi zwłaszcza poeci albo nic albo bardzo mało zawdzięczają Schillerowi. Naszego krótkiego przeglądu wpływu Schillera w literaturze naszéj nie możemy inaczéj zakończyć, jak gorącém życzeniem, by nietylko Byron i Heine, ale w większym stopniu Goethe i Schiller u nas zamieszkali i ażeby ich olbrzymia czynność nie była dla nas zupełnie straconą!

II. *Schiller na scenie i w dramacie polskim.*

Wpływ wielkich dramaturgów manifestuje się nietylko przekładami na obce języki, lecz także o wiele więcéj przedstawieniami na scenie. Chciałbym tutaj krótkiém zestawieniem repertoaru sztuk Schillera osiągnąć rezultat, który na innéj drodze bardzo trudno można otrzymać. Nawet z pobieżnego przeglądu poznać łatwo, iż Schiller cieszył się u nas daleko większą sympatyą na scenie niż Goethe. Ten ostatni z desek teatralnych prawie nam nie znany, dziwić się temu nie będziemy, jeżeli zważymy tę okoliczność, iż z wyjątkiem mniejszych utworów scenicznych Goethe nawet w Niemczech długi czas nie był wystawionym. Pierwsza część „Fausta" była za życia

Goethego zaledwie kilka razy wystawioną, drugą część próbowali tylko niektórzy (Gutzkow, Wollheim, Devrient) przedstawić; „Götz" również nastręczał trudności dla sceny. U nas Schiller w ogóle był dość często granym, mianowicie we Lwowie, gdzie publiczność z lektury znała Schillera. U Bogusławskiego jeszcze głucho o Schillerze, ale z rokiem 1819 cieszył się Schiller niezwykłém powodzeniem W roku 1817 (1) odegrano „Rozbójników," Franciszka Moora grał Malinowski.

W roku 1819 odegrano sztuki: „Fiesko", „Zbójcy", „Don Carlos", —Bensa występował w roli Fieska, Karola, Pozy; tegoż roku „Intryga i miłość": w roli Lady Milfort—Kamińska. W r. 1819 spoczywały główne role w rękach Bensy. Estreicher (2) podaje ułamek z oceny Preka o grze Bensy. Ulubione jego role, w których jako prawdziwy mistrz występował, były: „Hamlet, Król Lear, Poza, Fiesko, Karol Moor. O grze Kamińskiéj znajdujemy wzmiankę: „W tragedyi Szyllera „Intryga i miłość" cokolwiek Szyller przez usta Lady Milfort powiedział, oddała z wyborną grą i uczuciem. Chwila niemiéj gry w scenie z Ferdynandem wyrażała cały stan duszy." W téjże saméj tragedyi rolę Ludwiki grała Rutkowska Aniela. „Charakter Ludwiki—słowa recenzenta—zgadza się ze sposobem gry Rutkowskiéj. Ciągłe udręczenia nadają mu rysów bolejącéj żałości. Aktorka zrobiła ten charakter nudnym, Ludwika była nieszczęśliwą, lecz oraz kochanką, o tém zdawała się zapominać aktorka. Wyrazu miłości nigdzie nie było. Uczuciom brakowało życia i tych wymownych w grze cieniów które bez słów w duszę uderzają." O grze znakomitego Bensy znajdujemy wziankę: „W tragedyi Szyllera „Intryga i miłość" grał Ferdynanda. Oddał swój charakter starannie, z właściwym wyrazem. Tkliwą i ujmującą była pierwsza scena z Ludwiką i pełną zapału owa, gdy mu ją chcą wydrzéć a w ostatniéj, kiedy z postanowieniem śmierci do Millera przychodzi, panowała mocna i wzruszająca gra od początku do końca" (3). O roli jego w „Zbójcach" pisze recenzent: „W tragedyi Szyllera „Zbójcy" gra Bensy lubo we względzie szczegółów była dosyć trafną, nie wytrzymałaby porównania z wielkim charakterem Karola, którego dobrze oddać niepodobna, nie przejąwszy się wprzód duchem autora, nie wyrozumiawszy z całości, do czego i jakim sposobem dąży. Lepiéj odegrał od niego Smochowski rolę Franciszka" (4) O Smochowskim czytamy na innéḿ miejscu (5).

---

(1) Nie chodzi mi tutaj o zupełne wyczerpanie materyału, chcę tylko skonstatować, kiedy i jak często Schillera sztuki były odegrane.

(2) Estreicher: Teatra w Polsce III, 213.

(3) Teatra w Polsce III. 240. (4) Tamże III. 243. (5) Tamże III. 263.

„W tragedyi Szyllera „Zbójcy“ zupełnie prawie zadowolił Sosnowski w Franciszku. Zgłębił i wyczerpał wszystkie rysy tego dziwotworu, wydał je z mocą i należytym wyrazem.“ Millera grał Nowakowski, Wurma Smochowski (Sosnowski). Jak wielce zajmowano się Schillerem, o tém świadczy i ta okoliczność, że 1 stycznia 1819, „Pieśń o Dzwonie“ Schillera była deklamowaną przez jéj tłómacza Kamińskiego. Z deklamacyą połączone było i naoczne przedstawienie lania dzwonu, przy końcu czeladź wykonywała wszystkie owe roboty, przez które autor przechodzi.

Że Schiller cieszył się słuszną popularnością, zasługa to Kamińskiego, tego niestrudzonego pracownika na polu sceniczném. Póki on był przy teatrze, nie zaniedbano nigdy sięgnąć po sztuki Schillera. Później zupełnie zapomniano o wielkim dramatyku niemieckim.

1820. W tym roku znajdujemy w liczbie nowo odegranych sztuk z Schillera tylko „Maryą Stuart“ (dnia 30 czerwca).—1821. Ten rok przyniósł nowe dzieła Schillera: 1) Oblubienicę z Messyny, 2) Dziewicę Orleańską, 3) Fieska.—1822. Przedstawiono przekłady z Schillera, Szekspira, Kotzebuego, Alfierego i t. d.—1825. Dnia 16 września grano Schillera „Zbójcy“ (Benza—Karol Moor, Smochowski jako Franciszek). W tragedyi „Intryga i miłość“ Schillera zachwycał Nowakowski w roli muzykanta Millera. Majora grał Benza, Prezydenta Rudkiewicz a Wurma Smochowski. W październiku grano Schillera Fiesko trag. (Kamińska grała w roli Julii niezrównanie). Od tego roku liczba przedstawionych dzieł Schillera coraz się zmniejsza, na rok 1826 przypada tylko „Marya Stuart,“ na rok 1828 „Don Karlos,“ który w styczniu 1829 został powtórzony, na r. 1830 „Dziewica Orleańska.“ Po długiéj przerwie przedstawiono „Dziewicę“ dopiero w r. 1840. Okres po 1840 r. jest znowu trochę szczęśliwszy dla Schillera, w r. 1841 grano „Śmierć Wallensteina.“ W roku 1843 dano „Dziewicę Orleańską“ (1) i „Maryę Stuart.“ W r. 1845 powtórzono „Maryę Stuart,“ grano także „Fieska.“ Od roku 1846 datuje się upadek sceny lwowskiéj, słusznie mówi Estreicher: „nie mieli personalu do odgrywania dzieł klasycznych dawniej wystawianych, dzieł Szyllera lub Szekspira, więc ograniczono się do ramot, jak „Twardowski“ (2). Najlepszym tego dowodem jest fakt, iż aż do roku 1850 nie pojawiła się żadna sztuka Schillera. I w nowszym czasie widać dążności, by przedstawiano utwory klasyczne, a jeżeli kiedy coś z Schillera się ukaże, to nie potrafi to spełnić naszych oczekiwań. Najlepszym tego dowodem niedawne przedstawienie „Dziewicy Orleań-

---

(1) Estreicher, Teatra w Polsce III. 527. (2) Tamże III. 718

skiéj", gdzie wskutek gry aktorów publiczność żadnego wrażenia nie wyniosła z tego utworu, który we wszystkich scenach europejskich w prawdziwy entuzyazm wprowadza słuchaczy. Przedewszystkiém źle pojęli artyści swoje role; „Dziewica Orleańska" jest wprawdzie i na scenie wiedeńskiéj otoczona atmosferą niemal eteryczną, nadziemską, tak że i głos jéj cichy i ruchy mniéj odważne, jakbyśmy mogli wnioskować z charakteru bohaterki, miecz dzierżącéj. Taka jednak niemal płaczliwa Joanna, nieśmiała, drżąca, mówiąca głosem płaczącym zupełnie nie jest w duchu Schillera oddaną. Krótkiego tego przeglądu naszego nie możemy zakończyć, by nie wyrazić życzenia, aby nasz teatr lepiéj pojmował swoje zadanie i starał się ze sceny te korzyści osiągnąć, które Schiller w swojéj pięknéj pracy „Die Schaubühne als eine moralische Anstalt betrachtet" jako ideał nam wystawia!

Wyraźnych śladów Schiller w naszéj literaturze dramatycznéj nie zostawił, jego czynność pomimo to nie zupełnie dla nas straconą została, mało jednak widać ducha Schillerowskiego u nas. Słowacki mało znał Schillera a choćby znał, to do Byrona i Szekspira przylgnął tak dalece, iż po za tymi dwoma Anglikami nie widać dokładnego wpływu innych dramaturgów. Korzeniowski Józef znał Schillera dokładnie, ale i u niego wpływu wielkiego niema. Chyba tylko „Aniela" pokazuje tu i owdzie widoczny wpływ Schillera „Intrygi i miłości". Już z początku poznać można, że mistrzowska technika Schillera była obcą Korzeniowskiemu; długie, nużące dyalogi, brak owéj porywającéj dykcyi, którą np. Słowacki posiada w wysokim stopniu. „Aniela", bohaterka tragedyi już w *czwartym* akcie truje się, wskutek czego znika zupełnie ze sceny, a piąty akt ma nam okazać śmierć Gustawa, technika nie zupełnie szczęśliwa, kochankowie nie umierają *razem* na scenie, śmierć bohaterów, tj. tutaj kochanków, jest punktem, do którego cała akcya od początku jak do swego celu dążyć powinna.

Z tém wszystkiém nie da się zaprzeczyć, że tragedya Schillera pozostawiła widoczne ślady w postaci Anieli. Ta podobną jest bardzo do Ludwiki:

a) Charaktery.—Tak jak Ludwika chętnie wyznaje przed ojcem swoję bezinteresowną miłość do Ferdynanda: „Ich beweine mein Schicksal nicht. Ich will ja nur wenig—an ihn denken—das kostet ja nichts. Dies bischen Leben—dürft' ich es hinhauchen in ein leises, schmeichelndes Lüftchen, sein Gesicht abzukühlen" (I. 3); tak samo spowiada się Aniela przed swym ojcem z najdroższych swych uczuć:

„O, nie uwierzysz, co się we mnie dzieje,
Gdy się przy boku jego wyobrażam;

Kiedy pod jego skrzydłem przelatuję
Dalszego życia kraje nieznajome."

Herman, ojciec Anieli, tak samo nie może się pogodzić z marzeniami swéj córki, jak Miller przeklina owę chwilę, kiedy major poznał jego Ludwikę: „Höre Luise—das Bissel Bodensatz meiner Jahre, ich gäb es hin, hättest du den Major nie gesehn". Herman Korzeniowskiego podobny jest do Millera swym trzeźwo patrzącym wzrokiem, który uniesień młodzieńczych zrozumieć nie może.

„Często
Bierze mię dzika chęć naturze łajać,
Że ci zbyt wiele dała owéj władzy,
Co w marach prawdę widzi, a rozum
Aż nadto mało" (1).

Idealna postać *Ludwiki*, która z najświętszych swych uczuć pod wrażeniem gróźb prezydenta wyrzeka się wszelkich praw do jego syna („Herr von Walter, jetzt sind Sie frei" II. 6), znajduje piękną kopię w Anieli Korzeniowskiego, która z rezygnacyą woła do Gustawa: „Wolnym jesteś, opuść mię." W bezinteresownéj miłości swojéj podobną jest do Ludwiki, która wobec dumnéj lady rezygnuje z prawa posiadania Ferdynanda (IV. 7), Aniela zdolną jest do największéj ofiary, kiedy widzi, że Gustaw może być z Heleną szczęśliwy:

„Niech ją kocha,
Niech się jéj dziwi, niech szczęśliwym będzie."

Gustaw tworzy w swych szlachetnych postanowieniach, w swém własném wyznaniu, iż zakłócił spokój godnéj dziewczyny, godny pendant do Ferdynanda, który wobec dumnéj Milfort spowiada się ze stosunku swego do swojéj Ludwiki: „Ich bin der Schuldige. Ich zuerst zerriss ihrer Unschuld goldenen Frieden—wiegte ihr Herz mit vermessenen Hoffnungen und gab es verrätherisch der wilden Leidenschaft Preis." (II. 3). Tak samo Gustaw przedewszystkiém siebie samego obwinia.

„Nieszukającéj jam się sam narzucił,
Wstrzymał, zamieszał dni jéj bieg szczęśliwy.
Jam tchnął w jéj piersi nieznajome chęci,
Przeniósł do wyższéj sfery i rozwinął
Życie kwitnące tylą powabami" itd.

b) Oprócz charakterów, poszczególne *sytuacye* przypominają tragedyą Schillera i stosunek między Gustawem, Heleną a Anielą jest taki sam jak między Ferdynandem, Lady Milfort i Ludwiką.

---

(1) Dramata Korzeniowskiego, Kijów 1839. Tom I. str. 79.

W scenie trzeciéj aktu drugiego składa Gustaw swój los i los Anieli w ręce Heleny:

Jedno tylko dobro
Ocalić mogę: honor mój i słowo;
I to w twe ręce składam. Bądź wspaniałą,
Bądź sprawiedliwą, sama osądź, pozwól,
Abym ci wyznał...
Helena.
Nie potrzeba, wiem już.

Ferdynand powołuje się w wyznaniu swojém przed Milfort na *honor*, który mu tak czynić każe, jak to niedawno postanowił był. Po zeznaniu lady Milfort, Ferdynand nie może wstrzymać się od wyznania swéj miłości ku Ludwice, z zaufaniem, płynącém z poczucia swéj godności zwraca się do lady Milfort: „Lady, ich muss—Himmel und Erde liegen auf mir—ich muss Ihnen ein Geständniss thun—Lady!“ Ta ostatnia wzbrania się z ust Ferdynanda usłyszéć wyznanie, które musiałoby z całą gwałtownością dotknąć jego serca: „Seis Tod oder Leben—ich darf es nicht—ich will es nicht hören“ (II. 3). Nie ulega wątpliwości, że ta scena dała pochop Korzeniowskiemu do napisania owéj sceny, w któréj Gustaw apeluje do sprawiedliwości Heleny (II. 5).

Tak samo jak Miller proteguje wszędzie Wurma, tak Herman radby Wilhelma zbliżyć do swéj córki. a oto zacny człowiek, z którym ci bliżéj radzę się zapoznać“ (III 3).

c) Niektóre *motywa* zdają się wpływowi reminiscencyi zawdzięczać swe istnienie. Tak kiedy Herman wyrzuca sobie, że nie starał się o to, aby złemu zapobiedz w czasie, kiedy Aniela mogła mieć konkurenta, odpowiedniego jéj stanowi:

Chciałem, by miłość, nie powagi mojéj
Surowa ręka, męża ci wybrała.
Każdy mnie równy cnotą i ubóstwem,
A tobie miły, byłby pożądanym:
Każdy, lecz żaden Hrabia, i co zdradziecki
Zamiar w uczciwą maskę ubrać umiał!
I gdybym znał go był z początku—Boga
Na świadka wzywam,—żebym mu był zaraz
Drzwi domu mego wskazał (1).

Cały ten ustęp dokładnie przypomina słowa Millera, kiedy ten gorzkiemi słowy wyrzuca córce jéj zamiłowanie w książkach, które według niego są źródłem wielu bezbożnych myśli: „Dad Mädel setzt sich alles Teufels genug in den Kopf; über all' dem Herumschwänzen

(1) Dramata I. 80.

in der Schlaraffenwelt findets zuletzt seine Heimat nicht mehr, vergisst, schämt sich, dass sein Vater Miller Geiger ist und verschlägt mir am End' einen wackern, ehrbaren Schwiegersohn, der sich so warm in meine Kundschaft hineingesetzt hätte — Nein! Gott verdamm mich! Gleich muss die Pastete auf den Herd, und den Major,— ja, ja, den Major will ich weisen, wo Meister *Zimmermann* das Loch gemacht hat (I, 1).

Miller w scenie czwartéj aktu drugiego daje wyraz swojemu niezadowoleniu z powodu piękności swéj córki drastycznem przysłowiem: „Wem der Teufel ein Ei in die Wirthschaft gelegt hat, dem wird eine hübsche Tochter geboren.“ Herman wolałby mieć córkę mniéj wykształconą i piękną, byleby miał z niéj pociechę:

„Gdyby była brzydką,
Gdyby jéj umysł w kluczach zakochany,
Nad parę kuchni podnieść się nie umiał;
Pewnieby żaden Hrabia się nie zjawił,
Pięknemi kłamstwy pokój jéj odebrać.
Ledwieby jaki biedak mi się skłonił;
Coby koniecznie potrzebował w domu
Czujnéj szafarki i rzetelnéj żony.“ (1)

d) Jak cała tragedya Schillera *tendencyjnie* zwraca się przeciw arystokracyi, tak i Herman staje w opozycyi przeciw „bożkom ziemskim, pośród których szczerość jest głupstwem, prawda złą monetą.“

III. *Głosy i studya o Schillerze w literaturze polskiéj.*

„Uczeni niemieccy dają Szyllerowi pierwsze między wierszopisami dramatycznemi miejsce. Podług nich, nic porównać z pięknością jego obrazów i mocą stylu nie można. To zdanie jednakże u uczonych innych narodów nie znajdzie zapewne potwierdzenia. Pominąwszy albowiem układ jego sztuk, regularnymi nazwać się niemogących, z których wiele jest niedoprowadzonych należycie do końca, trudno zgodzić się, ażeby styl i poezya Szyllera mogły przewyższyć Racina.“ W tych słowach złożył bezimienny autor wzmianki o życiu i pismach Schillera swoje *credo* literackie w roku 1805 (2). Temi słowy wystawił on sobie pomnik swojéj duchowéj ograniczoności. Ze wszystkiém potępić nie możemy go z tego względu, bo pisał to w czasie, kiedy pudrowana peruka Francuzów panowała wszechwładnie w literaturze naszéj. Głos jego przebrzmiał, znajdując jedyne echo w recenzencie rozprawy Kaulfussa p. t. „Dla cze-

(1) Dramata I, 142. — (2) Dziennik Wileński III, 302.

go język i literatura Niemiecka zdolnieyszemi są do ukształcenia rozumu i serca niż język i literatura Francuzka? Rozprawa, którą na popis uczniów Król. Liceum W. X. Poznańskiego w dniach 23—26 Lipca odbywać się maiący zaprasza szanowną Publiczność Jan Samuel Kaulfuss, Dr. Fil. Rektor Król. W. X. Pozn. Członek Król. Tow. Warsz. Przyjaciół nauk" (4⁰, 40 stronic). Rozprawa ta była powodem do niedorzecznych napadów na Goethego i literaturę niemiecką (1). Zapatrywania te bardzo prędko się zmieniły, prawda, że trzeba było takich mężów jak Kazimierz Brodziński, którzyby mieli odwagę odepchnąć od siebie literaturę francuską z jéj trzema jednościami. Zasługa to głównie Brodzińskiego, iż czasy nowe nastąpiły, które o Rasynach, Wolterach, Laharpach nie chciały wiedzieć i dokonały téj reformy w literaturze polskiéj, którą Niemcy kilka lat dziesiątek przed nami odbyli. Przedewszystkiém utorował Brodziński drogę Schillerowi, do którego przylgnął całém sercem. Swoje *credo* estetyczne złożył Brodziński w słowach: „Szyller jest bez wątpienia najpierwszym poetą Niemców, ze wszystkich tego ludu poetów najlepiéj w całéj Europie pojęty i wszędzie ceniony. Pochodzi to ztąd, że jedyném natchnieniem jego były głębokie uczucia prawdy i piękności i gorącéj czci Boga; uczucia, które wszędzie i zawsze szlachetne serca znajdą i na nie zbawiennie wpłyną. Szyllera poprzedziły znakomite geniusze, które jednak nie mogły mieć tego wpływu, jaki jego szlachetne natchnienia wywarły" (2). W tych słowach objawia się *cały* Brodziński, jego zamiłowanie wszystkiego, co piękne, co szlachetne, co *idealne*, bez względu na to, czy wymaganiom epoki odpowiada, czy tę epokę wyprzedza lub w tyle zostawia.

Goethego Brodziński nigdzie tak entuzyastycznie nie wielbi; z uwag przez niego wypowiedzianych wolno wnioskować, że serce jego zawsze stoi po stronie Schillera. W słynnéj rozprawie „O klasyczności i romantyczności" pociągnął paralelę między Goethem a Schillerem, jest ona tak trafną, iż nie mogę się wstrzymać, by kilku z niéj ułamków na tém miejscu nie przytoczyć. „Goethe najtrafniéj skłonności swojego wieku przeczuwający, łączy prostotę z filozofią, romantyczność z wdziękami południowemi i wesołość towarzyską z tkliwém czuciem, powszechny zapał pozyskał. Szyller obdarzony wzniosłym geniuszem, szlachetnym umysłem, z sercem bijącém do wszystkiego, co jest dobrém i pięknem, badający dzieje i człowieka,

(1) Zupełnie niesłusznie obwinia Mazanowski („Balladomania" w *Ziarnie* z roku 1883) Kaulfussa o napady na Goethego, mając go za recenzenta, a nie jak było w istocie, za autora książki, wynoszącéj literaturę niemiecką.

(2) Pisma K. Brodzińskiego. Tom VIII, str. 279.

jeden może w wiekach naszych posunął poezyą do godności, w jakiéj była u starożytnych i do dążenia, jakie w oświeconym wieku mieć powinna.“ Brodziński szedł tutaj za głosem poczucia estetycznego, wyrobionego długiemi studyami obu największych poetów niemieckich. Te cechy charakterystyczne, które podnosi Brodziński, zjednały Goethemu największych wielbicieli; owa wielostronność Goethego, która nigdy nie traci wzroku na ogólność (das Allgemeine) jest właśnie tém, co w obecnym czasie najwięcéj podziwiamy u Goethego (1). Goethe był zdolnym wskutek ogromnego wpływu Herdera, objąć wielką potężną jednostkę, nie zaniedbując całości. „Ἕν καὶ πᾶν“, „was ist das Allgemeine, was ist das Besondere?“ — oto problemata, które Goethego zajmują przez całe życie. Był on mineralogiem, fizykiem, przyrodnikiem, artystą plastycznym, wszędzie probował sił swoich. Brodziński kreśląc powyższe słowa, odgadł podziwienia godném poczuciem owe cechy Goethego, które go przedewszystkiém znamionują. Przed Brodzińskim nigdzie nie napotykamy dokładnego zrozumienia literatury niemieckiéj. W roku 1817 znajdujemy lakoniczną wzmiankę: Rzut oka na stan literatury Niemieckiéj. „Jeden tylko dwór Weymarski stanowi od lat wielu wyjątek od tego powszechnego prawidła; dlatego téż dwór ten zasłużył na imię małych Aten. Posiada on, jak w szesnastym wieku Ferarski, bądź najznakomitszych ludzi swym geniuszem i światłem. Göte. Szyller. Wieland, Herder i w. i. uozdabiali go ieden po drugim.“ Brodziński pierwszy otworzył oczy naszym literatom na płody, które albo wcale nie były znane albo wyśmiane. Krok w krok za Brodzińskiego usiłowaniami idzie nowy kierunek, mający swojego najdzielniejszego reprezentanta w Mickiewiczu.

Rok 1828 stanowi tryumf dla usiłowań Brodzińskiego. „Dziennik warszawski“ (2) zaczyna jeden z artykułów następnemi charakterystycznemi słowy: „Dzisiaj, kiedy już nikogo nie obchodzą przepisy Arystotelesa i prawidłowe kursa Eschenburgów i Laharpów, przeciwnie estetyki a więcéj jeszcze historye literatur dzień ode dnia stają się więcéj zajmujące bogactwem widoków....“ Jakiż olbrzymi postęp od głupoty recenzenta książki Kaulfussa do słów tegoż artykułu: „Poeta fantasmagoryk Goethe, poeta-filozof Sziller powstali jak olbrzymie kolossy i na naturę, która się zdało w szerzeniu cywilizacii sprozaiczniała, nawiodłszy bogate pryzma swojéj imaginacyi, dowiedli, że każdy wiek ma swoję poezyą, wynikłość potrzeb i ducha czasu.“

---

(3) Tak Brandes np. w artykule swoim „Goethe und Dänemark“ w Goethe-Jahrbuch. II, 78. — (2) Tom XII, str. 113.

W tymże roku wyszła w Warszawie książka z francuskiego przełożona „O literaturze romantycznéj", która wyświeciła w szczegółowy sposób istotę i cele poezyi romantycznéj. O Schillerze znajdujemy tam (na str. 121) następujące *credo*: „Wszystkie uczucia i wzruszenia, jakie tylko serce ukształcone w społeczeństwie nowożytném ukrywa, odbijają się w jego języku z zadziwiającą wiernością i wszelkie stosunki i obrazy, jakie tylko świat otaczający nas przedstawia, upięknione u niego właściwemi jemu wdziękami, stają się przedmiotem naszego interesu, albo naszego podziwienia." Te wszystkie czynniki mają w swojém następstwie obalenie klasyczności i rozkwit literatury narodowéj. Zasługa w tém największa Brodzińskiego, który wszędzie drogi toruje nowym zapatrywaniom i dążeniom, jego sąd o Schillerze jest najtrafniejszym, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się czytać w literaturze polskiéj, a jakkolwiek prof. Tarnowski (1) nad tém ubolewa, że prac o Schillerze w literaturze naszej wcale nie ma, to pozwolę sobie zauważyć, że krótkie słowa Brodzińskiego są miarą tego, jak dalece Schiller u nas był zrozumianym. Wpływ Schillera zresztą zamanifestował się w płodach Mickiewicza, Brodzińskiego i innych, a taki wpływ—zdaniem mojém—starczy za rozprawy i studya. Pomni na to, co winniśmy Schillerowi, nie możemy innego uczucia żywić dla niego, jak najgłębszéj wdzięczności, winić zaś za to nikt nie może, żeśmy studyów nad Schillerem nie robili, mając na własnéj niwie wiele do zrobienia. I Niemcy wiele mają jeszcze do zrobienia w literaturze swojéj, a Schiller nastręczy dosyć materyału do rozpraw i rozprawek. Daleko ważniejszą, zdaje mi się, jest rzeczą, śledzić wpływ bezpośredni, który się objawia dobitnie, *ad oculos* — że się tak wyrażę—który dopomaga bądź do naszego wykształcenia i postępu, bądź téż zasila literaturę nowemi problematami i motywami. Przyznać jednakowoż trzeba, że studyów o Schillerze prawie u nas niema. Osiński wykładając kurs literatury powszechnéj, mówił także o dramacie niemieckim, pominął jednak milczeniem najgłówniejszych reprezentantów dramaturgii niemieckiéj. Tylko Schillerowi poświęcił większy ustęp. Metoda jego jest równie dziwną jak fałszywą. Dla Osińskiego istniała tylko „Dziewica Orleańska", rozbiera ten dramat dość szczegółowo, skutkiem czego popada w wielką jednostronność, zwłaszcza że wszędzie patrzy przez szkła A. W. Schlegla i pani Staël. Z obozu romantyków nie pozostało żadne świadectwo literackie co do Schillera, z wyjątkiem Brodzińskiego. Jak wszędzie tak i tutaj mąż ten niepospolitych zasług z prawdziwym entuzyazmem pisze o Schillerze.

---

(1) Przegląd polski. Tom 71, str. 200.

W „Gazecie literackiéj z r. 1821 (Nr. 1, 2 stycznia) znajdujemy artykuł, który nie może od kogo innego pochodzić jak od Brodzińskiego (1). Autor wyraźnie powiada, że mimo wielu prac niemieckich i francuskich o Schillerze, będzie wypowiadał zdania własne. „Geniusz Szyllera trafił w ojczyźnie na czasy, w których Szekspir więcéj zyskał w Niemczech zapalonych czcicielów, niżeli w saméj Anglii.“ Z tego wnosi autor, że Schiller w młodości przejął się Szekspirem i ulegał jego wpływowi. Nie naśladował go jednak niewolniczo. Temat, jaki sobie obrał Schiller w „Dziewicy Orleańskiéj“, stawia go w oczach Brodzińskiego tak wysoko, iż daje mu pierwszeństwo przed Szekspirem i Homerem z tém jednak zastrzeżeniem, że „Dziewicę Orleańską“ „uważa więcéj jako poema bohaterskie w formie dramatycznéj, niżeli jako właściwą tragedyą.“ To zapatrywanie było, zdaje się, powodem do pociągnięcia paraleli między Homera „Iliadą“ a „Dziewicą Orleańską.“

Punktem stycznym obu poematów jest — według autora — cudowność (das Wunderbare). Nie wnosi on do rozprawy swojéj noża anatomicznego, nie rozkłada istoty poezyi Schillera, ale podbity potęgą poety „Dziewicy Orleańskiéj“, oddaje hołd Schillerowi entuzyastycznemi słowy: „Jeżeli cudowność chrześciańskiéj religii nie tak do nas przemawia jak grecka, jeżeli przynajmniéj nie umiemy się przenieść własną imaginacyą w obyczaje i mniemanie wieku bohaterki, jeżeli brudne dowcipy splamiły w nas czystość uczuć, jeżeli naostatek w cudach imaginacyi chcemy rozerwać związki z wyższym światem i czołgać się po naszéj zimnéj rzeczywistości, wszystko to nie jest winą poety, ale nas samych.“

Brodzińskiego przedewszystkiém charakteryzuje tutaj owo wtajemniczenie się w sztukę Schillera, które nie widzi w nim nic krom piękności i sztuki prawdziwéj. Dumne to były zaiste i odważne słowa, któremi Brodziński wprowadził nową literaturę niemiecką na grunt polski. Czciciele jedności francuskich mogli się łatwo oburzyć, mogli kłam zadać słowom Brodzińskiego płynącym z przekonania własnego smaku estetycznego. Czuł to dobrze Brodziński i wyraźnie powiada: „Odrzućmy na bok jedność miejsca, a wtedy możemy bezstronnie ocenić wielki utwór Szyllera.“ Wszędzie znajdujemy u Brodzińskiego cenne uwagi, świadczące o gruntownem zrozumieniu płodów literatury niemieckiéj, a mianowicie entuzyastyczne lgnięcie do Schillera.

Walka pojęć nowych ze staremi zakończyła się zupełną klęską pseudoklasyków. Wreszcie i ci zamilknąć musieli, jakkolwiek dzielny

(1) Prawdopodobniéj jeden z braci Chłędowskich. — (*Przyp. Red.*).

opór wszędzie stawili. W roku 1828 w książce z francuskiego przetłómaczonéj czytamy: „Wiara w poetykę Arystotelesa była dogmatem XVII wieku, tak jak wiara w jego fizykę była dogmatem wieków poprzedzających; i ten nadzwyczajny człowiek uciemięża przez długi czas w umiejętnościach całą Europę jarzmem ślepego zaufania; dał późniéj i w literaturze uczuć wpływ swego geniuszu, jak gdyby postępy człowieka ku prawdzie nie były dosyć trudne same przez się i jak gdyby potrzeba było, aby błędy jednego wieku zobowiązywały jeszcze wieki przyszłe. Wszakże to przynajmniéj omylono się tylko w zastosowaniu fałszywém jednéj zasady, która sama w sobie mogła bydź prawdziwą. Roztrząsano kwestyą, która jeszcze i teraz może podzielać najlepsze dowcipy o porządku i istocie prawideł w literaturze i przypisywano znowu literaturze greckiéj nieograniczoną powagę, kiedy potrzebaby było naprzód rozstrząsnąć, ażaliż w niéj nie było co względnego.“

Tak tedy i Francuzi przyznać musieli, że nie zrozumieli dobrze Arystotelesa i co więcéj inne narody w błąd wprowadzili; Niemcy najpierwsi zrzucili jarzmo im narzucone, a u nas dopiero literatura niemiecka wykorzeniła dane przesądy i fałszywe pojęcia. Na owe czasy, kiedy się odbywał ten proces fenomenalny, który miał w swém następstwie najpiękniejszy rozwój literatury naszéj, przypada panowanie Schillera u nas. Wtedy go tłómaczono, naśladowano, przedstawiano na scenie, entuzyazmowano się nim (1). Nawet najskrajniejszy klasyk, Osiński, nie pominął milczeniem Schillera, tak wielce zmieniły się czasy w ciągu lat niewielu. Ten świetny okres trwał niestety niedługo. Po roku 1830 widać zmniejszenie się interesu dla Schillera. Wypadki polityczne zwróciły nasze oczy na wewnątrz, w własnych dziejach szukaliśmy motywów, z których staraliśmy się korzystać w literaturze. Ostatniém niejako ogniwem w ciągu zajmowania się Schillerem w epoce romantycznéj jest artykuł w „Rozmaitościach“ lwowskich z r. 1829 z powodu odegrania Don Carlosa na scenie lwowskiéj: „Don Karlos na scenie polskiéj we Lwowie.“ Niema tutaj głębszych studyów o Don Karlosie, oświadczył zaraz na początku autor. „Nie mamy w zamiarze—powiada—zapuszczania się

(1) Wszędzie ceniono wówczas bardziéj Schillera niż Goethego; Korzeniowski może jedyny nie zupełnie zgadza się z opinią ogółu, a chociaż właśnie sam wiele winien Schillerowi, mówi o nim nie z tém zrozumieniem, jakiegobyśmy się po nim spodziewać mogli. „Przeciwnego usposobienia w tym względzie — powiada — był Schiller, równy Goethemu co do geniuszu. W pierwiastkowych zaraz sztukach jego widać zbytek imaginacyi i talent liryczny, który i w późniejszych pokazuje się. Nie miał on téj siły, co Goethe, przelania się całkowitego w osobę, którą wystawia i często daje poznać swoje myśli i uczucia.“ (Kurs poezyi przez J. Korzeniowskiego. Warsz. 1829, str. 266).

w głęboki rozbiór; przedsiębierzemy jedynie to, co z takowego rozbioru już jako gotowy wypadek koniecznie wypływa, w krótkiém określeniu przedstawić, aby wskazać stanowisko, z którego to dzieło uważaném być musi, jeżeli niema chybić celu i wielkość pomysłu Szyllera objawów blasku.“ Co nam autor tutaj podaje, jest więcéj podaniem treści, niżeli objaśnieniem estetyczném utworu Schillera. Jest jednak wszędzie rozlane ciepło prawdziwego entuzyasty, który tylko wielbić i podziwiać umie. „Okręt linijowy, dzieło jenijalnego mistrza, własność wielkiego narodu, został spuszczony z warstatu na widownię polską. Rozwiniono żagle — a pomnik najszczytniejszego pomysłu przesunął się wspaniale przed okiem zdumiałego widza.“ Jako główną ideę utworu tego, uważa uszczęśliwienie całego rodzaju ludzkiego. Wychodząc zaś z tego punktu, potrafił zrozumiéć dążność i tendencyą poety.

Jedyne pismo, obejmujące ocenę *całego* Schillera, zamieściła *Eleonora Ziemięcka* w „Athenaeum“, wydawaném przez J. I. Kraszewskiego (w tomie II, 1842 r. od str. 49—90). Nie pełnością i wielostronnością poglądów, lecz trafném przeprowadzeniem tych myśli, które Ziemięcka w Schillerze podziwia, potrafiła autorka dać cenny przyczynek do historycznego rozwoju Schillera. Potęga, któréj autorka w życiu hołdowała, stała się potęgą tą, którą wystawia na miejscu honorowém. Subiektywne zabarwienie pracy Ziemięckiéj odniósłbym do jéj życia wewnętrznego, do właściwości temperamentu i przedewszystkiém do jéj zapatrywań religijnych. Tak w téj pracy, jakoteż w artykule obszernym o „Dziewicy Orleańskiéj“, Ziemięcka składa hołd Schillera „religijności“. Uważając wystąpienie Schillera na tle czasu, powiada: „Szyller urodził się w czasie najnieprzyjaźniejszym poezyi niemieckiéj. Literatura zaledwie budzić się zaczynała, duch Germanizmu niegdyś tak jędrny i mocny w średnich czasach, pod wpływem miernych talentów zaczął przechodzić w manierność i naśladownictwo. Przyjaźń Fryderyka W. z Wolterem, jego wychowanie francuskie przedłużało sen ojczystéj Poezyi. Lecz ani charakter genjalnych ludzi, ani dążność talentów nie ogarniają ducha ludu, nie mogą tłumić naiwności i bogobojności domowych obyczajów, jeśli je gdzie słowo Religii zaszczepiło. Takim właśnie był duch obyczajów i stosunków niższéj klasy w Niemczech w XVIII wieku.“

Zupełnie panuje Ziemięcka nad przedmiotem, kiedy daje wyraz swemu uwielbieniu dla „życia moralnego i pobożnego“ Schillera. „Charakter Fryderyka W., gust Gottszeda i Gelerta był tylko chwilowym i uległ niebawem powadze wyższych talentów, ale istniał żywioł trwalszy i gruntowniejszy, z którego powstała cała nowa epoka

Poezyi, nauk i odrodzenia umysłowego w Niemczech: życie moralne i pobożne.“ Ziemięcka o tyle ma słuszność, iż w istocie sztuka, poezya przedewszystkiém z czasów przed-Schillerowskich bardzo mało do siebie przyjęła. Poeci, jak Lavater, Claudius i Stolberg, byli może dobrymi chrześcianami, lecz byli též tém mierniejszymi poetami. Z wywodów Ziemięckiéj widać tylko, że prawie zawsze ma na oku „Dziewicę Orleańską“ Schillera. Tutaj Schiller w istocie w interesie artystycznym skorzystał z motywów religii chrześciańskiéj i uzyskał uznanie właśnie z tego powodu. Cała działalność Schillera nie da się jednak wciągnąć pod tę rubrykę; chociaż Schillera nie ochrzcono mianem „der grosse Heide“, jak Goethego, to jednak nie trudnoby było wykazać, że jego poezya w znacznéj części jest hołdem, złożonym humanizmowi i literaturze starożytnéj. Zaprzeczyć się jednak nie da, iż szczytne prawa etyczne i moralne chrześciaństwa Schiller bezwględnie uznawał, oznaczają one najwyższą potęgę, do któréj on dążył i które stawiał niekiedy jako kanon swych zapatrywań.

Ażeby uzasadnić swoje mniemanie o Schillerze, bierze Ziemięcka pod rozwagę otoczenie rodzinne, z którego wyszedł Schiller; lgnięciu poety do religii dostarczyła matka Schillera najlepszego pokarmu. Pomimo widocznéj predylekcyi do kapłaństwa, za którém przemawia Ziemięcka, na pytanie, czy Schiller „w zawodzie duchownym byłby bogatszy lub uboższy plon literaturze swojéj złożył“, autorka odpowiada stanowczém *nie*. „Życie Bogu poświęcone jest środkiem wzniesienia myśli, oddala od wpływów zewnętrznych, od wrażeń drobnych i rozrywających zastanowienie.“ Mimo tak zbawiennych wpływów stanu duchownego, nie waha się autorka losowi podziękować za to, iż na inną drogę Schillera wprowadził. Lecz i w późniejszém życiu widzi Ziemięcka w Schillerze gorącego rzecznika wiary katolickiéj. Gdyby tak w istocie było, rozpaść by się w nic musiało dążenie Schillera do typowości starożytnych, za którą Schiller tak tęskni. Ziemięcka ma słuszność, jeżeli chce zaakcentować powagę poezyi Schillera. Im więcéj Schillerem się zajmuję, tém skłonniejszym jestem do przyznania słuszności Ziemięckiéj. Schiller przez całe życie starał się z wewnętrzną koniecznością najwyższym, poezyi najgodniejszym, interesom użyczyć najwyższéj, najszlachetniejszéj formy. Goethe zabłądził wskutek swojego fałszywego pojęcia sztuki w ostatnim okresie swéj działalności, w ucieczce swéj przed rzeczywistością, przed rzeczywistemi, aktualnemi interesami w najpróżniejszą alegoryą, w najzimniejszą konwencyonalność, w rzekome naśladownictwo starożytnego świata, który przed wszystkiemi realnemi interesami drzwi zamykał, w żyłach swoich, jakby urągając mistrzowi, nie posiadał ani kropli krwi helleńskiéj. Schiller

przeciwnie, poeta wolności, który w swoich początkowych dziełach na formę nigdy nie baczył, który tylko osnowę, tendencyą chciał przedstawić w najwierniejszy, gdzie można, drastyczny sposób — Schiller wszędzie niemal los człowieczeństwa miał na oku, że w swych usiłowaniach miał nieraz sposobność nawiązywać do zasad chrześciańskich, rozumie się samo przez się. To téż w tym względzie zdanie Ziemięckiéj o *młodym* Schillerze, iż „karmił się Pismem Ś-tem, moralną zaś istotę swoję uważał zawsze jako przybytek natchnienia, gdzie myśl Boga raczy niekiedy zstępować“—musi pozostać w całéj swéj mocy. Dowiedzioną jest rzeczą, że w młodości Schiller znał całe miejsca z Biblii na pamięć, w „Zbójcach“ objawia się ten wpływ w całym szeregu zwrotów pochodzących wprost z Pisma Św. (1). Czy jednak w religii szukał pewnego schronienia przed burzami życia, jak to twierdzi Ziemięcka, o tém zapewne niejeden będzie dzisiaj miał odmienne zdanie. Pomimo to i pomimo, iż Ziemięcka niektóre zasady *a priori* powzięła, praca jéj tchnie tą atmosferą ciepłą, która zdoła pobudzić do pilnego zajmowania się poetą, który był przedmiotem prawdziwego uwielbienia autorki.

Ze względu na piękną tendencyą pracy Ziemięckiéj nie należy żałować, że pierwsza, obszerniejsza praca o Schillerze u nas wyszła z pod pióra kobiecego. Poznajemy w niektórych częściach tu i owdzie sposób myślenia, a przedewszystkiém uczucie kobiety; stało się to nie na niekorzyść pracy Ziemięckiéj. Schillera zrozumiéć może umysł wrażliwy, łagodny, który potrafi wejść w tendencye poety. Taki umysł z pewnością można suponować w Ziemięckiéj. Z widoczném zrozumieniem patrzy autorka na postaci kobiece, Eleonorę w „Fiesku“ zalicza do „najpiękniejszych obrazów Poety.“ Elżbieta odpycha ją swoją nienaturalną powagą. „Charakter Elżbiety jest w związku z wzniosłą całością, lecz nie zupełnie zgadza się z naturą. Elżbieta w ostatniéj dopiero scenie staje się kobietą, wtedy już poświęciłaby ogólne cnoty dla uczucia, ale już za późno.“

Ziemięcka wystawiła sobie piękny pomnik niektóremi zapatrywaniami, które świadczą o jéj niepospolitéj inteligencyi. Znakomitém i z pewnością zupełną własnością autorki jest to, co mówi o charakterze Pozy. Z bezwzględnego uznania artystycznéj pracy poety wypływa dla autorki zadanie, okazać artyzm poety w kreśleniu charakteru Pozy. Trzeba sobie przypomniéć, jak zaledwie kilkadziesiąt lat przed Ziemięcką sądzono u nas Schillera i Goethego, bez zmysłu artystycznego, bez najmniejszego zrozumienia, ażeby ocenić zasługę

---

(1) Porów. Boxbergera: „Die Sprache der Bibel in Schillers Raübern“, program Erfurt. 1867.

Ziemęckiéj. Schiller u nas nigdy tak zagorzałych nieprzyjaciół nie miał jak Goethe, jego tendencye są tak pokrewne z naszemi dążnościami i aspiracyami, iż głosy nieprzyjazne wnet zamilknąć umiały.

Na stanowczo nieprzyjazny grunt natrafił u nas Goethe. Za mało posiadaliśmy interesu dla ogólno ludzkich problematów, by wynaleść w sobie pokrewieństwo z poetą „Fausta.“ Faust przedstawia dążności jednostki, nie całego społeczeństwa. Sztuka ta nie polega na micie, ani na baśni, w któréj wolność woli osób mogła być zniesioną, oparta jest ona na legendzie, na podaniu ludzkiém; interes ogólno-ludziéj natury wiąże się z „Faustem.“ Ogólna choroba czasu ma udział w powstaniu „Werthera.“ A jakkolwiek ta choroba przeszła niemal przez całą kulę ziemską, u nas długie czasy pozostała bez wpływu. Trzeba było dopiero, by wystąpił poeta takiéj miary, jak Mickiewicz, by z zrozumieniem korzystać ze zdobyczy, które w Anglii Walter-Skott i Byron, w Danii cały szereg poetów uznał za swoje i w płodach swoich pobudził do nowego życia. Ziemięcka wypowiedziała swoje *credo* estetyczne o stosunku obu największych koryfeuszów literatury niemieckiéj pięknemi słowy: „Goethe żył w rzeczywistości, ożywiał naturę filozoficznem pojęciem, pieścił się z życiem na różnych stopniach organizmu przemawiającém. Dla tego jego rozprawy naukowe, osobliwie w Historyi przyrodzenia, mają wielką wartość, utwory jego poetyczne przedstawiają rzeczywistość w najmniejszych szczegółach, jego geniusz śpiewny, jego wrodzona Poezya szuka zawsze dla siebie treści w zewnętrznym świecie, a nawet jego Faust jest wiernym obrazem kolei rzeczywistych, jakie człowiek wyższy przechodzi. W tym jednym utworze Göthe najmniéj jest jednostronnie przedmiotowym, cokolwiek jeszcze więcéj zwrotu ku podmiotowości, cokolwiek głębszego rozumienia życia duszy, byłoby go uczyniło Poetą. Filozofem.“ Goethe wypowiedział sam w słynnych rozmowach swoich z Eckermannem ostatnie słowo o „Fauście.“ „Pierwsza część jest zupełnie podmiotową i wszystko wyszło ze stronniczego, namiętnego, indywiduum, w którym to półcieniu ludzie się lubują“ (1). To tylko jeden dowód, z jak wielkiém zrozumieniem pojęła Ziemięcka różnicę Goethego a Schillera.

Jakkolwiek w ocenie Schillera Ziemięcka jest nieraz jednostronną, w głównych rysach wczytać się potrafiła w ulubionego poetę tak, iż małe usterki wobec wielkich zalet prawie nic nie znaczą. Stronniczą jest tam, gdzie mówi o religii. Niedość, iż w młodym Schillerze upatrzyła z widoczną radością ów religijny rys charakteru Schillera, który jest historycznym tylko w bardzo młodym, bo pięć

(1) Gespräche mit Eckermann, II. 275.

lat mającym Schillerze (1), Ziemięcka podsuwa na miejsce ogólnéj miłości ludzi, ogólnego zbratania się bliźnich religią, w czasie, kiedy Schiller po pokonaniu pesymistycznych zapatrywań stworzył sobie filozofią mistyczną, której kwintesencyą była humanitarność. Dotychczas nie ma pracy o Schillerze, traktującéj o jego stosunku do chrześciaństwa, jak i do katolicyzmu. Wystarczy jednak posłuchać W. Scherera, którego zdanie jak wszędzie tak i tutaj za Koran uważaném być może. Właśnie o téj epoce, którą Ziemięcka ma na myśli, pisze on: „Wzniosle rzeczy starał się (Schiller) w obrazach potężnych wystawić. Lecz ciemny pesymizm trzymał go w swych więzach. Dążności jego serca burzyły się przeciw prawom obowiązku! „I ja urodzon w Arkadyi," zawoła, „lecz tylko łzy dała mi krótka wiosna." Jego życia maj przekwitł; on nic nie wie, co to szczęście. Lecz jak Goethe z pessymizmu „Werthera" przybył do optymistycznéj humanitarności „Ifigenii," tak i dla Schillera przyszedł czas oswobodzenia i odżycia. W objęciach przyjaźni wyjaśnił się mu obraz świata. Z pełni duszy wyśpiewał pieśń do „Radości:" radość porusza koła u wielkiego zegaru świata i wszyscy ludzie stają się braćmi, gdzie jéj łagodne skrzydło przebywa. Bądźcie złączonymi, miliony. Jak wysokie objawienie przyszło mu to: ogólna miłość ludzi! wyrozumiałość i pojednanie. Ojciec jest nad gwiazdami. Utworzył on sobie filozofią mistyczną, która była ugruntowaną na pojęciu miłości i bez wiary w miłość bezinteresowną niema nadziei w Boga, w nieśmiertelność i w cnotę. Z miłości stworzył Bóg świat duchów. Miłość jest drabiną, po której wspinamy się do podobieństwa Boga. Umrzéć za przyjaciela, umrzéć za ludzkość, oto zdaje mu się najwyższe udowodnienie miłości, które przedstawia sobie poeta" (2). Widzimy, iż równowaga duchowa Schillera jest to samo, co miękki ton rezygnacyi, początkowo panowała u niego jeszcze wielka niejasność zapatrywań, później już ani śladu nie ma tego religijnego uczucia, które Ziemięcka entuzyastycznemi słowami uwielbia: „Również i Religia, ta najdroższa przyjaciółka dusz, użyczała Szyllerowi osłody i w wierze uciszyły się zwolna sprzeczności, których nauka współ-

---

(1) Siostra Schillera, Krystofina Reinwald w szkicu, wydanym dopiero w r. 1870 w „Archiw für Litteraturgeschichte" (I. 453) skreśla pięknemi słowami niezwykłą pobożność pięcioletniego Schillera: „Najchętniéj słuchał, kiedy ojciec czytał miejsca z Biblii lub w kółku rodzinném odmawiał ranne i wieczorne modlitwy, kiedy zawsze odrywał się od swych najulubieńszych zabaw i przybiegał. Miło było widzieć wyraz pobożności na jego twarzy młodzieńczéj. Jego pobożne niebieskie oczy ku niebu zwrócone, włosy rudo-blond, które okalały jego piękne czoło i małe pobożnie złożone rączęta, zdobiły go wyrazem niebiańskim, musiano go kochać."

(2) Gesch. der Deutschen Litteratur str. 582.

czesnych mędrców usunąć nie mogła, ale smętnych i melancholicznych uczuć stłumić zupełnie nie było podobna, Szyller Poeta, Chrześcianin i Filozof płakał często nad nikczemnością swych braci, niekiedy nawet tę duszę łagodną zimna ogarniała rozpacz! tak w poemacie *Rezygnacya*, dziele młodości, wystawia człowieka, który u stóp grobu żąda nagrody za ofiary cnocie składane". Wszędzie, gdzie Ziemięcka mówi o religii, niewahałbym się postawić „klasycyzm."

Już w téj epoce, kiedy nieszczęśliwe plany, niespełnione obietnice i wszelkiego rodzaju złudzenia zepchnęły go z wysokości, na któréj go szał wyobraźni postawił, znalazł on potęgę, do któréj przyrósł całą mocą zbolałego serca, co mu dala możność choć w części złagodzić ową przepaść między ideałem a rzeczywistością, która to rzeczywistość, zdało się, pochłonie całą istność poety. Już w r. 1788 napisał Schiller dla „Merkurego Niemieckiego" „Bogów Grecyi," w r. 1789 „Artystów." Znaną jest tendencya obu poematów, znaną ich myśl przewodnia: sztuce zawdzięcza człowiek pierwsze wzniesienie się do godności duchów. Sztuka położyła koniec posępnemu stanowi naturalnemu, kiedy ani umiejętności, ani filozofii, ani religii jeszcze nie było. Pomimo to z zaufaniem zwraca się Schiller do helleńskiego świata i wyraźną jest tutaj tendencya poety, chrześciaństwu przeciwstawić pogaństwo, które podało swoim wyznawcom piękniejsze prawdy zbawienia niż wiara chrześciańska. Powiedziéć tutaj śmiało możemy, iż Schiller, jak to się często zdarza geniuszom, w twórczym zapale i pierwszém natchnieniu przecenił istotę hellenizmu, jest to błąd, na który każdy zgodzić się musi, jakkolwiek z drugiéj strony wierzyć nie będzie stronniczością zabarwionym słowom Vilmara, iż u obudwóch poetów, u Goethego rzadziéj, u Schillera częściéj i każdą razą bardzo dobitnie, objawia się nieprzyjazny stosunek do chrześciaństwa (1). Że nie był to „wpływ Religii" tak silnie staraniem rodziców w serce Schillera wpojonéj, który ochronił go od „tych samych walk, jakie miotały genialną duszą Bajrona," tego dowodzi i ta okoliczność, że Schleiermacher, mając przedewszystkiém Goethego i Schillera na myśli, głośne wypowiadał skargi z powodu niereligijności sztuki. Słusznie powiada o stosunku Goethego i Schillera do chrześciaństwa autor znanego dzieła „Die Romantische Schule" R. Haym: „Wyznaniem wiary tych poetów był humanizm i hellenizm i tak jak pewną jest rzeczą, że pomimo to stali oni na ogólnym gruncie chrześciańskiego zapatrywania i moralności, tak téż nie uda się teologicznym literatom za pomocą chrztu zmyć z nich świetne pogaństwo albo namaścić ich na apostołów." Wraz z przejęciem się

(1) Gesch. der deutschen Nationalliteratur. S. 509.

religią idzie według Ziemięckiéj wewnętrzna rozwaga, która była źródłem jego „subjektowego charakteru.“ Gdybyśmy przetłómaczyli ten rodzaj poezyi na język Schillera, to powiedzielibyśmy—Schiller jest sentymentalnym, Goethe naiwnym poetą. W rozprawie swojéj „Über naive und sentimentalische Dichtung“ pociągnął Schiller granicę między sobą samym a Goethem. Dobrze mu było wiadomem, iż poezyą jego własną od poezyi Goethego dzieli ogromna różnica, przeświadczenie, iż Goethego naiwności nigdy nie dosięgnie, nie potrafiło na Schillera działać deprymująco; postawił bowiem aksiomat, iż sentymentalna poezya obok naiwnéj może się utrzymać. Wiedział o tém dobrze Goethe, w rozmowach swoich z Eckermannem skłonnym jest większą popularność Schillera „odnosić do jego subiektywnego dążenia,“ które pochlebiało większości, trzymającéj się tego samego sposobu. Na innéem miejscu powiada: „Ja miałem w poezyi maksymę postępowania obiektywnego i tylko temu przyznawałem racyą bytu. Schiller zaś, który działał zupełnie subiektywnie, uważał swój sposób za prawdziwy i w celu obronienia się przeciw mnie napisał swój artykuł o naiwnéj i sentymentalnéj poezyi“ (1). Ważniejszą rzeczą dla naszego zadania jest zaakcentowanie trafnych uwag Ziemięckiéj o Schillerze. Jéj pewność sądu, zrozumienie intencyi poety każą zapomnieć o niektórych za mało zbadanych szczegółach. Ziemięcka twierdzi, iż w literaturze niemieckiéj „charakter historyczny epoki jest mało znaczny,“ iż „rozwijanie się pisarzów niemieckich jest bardziéj indywidualne, spokojne,“ tém twierdzeniem nie uznaje Ziemięcka ogromnego wpływu Szekspira, Gerstenberga, Leisewitza, Goethego, którzy widoczne ślady pozostawili właśnie w utworach *młodego* Schillera.

Bądź co bądź, Ziemięcka swoją rozprawą udowodniła, że i u nas nie brak ludzi ze zrozumieniem spoglądających na wielkich mistrzów. Jéj rozprawa składa najpiękniejsze wieńce pochwały u stóp Schillera, jéj uwielbienie odnosi się tak do Schillera-poety jak do Schillera-filozofa. W ogóle był tu dla Ziemięckiéj interes etyczny, który połączył się z estetycznym w jéj charakterystyce Schillera. W najczystszéj formie przedstawił się jéj tutaj duch moralności w Schillerze. Ze względu na te zasługi prawdziwie musimy ubolewać, że autorka pominęła zupełnie późniejsze dzieła Schillera, tę lukę choć w części zapełniła swoją o dwa lata późniejszą rozprawą „Dziewica Orleanu Szyllera i jéj przekład przez A. E. Odyńca“ (2). Jeżeli już w poprzedniéj rozprawie umieściła Ziemięcka niejedną trafną uwagę

---

(1) Gespräche mit Eckermann, II. 203.

(2) W Pielgrzymie z r. 1844. T. I. str. 317—342.

do słusznéj oceny estetycznéj Schillera w ogóle—oceny, która prawie żadnych plam na słońcu nie spostrzega—to tutaj nadarzyła się autorce sposobność, wypowiedziéć to, co najbardziéj poruszyło jéj tkliwą i piękną duszę podała bowiem tutaj analizę nie innéj sztuki Schillerowskiéj, jeno „Dziewicy Orleańskiéj.“ Nie sądzę, by przekład Odyńca był *jedynym* powodem napisania téj rozprawy. Jestem skłonny wewnętrznych pobudek szukać w indywidualności Ziemięckiéj. Główna tendencya jest tutaj natury apologetycznéj; właściwym zamiarem jest zaprosić do duchowego użycia prawdziwéj sztuki i do tego użycia przygotować.

Nader interesującém jest dla teoryi Ziemięckiéj i dla jéj zgodności z poprzedzającą rozprawą to, iż chwali przedewszystkiém *przedmiot*, który poeta sobie obrał. Sam przedmiot był dość potężnym, by natchnąć poetę do napisania utworu, który nosi na sobie cechy niejako diwinatorskiego zapału. „Są zdarzenia w historyi, które zdają się wywoływać natchnienie poety--okoliczności jakie im towarzyszyły są przyrodzoną im poetyczną oprawą—a kiedy jeszcze zachwycony wieszcz ich rozważaniem wzniesie się do pojęcia ich znaczenia duchowego w wychowaniu ludzkości—wówczas obrazy płyną śmiało i szeroko w wyobraźni jego, wówczas arcydzieło w jednéj chwili się prawie tworzy; utwór taki ma szczególną potęgę, bo jego poezya traci charakter ludzkiéj artystyczności, i staje się jakby poezyą boską—opatrzną.“ Geneza „Dziewicy Orleańskiéj“ inaczéj nas pouczy: Schiller nie należał do poetów, którzy nie patrząc na technikę utworu, wierzą na ślepo swojemu wieszczemu powołaniu. W pozostałych po nim szkicach do „Demetryusza,“ które po śmierci Schillera na biurku jego znaleziono, znajdujemy ślady ogromnych studyów; zbierał przysłowia, szperał w najrozmaitszych źródłach, które mu tylko były dostępnemi; myśli oderwane, po największéj części czekające na ostatnią redakcyą, słowem owoce żelaznéj pilności świadczą o jego metodzie pisania. Prawda, że wiele uczynił intuicyą, która go uczyła rzeczy zkądinąd zupełnie mu obcych. Wypadki tego rodzaju, które ma na myśli Ziemięcka, mają tylko patologiczne znaczenie, a Grillparzer, który w dwóch tygodniach napisał swoję „Ahnfrau“, nie ruszając się z miejsca, potwierdzić tylko może tę zasadę, iż objaw taki stoi w związku z ustrojem fizycznym poety.

Schillera zajmowała „Dziewica“ od 1 lipca 1800 r. do kwietnia 1801 roku. Owo natchnienie nie mogło być tak potężném, jak je Ziemięcka przedstawia, mimo to zdania jéj o „Dziewicy“ są tak trafne, iż nie mogę się wstrzymać od podniesienia niektórych jaśniejących miejsc jéj estetyki co do „Dziewicy.“ Myśl przewodnią, dominującą w utworze Schillera zawarła Ziemięcka w charakterystycznych słowach: „Szyl-

ler doskonale pojął tę myśl opatrzną w życiu Joanny zawartą—bo chociaż on nie był katolikiem—uczucie religijne jako w chrześcianinie było w nim tak rozległe i silne, że nic nie uszło jego oka pod względem religijnych zasad życia ludzkości.''

Takiego przekonania będzie każdy, kto bez uprzedzenia podda się wrażeniu tragedyi, która zawiera w sobie najpiękniejsze *credo* indywidualnych zwierzeń Schillera.

Pisze on dnia 5 stycznia 1801: „Zakończyłem pracą stare stulecie a tragedya moja, jakkolwiek powoli idzie, otrzymuje dobre kształty. Sam przedmiot ożywia mię, jestem przy nim z całém sercem, i płynie mi także więcéj z serca aniżeli poprzednie sztuki, gdzie rozum musiał walczyć z przedmiotem.“ Rozum więc nie miał tutaj takiego udziału jak gdzieindziéj, przedmiot sam był dość potężnym, by muza Schillera, idąc za głosem natchnienia, wyśpiewała najszczytniejsze prawdy, wplatając do akcyi—a to jest najlepszym dowodem owéj nieświadomości twórczego umysłu. Jak stanowczo potwierdzają owe słowa Schillera zapatrywania Ziemięckiéj! Z jakim artyzmem odtwarza Ziemięcka postać „Dziewicy,“ która wskutek zdań *a priori* powziętych niejednokrotnie fałszywie była zrozumianą i interpretowaną. Ziemięcka jest skłonną, wrażenie „Dziewicy“ przypisać w zupełności idei, ciągnącéj się przez całą akcyą sztuki. Ta idea ma swe źródło w chrześciańskim umyśle Schillera. Entuzyastycznemi słowami akcentuje przedewszystkiém tendencyą tragedyi i jéj dążność, do któréj zaraz od początku zmierza akcya. Nie formą podbił Schiller umysły pod swoję władzę, lecz wskutek prawd, wypowiedzianych w tragedyi: „Czyż myślicie—pyta Ziemięcka—że piękność wiersza, łatwość improwizacyi łzami oczy nasze zasuwa—o nie, żaden geniusz formą nie przeniknie do serca—wszystko się tu łączy silnym węzłem, najmniejszy odcień sztuki z najodleglejszą zasadą życia moralnego; tylko słońce prawdy pieśń z duszy człowieka wywołuje—jak słońce przyrody śpiew słowika obudza—inaczéj będą dźwięki bez znaczenia, które słuchaczów nie dotkną.“ Chętnie wierzymy słowom autorki, gdyż pochodzą z przeświadczenia; tych słów, któremi Ziemięcka oznacza wartość „Dziewicy Orleańskiéj“, możnaby użyć do określenia jéj dążności. Słowa Ziemięckiéj nie są dźwiękami bez znaczenia, gdyż tendencya jéj pism opartą jest na chlubnych jéj dążnościach. Ona należy do owych wyjątkowych postaci, których każda czynność była opromienioną równém światłem wewnętrznych pragnień i aspiracyi, które z nich wytryskając, przenikały rzeczy około niéj będące. Ziemięcka należy do wcale nielicznej grupy ludzi, którzy zbudowali sobie w sercu świątynię, by się tam oddać kultowi wszystkiego, co piękne i szlachetne. Dzisiaj rozprawy jéj są tylko

świadectwem jéj szlachetnych usiłowań i pomnikiem okresu, w którym one powstały. *Powaga* była sygnaturą owych czasów. Ziemięcka posiadała siłę, myśli epoki swéj przejąć w siebie i bezustannemi studyami w wielu kierunkach daléj poprowadzić. Berthold Auerbach stworzył słowo „Goethereif“, które ma służyć jako skala oceny narodu, zajmującego się Goethem. Gdyby istniało słowo „Schilllerreif“ nie wiem, kto oprócz naszych największych koryfeuszów więcéjby zasłużył na to miano od Eleonory Ziemięckiéj!

Józef Kremer, jakkolwiek oddany studyom filozoficznym, poczuł w sobie pociąg nieprzyzwyciężony do poezyi, a zwłaszcza poezyi takiéj, jak Schillera. Owocem tego entuzyastycznego lgnięcia do poezyj Schillera jest rozprawa, ogłoszona w Dwutygodniku Literackim, który wychodził w Krakowie pod redakcyą Waleryana Kurowskiego, w r. 1844: „Kilka słów o Schillerze, Dziewicy Orleańskiéj i wystawieniu jéj na teatrze krakowskim,“ (przedruk w zbiorowém wydaniu warszawskiem w tomie XII. str. 417—487). Kremer zaczyna swoję rzecz od znanego, lecz nieuzasadnionego podania o młodym Schillerze, który w wycieczce z jednym ze swoich towarzyszów, nie dostawszy w wiosce jednéj żądanego mléka, przeklął tę wioskę, drugą pobłogosławił, ponieważ nie żałowała mléka. Następnie przedstawia nam Schillera w szkole wojskowéj. Widać tu gruntowne wczytanie się w biograficzne szczegóły Schillera (1). Nie możemy Kremerowi z tego uczynić zarzutu, iż niektóre fałszywe podał szczegóły, widocznie czerpał ze źródeł mniéj wiarogodnych, któremi są przepełnione biografie Schillera. Kremer mówi, że książe Karol nie mógł się pogodzić z formą pisania Schillera. „Sam będąc chowany w zasadach dawnéj konweniencyi, cenił wysoko dramaturgią klasyczną Francyi, więc téż nie dziw, że go raził i majestat dziki, wulkaniczny, młodego geniusza. Pragnął go tedy widzieć w formie zbliżającéj się klasykom francuskim; ale téj formy nienawidził Schiller i bez ogródki wstręt ten swój objawił.“ Wątpimy, czy Karol i z tą myślą pogodziłby się, by Schiller pisał w guście francuskim, jemu przedewszystkiém chodziło, by uczeń medycyny nie zajmował się rzeczami, wychodzącemi z poza obrębu studyum fachowego, a już zgoła nie mógł znieść płodów literackich, w których przebijała się myśl rewolucyjna. Kremer opowiedziawszy kolei życia smutnego i pełnego łez młodego Schillera, wsuwa w swój obraz ślicznie napisa-

---

(1) Zadziwiła nas uwaga wydawcy, Henryka Struvego, który odsyła czytelników do dzieła zupełnie źle napisanego przez Laubego, którego literatura nie ma żadnéj wartości; wprawdzie w r. 1879 nie wyszła jeszcze literatura Scherera, ale były podręczniki Gervinusa, Kobersteina, Hettnera i innych.

ny drugi, niemniéj zajmujący. Wystawia nam „człowieka w szarym Królewcu, w szarym domu, najspokojniéj sobie w świecie żyjącego w szarym surducie.“ Ten człowiek widocznie wiele punktów stycznych miał z Kremerem, bo go opisał z prawdziwém synowskiém przywiązaniem. „Maluchny, wywiędły, szczuplutki, profesor niemiecki, dziekan odwieczny królewieckich kawalerów, któremu się nigdy na ożenienie nie zbierało, a o miłości i we śnie nie marzyło.“

Ten profesor, ten myśliciel-filozof, ten szperacz: to Kant. Wewnętrzną konsekwencyą umotywowany ten obrazek, który niby *deus ex machina* wleciał do rozprawy o „Dziewicy Orleańskiéj.“ Kremer doskonale pojął owę łączność Schillera z wielkim filozofem królewieckim. „Filozofia Kanta jest pierwiastkiem potężnym, żyjącym w sposobie zapatrywania się Schillera, w jego stanowisku filozoficzném i poetyczném. On ją w siebie przyjął, w sobie daléj rozwinął a w jego pieśniach żyje pogląd filozoficzny na świat. Jego figury dramatyczne, są to filozoficzne myśli odziane widomą szatą, i przystrojone całym urokiem nadziemskiéj poezyi.“ Temi słowy trafia Kremer rzecz w sam jéj rdzeń, a sympatya z jaką omawia wszędzie Kanta, tém się usprawiedliwia, iż sam był wielce spokrewniony z Kantem. Instynktem, którego głosu słuchają geniusze, dostrzegł owych punktów stycznych. łączących Schillera poezyą z systemem filozoficznym, który sobie wytworzył głównie na fundamencie filozofii Kantowskiéj.

Téj epoce, która oznaczona jest wpływem Kanta, przyznaje Kremer drugie miejsce w rozwoju poetyckim Schillera. Trzecia epoka jest to najświetniejszy rozwój geniuszu Schillera. Także ze względów materyalnych przewyższa ta epoka dwie poprzednie, które nader smutnemi doświadczeniami były oznaczone. Schillera problemata poetyckie harmonijnie łączyły się z jego usiłowaniami filozoficznemi. „Dla tego téż ten ogólny, filozoficzny, głęboki pierwiastek w istocie Schillera jest niezbędny do zrozumienia dzieł jego; ten to pierwiastek artysta sceniczny koniecznie znać powinien, uwidomić myśli wielkiego mistrza, jeżeli rzetelnie zasługuje na imię artysty (1). Każdy przyznać musi, że myśl ta dominuje w pracach Schillera (2); jeżeli jednak Kremer chce wykazać ów związek filozofii z poezyą, to najmniéj uwidocznia się on w „Dziewicy Orleańskiéj,“ gdzie fantazya samodzielnie dzierży berło. Jakkolwiek tło dziejowe zostało wiernie zachowane, to mimo to, wiele zawdzięcza swój byt wolno działającéj wyobraźni poety. Chciał on przedewszystkiém, Joannę wysta-

(1) Dzieła XII, 426.—(2) Por. Überwega: Schiller als Historiker und Philosoph. 1884 r.

wić jako dziewicę przez Boga natchnioną, która uciemiężoną ojczyznę wyratowała z rządów obcych i króla napowrót na tron wprowadziła. W tym celu musiała wystąpić jako w istocie od Boga natchniona, a ufność jéj w swoje wielkie posłannictwo nie mogła być złudzeniem. Wprawdzie wielu nie zgadza się z Schillerem, co do tragicznéj winy bohaterki, wszyscy jednak przyznają, że gieniusz Schillera objawia się tutaj właśnie w owéj sile przekonania, która nam każe wierzyć w cuda przez Joannę wykonane. Do bezwzględnych czcicieli Schillera problematu cudowności należy Kremer: „Co do mnie, ja czczę i czołem biję takim proroctwom, jakie Joanna czyniła; boć co prorokowała, to nie na wiatr, ale święcie ziściła — a do tego — bo położyła głowę za te proroctwa swoje.“

Nawet Hettner, który nie uznaje, ażeby wina „Dziewicy“ mogła odpowiedzieć wszelkim warunkom nowoczesnym, przyznaje, iż już sama atmosfera działa na widza i czytelnika w sposób nader korzystny, a widz, mimowoli olśniony nadziemską postacią, zostaje zupełnie opanowanym siłą fantazyi poety. „Nad całą postacią wybranéj leży coś ponad zwyczajną istność człowieka wyniosłego, leży blask i świętość wieszcza i demoniczna, uniesienie boskie i uroczysta wzniosłość proroctwa starego testamentu“ (1). Scherer widzi w „Dziewicy“ wpływ Iliady, jego uwagi przypominają nam paralelę pociągniętą przez Brodzińskiego. „Tutaj błyszczy coś z światła homerowskiego, z świetności homerowéj.“ Właśnie zewnętrzna jasna postać i wystąpienie cudowności, zupełnie jak u Homera bogowie i ludzie się mięszają, wszystko to działa do sprawienia porywającego wrażenia“ (2). Właśnie ta okoliczność powinna nam kazać zapomnieć o winie Joanny, która nie może przed trybunałem krytyki się ostać. Dlatego Hettner zadaleko idzie, gdy się pyta słowy, które już odpowiedź w sobie zawierają: „Czy ta tragiczna wina, z któréj upadek bohaterki wynika, dla naszego tegoczesnego sposobu myślenia i czucia, jest w istocie winą?“ Kremer dokładnie wszedł w intencye poety i tak tę winę zrozumiał, jak ona każdemu wydać się musi, który z nieuprzedzonym umysłem poddaje się pięknemu złudzeniu. Właściwy sposób widzenia wypowiada H. Düntzer, który Hettnera wywody odpiera tym argumentem, iż fantazyi poety powinno się pozostawić wolne pole do działania, w którém-by wszechwładnie panować mogła. „Kto poecie odmawia siły, nas mimowoli porywać za sobą, ten niszczy tém samém grunt każdego wyższego

(1) Hettner. Gesch. der Deutschen Litter. III, 2. 306.—(2) W. Scherer. Gesch. der Deutsch. Litterat. 604.

utworu dramatycznego. Na to jest poeta właśnie poetą, ażeby jak czarodziéj osiągnął moc nad nami“ (1).

Kremer nader trafnie oznacza winę tragiczną Joanny, która w „tém błądzi, iż choć kobietą jest, nie uznaje powołania niewieściego, wyrzeka się miłości, wyprzysięga się szczęścia poznania uczuć macierzyńskich i ślubuje, że nie chce być kobietą, że nie chce być matką, a w tém obraża święte powołanie kobiety, będące zarównie prawdą, na cześć jéj zasługującą.“ Konflikt tragiczny objawia się w wyższości umysłowéj, która bezkarnie nie może istnieć na ziemi. Upadek téj wyższości, śmierć piękności i wzniosłości jest konfliktem, którą nie tylko Schiller zużytkował w „Dziewicy Orleańskiéj“. „Safo“ Grillparzera obraca się około téj saméj osi. Safo wybiegła po za granice swego działania, jéj upadek jest skutkiem powyższéj prawdy moralnéj. „Dziewica Orleańska“ nosi wyraźne piętno wyższości na czole. W. Scherer kilku słowami najlepiéj określił cel i tendencyą tragedyi: „Naiwność, którą Schiller teoretycznie stawiał tak wysoko, chce tutaj uzmysłowić, lecz równocześnie znowu: los piękności na ziemi! Miłość ziemska pociągnie ją do poziomu „Zwischen Sinnenglück und Seelenfrieden bleibt dem Menschen nur die bange Wahl.“ Pokój znikł z jéj duszy, skoro pociąg ku mężczyźnie do jéj serca się dostał“ (2). Że Kremer idzie wszędzie za głosem swojego czucia estetycznego, dowodzi i ta okoliczność, iż nie dzieli zdania, które przez romantyków, a mianowicie Tiecka wypowiedziane, przyjęło się na naszym gruncie i niejednego w błąd wprowadziło. „Ta cudotworność w „Dziewicy Orleańskiéj“ często przez najcelniejszych estetyków uważana była za wadę sztuki; przecież nie mógłbym się bezwarunkowo na te nagany zgodzić. Bo lubo prawda jest, iż póki cuda i zjawienia nadprzyrodzone wywierają swój wpływ na samą Joannę tylko, póty téż łatwiéj usprawiedliwione być zdołają, bo je można uważać jako jéj własną mocną wiarę, jéj przekonanie religijne i święte, iż zbawić kraj zdoła. Gdy zaś ta potęga nadprzyrodzona roztacza się na inne osoby, na cały poemat, więc jużby się zdawać mogło, że tém samém osłabia się jedność artystyczna, która na tém zależy, by dramat rozwijał się sam z siebie, by własny czyn człowieka wywoływał skutki sobie właściwe; gdy zaś obca siła, jaką jest cudotworność, wmięsza się w to rozwijanie dramatu, już wtedy téj jedności nie będzie, bo nie czyn człowieka samowolny będzie rządzić wypadkami, ale potęga nadprzyrodzona, a całość organiczna dzieła zniknie i spaczy się w swéj jedności.“ Te powątpiewania są,

(1) Schillers. Jungfrau v. Orleans. Erläutert v. H. Düntzer. str. 111.
(2) Gesch. der Deutschen Litteratur, str. 60.

według Kremera, tylko pozornemi, bo „cudotworność ta bynajmniéj nie wpływa na pochód rzeczy.“

Z logiczną konsekwencyą, właściwą Kremerowi, zbija on zarzuty, które mogły być podniesione przeciw cudotworności, grającéj w tragedyi Schillera ważną rolę. „Jakoż scena w akcie I, gdzie Joanna rozpowiada królowi tajemnice snu, nie jest stanowczą, bo Joanna już raz zwyciężyła nieprzyjaciół i tak dowiodła posłannictwa swojego; dodajmy jeszcze, iż scena ta jest historyczna, bo z podań wzięta. Rycerz czarny także nie wpływa na pochód sztuki, podobnież i gromy piorunne w owéj stanowczéj chwili wcale nie rozwiązują losu dziewicy, bo nie tak te gromy świadczą przeciw niéj, jak raczéj jéj milczenie, gdy właśnie na nalegania ojca, króla, Agnieszki i Dunois, nie odpowiada. Również i zerwanie kajdan nie może miéć wpływu na wątek rzeczy, bo dzieje się już w samym końcu sztuki, i wtedy, gdy już od upodobania autora zależało tak lub w inny sposób ukończyć swoje dzieło.“

Zarzuty te, podnoszone przez wielu estetyków niemieckich, które Kremer z taką stanowczością zbija, nie są uzasadnione, pomimo to i pomimo pięknéj pracy Kremera, wygłasza Kazimierz Kaszewski w roku 1858 zdania (1), które po Kremerze zadziwiać mogą. Kaszewski, zdaje się, że „Dziewicy Orleańskiéj“ Schillera dokładnie nie zgłębił. W ten tylko sposób mogę wytłómaczyć takie dziwne zdania, jak: „Najszkodliwszą dla Joanny inwencyą jest zakochanie się w Lionelu. Tu już Szyller zupełnie nie zrozumiał dziewicy chrześciańskiéj, nie pojął idei wybrania i namaszczenia Bożego, odarł ją z zasług i wytrącił z jéj ręki palmę męczeńską, a natomiast podstawił expiacyą w śmierci przedwczesnéj, chociaż chwalebnie poniesionéj.“ To, co stanowi konflikt między obowiązkiem a skromnością człowieka, owa przepaść między bohaterką nieznającą potęgi miłości a kobietą, która nigdy swéj kobiecości zaprzéć się nie może, użył Schiller do przedstawienia tragicznego końca Joanny. Dalszy ciąg tragiczności „Dziewicy“ stanowi właśnie potęga miłości, która wszechwładnie rządzi Joanną od czasu, gdy ta dała się opanować uczuciu, które jéj nazawsze powinno być tajném. W chwili, gdy ta pod wpływem srogiéj nienawiści chce zadać cios śmiertelny temu, który jéj złorzeczył, przystępuje do niéj nieznana jéj miłość, a ta staje się powodem jéj tragicznego końca.

Zarzuty podniesione przez Hettnera (2), Fielitza (3), z których pierwszy wzbrania się uznać tragiczność w życiu Joanny prawdziwą

(1) Joanna Darc jako przedmiot dramatów: Fryderyka Szyllera i Daniela Sterna. (Biblioteka Warsz. 1858, III, 331 i nast.). — (2) III, 2, 309. — (3) Studien zu Schillers Dramen, str. 77.

winą, drugi przedstawia sobie jéj miłość jako boskie pokuszenie, polegają na zbyt subtelném rozumowaniu o istocie techniki dramatycznéj, która nie zawsze stosować się może do kodeksu „ukutego przy biórku filozofów.“ Żaden jednak z nich nie zdradził się z takiém zapoznaniem jędrnych, zasadniczych myśli w tragedyi Schillera, jak Kaszewski. Zupełnie w duchu i imieniu poety interpretuje Kremer spotkanie Joanny z Lionelem. „Joanna zwycięża młodego rycerza; lecz zaledwie strąciwszy mu przyłbicę, widzi oblicze jego, już staje bezwładną i miłość ją ogarnia—ślub złamany. Miłość jest wrogiem, który powstał we własnéj jéj duszy. Cała jéj potęga cudowna i jéj chwała, stała na zrzeczeniu się uczuć natury, gdy te się rodzą, jéj wielkość upada; kobieta mści się na bohaterce.“ — Kremer sam powiada, iż „mu bynajmniéj nie chodziło o prostą recenzyą teatralną, albowiem recenzya takowa winna być napisaną tuż po odegranéj sztuce póki i dramat sam i wystawienie trwa jeszcze w świeżéj pamięci publiczności i powinna być krótką w swéj treści.“ Ostatnie słowa świadczą o skromności wielkiego pisarza, którego rozprawa wszędzie odznacza się głębokiem wniknięciem w myśl i intencyą poety, a bystry wzrok filozofa z łatwością odgadnąć potrafił największe tajniki sztuki Schillera. Tych dodatnich przymiotów nie posiada niestety praca Kazimierza Kaszewskiego. Dziwić nas będą rażące błędy w estetycznéj ocenie Kaszewskiego tém więcéj, jeżeli zważymy, że poprzednicy jego na daleko wyższém stanowisku umiejętném stoją; Brodziński i Kremer wypowiedzieli zdania, które i dzisiaj mają swoję wartość. Na Kaszewskiego zdania nikt się pisać nie będzie, gdyż sprzeciwiają się one całéj tendencyi tragedyi Schillera.

Na kilka lat przed Kaszewskim wyszła książka p. t. „Dziewica Orleańska, ustęp z dziejów Francyi“ (Poznań 1847). I ze stylu i z metody, jak i z całego traktowania rzeczy poznać łatwo wielkiego *Karola Libelta.* Dzieło jego rozważa Joannę historyczną, t. j. taką, jaka się nam przedstawia ze źródeł historycznych. Libelt trafnie ocenia historyczne zjawienie się Joanny, jego uwagi mogą być dosłownie powtórzone o „Dziewicy Orleańskiéj“ Schillera, w któréj cudowność przeniesioną została do poezyi. Ta cudowność wypływa z ducha czasu, który chętnie poddawał się wierze o cudach i cudotwórcach, a któréj także Schiller pozwolił w swéj tragedyi wszechwładnie panować. Brodziński uważał tę cudowność jako oś, około któréj obraca się akcya tragedyi Schillera i Homera „Iliada.“ To naprowadziło go, jak się zdaje, na myśl porównania „Iliady“ z „Dziewicą Orleańską.“ Libelt także odczuwa tę łączność „Dziewicy“ z Homerem, gdy po-

wiada: „Ta ludzkość różnoplemienna i różnonarodowa rozrzucona na kuli ziemskiéj i sformowana w obszerne społeczeństwa i państwa była w początkowych zawiązkach swoich, wedle wiary ludów, pod wyłączną opieką bogów, losami jéj zajmujących się. W Homerze najplastyczniéj ta wiara wydana. Nie tylko z kurzących się wnętrzności zwierząt ofiarnych odgadywano wolę bogów, nie tylko nie badano wyroczni i wieszczów, ale widzimy same nawet bóstwa, walczące w szeregach ludów, w szczególną opiekę sobie oddanych.“ (str. 4). To zajmowanie się bogów ludźmi, to bezpośrednie stykanie się bogów z ludźmi, dało pochop do wiary w cuda, które lud zawsze chętnie akceptował. „Lud najwięcéj cierpiał, lud téż najwięcéj wyglądał ratunku, a w pobożności swojej wyglądał go przez cud i dla tego Dziewicę Orleańską, jako zesłankę z nieba, powitał i w opowiedziach swoich całym blaskiem cudowności otoczył“ (str. 20).

Libelt uważa jako największą sztukę Schillera owo instynktowe przejęcie się treścią taką, która do tragedyi użyta, musi odpowiedzieć wszelkim warunkom artystycznym. „Z pod pyłu i kurzu wieków dopatrzyła je tam najprzód poezya i przeczuła od razu ich znaczenie. Ród pograniczny Germanów, twórca idealnéj filozofii, wrócił cześć Joannie Orleańskiéj i w poezyi swojéj ją uświetnił.“ Nadzwyczaj kunsztownie przedstawił Schiller owę walkę duszy, która nie pozwala Joannie brać udziału w powszechnéj uciesze, i która nawet nakazuje jéj milczenie wobec stanowszych pytań ojca. Z aparatem prawdziwego psychologa rozbiera Schiller uczucia wrodzone kobiecie, jéj powołanie i jéj cel, z drugiéj strony owę kolizyą wyższości, owego wzniesienia się nad poziom z prawami, które nakłada natura. Tę iście gienialną sztukę pojął Libelt w najdrobniejszych jéj szczegółach. Kilku słowami wypowiada to, na co estetycy niemieccy potrzebowali całych tomów, aby popaść w nowe błędy. Libelta estetyczne *credo*, co do „Dziewicy“, mieści się w słowach: „W „Dziewicy“ Szyllera widzimy ją niepokalaną w uczuciach, natchnioną wyższém światłem, silną tém natchnieniem i do poświęceń nad siły niewieście gotową. Wiara w odebrane posłannictwo boskie jest jéj duszy potęgą, z niéj czerpie moc, męstwo, odwagę, poezyą i ducha wieszczego; przez nią rozlewa w okół siebie ufność, wiarę, zapał i uniesienie do spełnienia wielkiego dzieła. Atoli warunkiem jéj potęgi jest nieposzlakowana czystość jéj duszy, którą Bóg wybrał za naczynie swoje, żadna słabość ludzka nie powinna jéj skalać, żadna inna miłość, obok miłości Boga, w piersi jéj zamieszkać. Gdy jednak w końcu obudziło się w dziewicy uczucie ludzkie i miłość dla człowieka serce jéj zajęła—odstąpiły ją potęgi nieba—była już tylko człowiekiem jako inni ludzie i w moc ich dostała się.“ (str. 22—23).

W jedenaście lat po wyjściu na świat książki Libelta, nastręczyło wydanie dramatu historycznego „Joanna Darc“, przez Daniela Sterna napisanego, Kazimierzowi Kaszewskiemu sposobność porównania „Dziewicy Orleańskiéj“ Schillera z utworem Sterna. Rezultatem tego studyum jest to, że Stern „rozważniéj i oględniéj przystąpił do rzeczy niż Szyller, którego utwór, oprócz powabu poetycznego nie ma, rzetelnie mówiąc, w sobie idei panującéj i nic stanowczego z siebie nie wywiązuje“ (?) *). Takiego sądu o jednym z najcelniejszych utworów Schillera nigdzieśmy nie napotkali. Widocznie autor oparł swoje wywody na istotnych studyach, przyszedł jednak do wniosków wręcz przeciwnych tym, które wygłosili najpierwsi estetycy i historycy literatury niemieckiéj. Przedewszystkiém zaznaczyć musimy, że autor stoi na fałszywém stanowisku; chciałby, by Joanna nie była człowiekiem, ale otoczona jakąś mgłą eteryczną, stała przed nami jako ideał wyższości a nawet jako święta prawom ludzkim niepodległa osoba. Określając istotę Joanny, wypowiada autor życzenie, by dziewica ta stała się bohaterką chrześciańskiego dramatu; poeta, któryby ten trudny problemat obrał sobie, powinien tworzyć zupełnie w duchu chrześciańskim. Jakkolwiek tutaj autor jeszcze nie zwraca się przeciw Schillerowi, widać jednak, że o nim myśli, gdy wypowiada ojcowską przestrogę, „ale biada autorowi, któryby chciał z jéj przedmiotu uczynić prostą zabawkę sceniczną.“ Apostrofa kaznodziejska kończy się słowami: „Poeta, który przedmiot ten bierze pod rozwagę i rozwija go na tle swego natchnienia, niechaj zapomni, że są na świecie jakie deski teatralne i niechaj tworzy dramat dla sceny, która będzie“ (?). Z tych słów wolno wnioskować, że pociski wymierzone są przeciw Schillerowi, bo nieco późniéj powiada autor: „Więc choć przy układzie „Dziewicy Orleańskiéj“ widocznie chodziło mu o teatr, dla którego pracował; o powodzenie sceniczne, bez którego teatr i poeta żyćby nie mogli....“ Autor żąda od poety, by mówił z namaszczeniem, by padał na kolana przed Joanną, jako przed słońcem, które tak wspaniale zeszło na horyzoncie francuskim.

To, co stanowi główną zaletę Schillera, jako wytrawnego, ściśle motywującego dramaturga, u którego nic nie dzieje się przypadkowo, jest według Kaszewskiego głównym błędem tragedyi. Przytém ciągle stoi Kaszewskiemu przed oczami *historyczna* Joanna, która według niego daleko większym blaskiem była otoczona niż ta, którą nam Schiller przedstawia. Zapomina tutaj autor, iż Schiller właśnie był owym poetą, który przedsiewziął ratunek Joanny tak bardzo zo-

*) Biblioteka Warszawska 1858, III, str. 345.

hydzonéj. Voltaire nie miał powodu wystawić Joannę w tém świetle, w którém się nam przedstawia u Szekspira, bo właśnie była Francya owym krajem, który zawdzięczał cudowne swe uratowanie biednéj „Pucelle.“ A właśnie Voltaire napisał swój lichy utwór nie w innym celu, tylko aby wiarę w cuda i religię katolicką, którą Chapelain niedawno wielbił, swojém sarkastyczném szyderstwem zmieszać z błotem. Schiller przeciwnie był owym, który zbezczeszczoną i oplwaną postać Joanny postawił na miejscu honorowém. W liście do Wielanda wyraźnie podnosi Schiller tę okoliczność; wolno z tego wnioskować, że z całą świadomością przedsięwziął akt uratowania postaci, do któréj czuł tak wielką sympatyą. W liście tym powiada Schiller, że jeżeli Voltaire swoję „Pucelle“ zanadto błotem obrzucił, to jemu grozić może druga ostateczność, bo mógł łatwo „za wysoko ją postawić“, lecz tylko w taki sposób spodziewał się zniszczyć haniebne skutki dzieła Voltaire'a (1).

Kaszewski nie sformował jasno swych zarzutów, tak, że dla mnie przynajmniéj wydają się jako paradoksy, pozbawione wszelkiéj podstawy. „Prawda, że w nim Szyller w wielu miejscach staje ponad historyą, udokładnia ją i *idealizuje*; ale to wzniesienie odbywa się niejako jakby kosztem saméj bohaterki dramatu, która spada o wiele niżéj nad historyczny poziom“ (?). A więc Joannę idealizuje poeta, a mimo tego stoi ona niżéj od historycznéj „Dziewicy Orleańskiéj“! Brak mi słów do wyrażenia zadziwienia, jak rozumny krytyk może się zabłąkać w takie zapatrywania, które, sprzeczne same z sobą, pojęcie konfliktu tragicznego i całe założenie tragedyi w fałszywém świetle przedstawiają, i zarzucać może Schillerowi brak wiary, którą „trzeba czuć tak, jak się czuje ciepło własnego ciała i bicie własnego serca.“ Kaszewski wolałby, jak się zdaje, ażeby Joanna po dokonaniu rycerskich czynów, po koronacyi króla, powróciła w swojskie strony, jak to według niektórych podań *historyczna* Joanna chciała uczynić. Przyznać trzeba, że taka „Dziewica“ odpowiadałaby najwięcéj życzeniom autora, bo mówi on: „Joanna po dopełnieniu tego posłannictwa nie mogła żyć: bo cóż miała robić? Czy za zasługi zostać jaką figurą dworu? Miałże dla niéj Karol porzucić Agnieszkę i z nią podzielić koronę Francyi; albo miałaż Joanna wrócić do sielskich zatrudnień, w dalszym ciągu paść ojcowskie owce i dokonać żywota, jak każda Małgorzata lub Katarzyna.“ Śmierć Joanny nie powinna nastąpić według Kaszewskiego tak, jak ją sobie Schiller przedstawia. Ponieważ Joanna zgrzeszyła, więc inaczéj nie można sobie jéj śmierć interpretować, jak tylko jako „upadek ziem-

(1) Por. Düntzera: Schillers Jungfrau von Orleans, str. 57.

ski.“ Jeżeli Joanna zgrzeszyła, a tém samém utraciła otrzymaną łaskę, jakimże sposobem mogła modlitwą uwolnić się z kajdan i znów dokonać cudów zwycięstwa, jakich dokonywała tylko w stanie łaski? Dwie ważne okoliczności przeoczył Kaszewski. Joanna-kobieta zbłądziła w nieszczęsnéj godzinie, poniosłszy najsroższą karę, doznawszy dowodów od samego Boga, który piorunem do niéj groźnie przemówił, zmazała tę winę, która jéj ciężyła tak boleśnie. Wyraźnie spowiada się ze swoich uczuć w rozmowie z Rajmundem, wyznaje, dlaczego milczeniem swojém dała powód do swego upokorzenia. W blasku zaszczytów czuła największą boleść. czas, w którym jéj zazdroszczono, był dla niéj najnieznośniejszym. Nastąpił czas pokuty, z którego wyszła zwycięzko:

„Jetzt bin ich
Geheilt, und dieser Sturm in der Natur,
Der ihr das Ende drohte, war mein Freund,
Er hat die Welt gereinigt und auch mich.
In mir ist *Friede*—komme, was da will,
Ich bin mir *keiner Schwachheit mehr bewusst.*“

W akcie ostatnim (w scenie dziewiątéj) potęga duszy Joanny przechodzi przez wielką próbę. nieprzyjaciel jéj narodu, który jedyny wzniecił był w niéj uczucia zupełnie jéj obce, daremnie stara się ją nakłonić, by została jego na zawsze. Lecz ta znowu odnosi nowy tryumf nad sobą, czuje się znowu jako orędowniczka swojego kraju, w imieniu którego prosi o pokój. Nawet Hettner, który uwolnienie się z więzów uważa za chybiony środek artystyczny, przyznaje, iż ekspiacya, dokonana przez Joannę, zupełnie wystarcza, by zobaczyć Joannę znowu w posiadaniu téj władzy, którą wskutek chwilowych uniesień straciła była. „Lionel, który niegdyś jéj sercem zawładnął i uczynił ją był niegodną jéj wysokiego powołania, broni jéj przed śmiercią uproszoną. Błaga o jéj miłość. Ale ona zbłądziła tylko w chwili szału; teraz pokonała sama siebie. Znowu tylko ojczyzna, któréj jéj życie zostało poświęcone, panuje w jéj duszy. A gdy bitwa coraz gwałtowniéj około niéj wrze, gdy nawet król zostaje pojmany, wtedy rozrywa z siłą demoniczną ciężkie więzy, którymi jest związaną, wybiega na pole bitwy, uwalnia króla, dopełnia ostatniego stanowczego zwycięstwa“ (1)...

Zasługi Kaszewskiego na polu literatury ojczystéj sprawiają, iż praca nasza staje się nam przykrą, wolimy zwrócić się do pracy najnowszéj o Schillerze prof. Tarnowskiego. Pióro szanownego pisarza jest znane, potrafi wszędzie odtworzyć obraz tak jasny, iż postać

(1) Hettnera „Literatura“ III, 2, 307.

Schillera i jego otoczenie stoi nam prawie przed oczyma, iż zdajemy się wciągnięci w atmosferę młodego Schillera. Autor zaznaczył sobie skromne granice: „bez zuchwałych roszczeń, bez nadziei i bez usiłowania nawet nowych odkryć i widoków, bez możności i pretensyi usłużenia literaturze powszechnéj lepszém zrozumieniem postaci i dzieł Schillera, a choćby tylko lepszego objaśnienia jakiegokolwiek najmniejszego w tych dziełach szczegółu, sądzę przecież, że dla Polaków i w polskim języku warto jest podjąć pracę choćby tylko prostego i skromnego streszczenia i zestawienia tego, co już przez innych było powiedziane i może nieraz." Że praca prof. Tarnowskiego nie jest prostém streszczeniem dzieł niemieckich, okazuje się z sądu wydanego o „Fiesku," który polega na własnych studyach. Zbyteczną dlatego wydaje mi się skromność szanownego autora, gdy stara się usprawiedliwić z zarzutu, że „jako obcy bierze się do tego przedmiotu." Dlaczegożby nam Polakom miała być droga zamknięta do pracy na tém polu, na którém Niemcy jeszcze wszystkiego nie zrobili? (1) Do pięknego obrazu nie wiele da się dodać; wszystko tu napomknięte, duch czasu ośmnastego wieku, okres „Burzy i walki," jego tendencye, jego hasła pięknie są przedstawione. Jedno niech mi wolno będzie zauważyć: z objaśnień „Zbójców" zanadto zdaniem mojém—przebija się sąd ujemny, który nieobznajomionych mógłby łatwo w błąd wprowadzić. Prawda, iż „Zbójcy" nie są niczém innem jak kopią Szekspira, naśladowaniem motywów zaczerpniętych z Leisewitza „Juliusza z Tarentu," z Gerstenberga „Ugolina," z Goethego „Götza." ale i to każdy przyznać musi, że kopia ta tak świetnie się przedstawia, iż chętnie zapominamy o tém, zkąd je młody Schiller zaczerpnął.

W przedstawieniu prof. Tarnowskiego prawie tylko słychać słowa nagany: „wystarcza powiedzieć z wszelkiém wyrozumieniem i pobłażaniem, że (głowę) miał (Schiller) przewróconą tylko, kiedy to pisał." Pierwszy płód Schillera trzeba więcéj uważać na tle czasu, wszak i Goethego „Götz" grzeszy temi samemi błędami, a pomimo to jaśnieje dotąd w całéj swéj pełni. W pracy przeznaczonéj do druku możnaby użyć metody, przez Niemców używanéj, rozłożyć pracę na poszczególne działy, jak charaktery, motywa, sytuacye, i t. d.

---

(1) Nie w celu własnego wywyższenia się, ale aby dowieść, że i u nas w Polsce można znaleść ludzi, pracujących na polu literatury niemiec. wskażę na pracę prof. Kawczyńskiego, które W. Scherer w książce swojéj cytuje, i rozprawy prof. Pechnika, a w końcu dodam, że i moję pracę „Schiller und Werther" uznał prof. dr. Werner, w którego seminaryum powstala, za odpowiednią do druku, okaże się ona w bliskim czasie w „Archiv fur Litteraturgeschichte."

W wykładzie jednak nie zawsze ta ściśle naukowa metoda da się użyć, zatém zupełnie usprawiedliwiony jest porządek rzeczy w pracy prof. Tarnowskiego, który na tle dziejowém opowiada najpierw szczegóły biograficzne z życia Schillera, następnie szczegółowo rozbiera „Zbójców“. Słusznie zauważył autor, że utwór pierwszy Schillera „wcale nie jest tak oryginalny, jak przy jego ukazaniu się myślano.“ Następnie mówi o charakterach Karola i Franza, które, jak wiadomo, są kopiami Edwarda z „Leara“, jakotéż Ryszarda III i Jaga. Szkoda, że nie wspomniano ani słowem o motywach, które natrafił Schiller w literaturze niemieckiéj. (Motyw ojcobójstwa i bratobójstwa u Klingera „Zwillinge“, Leisewitza „Julius von Tarent“). Nie wspomniano o wielkim wpływie „Götza“ na „Zbójców“, a przecież najnowsi literaci wyraźnie utwór Schillera zaliczają do tych, które „Götzem“ do życia pobudzone zostały i pod nazwą „Ritterdramen“ w literaturze są znane (1).

Publiczność polska w r. 1859, przy sposobności pięćdziesięcioletniéj rocznicy śmierci Schillera, dała wyraz swemu uwielbieniu gieniuszu Schillera w uroczystości, urządzonéj w Warszawie, w którym to czasie wyszła broszura Skimborowicza, a J. I. Kraszewski miał odczyt. O téj uroczystości wiem tylko z doniesienia, które zawdzięczam uprzejmości dra Chmielowskiego (2). Nie był to prosty przypadek, iż właśnie Kraszewski mówił o *Schillerze.* W dziełach jego są niemal wszędzie cenne przyczynki do estetyki Goethego i Schillera. Schiller przedewszystkiém stoi u Kraszewskiego na miejscu honorowém. Zapatrywania swoje o Schillerze wypowiedział bardzo pięknie, kładąc je w usta jednéj ze swoich postaci:

„— Byłem wczoraj—kończył profesor—będę dziś i jutro i póki grać będą, bo przyznam ci się, że mnie ten nowy teatr mocno zajmuje, unosi, egzaltuje! Wystaw sobie Schillera! Kochanego młodości naszéj Schillera, granego *con amore* z trądycyą teatru przez autora natchnioną, pojętego całą duszą... to coś warto!

„— Warto — rzekł Staś -- bym ostatniego lub przedostatniego rubla na to poświęcił! idę z tobą“ (3).

Schillera poezya decyduje o wyborze stanu Sary: „Gwałtowniéj jeszcze rzuciłam się szukając w książkach pociechy... Schiller przypadał do zranionéj duszy, rozkochałam się w nim namiętnie... Dawano Rozbójników jego w Królewcu... poszliśmy na teatr... Ten

---

(1) Por. Otto Brahm: Das deutsche Ritterdrama, w zbiorze Q. F. XL.

(2) Pomimo usilnych starań, nie mogłem dostać dotychczas broszury Skimborowicza, gdyż żadna z bibliotek lwowskich jéj nie posiada.

(3) Powieść bez tytułu (wyd. lwowskie) IV, 25.

wieczór stanowił o mojém powołaniu, powiedziałam sobie — będę artystką!" Powyższe *credo* można uznać za ogólne mniemanie narodu: Schiller był dla nas przez długi czas apostołem wolności, któréj tak pragnęliśmy. Goethe przeciwnie przedstawia w swoich kreacyach interes ogólno-ludzkiéj natury, usiłowania i dążności jednostki, aspiracye, które dla nas obcemi pozostać musiały. Słowa charakterystyczne, wypowiedziane w „Powieści bez tytułu", możnaby położyć w usta każdego z nas: „Ja się dziwię Goethemu, ale go nie kocham, to aktor, co doskonale udaje poetę, jak równie dobrze odegrywa rolę konsyliarza, szambelana dworu i..." Pomimo niepopularności Goethego, literatura polska wiele zawdzięcza Goethemu.

Schiller i Goethe byli zawsze u nas z czcią wymieniani; wobec wielkich długów, jakie zaciągnęliśmy u nich, nie możemy innego żywić ku nim uczucia, jak tylko szczeréj wdzięczności: oby i nadal u nas zamieszkali i obyśmy coraz więcéj poczuwali się do czci i uwielbienia prawdziwego dla dwóch największych koryfeuszów literatury niemieckiéj!

Edward Schnobrich.

UWAGI O KAMPANII WYBORCZÉJ

W PRUSACH.

Wrocław, w listopadzie 1885 r.

Znów tedy padły kości i na nowo na lat kilka rozegrana sprawa na wyborczéj arenie, między zaborczym teutonizmem a słowiańską cierpliwością. Teutonizm tryumfuje a my — jak zawsze — pocieszamy się. Bywają rzeczywiście tryumfy przedwczesne, ale biada tym co się tylko pocieszać umieją — zapóźno.

Wybory świeżo odbyte w państwie pruskiém, o ile nas dotyczą w krainach, zasiedlonych jeszcze ludnością polską, wypadły rzeczywiście pomyślnie dla Niemców, bo Polacy stracili ogółem kilku posłów i wyprowadzą w nowéj kadencyi tylko piętnastu szermierzy do walki parlamentarnéj.

Taki sam rezultat osiągnęli już Niemcy w r. 1870 i 1876. Nie zbyt wielki zatém tryumf, że znów stanęli na stanowisku podwakroć już zajmowaném; ale i dla nas nie wielka pociecha, że nie robimy trwałych postępów, bo znów się cofnąć musieliśmy przed przewagą nieprzyjaciela. Dźwigniemyż się znowu?

Rezultat ten dla obydwóch stron zawiera głęboką naukę, z któréj nasza strona przynajmniéj oby gruntownie skorzystała.

Dla Niemców rezultat ten jest wskazówką, że bądź co bądź opór drugostronny jest statecznym i potężnym. Spodziewali się oni zupełnie innych rezultatów. Spodziewali się przedewszystkiém, że groza wydalań zdemoralizuje ludność polską i od urny wyborczéj powstrzyma. Pierwotnie w Prusach Zachodnich wymyślono tę proskrypcyą wyłącznie w celach wyborczych. Przypuszczano, że wypędzenie tylu tysięcy mieszkańców, zwłaszcza rolników, wywoła bardzo liczne przeprowadzki między ludnością polską. Zatém pójdzie, że świeżo poprzesiedlani, nie nabywszy jeszcze w nowych siedzibach

prawa głosowania, na co potrzeba pół roku zasiedziałości, straceni będą dla wyborów w starych swoich i w nowych okręgach wyborczych, a zasiedziała ludność niemiecka zyska na liczebném znaczeniu. Tymczasem środek ten o tyle tylko podziałał, że w Prusach straciliśmy jednę pozycyą zdawna wątpliwą, bo ubytek w Księstwie spowodowany został w oddalonym od granicy okręgu poznańsko-obornickim wyłącznie, przez t. zw. geometryą wyborczą. Jest to sztuka biurokratyczna dzielenia powiatów na małe okręgi wyborcze tak, żeby ograniczyć liczbę większości polskich. Gdzie gęsto siedzą wyborcy polscy, nie pozwalają im głosować razem, lecz przepędzają ich milami potrosze do okręgów niemieckich. Tam oczywiście giną. W tém cała sztuka i cały tryumf obecnéj kampanii,—co do ostatecznych rezultatów.

Doprawdy nie warto było obciążać p. Puttkammerowi sumienie łzami i niedolą tysięcy rodzin, żeby tak mizerny osięgnąć rezultat; bo czy trzech posłów polskich mniéj albo więcéj, zupełnie to nie zmienia politycznéj sytuacyi między stronami wojującemi na arenie parlamentarnéj.

Że zaś proskrypcya była pierwotnie środkiem wyborczym, najjaśniéj wynika ztąd, iż równocześnie z wyborami, wydany został w Prusach Zachodnich reskrypt wstrzymujący nieco dalszą grozę, która tak głęboko w otchłań kompromitacyi popchnęła sprawców w obec całéj Europy. Nie chcę zresztą twierdzić, że widoki wyborcze były jedynym motywem wydalań. Rychło widnokrąg w tym kierunku się rozszerzył a apetyt zaostrzył. Na całéj linji, od Kłajpedy do Mysłowic, wilkołaki teutońskie zapragnęły zakosztować owocu znęcania się nad ofiarami ludzkiéj niedoli, skoro ich zapytano, czy i tam obiecują sobie błogich skutków z nowéj mądrości politycznéj, wymyślonéj w Prusach Zachodnich. przez prezesa rejencyi Kwidzyńskiéj barona v. Machenbacha. On to bowiem jest wynalazcą proskrypcyi. Wynalazek patentowany przez ministra v. Puttkammera, szwagra p. Machenbacha, łączy podobno z polityką różne osobiste widoki i interesa. Baron Machenbach przez wynalazek stanowczego środka na niesforność polską, miał się zarekomendować przed najwyższemi sferami, żeby niebawem w uznaniu zasług powołanym zostać na nieopróżnioną jeszcze wprawdzie posadę naczelnego prezesa w. ks. Poznańskiego. A tak parente Pulattkammerów zawładnęłaby światem od Kamerunu aż po Pyzdry. Wiadomo bowiem, że krewniak p. ministra jest kanclerzem w Kamerunie; krewniak został prezesem policyi w Berlinie, pobiwszy nawet tak wysoce protegowaną osobistość, jaką jest p. v. Colmar, prezes policyi poznańskiéj—

i krewniak ma ostatecznie ukoronować dzieło, na najwyższym szczeblu hierarchii politycznéj poznańskiéj.

Czy teraz kompromitacya, z polityki wydalań wynikła, nie pohamuje tryumfalnego pochodu parenteli putkamerowskiéj, trudno jeszcze odgadnąć. Wydalania nie sprawiły *merveille*, jak ongi szaspoty pod Castelfidardo, a co parlament zrobi, niewiadomo. Niemiecki poseł miasta Poznania, a przecież obiecał wyborcom interpelować w sejmie ministra o nieszczęsne wydalania.

Tak tedy niemiecki tryumf wyborczy, będący właściwie zawodem wobec użytych środków, jest raczéj dotkliwą nauką dla niepohamowanéj buty teutonizmu. *Ne quid nimis.*

Lecz mniejsza o nich. Zastanówmy się teraz jaka dla nas przedewszystkiém wynika z tych wyborów nauka. A zaiste czas byłby się zastanowić nad tém, nie tak sobie z „obowiązku publicystycznego,“ ale dla istotnego postawienia kwestyi, czy nie warto nadać nawie biegu choć trochę odmiennego, póki całkiem nie osiędzie na mieliznie.

Jeszcze, bądź co bądź, skołatane społeczeństwo przedstawia niepoślednią siłę, jeśli przy najniepomyślniejszych okolicznościach zdoła posłać do Berlina 15 posłów. Ale pamiętać należy, że kto nie postępuje, ten się już cofa, a my cofać się nie przestajemy. Posłów bywa raz mniéj raz więcéj, ale liczba wyborców polskich stanowczo się cofa. To jest groźniejsze.

Czyż ubytek ten jest skutkiem upadającego ducha, nadwątlonéj solidarności? Bynajmniéj duch i świadomość u nas wzbudzone więcéj niż kiedykolwiek. Walka kościelna i językowa, a świeżo znów polityka wydalań, przyczyniły się niesłychanie do rozbudzenia *świadomości* politycznéj, któréj u nas, nawiasem mówiąc, nie odróżniają od *dojrzałości* politycznéj; szczególnie zaś niektóre pisma ludowe chełpić się lubią pseudo-dojrzałością ludu, objawiającą się w gromadnych zebraniach, a niekiedy burdach.

Pominąwszy wyjątki, udział ze strony polskiéj w wyborach był dość gorliwy, a mimo to nietylko liczba posłów się uszczuplała, ale co gorsza i w tych powiatach, w których jesteśmy w mniejszości, cofnęła się znów liczba t. zw. „walmanów“ polskich, czyli rzeczywistych wyborców, oddających głosy na posła. Jak wiadomo bowiem, wybory do sejmu pruskiego odbywają się przez dwa stopnie i obywatele posiadający prawo głosowania wybierają wyborców czyli z niemiecka walmanów, a ci dopiero posła. Jeżeli tedy w okręgu gnieźnieńsko-wągrowiecko-mogilnickim ubyło nam 63, inowrocławsko-szulskim, gdzie już od dawna przepadamy, znów 13, w poznańsko-obornickim 32 głosy, to stosunek taki jest prawdziwie groźnym objawem. Zro-

biła wprawdzie swoje geometrya wyborcza, o którój wyżéj wspomnieliśmy, zrobiła swoje groza, wódka itp. ale i geometrya tylko tam jest możebną, gdzie już żywioł polski dobrze nadwątlony.

A przez *nadwątlenie* rozumiemy tylko osłabienie *ekonomiczne*. Ducha rozbudzić w śpiącém politycznie społeczeństwie, jest rzeczą stosunkowo łatwą. Jeden zręczny człowiek porwie i ocuci miliony. Dla tego zastój polityczny jest złém przemijającém i czasowém; daleko gorszą rzeczą jest upadek ekonomiczny, bo fortun zatraconych nie powetują gazety, wiece, mowy i cała agitacya *polityczna*. A niestety prawo głosowania jak i wszelkie inne prawa polityczne, mierzą się i dzielą nie wedle zapału i wytrwałości politycznéj, lecz wedle *siły podatkowéj*, wedle cenzusu. Niemcy sami podziwiają prawidłowość naszéj organizacyi, naszą solidarność, wytrwałość—ale biją nas i spychają z pola wzrastającą siłą ekonomiczną, która u nas wątleje z roku na rok.

Nie jest to bynajmniéj spostrzeżenie nowe, już niejednokrotnie to wypowiadano, że kwestya nasza jest daleko więcéj *ekonomiczną* niż polityczną, a mimo to we wszelkich objawach życia i ruchu naszego, przeważa, że tak powiem, *żyłka polityczna*. Skłonność do powierzchowności i łatwego odznaczania się, porywają wszystko i wszystkich na to pole popisu, zasług, tryumfów, najczęściéj dla tego ułudnych, że wytężenie polityczne w odwrotnym zwykle stoi stosunku do siły ekonomicznéj. Uznają to wszyscy w duchu, ale w praktyce przemódz się nie mogą, bo politykować to tak łatwo, tak pięknie, tak naturalnie w naszém położeniu, a co naturalne, to i potrzebne.

Przyznaję, że potrzebne, ale jeszcze potrzebniejsze, żeby poza naszém szamotaniem politycznóm, gromadziły się z jednéj strony materyalne siły a z drugiéj krytyczna rozwaga i żeby one tworzyły tło politycznych zjawisk, nie zaś tradycyjna poezya romantyczna, która wiernością zasad nazywa zamykanie oczu na objawy zmienionéj rzeczywistości.

Powie może kto, ale cóż to ma wspólnego z wyborami i posłami w w. ks. Poznańskiém? Wybrani i kwita! Choć w 15-tu pójdą do Berlina i powiedzą kilka doskonałych mów—to i „obrona" będzie, i duch się bardziéj obudzi w kraju—czegoż więcéj potrzeba?!

Ot właśnie że potrzeba! Jeżeli uznajemy, że kwestya nasza z pola politycznego coraz bardziéj przechodzi na ekonomiczne, to fakt ten powinien zostać ostatecznie i czynnie uznanym jawnie przez obadwa *najważniejsze* czynniki publicznego życia naszego, tj. przez *reprezentacyą* sejmową i przez *prasę*. Rezultat nowych wyborów po-

winien być dla nich dość wyraźną wskazówką, że stereotypowe stanowisko dotychczasowe nie odpowiada położeniu rzeczy.

Ktokolwiek bacznie śledzi z roku na rok występowania naszéj *prasy* i naszéj *reprezentacyi*, niezawodnie musiał zrobić to spostrzeżenie, że tak jedna jak druga obraca się ciągle w zaczarowaném kole ostatecznie bardzo niewielu pojęć. Jest to pięknie być wiernym swoim zasadom i wierność ta musi się odzwierciedlać w pewnéj mierze częstotliwéj tożsamości, ale skoro się przedzierzgnie w szematyczność, co najmniéj przestanie być żywotną i ożywczą.

A jakże żądać od społeczeństwa, żeby ono zwróciło się całą siłą pracy. całą potęgą rozumu, do odtwarzania nadwątlonych *podstaw* bytu, kiedy tak prasa jak reprezentacya, za jedynie ważne i godne zajęcie uważa zawsze tylko stereotypową politykę, zamkniętą w obrębie nie wielu pojęć i argumentów, nieprzedawnionych to prawda, ale nieskutecznych.

Stereotypowość tak reprezentacyi jak prasy naszéj, ugruntowana jest przedewszystkiém w ciasności programu naszego, tak parlamentarnego jak publicystycznego. Program ten jest głównie i wyłącznie programem t. z. „obrony". Na tém stanowisku „obronném," które niczego prawie jeszcze nie obroniło, a na którém wszystko tracimy, tak się styrały siły, że już chyba o „obronie" na seryo nie może być mowy, jeśli się nie chcemy okłamywać. „Obronna" reprezentacya i „obronna" prasa demoralizują resztę sił naszych swą nieprawdziwością—bo obrony niemasz.

Stereotypowość reprezentacyi i prasy naszéj pochodzi ztąd, że system obronny jest zamknięty wyłącznie w granicach t. z. spraw polskich, tj. obrony kościoła, języka, szkoły. Jeżeli który z posłów odważy się mówić o regulacyi Warty lub cłach na węgle, to w kołach wysokiéj polityki poznańskiéj ściąga to na niego *malam notam*. Bo cóż to naszych polityków obchodzi, żeby szypry polskie nie utykali na mieliznach Warty, a kuchnie, piece polskie i fabryki paliły tani węgiel? Politycy nasi tak się lubują w *bezowocności* podejmowanéj pracy, że nie pojmują, jak się można zapalać do spraw, w których mieć można powodzenie i korzyść.

Ważną to jest i nieodbicie konieczną rzeczą występować bądź obronnie, bądź *zaczepnie* w sprawach kościoła, języka i szkoły. Wiadoma rzecz, że niczego się nie obroni, to prawda, ale budzi się przez to w kraju świadomość prawa, utrzymuje wytrwałość indywidualną; ale zamykać program w tych ciasnych ramach, jest w położeniu naszém rzeczą niewłaściwą.

A tu już otwarcie powiedziéć trzeba, że trwałe przestrzeganie tak ciasnego programu, jest przeważnie sprawą prasy. Dwadzieścia

lat temu i ona uważała sobie za ubliżenie zajmować się jakąkolwiek sprawą ekonomiczną. Nawet szkolne sprawy jeszcze wtedy były na indeksie. Dziś stosunki zmusiły ją do tego, że nietylko sprawę szkoły wciągnęła po części do swojego programu (choć i tu jeszcze są wyjątki) ale i ekonomicznemi sprawami się zajmuje mimochodem a zwłaszcza sprawami stowarzyszeń. Ale to zajęcie nie sięga ani wgłąb przekonań, ani jest bardzo dodatnie. Traktuje się te sprawy dla interesu, dla stosunków osobistych, a gdzie się niema kogo obawiać, tam zukosa, przez ramię. Zawsze i to jest postęp, a jestem przekonany, że za drugie lat dwadzieścia nawet już i posłom bez narażenia na *malam notam*, wolno będzie zajmować się w sejmie sprawami ekonomicznemi. Dziś to jeszcze przeszkadza *chic*owi politycznemu i „wierności dla tradycyi narodowych."

A trzeba wiedzieć, że u nas jeśli się mówi o *reprezentacyi* i o *prasie*, jako o dwóch najważniejszych czynnikach życia publicznego, to przez prasę rozumieć należy *wyższą instancyą*. Zwykle tak bywa w świecie, że wybitniejsi członkowie reprezentacyi narodowych albo wybitniejsze stronnictwa miewają swoje organa prasowe; u nas odwrotnie, wybitniejsze dzienniki mają „swoich" w kole polskiém. Wpływ dzienników na kandydatury już jest przeważnym, zwłaszcza przy nowym wyborze. Bywają kandydaci kompromisowi, ale bywają też o kandydatów zacięte walki, oczywiście podziemne, które się kończą tryumfem przebieglejszego. Tak np. w obecnych wyborach tylko przez antagonizm prasowy nie dostała się do koła polskiego osobistość, która powinna była tam pójść, choćby tylko ze względu na akcyą parlamentarną w sprawie wydalań. Jest to wielka strata dla koła, ale interes prasy przoduje.

Samo się przez się rozumie, że częstokroć w stosunku tym, interes prasy zgadza się z interesem ogółu, bo prasa ta ma uczciwe chęci, obok zwykłych ułomności ludzkich i polskich,

Że wobec takich stosunków program koła zawisłym być musi od przewagi prasy, zapewno każdy wyrozumie. Do śmierci dra Wł. Niegolewskiego nawet jedno z małych pism poznańskich, uzurpowało sobie poprostu prawo terroryzowania koła polskiego; co jednakże wywołało pewną reakcyą, tak że odtąd objawiają się niejakie usiłowania do emancypacyi koła z pod wpływu prasy. Wybory ostatnie o tyle odmienną co do wpływu prasy przedstawiają fizyonomią, że wszyscy nowi posłowie wyszli z poręki jednego pisma, dobijającego się hegemonii, a zatém wnosić można, że i program tego pisma właśnie nada piętno czynności koła nowego, jeżeli usiłowania emancypacyjne nie zrobią postępu.

Wpływ ten prasy na koło ma w naszych stosunkach niewątpliwie dobre strony, chociaż, to przyznać należy, nie jest prawidłowym. Gdyby go niebyło, możeby intensywność akcyi parlamentarnéj osłabła, możeby i na ciasném polu akcyi téj więcéj się pola zasypiało. Ale korzyści te równoważą się bardzo znacznemi szkodami. Wszystkie kwasy międzydziennikarskie, w tym stanie rzeczy, muszą się udzielać kołu i zaprawiają pobyt w niém wielką goryczą. Ztąd zniechęcenie, ztąd owe wstręty do parlamentarki z jednéj, a z drugiéj pożałowania godne ostracyzmy, o jakich już powyżéj wspominałem. Ztąd ostatecznie stereotypowość, jaka charakteryzuje prasę i jéj odcienia, staje się także czynnikiem w kole, czynnikiem uniemożebniającym wszelki indywidualizm.

Tak! mówią nasi prawodawcy, indywidualizm byłby nieszczęściem, bo prowadzi do zerwania solidarności. Co za pomięszanie pojęć! Solidarność jest dobra i potrzebna, konieczna, ale jako *forma zewnętrzna*, a nie jako *istota istoty*. Rozumiem zresztą bardzo i wysoko cenię solidarność skierowaną *in plus*, ale gdy się skieruje *in minus*, prowadzić może—do nicości.

Czyż nie warto by się zastanowić nad definicyą, miarą, warunkami solidarności? A to poco? U nas panuje horror przed zastanawianiem, zwłaszcza jeśli chodzi o,—niepowiem nowość, zastosowaną do zmienionych okoliczności, ale o samą już zmianę stereotypowego sposobu argumentowania. Niech będzie, jak bywało, bo każdy z dyskusyi wynikły zwrot opinii naraziłby na szwank opinie panujące, a panowanie jest ważniejsze niż szukanie prawdy.

Jakże to charakterystycznym jest objawem, że w sprawach programu parlamentarnego, toczyła się bodaj przez całe lato żwawa dyskusya—gdzie? w petersburskim „Kraju“, który u nas (niestety) bardzo mało jest czytanym. Prasa miejscowa nawet, jak mi się zdaje, czytelnikom swoim niezareferowała przebiegu téj dyskusyi, co przecież „z obowiązku dziennikarskiego“ wypadało jéj zrobić. Nie zrobiła tego, bo, „czytelnicy wiedzą“ (tak brzmi stereotypowy frazes, w takich wypadkach używany), co prasa w téj lub owéj materyi sądzi—i niepotrzeba im jakiemiś dyskusyami otwierać komórek. Co zrobić należy w każdym wypadku, powiedzą gazety; więc myślenie, badanie, jest niepotrzebne. chyba że prasa w zbytku łaski na to pozwoli, co się najczęściéj tylko wtedy zdarza, gdy trzeba komu dokuczyć. Dyskusyi o istotę rzeczy, my prawie nie znamy, a poczciwa publiczność tak się do tego niedostatku przyzwyczaiła, że jéj z tém dobrze. Czegoż więcéj żądać?!

Jeżeli w powyższych wywodach moich wystąpiłem krytycznie w obec koła i prasy, to daleką odemnie jest wszelka chęć potępiania.

Zasługi tak koła jak prasy są u nas niepożyte. Prasa zwłaszcza (rozumie się uczciwa) z dumą może o sobie powiedzieć, że co tylko jest u nas jeszcze dodatniego, to ona wymyśliła, wsparła, postawiła, trzyma, pcha, ale właśnie dla tego, że prasa ta jest u nas *instytucyą dobra publicznego*, sama się o to domagać powinna, żeby jéj przedstawiano zwierciadło krytyki—zawsze zbawiennéj. Niejedna instytucya nasza stałaby inaczéj, gdyby jéj rozwojowi towarzyszyła rozumna a pełna szacunku krytyka. Tymczasem u nas jest tylko albo głębokie milczenie albo samochwalcza reklama—albo znów nieuczciwa hajdamaczyzna, kompromitująca wszelką krytykę.

Czas nam teraz powrócić do pierwotnego założenia i nauki téj wyniesionéj z nowych wyborów, że sprawa nasza jest przedewszystkiém *ekonomiczną*. To znaczy, że pierwszém i kardynalném zadaniem społeczeństwa powinno być staranie o byt i dobrobyt. Nawet najdojrzalszy politycznie (jeśli to możebne) *proletaryat* na nic się nie zda, jeśli po za nim nie stanie liczne, coraz liczniejsze i zamożniejsze obywatelstwo wiejskie, czy szlacheckie czy kmiece, i niemniéj miejskie.

Tak kategorycznie postawione u nas twierdzenie, wywołuje zaraz stereotypowy zarzut *materyalizmu*! A ja powiadam, że są położenia, w których materyalizm jest *koniecznością*. W takiém położeniu jesteśmy my, jeżeli *materyalizmem* pono nazwać można dążenie do wzmacniania podstaw bytu. Pod tym względem tak u nas są pomieszane pojęcia, tak ich nikt nie stara się rozjaśnić, że utracyusze aspirują do miana *idealistów*, a pracowitych ludzi piętnuję się nazwą prostych *wyzyskiwaczy*. A jednak nie ci idealiści rozstrzygają, dajmy na to, wybory, lecz owi „zmateryalizowani wyzyskiwacze,“ którzy pracą swą zdobywają nie tylko mienie ale i *prawa polityczne*. Podobno w Poznaniu bardzo się pysznią z tego, że wśród ogólnego pogromu, właśnie Poznaniowi przybyło w tym roku polskich wyborców, walmanów. Nie zrobiły tego ani gazety ani wiece (skandaliczne), ale sprawiła ta okoliczność, że kilku pracowitych lekarzy i przemysłowców dorobiło się kawałka chleba i pozakupywało realności. Ot macie dzieła „wyzyskiwaczy.“

Czyż dla tego stracony bodaj na długo jest w wyborach powiat inowrocławski, złotodajne Kujawy, że Kujawiacy upadali na duchu?!

Gdzietam! Lud ten dzielny, pan czy chłop, czy mieszczanin, goreje najlepszą chęcią i poświęceniem. Biją ich tam zarobkowością przemysłową, która tysiącom rodzin niemieckich stworzyła byt i prawo polityczne zarazem, a my—przynajmniéj w pewnych ko-

łach wpływowych, szerzymy zazdrość i niechęć do tych, co fortuny nie przeidealizowali lub mozolnie się dorabiają kawałka chleba.

Tyle jest środków do zapobiegania *zepsuciu* ducha! Niechajby się onych używało umiejętnie, zręcznie. energicznie przeciwko *materyalizmowi duchowemu*, to *materyalizm ekonomiczny* u jednostki i przedewszystkiém u jednostki społecznéj, tj. w *rodzinie*, w żadném położeniu, nie może się stać niebezpiecznym a tém mniéj u nas.

Takie jest moje *ceterum censeo* po ostatnich wyborach.

C.

POGLĄDY NAEGELEGO NA DARWINIZM
I NOWA TEORYA
POCHODZENIA GATUNKÓW.

II.

Obalając teoryą doboru naturalnego, jako niemogącą wytłómaczyć zjawisk przemiany form żyjących, prof. Naegeli stawia na jéj miejsce swoją, mechaniczno-fizyologiczną. Dziwi się on wogóle, że tak czysto fizyologicznéj natury pytanie, jak kwestya powstawania gatunków, było dotąd głównie traktowane przez nie-fizyologów. „Od półtorasta lat—powiada Naegeli — przed oczami fizyologów rozgrywa się dziwna scena. Najtrudniejsze zadanie własnéj ich nauki było ze wzrastającą zabiegliwością i znaczną zatratą czasu opracowywane w potoku pism przez nie-fizyologów. Kwestya powstawania świata organicznego należy do najświętszych skarbów fizyologii. Traktowanie jéj warunkuje sobą właściwy rozbiór najciemniejszych dziedzin fizyologii, jakoto: stosunku świata organicznego do nieorganicznego, istoty życia, odżywiania, wzrostu, rozmnażania, dziedziczności, przemiany w ciągu szeregu pokoleń, stosunków wzajemnych pomiędzy różnemi organizmami oraz światem zewnętrznym, pomiędzy częściami czyli narządami tego samego organizmu.“ Jakkolwiek powstawanie świata organicznego przedstawia zagadkę natury czysto fizyologicznéj, rozwiązanie jéj jednak wymaga różnych nauk pomocniczych, jakoto: zoologii z anatomią porównawczą i histologią, embryologii, morfologii i systematyki roślin, paleontologii i geologii, oraz antropologii. „Dla tego téż — powiada Naegeli—zoologowie, anatomowie, antropologowie, botanicy, paleontologowie czuli się powołani do zajmowania się nauką o powstawaniu gatunków, a było to w wysokim stopniu pożyteczne tylko o tyle, o ile odpowiednia nauka odnosiła ztąd pewną korzyść ze względu na własną treść swoję. Ponieważ jednak to zajęcie nie ogra-

niczało się na własnym horyzoncie każdéj nauki, lecz wkraczało w inne dziedziny i wymagało przejrzenia i osądzenia całości, przeto do pożytecznego przyłączyło się wiele zbytecznego i błędnego. Skoro bowiem ślusarze, blacharze, stolarze, szklarze i malarze niezbędni są przy budowie domu, nie wynika jeszcze z tego wcale, by każdy z nich umiał nakreślić plan oraz poprowadzić robotę, lub téż by potrafił krytykować plan i sposób roboty."

Nauka o powstawaniu form żyjących stanowi obecnie cały system, całą jakby gałąź wiedzy biologicznéj. Nie podobna nie zgodzić się z prof. Naegelim, że w systemacie tym fizyologia odgrywała aż dotąd podrzędniejszą rzeczywiście rolę, aniżeli gałęzie nauk morfologicznych. Nie można wprawdzie przystać na zdanie Naegelego, iż kwestya pochodzenia gatunków stanowi pytanie czysto fizyologiczne, ale z drugiéj strony przyznać trzeba, iż pierwiastek mechaniczno-fizyologiczny więcéj bez porównania aniżeli dotąd winien być w niéj uwzględniany, obok pierwiastku morfologicznego, który dotychczas był w niéj panującym i prawie wyłącznym.

Stanąwszy na gruncie fizyologicznym, prof. Naegeli pragnie objaśnić zjawisko przemiany gatunków i rozwoju istot organicznych molekularno-fizyologicznemi właściwościami protoplazmy. W budowie molekularnéj i siłach międzycząstkowych téj ostatniéj widzi on wewnętrzny czynnik, sprowadzający najgłębsze przemiany biologiczne. Darwin, jak wiadomo, upatruje czynniki kierujące rozwojem i przemianami świata organicznego w siłach, działających głównie zewnątrz samego organizmu: w walce tego ostatniego z warunkami zewnętrznemi, ze współzawodnikami, oraz w doborze, zachowującym jednostki najlepiéj przystosowane. W poglądach zatém Darwina widocznym jest pierwiastek mechaniczny (*Mechanisch-Causale Ursachen* — E. Haeckla), ukryty, że tak powiemy, głównie w warunkach, istniejących po za obrębem właściwości fizyologicznych organizmu. Naegeli natomiast widzi *konieczność* przemiany i rozwoju osobników, ukrytą w saméj protoplazmie, uwarunkowaną właściwościami budowy molekularnéj téj ostatniéj. Jedném słowem Naegeli przypuszcza istnienie t. z. przyczyn wewnętrznych, wywołujących zjawiska przemiany i rozwoju i niezależnych w większym lub mniejszym stopniu od czynników zewnętrznych.

Idea owych przyczyn wewnętrznych nie jest zupełnie nową. Jeszcze w roku 1865 tenże Naegeli (1) postawił t. z. „teoryą doskonalenia się" (Vervollkommnungstheorie), według któréj przemiany indywidualne nie powstają w sposób nieokreślony, nie odbywają się

(1) C. Naegeli, Entstehung und Begriff d. naturhistorischen Art. München. 1865.

we wszelkich kierunkach równomiernie, lecz idą pewnym ściśle określonym torem, właściwym samemu organizmowi (bestimmte Orientirung); proces przemiany odbywa się według określonego planu rozwoju „pod przewodnictwem wrodzonego organizmowi dążenia do doskonalenia się." W rzeczywistości jednak takie bliżéj nie sformułowane i głębiéj nie uzasadnione wyrażenia, jak „tendencya do udoskonalenia się“ lub „teorya doskonalenia się“, są tylko igraszką słów; jest to tylko przeniesienie tak często niegdyś nadużywanego pojęcia „siły życiowéj“ z życia osobniczego na rodowe. Prócz Naegelego i inni téż naturaliści, jak botanik *Askenasy* (1), oraz *A. Braun* (2) przyjmowali „siły wewnętrzne“ dla wyjaśnienia zjawisk przemiany gatunków. W ostatniéj pracy swojéj prof. Naegeli, wychodząc ponownie z zasady sił wewnętrznych, kierujących rozwojem organizmów, stara się bliżéj określić na czém siły te polegają, a za punkt wyjścia teoryi swojéj bierze budowę cząsteczkową protoplazmy.

Nietylko badania fizyologiczne lecz i fizyczne, oraz chemiczne, dawno już wywołały w umyśle ludzkim potrzebę wytworzenia sobie pewnych pojęć o najdelikatniejszéj, całkiém niedostępnéj zmysłom, budowie materyi; tylko bowiem w takim razie możemy mieć bardziéj określone i głębiéj sięgające pojęcia o zjawiskach naturalnych. Chemicy przypuszczają istnienie atomów czyli niedziałek, najmniejszych, niepodzielnych już więcéj części materyi, do których przywiązane są siły chemiczne. Wyobrażamy téż sobie, że wszelkie własności chemiczne pierwiastków, np. wodoru lub węgla, istnieją w atomach tych ciał. Daléj zaś, na zasadzie pewnych zjawisk chemicznych, przypuszczamy, że dwa, lub więcéj atomy wstępują z sobą w ściślejszy związek wzajemny, tworząc t. z. cząsteczki czyli molekuły. Cząsteczki materyi stanowią granicę podziału fizycznego, atomy zaś — granicę rozkładu chemicznego. Związki chemiczne różnych pierwiastków składają się z cząsteczek, utworzonych z dwóch, lub większéj ilości atomów różnorodnych. Cząsteczka jest zatém najmniejszą, jaką tylko wyobrazić sobie możemy, masą związku chemicznego; jeśli bowiem cząsteczka daléj jeszcze będzie dzieloną, natura chemiczna danego ciała zmieni się, związek różnorodnych atomów rozpadnie się. Tak np. cząsteczka wody składa się z dwóch atomów wodoru i jednego tlenu, cząsteczka kwasu siarczanego z dwóch atomów wodoru, jednego siarki, oraz z czterech atomów tlenu. O wiele bardziéj złożony skład posiadają ciała organiczne, wytworzone przez organizmy zwierzęce i roślinne, zawierają one

(1) Askenasy, Beiträge zur Kritik der Darwin'schen Lehre. Leipzig. 1872.

(2) A. Braun, Ueber die Bedeutung der Entwicklung in d. Naturgesch. Berlin. 1872.

węgiel i wodór, zwykle zaś i tlen, a najważniejsze ze wszystkich związków organicznych, t. z. substancye białkowate, zawierają prócz tego azot i siarkę, przyczém cząsteczki ich składają się z kilkudziesięciu, a nawet kilkuset atomów powyższych pierwiastków.

Z takich to złożonych, wieloatomowych cząsteczek utworzona jest zaródź czyli protoplazma, stanowiąca podścielisko życia. Molekularna budowa ciał tłómaczy nam bardzo wiele zjawisk fizycznych. Przy powstawaniu kryształów, cząsteczki danego ciała grupują się, układają w pewnym stałym i określonym stosunku; przy przechodzeniu ciała ze stanu stałego w płynny lub lotny, cząsteczki rozluźniają się, stają się mniéj skupione i t. p.

Jeśli jednak dla zrozumienia wszelkich zjawisk chemiczno-fizycznych wystarcza mniéj lub więcéj przyjmowanie atomów i cząsteczek, to dla zrozumienia większości objawów życiowych należy nam koniecznie przyjąć istnienie, że tak powiem wyższych, bardziéj skomplikowanych jednostek materyi, a mianowicie cząstek organizowanych, niewidzialnych jednak jeszcze przy najsilniejszych powiększeniach mikroskopowych. Podobnie jak cząsteczki fizyczne (molekuły) stanowią skupienie, zbiór atomów, związanych z sobą siłami międzyatomowemi, tak znów owe cząstki organizowane czyli t. z. *micelle* [Naegeli (1)] są zbiorami cząsteczek fizycznych, skupionych razem i trzymających się pospołu przez działanie sił międzycząsteczkowych. Podobnie jak własności chemiczne ciał uwarunkowane są własnościami atomów, jak własności fizyczne zależą od ugrupowania cząsteczek, czyli molekuł, ciał składających, tak téż i większość objawów życiowych sprowadzić się daje do natury i ugrupowania jednostek organizowanych, składających protoplazmę, t. j. micellów.

Naegeli był pierwszym, który w r. 1862 stworzył teoryą micelarną. Teorya ta, według niego, tłómaczyć ma szereg nadzwyczaj charakterystycznych i ciekawych właściwości ciał organizowanych roślinnych, jak ziarn krochmalu, błon komórkowych oraz krystaloidów. „Substancye organizowane — powiada Naegeli (2) — składają się z krystalicznych (krystallinisch), podwójnie łamiących światło cząstek (= micelle), leżących obok siebie luźno, lecz w ściśle określonym stosunku wzajemnym. W stanie wilgotnym, wskutek przeważającéj siły przyciągania każdéj cząstki (micelli), otoczone są one warstewkami wody, w stanie suchym zaś micelle stykają się z sobą bezpośrednio.“ Większy lub mniejszy stan wilgotności ciała

(1) Botanische Mittheilungen w „Sitzungsberichte d. Kgl. bayr. Akademie der Wiss.“ 1862. — (2) l. c.

organizowanego zależy od tego, czy micelle otoczone są grubszą, czy cieńszą warstewką wody.

W r. 1865 prof. J. v. Sachs w słynnéj swéj „Fizyologii doświadczalnéj“ zwrócił uwagę na to, że i protoplazma, najważniejsza część składowa ciał roślinnych i zwierzęcych, jest substancyą organizowaną w takiém znaczeniu, jak to przyjął pierwotnie Naegeli dla krochmalu, lub błon komórkowych, czyli, że składa się z micellów.

Profesor T. W. Engelmann w swojéj „Fizyologii ruchów protoplazmy i ruchów migawkowych“, stanowiącéj część znakomitego podręcznika fizyologii prof. Hermanna (1), przychodzi do wniosku, że wszelkie zjawiska, dotyczące ruchów protoplazmy, dowodzą istnienia pewnych niewidzialnych cząstek organizowanych, tak, jak to przyjmują Naegeli i Sachs. Wiadomo, powiada Engelmann, że każda, najmniejsza chociażby część wszelkiéj protoplazmy kurczliwéj posiada zdolność do ruchów samodzielnych—naturalnych, lub téż wywołanych przez drażnienie. Stąd najbliższy i, wedle jego zdania, najnaturalniejszy wniosek, iż protoplazma stanowi agregat bardzo małych elementów morfologicznych, kurczliwych, oraz wrażliwych na podrażnienia, i że wszelkie ruchy protoplazmy uważać należy jako rezultat „zmiany postaci“ tych elementów najmniejszych. Elementy te, niewidzialne nawet pod mikroskopem, nazywa Engelmann *inotagmami* (prof. *Pfeffer* nazywa je wprost *tagmami*). Co się tyczy kształtu tych maleńkich agregatów cząsteczek fizycznych, to według Engelmanna, w stanie największego pobudzenia (im maximal erregten Zustande) mają one postać kulistą, lub przynajmniéj do kuli zbliżoną, w stanie zaś spokoju—postać wydłużoną, a nawet włóknistą. Podstawę do pierwszego przypuszczenia widzi Engelmann w tém, że i najmniejsze, widzialne pod mikroskopem cząstki protoplazmy przybierają wskutek sztucznego drażnienia postać kulistą. Na korzyść zaś drugiego twierdzenia przemawiają następujące fakty. Najmniejsza, choćby w kulę skurczona cząstka protoplazmy (widzialna pod mikroskopem) przybiera zazwyczaj po ustaniu drażnienia wydłużoną, często nitkowatą postać. Powtóre, protoplazma, znajdująca się w spokoju, rozpada się często na nadzwyczaj delikatne włókienka. Widoczna wreszcie pod mikroskopem zmiana postaci włókien mięśniowych, poprzecznie prążkowanych, zmiana związana z chwilowym stanem mięśnia (stanem pobudzenia jego, czyli kurczliwości, lub téż spokoju) wyjaśnić się również daje na zasadzie powyższych przypuszczeń Engelmanna. Uczony ten, opierając się na wielu

(1) Handbuch der Physiologie. Herausg. von Dr. L. Hermann. T. I. 1879.

faktach, dochodzi daléj do wniosku, że inotagmy zachowują się pod względem optycznym jak kryształy jednoosiowe, podwójnie łamiące światło.

Widzimy zatém, że cały szereg badaczy, botaników i zoologów, przypisuje protoplazmie, dotąd uważanéj za ciało jednorodne, pewną organizacyą. Czy nazwiemy owe elementy organizowane zarodzi inotagmami, czy téż tagmami lub micellami, w każdym razie dojdziemy do jednego ogólnego, przez wszystkich przyjmowanego wniosku, iż zaródź składa się z jednostek, stanowiących agregaty molekuł fizycznych i warunkujących sobą jéj właściwości biologiczne.

Wychodząc téż z teoryi micelarnéj, Naegeli stara się oprzéć na niéj poglądy swe, dotyczące przemiany gatunku i rozwoju istot organicznych.

Porównywanie z sobą różnych organizmów utrudnioném jest nie tylko wskutek niedostatecznéj naszéj znajomości ich objawów życiowych, lecz i dlatego także, że różnorodnym organizacyom brak miary wspólnéj, któraby stanowiła o wartości ich i tém samém o właściwéj ich różnicy. Możemy np. rozróżnić zwierzę ssące, ptaka, rybę i owad na téj tylko podstawie, iż u jednego z tych tworów istnieje ta cecha, u innego—inna, ale nigdzie nie możemy postawić różnicy ilościowéj i wyrazić w taki sposób właściwéj, ścisłéj jéj wielkości. Stąd téż wszelkie systematyczne wyróżnianie i określanie jest mniéj lub więcéj dowolném, a wszelkie wnioski, jakie można stąd wyprowadzić dla teoryi rodowych, są hypotetyczne.

Istnieje atoli jeden stan, w którym wszelkie organizmy zredukowane są do jednakowéj mniéj więcéj postaci i budowy. Jest-to mianowicie najpierwsze, jednokomórkowe jeszcze stadyum rozwoju, stadyum jajka, w którém wszystkie rośliny i zwierzęta są do siebie najbardziéj podobne. Komórki jajowe posiadają jednak pewne cechy zasadnicze, podobnie jak organizm rozwinięty; jako komórki jajowe, organizmy różnią się od siebie pewnemi, ukrytemi wprawdzie, właściwościami nie mniéj, aniżeli formy dojrzałe. W jajku kurzém gatunek jest równie ustalony, jak w kurze, a jajko to różni się tak od rybiego, jak kura od ryby. Jeśli z pozoru wydaje nam się inaczéj, to pochodzi to tylko stąd, że w jajku owe cechy są utajone. Gdyby jajko kurze nie zawierało w sobie całéj istoty gatunku, w takim razie nie zawsze rozwijało by się z niego kurczę. W jajku spoczywają wszelkie właściwości stanu dojrzałego, jak powiada Naegeli, potencyalnie. Właściwości te są w niém jak gdyby w stanie napięcia, w stanie energii potencyalnéj, która przeistaczając się w energią kinetyczną, nadaje pewien określony kierunek procesowi rozwoju, podtrzymywanemu przez pokarm i przemianę materyi.

W taki więc sposób w zarodzi elementów rozrodczych istnieją zaczątki (Anlagen) wszelkich własności organizmu; protoplazma ta różną jest z tego względu od protoplazmy innych komórek, składających ciało zwierząt lub roślin; jest ona podścieliskiem zaczątków dziedzicznych (Träger der erblichen Anlagen). Naegeli nazywa ją *idioplazmą*, dla odróżnienia od protoplazmy, pozbawionéj tych własności.

Wszelka widoczna cecha organiczna istnieje w stanie zaczątkowym w idioplazmie; dlatego téż tyle jest gatunków idioplazmy, ile kombinacyi cech organicznych. Każdy osobnik powstaje z nieco odmiennéj idioplazmy, a w jednym i tym samym osobniku każdy organ, lub téż część organu zawdzięcza swoje pochodzenie szczególnemu stanowi idioplazmy. Idioplazma, w pewnym przynajmniéj okresie rozwoju organizmu rozmieszczona we wszystkich jego częściach, posiada w każdym punkcie nieco odmienne własności, powodując tu powstanie np. tkanki nerwowéj, tam mięśniowéj, owdzie kostnéj i t. d.

Nie tylko istnieją w idioplazmie zaczątki gotowe, zdolne każdego czasu do rozwoju, lecz także niewykształcone, powstające, lub téż zanikające. Pewien zaczątek może się stale osłabiać w ciągu szeregu pokoleń, lub téż na odwrót może się wciąż wzmacniać i stać się wreszcie widocznym. Właściwości idioplazmy uwarunkowane są molekularną jéj budową. Szczególniéj ważném jest tu ugrupowanie wzajemne micellów wraz ze szczególnemi, wywołanemi przez to ruchami i siłami. Prawdopodobnie silniejszemu zróżnicowaniu morfologicznemu i większemu podziałowi pracy w stanie dojrzałym odpowiada też bardziéj złożone ugrupowanie micellów, gdy tymczasem organizmy najniższe, przedstawiające przez całe życie kłaczki protoplazmy, posiadają idioplazmę słabo rozwiniętą i o prostéj bardzo budowie. By obrazowo poglądy swe przedstawić, Naegeli porównywa idioplazmę niższych organizmów, mającą uproszczoną budowę, do armii bez karności, w nieporządku i nieładzie wyruszającéj na wojnę, idioplazmę zaś o budowie złożonéj — do armii prawidłowéj, gdzie wszelkie oddziały trzymają się jednego planu, a każdy żołnierz pozostaje w określonym stosunku do reszty żołnierzy i do całéj armii; każdy żołnierz wyobraża nam micellę, pozostającą w pewnym stosunku do innych sąsiednich (wskutek sił przyciągających i odpychających).

Idioplazma zarodka jest w taki sposób jakby mikrokosmicznem odtworzeniem makrokosmicznego osobnika; podobnie jak ten ostatni zbudowany jest z organów, tkanek i komórek, idioplazma składa się z gromad micellów, które łącząc się w wyższe jednostki różnych

szeregów, przedstawiają zaczątki owych komórek, tkanek i narządów organizmu.

Jeśli sprowadzamy właściwości idioplazmy do wzajemnego uporządkowania najmniejszych jéj cześci, czyli micellów, to czynimy to dlatego, że odgrywa ono bezwątpienia ważną, a prawdopodobnie najważniejszą rolę, gdy tymczasem o różnicach chemicznych, z powodu tak niedostatecznéj dotąd znajomości ciał białkowatych, nie możemy sobie wyrobić należytego pojęcia. Już sam niejednakowy kształt, wielkość, oraz ułożenie micellów idioplazmy mogą wytworzyć bardzo liczne kombinacye sił działających, a tém samém liczne różnice w uwarunkowanych temi ostatniemi procesach materyi ożywionéj, stanowiących o różnicach we wzroście, organizacyi wewnętrznéj, oraz postaci zewnętrznéj i czynnościach organizmów. Ta różnorodność w konstytucyi idioplazmy staje się jeszcze nieskończenie większą przez tę okoliczność, iż każda micella może mieć różne własności chemiczne. Jedném słowem, według prof. Naegelego, wszelkie cechy organizmu są tylko wywołane własnościami idioplazmy, które ze swéj strony stanowią tylko skutek jéj wewnętrznéj, micelarnéj budowy.

Jakież jest rozmieszczenie idioplazmy wewnątrz organizmu? Idioplazma, jak wiemy, jest to część protoplazmy, zdolna do przenoszenia cech dziedzicznych, stanowiąca ich podścielisko materyalne a wskutek budowy swéj i sił w niéj działających — dynamiczne źródło tychże. Dlatego téż przedewszystkiém idioplazma mieścić się musi w elementach rozrodczych: w jajku i ciałku nasienném, w których zawarta jest, w stanie jakby potencyalnym, cała organizacya zwierzęcia. Nie idzie atoli zatém, aby cała protoplazma jajka i ciałka nasiennego stanowiła idioplazmę. Przeciwnie, Naegeli twierdzi, że wcale tak nie jest i rozumuje w sposób następujący. Zapłodnionemu i zdolnemu do rozwoju jajku matka dostarcza zwykle sto lub tysiąc razy więcéj substancyi protoplazmatycznych, aniżeli ojciec. Gdyby zatém cała ilość protoplazmy jajka i ciałka nasiennego zdolna była do przenoszenia cech dziedzicznych, elementu macierzystego byłoby bez porównania więcéj, aniżeli ojcowskiego i dziecko odziedziczało by o wiele więcéj cech po matce, aniżeli po ojcu. Tymczasem przewagi takiéj wcale nie widzimy, a stąd prosty wniosek, że tylko pewne, mniéj więcéj równe co do mas swoich, części protoplazmy elementów rozrodczych są przenosicielkami cech dziedzicznych.

Gdy jajko zapłodnione ulega podziałowi na coraz większą ilość komórek, z których budują się tkanki zwierzęce, komórki te zawierają też wszystkie pewną ilość idioplazmy. Idioplazma stanowi w taki sposób jakby sieć rozgałęzioną, napełniającą sobą organizm i rozpo-

startą w każdéj jego części. Skoro każda komórka zawiera pewną ilość idioplazmy, mogłaby więc grać rolę elementu rozrodczego i przekazywać cechy dziedziczne organizmu na potomstwo; jednakże zdolność tę zachowują wyłącznie, lub głównie komórki płciowe, a to uwarunkowane jest, według Naegelego, już właściwościami odżywiania się ich, już stereoplazmą (taką nazwą oznacza Naegeli część nie-idioplazmową zarodzi). W miarę wzrostu i rozwoju organizmu, ilość idioplazmy naturalnie powiększa się stopniowo.

Zobaczmy teraz, jak wyobraża sobie prof. Naegeli owo rozrastanie się idioplazmy. Podobnie jak w ziarnach krochmalu, pod wpływem istniejących już micellów i sił międzymicellowych, powstają nowe, które wstępują pomiędzy istniejące, tak téż i pod wpływem micellów idioplazmy wytwarzają się nowe jéj micelle.

Rozmaite fakty, jak np. zjawisko wydłużania się jądra komórki przed procesem podzielenia się jéj, skłania Naegelego do przypuszczenia, że micelle idioplazmy układają się w szeregi, sznurki, równolegle do siebie biegnące. Gdy przybywają nowe micelle, wstępują one pomiędzy istniejące już ogniwa szeregów, które w taki sposób podczas rozwoju osobnikowego bezustannie się powiększają. Różne szeregi micellów przedstawiają zaczątki rozmaitych cech organizmu, warunkując sobą te ostatnie. Pomiędzy oddzielnemi szeregami wywięzują się liczne siły, wzajemny wpływ na siebie wywierające, a od różnych kombinacyi sił tych zależą najróżnorodniejsze objawy życiowe organizmu.

Wszelki rozwój osobnikowy odbywa się w taki sposób przy bezustannėm rozmnażaniu idioplazmy, która rozpada się przy dzieleniu komórek na tyle części, ile powstaje tych ostatnich. To osobnikowe rozmnażanie się, ten rozrost idioplazmy następuje wskutek wydłużania się szeregów, które uwarunkowane jest wstawianiem się nowych micellów pomiędzy istniejące już micelle każdego szeregu. Dlatego téż przy osobnikowym rozwoju szeregi micellów czyli włókna idioplazmy wydłużają się, nie zmieniając przytém stosunków wzajemnych, czyli innemi słowy, konfiguracya ich przecięć poprzecznych, jak powiada Naegeli, pozostaje niezmienną. Każdy micelarny szereg idioplazmy zawiera zaczątki, jakie dany osobnik odziedziczył z jajka. W idioplazmie każdéj komórki organizmu istnieją więc takież same szeregi micelarne, jak w jajku, zdolne do wywołania różnorodnych objawów fizyologicznych, przez kombinacyą swych sił. Możemy sobie wyobrazić, że idioplazma rozwija i ucieleśnia zaczątki różnych organów i ich czynności w podobny sposób, jak grający na fortepianie wyraża za pośrednictwem instrumentu tego wszelkie następujące po sobie harmonie

dysharmonie sztuki muzycznéj. Uderza on dla wydania każdego danego tonu zawsze w te same struny. Tak samo też leżące obok siebie szeregi micellów idioplazmy wyobrazić sobie możemy jako struny, z których każda spowodować może inne elementarne zjawisko biologiczne. Jeśli naprzykład podczas rozwoju osobnikowego w jakiéjś komórce wytwarza się chlorofil, możemy powiedziéć, że w idioplazmie pobudzoną wtedy zostaje działalność struny chlorofilowéj, czyli szeregu micelarnego, zawierającego zaczątki tego zjawiska fizyologicznego.

Powiedzieliśmy już, że konfiguracya przecięcia poprzecznego szeregów micelarnych idioplazmy, zawierająca w taki sposób sumę wszelkich zaczątków, pozostaje niezmienną w ciągu rozwoju i życia osobnikowego organizmu. Przy rozwoju natomiast rodowym (filogenetycznym), konfiguracya owych przecięć poprzecznych ulega przemianie. Przemiany i przeobrażenia, odbywające się w ciągu długiego życia filogenetycznego jestestw żyjących, warunkują się całkowaniem i różnicowaniem organizacyi; ponieważ zaś każda strona organizacyi wraz z czynnościami swemi jest tylko rozwinięciem się i kombinacyą odpowiednich zaczątków, właściwych pewnym szeregom micelarnym, wynika z tego, iż wszelkie różnicowanie się, lub téż uproszczenie organizacyi winno stanowić skutek powstania nowych szeregów micelarnych idioplazmy, lub téż zaniku istniejących już, przez co na przecięciu poprzeczném szeregów nastąpić musi zmiana ich konfiguracyi.

Ponieważ szeregi micelarne idioplazmy, odpowiednio do gęstości téj ostatniéj, ściśle są ułożone obok siebie, nie łatwo więc i nie często mogą być wstawione pomiędzy nie nowe szeregi, jeśli zaś wstępują, to tylko w miejscach określonych, gdzie spójność szeregów jest najmniejszą i może być pokonaną. Idioplazma w ciągu okresu rodowego ustrojów zmienia tedy poprzeczną konfiguracyą szeregów micelarnych bezustannie, lecz stosunkowo niezmiernie powoli i stopniowo, tak, że ta ostatnia, poczynając od zarodka jednego pokolenia do zarodka drugiego czyni postęp bardzo tylko nieznaczny. Suma tych różniczek postępowych z całéj linii rozwoju przedstawia nam obraz historyi rozwoju rodowego organizmu, który pozostaje w nieprzerwanym związku z zaczątkiem jednokomórkowym rodu swego za pośrednictwem idioplazmy.

Tak więc rozrastanie się idioplazmy z jednéj strony drogą wydłużenia się szeregów micelarnych, z drugiéj zaś—przybywania nowych szeregów do istniejących już, powoduje, według Naegelego, całą różnorodność objawów życia osobnikowego i rodowego je-

stestw żyjących, objawów wywołanych przez siły międzymicelarne idioplazmy.

Teraz zachodzi pytanie, co powoduje owo rozrastanie się szeregów micelarnych idioplazmy, lub też tworzenie się nowych zupełnie szeregów. Tu możliwe są dwa wypadki. Albo zjawiska te wywoływane są przez przyczyny zewnętrzne, działające po za obrębem idioplazmy i na nią wpływ wywierające, albo też są to przyczyny wewnętrzne, spoczywają w samej naturze idioplazmy. Otóż, według Naegelego, główne, decydujące znaczenie mają tu przyczyny wewnętrzne. Pod tym względem ciała organizowane zachowują się zupełnie tak samo, jak mineralne. Wiadomo, iż różne ciała mineralne mają zdolność krystalizowania według pewnych określonych praw. Z roztworu kilku soli mineralnych, przy wszelkich zewnętrznych warunkach jednakowych, cząsteczki jednéj soli będą się osadzały w takim, inne w innym kierunku i stosunku wzajemnym, jedna sól wytworzy zawsze sześciany, druga pryzmaty, lub piramidy, w jednéj płaszczyzny nachylone będą pod jednym kątem, w drugiéj pod innym i t. d. Podobnie więc jak w naturze atomów np. chloru spoczywa ich jednowartościowość, czyli zdolność łączenia się ich zawsze z jednym atomem wodoru, podobnie jak w cząsteczkach soli kuchennéj spoczywa własność takiego układania, grupowania się ich, że wytwarzają kryształy o postaci sześciana, tak też i micelle wszelkich gatunków idioplazmy, mają w sobie samych zdolności do grupowania się według pewnych określonych i własną ich naturą uwarunkowanych praw. Nie podobna nie zgodzić się z Naegelim, że wobec tak postawionéj kwestyi, wobec sprowadzania sprawy do procesów cząsteczkowéj budowy materyi organizowanéj, pojęcie sił wewnętrznych, kierujących rozwojem i życiem ustrojów, nabiera znaczenia wielkiego i na naukowych opartego podstawach. Owe przyczyny wewnętrzne, zawierające w sobie na pozór coś mistycznego, przemawiają do przekonania najpozytywniejszego badacza, albowiem wkraczają w dziedzinę mechaniczno-molekularnych zjawisk materyi, w któréj szukamy dziś ostatecznéj przyczyny wszelkich objawów przyrodzonych.

Porównanie z kryształem wyjaśnia nam w taki sposób znaczenie owych sił wewnętrznych, kształtujących idioplazmę, a jeśli nie tłómaczy ich istoty, to dowodzi przynajmniéj, że w zasadzie natura ich jest takąż samą jak sił kształtujących materyą nieorganizowaną. Porównanie, przeprowadzone pomiędzy tworzeniem się kryształu i wzrostem idioplazmy nie upoważnia nas jednak do wniosku, aby w obu wypadkach procesy miały się odbywać zupełnie jednakowo. Kryształ soli powiększa się w swym roztworze w taki sposób, że sku-

pione już cząsteczki przyciągają do siebie jednorodne molekuły z roztworu i powodują osiadanie ich na powierzchni kryształu według pewnych praw określonych. W podobny sposób do istniejącego już skupienia micelarnego idioplazmy przybywają z płynu odżywczego nowe micelle, które jednak tworzą się w nim pod wpływem istniejących już micellów i nie tylko przylegają do powierzchni skupienia, lecz wstępują także w głąb pomiędzy istniejące już micelle.

Układ micellów w pierwotnéj idioplazmie, powstającéj drogą samorództwa jest zupełnie nieprawidłowy i zależy z początku od okoliczności zewnętrznych. Skoro zaś tylko idioplazma zaczyna rosnąć i przybywa w niéj coraz więcéj nowych micellów, przyciągające i odpychające siły, działające pomiędzy niemi, zaczynają porządkować micelle w pewne grupy, których konfiguracya zależną jest od natury wewnętrznéj samych micellów. W miarę coraz większéj komplikacyi w budowie idioplazmy, powstają w niéj coraz to nowe i coraz bardziéj złożone kombinacye sił. Rozmaite czynniki zewnętrzne wywierają, jak wiadomo, wpływ na wielkość, kształt i zrastanie się kryształów, gdy tymczasem właściwości zasadnicze, to jest postać kryształu, uwarunkowana wzajemném ugrupowaniem się molekuł, pozostaje zawsze taką samą dla danéj substancyi. Kryształy soli tworzyć będą sześciany większe lub mniejsze, pojedyńcze lub też w najrozmaitszy sposób zrastające się z sobą — zależnie od różnych warunków zewnętrznych w jakich znajdować się będzie roztwór krystalizujący. To samo stosuje się też do idioplazmy, któréj micelle grupują się głównie i przeważnie na zasadzie sił wewnętrznych, ale pod pewnemi też względami zależą od przyczyn, leżących po za obrębem saméj idioplazmy, od przyczyn jedném słowém zewnętrznych.

Te przyczyny zewnętrzne grają jednak rolę drugorzędną, a zjawisko rozwoju i ciągłego doskonalenia się organizacyi zależy głównie od zjawiania się coraz to nowych wewnętrznych kombinacyi sił w idioplazmie. To dążenie do pewnéj określonéj komplikacyi idioplazmy jest tylko szczególnym wypadkiem ogólnego prawa działającego we wszechświecie całym, prawa entropii, według którego, przy stałéj ilości energii zmienia się wciąż w pewnym określonym kierunku układ cząsteczek materyalnych oraz forma ich ruchu. Podobnie jak cały wszechświat dąży od form prostszych do coraz bardziéj złożonych, jak z jednorodnéj materyi kosmicznéj, wskutek sił jéj międzyatomowych wytworzyły się mgławice słońca i układy planetarne przy ciągłéj przemianie formy ruchu, tak samo i materya żyjąca, jako cząstka materyi wszechświata, wskutek sił, w niéj spoczy-

wających, przekształcała się bezustannie z prostszéj w złożoną. powodując coraz większą komplikacyą objawów życiowych.

Ta przemiana idioplazmy, a tém samém jestestw organicznych odbywa się, jak powiedzieliśmy, bezustannie; ale podobnie jak w materyi nieorganizowanéj nagromadza się to większa, to mniejsza ilość siły napiętéj, zanim uwalnia się, jako ruch, tak téż i w idioplazmie zacządki pojedyncze gdy tylko powstają, mogą natychmiast wywołać odpowiednie przemiany zewnętrzne, albo téż mogą gromadzić się w ciągu długiego okresu czasu, by następnie uzewnętrznić się w szybko idących po sobie cechach morfologicznych i fizyologicznych. Zwykły sposób zapatrywania się, według którego sądzimy o przemianach na zasadzie zmienności cech widocznych, przypomina opis historyczny, który dotyka tylko wojen i zwycięstw, rewolucyi i walk partyi pojedyńczych, panujących i wodzów, lecz który nie uwzględnia cichéj i spokojnéj pracy milionów jednostek, torujących w ciągu wielu lat drogę wszelkim, nagle jakoby występującym, przewrotom.

Co do znaczenia przyczyn zewnętrznych, Naegeli widzi trzy ewentualności. a mianowicie: albo mogą one żadnego nie wywierać wpływu na ogólny kierunek rozwoju, albo téż wpływ ten może być bardzo nieznaczny i niewidoczny, albo wreszcie wpływ ich może się przejawiać w widocznych cechach zewnętrznych.

Otóż, Naegeli twierdzi, że przyczyny z zewnątrz działające, mogą sprowadzić w ciągu dłuższego lub krótszego czasu przemiany molekuralno-fizyologiczne, które zostają przekazywane z idioplazmy jajka na potomstwo, jako cechy dziedziczne, dostatecznie silne, aby je dostrzedz było można.

Przyczyny zewnętrzne polegają, według Naëgelego, na bezpośrednim lub pośrednim wpływie na organizm czynników zewnętrznych. Przy wpływie bezpośrednim proces analogiczny jest zjawiskiem, zachodzącym w świecie nieorganicznym, tj. określona przyczyna wywołuje wtedy widoczne skutki. Silniejsze światło zwiększa na zielonych tkankach roślin proces redukcyi oraz ilość wydzielanego tlenu, zimno zwalnia chemizm roślin, brak wody sprowadza więdnienie, obfity pokarm—bujny wzrost. Te bezpośrednie wpływy nie wywołują atoli trwałych przemian na idioplazmie.

Przy wpływie pośrednim, oznaczonym w ogóle mianem podrażnienia, przyczyna działająca powoduje cały szereg następujących po sobie ruchów molekularnych, które przejawiają się w cechach widocznych, nieraz zupełnie odmiennych co do natury swojéj od przyczyn, co je wywołały. Jeśli podraźnienie działa tylko kilka razy, lub téż przez krótki tylko czas, nie wywiera ono na idioplazmę żadnego

widocznego i trwałego wpływu; jeśli zaś działa w ciągu bardzo długiego okresu czasu i na bardzo wielką ilość pokoleń, może ono tak dalece zmienić idioplazmę, że powoduje w niéj dziedziczne dyspozycye, przejawiające się w cechach widocznych.

Wszelkie przystosowania zwierząt i roślin do warunków życia uważa Naegeli, nie za skutek doboru naturalnego, lecz wprost jako wynik owych podrażnień zewnętrznych, które tak zasadnicze mogą wywoływać cechy. Tak np. ochrona, jaką posiadają zwierzęta chłodnych klimatów w grubém swém futrze, a zwierzęta mniéj chłodnych okolic na swych futrach zimowych, zawdzięcza istnienie swoje wpływowi chłodu na skórę zwierząt. Różna broń, służąca zwierzętom do napaści lub obrony, jak np. rogi, pazury, kły itd. powstały przez draźnienia, które wywierały wpływ na różne określone części powierzchni ciała. Daléj, powiada Naegeli, rośliny lądowe np. osiągnęły cechę dziedziczną przekształcania w korek zewnętrznéj warstwy drzewnika naskórka swego—jako rezultat oddziaływania powietrza na ich powierzchnią. Liczne złożone przystosowania pomiędzy kwiatami i owadami, uważane przez Darwina i zwolenników jego za znakomite dowody działania doboru naturalnego, Naegeli także rozpatruje wprost jako wyniki działania warunków zewnętrznych. Tak np. jak wiadomo, jedno z ciekawszych przystosowań pomiędzy kwiatami i owadami polega na tém, że korony kwiatów wydłużają się w postaci długich rurek, a w związku z tém wydłużają się téż trąbki owadów, które z głębi koron rurkowanych wysysają miód, przenosząc tym sposobem pyłek z innych kwiatów i przeszkadzając przeto samozapłodnieniu. Oba urządzenia, roślinne i zwierzęce, są jakby jedno dla drugiego stworzone. Oba rozwinęły się do tego stopnia, na jakim obecnie się znajdują, powoli i stopniowo, długie rurki koron z koron bezrurkowych lub téż krótkorurkowych, długie zaś trąbki owadów z krótkich. Otóż, według Naegelego, korony kwiatów tych wydłużyły się w skutek bezustannych, w ciągu olbrzymiéj ilości czasu trwających podrażnień, powodowanych przez dotykanie się do nich owadów. Trąbki zaś owadów ze swéj strony wydłużyły się i powiększyły w skutek ciągłego draźnienia części gębowych przy pracy około wysysania miodu. Darwin, jak wiadomo, objaśnia zjawiska podobne przez dobór naturalny; dla roślin odwiedziny owadów i zapładnianie przez obcy pyłek za pośrednictwem tych ostatnich—stanowiło objaw bardzo korzystny, a ponieważ wydłużanie się korony i przystosowanie jéj do organów gębowych owadów pomagało procesowi temu, dobór naturalny utrwalał zatém stopniowo i powiększał tę cechę korony kwiatowéj. Z drugiéj zaś strony dla owadów bardzo było pożyteczne karmienie się pożywnym

miodem roślinnym i dla tego téż dobór naturalny utrwalił i zachował w owadach cechę wydłużonéj trąbki, umożliwiającéj wysysanie miodu z głębi koron kwiatów. W taki sposób dobór naturalny wywołał, według Darwina, zobopólne przystosowanie się kwiatów i owadów. Ale oto Naegeli zbija pogląd taki następującém rozumowaniem.

Wystawmy sobie, powiada Naegeli, że kiedyś korona kwiatowa oraz trąbki owadów miały np. po 5 mm. długości. Jeśli przez zboczenie powstała korona kwiatowa nieco dłuższa, to zboczenie to musiało być bardzo niekorzystném dla rośliny, albowiem owady nie mogły dosięgnąć do miodników w głębi korony ukrytych i dlatego nie odwiedzały kwiatu tego, nie mogąc téż spowodować krzyżowanego zapłodnienia. Kwiat więc taki, jako mający gorsze warunki bytu (albowiem krzyżowane zapłodnianie wzmacnia potomstwo) musiałby ustąpić innym, a w taki sposób dobór naturalny nie mógłby nagromadzać i utrwalać cechy wydłużonéj korony, jak tego wymaga pogląd Darwina. Tak samo zboczenie, polegające na większéj długości trąbki nie przynosiło korzyści owadowi, albowiem dłuższa trąbka gorzéj była przystosowana do danéj długości koron kwiatowych (mających, jak powiedzieliśmy 5 mm.) aniżeli trąbka takiéj samej jak one długości.

Zarzut ten Naegelego wydaje się na pozór bardzo trafnym, ale upada zupełnie, jeśli tylko zważymy, że teorya doboru naturalnego nie wymaga wcale, ażeby, wydłużanie się koron kwiatowych oraz trąbek owadów odbywało się na przemiany to z jednéj to z drugiéj strony; przeciwnie, przyjąć musimy, że i u roślin zjawiły się jako zboczenia, dłuższe korony kwiatów i jednocześnie u owadów—dłuższe trąbki; że zaś głębsze korony mogły być odwiedzane przez owady z dłuższemi trąbkami i dla obu stron wypływała ztąd korzyść, zachowywały się jedne i drugie; gdy zboczenie to powiększało się wytworzyły się wreszcie bardzo długie korony rurkowate i takież trąbki owadów. Przyjmując takie *jednoczesne*, wzajemne przystosowywanie się kwiatów do owadów, obalamy przez to zarzut, czyniony w tym wypadku przez Naegelego doborowi naturalnemu.

Wpływy przez tak zwane podrażnienia, zaliczone przez Naegelego do zewnętrznych przyczyn kształtujących, działać mogą w świecie zwierzęcym, między innemi drogą, różną od dróg, właściwych światowi roślinnemu, a mianowicie za pośrednictwem zmysłów. Nie podobna wątpić, że wrażenia zmysłowe wraz z uwarunkowanemi przez nie wyobrażeniami i objawami woli, powtarzając się w ciągu długich okresów czasu w taki sam wciąż sposób, spowodować mogą, podobnie jak liczne inne podrażnienia, trwałą przemianę idio-

plazmy, a tém samém widoczne przemiany w budowie i czynnościach organizmów. „Pozostawiając—powiada Naegeli—tę dziedzinę znawcom fizyologii zwierząt, chcę na jedną tylko okoliczność zwrócić ich uwagę. Jak wiadomo, istnieją niektóre zwierzęta, ubarwieniem naśladujące koloryt otoczenia swego i dlatego mogące uchodzić uwagi wrogów lub też zdobyczy. Otóż, czyż nie jest niemożliwém, aby zmysł wzroku odgrywał tu pewną rolę i wywierał określony wpływ na powstawanie danéj barwy, a to tém snadniéj, iż zwierzęta prześladowane i prześladujące najsilniejsze otrzymują wrażenia?" Przytoczony tu domysł Naegelego zasługuje z tego względu na uwagę, iż rzeczywiście w ostatnich czasach przekonano się doświadczalnie, iż wrażenia barw, otrzymywane za pośrednictwem zmysłu wzroku, wpływać mogą na wytwarzanie się pewnego określonego barwnika w skórze zwierząt, czyli na zmianę ich ubarwienia. Robiono doświadczenia z pewnemi rakami morskiemi, które umieszczano w miskach różnobarwnych, a oczy niektórych pokrywano tafelką wosku czarnego; otóż okazało się, że barwa otoczenia (szkła naczynia) wpływała na przemianę barwy skóry raka, ale wpływ ten odbywał się tylko za pośrednictwem wzroku, albowiem zmieniały barwy tylko te raki, których oczy były wolne, te zaś, których oczy pokryte były czarną zasłoną woskową i wrażeń świetlnych nie przyjmowały, nie zmieniły zupełnie swéj barwy, i pozostały nieczułemi na zmianę barwy otaczającéj.

Przyjmując taką przyczynę, jako wyłącznie lub prawie wyłącznie działającą wszędzie, gdzie zwierzę przyjmuje barwy, pozostające w pewnym stosunku określonym do barwy otoczenia—odrzucić należy teoryą powstawania barw, według Darwina, który przypisuje je doborowi naturalnemu lub płciowemu. Jako dowód, że nie mógł tu działać wprost tylko dobór naturalny, Naegeli zwraca uwagę na to, dlaczego u roślin niema nigdy przystosowania się barwy do otoczenia, co stanowiłoby przecie dla roślin ważny środek obrony przed wzrokiem nieprzyjaciela. Naegeli nie waha się przypisać téj różnicy pomiędzy roślinami a zwierzętami brakowi zmysłów u pierwszych, a specyalnie zmysłu wzroku. Co do tego punktu Naegeli jest zbyt pochopnym do wypowiedzenia zdania ogólnego w postaci jakoby pewnika naukowego. Czy rośliny nie przyjmują często lub przynajmniéj niekiedy barw otoczenia swego, to jeszcze bardzo wielka kwestya. Szary kolor grzybów rosnących w cienistych miejscach, porosty przyjmujące tak często barwę kory drzew, na któréj rosną lub barwę skały, na któréj się ścielą itp. przykłady, których znalazłoby się bez wątpienia bardzo dużo, czyż nie przemawiają na niekorzyść poglądu Naegelego? Nie ulega kwestyi, że w bardzo wielu wypad-

kach wpływ przyczyn zewnętrznych czy to przez pośrednictwo zmysłów czy też inną drogą (1) mógł wywołać liczne przemiany w ubarwieniu, nie podobna atoli odrzucić potężnego wpływu doboru naturalnego i płciowego na powstawanie barw zwierzęcych.

Ciekawy jest pogląd Naegelego na kwestyą samorództwa. Twierdzi on, iż nietylko przyjąć musimy samorództwo dla wytłómaczenia sobie początku życia na ziemi, lecz że teoretycznie powinniśmy przypuszczać, że samorództwo w naturze i dziś ma miejsce, jeśli tylko znajdują się warunki odpowiednie, podobne do tych, jakie istniały na ziemi naszéj, kiedy życie na niéj powstawało. Dlaczego eksperyment nie wykazuje możliwości samorództwa, Naegeli tłómaczy tém, że cząstki protoplazmy powstające w cieczy odżywczéj zbyt są małe, abyśmy je mogli dostrzedz za pośrednictwem najsilniejszych chociażby powiększeń mikroskopowych. Naegeli odróżnia następującą, że tak powiem, hierarchią w powstawaniu istot organizowanych. Przedewszystkiém z pierwiastków, znajdujących się w płynie życiodajnym, musiały się drogą syntezy wytworzyć ciała białkowate, co nie jest nieprawdopodobném wobec tego, że, jak wiadomo, liczne inne też złożone związki organiczne mogą być sztucznie drogą syntezy otrzymane, po za obrębem ciała żyjącego. Następnie cząsteczki białka skupiały się, tworząc grupy — micelle. Micelle te, działając jako centra przyciągające, otoczyły się warstewkami wody; ponieważ jednak przyciąganie ich do cząsteczek białka większe było aniżeli do cząsteczek wody, pomiędzy nie wstępowały nowe molekuły, które znów się w micelle grupowały. W taki sposób, skoro raz się wytworzyła pewna ilość micelli, przez wpływ ich na białko otaczające powstawało coraz więcéj micelli, które wstępowały pomiędzy istniejące. Utworzone w taki sposób maleńkie cząsteczki zarodzi powiększały się. Takie, niewidzialne dla oka cząsteczki zarodzi, Naegeli nazywa *probia*. Z nich dopiero wzięły początek najniższe widzialne dla nas organizmy jednokomórkowe, a przedewszystkiém monery (E. Haeckel).

Dlatego też Naegeli uważa pogląd Haeckla, jakoby monery przedstawiały najniższe istoty uorganizowane, za zupełnie mylny. W *probiach* ugrupowanie micelli jest jeszcze zupełnie nieprawidłowe, zależne od warunków zewnętrznych, pomiędzy micellami nie istnieją tam jeszcze siły w określony sposób działające i wywołujące określone objawy życiowe. Naegeli nie waha się też przyjąć, że pomię-

(1) Znany nasz podróżnik po Ameryce południowéj p. Sztolcman twierdzi, że niektóre ptaki otrzymują barwy, zależne wprost od pokarmu, jaki spożywają (*Wszechświat*, 1884. „Przeciw doborowi płciowemu“ i t. d.).

dzy *probiami* i monerami taka sama, a może większa jeszcze zachodzi różnica, aniżeli pomiędzy temi ostatniemi a najwyższemi organizmami.

Przedstawiwszy teoryą przemian form organicznych oraz zapatrywania swe na powstanie ustrojów, Naegeli obszernie i szczegółowo zastanawia się nad historyą rozwoju rodowego świata roślin. Według Naegelego rozwój świata roślinnego odbywa się drogą następujących procesów prawidłowych, działających w ciągu całego szeregu filogenetycznego. Tak zwane prawo rodowego łączenia się polega na następującéj zasadzie. Najprostsze rośliny są komórkami kształtu kulistego, które rosną i rozmnażają się przez dzielenie i pączkowanie. Przez to, iż komorki potomne nie oddzielają się od siebie i nie tworzą samodzielnych osobników roślinnych, lecz natomiast łączą się z sobą—powstają z roślin jednokomórkowych wielokomórkowe. Toż samo dążenie do łączenia się widzimy u tych części roślin, które powstały przez rozgałęzianie się i tylko miejscami komunikują się z sobą; u roślin wyższych zrastają się one z sobą w jedną nieprzerwaną tkankę.

Inne prawa rozwoju rodowego nazywa Naegeli prawami komplikacyi rodowéj czyli ampliacyi, różniczkowania i redukcyi. Komórki i wogóle części roślin, leżące obok siebie, są na niższych stopniach rozwoju zupełnie jednakowe. Przez różniczkowanie stają się niejednakowemi, a każda cząstka lub téż pewne grupy cząstek biorą na siebie inną rolę życiową. Obok tego procesu różniczkowania istnieje inny, a mianowicie t. z. przez Naegelego proces ampliacyi, który powoduje ilościowy rozrost całego organizmu lub téż oddzielnych jego części, tak, że każdy organ otrzymuje większą ilość komórek, lub téż każdy układ większą ilość organów. Gdy po takiéj ampliacyi następuje różniczkowanie funkcyi, najbardziéj oddzielone od siebie części łączą się za pośrednictwem utworów pośrednich. Przez nowy zaś proces t. z. redukcyi te utwory pośrednie stopniowo zanikają, a pozostają tylko krańcowe produkta różnicowania się.

Wszystkie te procesa rozwoju rodowego odbywają się jako konieczne skutki przemian zachodzących w idioplazmie. Prócz tego czynną jest ciągła działalność wpływów zewnętrznych, nadających organizmom pewne drugorzędne cechy lokalne, odpowiadające otaczającym warunkom i podlegające prawu przystosowania się.

Oto, w krótkości przedstawiona, mechaniczno-fizyologiczna teorya rozwoju jestestw organicznych prof. Naegelego. Staraliśmy się uwydatnić i rozebrać krytycznie najważniejsze jéj punkty. Nie po-

dobna było przytoczyć zdań pojedyńczych z dzieła Naegelego, zawierających piękne i głębokie myśli. Te liczne rozrzucone perły może znaleść każdy, co zada sobie pracę uważnego przestudyowania dzieła, złożonego z ośmiuset przeszło stronic. Trzecia część dzieła tego poświęcona jest rozbiorowi pytania o granicach poznania, oraz o siłach kształtujących w świecie molekularnym. Obie te kwestye stanowią tylko jakby dodatki do pytania głównego, traktującego o mechaniczno-fizyologicznéj teoryi rozwoju, dlatego téż ograniczymy się tylko na wzmiance o nich.

Rozbierając stosunek Naegelego do teoryi doboru naturalnego, oraz liczne miejsca saméj teoryi uczonego niemieckiego, staraliśmy się wykazać niektóre słabe strony poglądów jego, oraz zaznaczyć wybitniejsze punkty. Na zakończenie pozwolimy sobie raz jeszcze zestawić poglądy Darwina z zapatrywaniem Naegelego, by ocenić, na czém polega istotny postęp kwestyi i jakie są rzeczywiste zasługi Naegelego.

Zdaniem naszém, teorya doboru naturalnego oraz molekularno-fizyologiczna bynajmniéj nie wyłączają się wzajemnie, lecz druga dopełnia tylko sobą pierwszą.

Darwin przypisuje rozwój i doskonalenie się świata organicznego działalności walki o byt i doboru naturalnego, zachowującego osobniki o zboczeniach pożytecznych, niszczącego zaś osobniki, które nie uległy przemianom korzystnym. Samo atoli pojęcie zmienności zawiera coś tajemniczego i tu właśnie spoczywa przyczyna, dla któréj tak liczni pisarze oskarżali Darwina o wprowadzanie do biologii pojęcia przypadkowości. Teorya Naegelego, według któréj, w molekularno-fizyologicznéj budowie idioplazmy kryją się siły dziedziczności i zmienności, według któréj pewna zmienność organizmów stanowi konieczny skutek praw mechanicznych— dopełnia ów brak teoryi Darwina. Zresztą, gdybyśmy nawet siły molekulurno-fizyologiczne uważali, jak robi to Naegeli, za główny czynnik kształtujący i kierujący rozwojem organizmów, to i w takim razie nie podobna zaprzeczyć wielkiego znaczenia biologicznego walce o byt i doborowi naturalnemu.

Nieraz już były wypadki w dziejach nauki, iż z kilku badaczy, zajmujących się daną kwestyą naukową, każdy zawzięcie bronił swego poglądu, wyłączającego jakoby wszelkie inne. Późniejsi atoli uczeni przekonywali się, iż prawda leżała pośrodku, i że każdy miał poczęści słuszność.

To samo, zdaniem naszém, powiedzieć można o kwestyi powstawania gatunków. Geoffroy de St. Hilaire i inni przypisywali zja-

wisko przemiany form organicznych bezpośredniemu wpływowi warunków zewnętrznych, Lamark—używaniu i nieużywaniu organów, Darwin opierał się głównie na walce o byt i doborze naturalnym, Naegeli zaś uwzględnia prawie wyłącznie czynniki molekularno-fizyologiczne, stanowiące o kierunku rozwoju rodowego, drugorzędne zaś znaczenie przypisuje wpływowi warunków zewnętrznych. Bez wątpienia—prawda leży po środku, lub też tylko bliżéj tego lub owego poglądu. Przyszłość wyznaczy jéj właściwe miejsce.

Józef Nusbaum.

DRUGI ZJAZD GÓRNIKÓW

KRÓLESTWA POLSKIEGO W WARSZAWIE. (1)

Górnictwo, jak uprawa roli, należy do rzędu tych przemysłów, które czerpią surowy materyał bezpośrednio z ziemi. Wszelki inny przemysł, zajmujący się dalszym przerobem materyałów surowych, dostarczonych za pomocą dwóch pierwszych, nie może się prawidłowo rozwijać, jeżeli tylko te znajdują się w stanie anormalnym. Kraj, posiadający w ziemi bogactwa, lecz niekorzystający z nich, lub też korzystający za mało, bez pewnego określonego systemu, bez względu na możliwe ewentualności na przyszłość, naraża się na wielkie niebezpieczeństwo ekonomiczne.

Wiedząc ile jeszcze u nas na drodze prawidłowego rozwoju górnictwa zrobić pozostaje, ze szczególném zadowoleniem witaliśmy otwarcie w Warszawie 2-go z kolei zjazdu górników Kr. Polskiego, mającego wyłącznie na celu roztrząsanie potrzeb górnictwa krajowego. W chwili, kiedy te słowa piszemy, zjazd już zakończył swe posiedzenia, które trwały od 31-go października do 7-go listopada włącznie. Możemy więc już streścić jego prace i wnioski, dla poparcia których u rządu wybrana została komisya z trzech członków: pp. Strasburgera, Mauvego i Cichowskiego.

Debaty zjazdu toczyły się odpowiednio do zatwierdzonego przez p. ministra programatu, obejmującego pięć główniejszych punktów a mianowicie: 1) *produkcyą węgla kamiennego*, 2) *produkcyą cynku i ołowiu*, 3) *produkcyą innych ciał kopalnych w Królestwie Polskiem*, 4) *projekt szkoły górniczéj w Dąbrowie* i 5) *projekty kasy emerytalnéj oraz przezorności dla pracowników górniczych w obu okręgach*. Prócz przytoczonych jednak kwestyi, były roztrząsane jeszcze inne, od

(1) Ob. „Ateneum“ r. 1883, tom II, str. 1—12.

których rozpoczniemy, nie mając zamiaru trzymać się ściśle porządku debatów, co do czasu, w jakim się one odbywały. Chcemy tedy najpierw pomówić o wniosku dra geologii, p. Siemiradzkiego, który został jednomyślnie przez zjazd poparty a który, jeżeli w czyn wprowadzonym zostanie, wypełni w znacznéj części brak, dający się bardzo odczuwać każdemu, kto na polu górnictwa krajowego pracować pragnie. Mamy mianowicie na myśli ten smutny fakt, że w położeniu obecném nie tylko nie wiemy o wielu bogactwach mineralnych, które w ziemi naszéj istniéć mogą, ale nawet nie mamy się zkąd dowiedziéć o tych, co już zbadanemi zostały. Ażeby temu zaradzić, p. Siemiradzki, skomunikowawszy się poprzednio z zarządem Muzeum Przemysłowego, który wszelką pomoc ze swéj strony przyobiecał, postawił wniosek urządzenia przy témże Muzeum działu górniczo-przemysłowego. Zjazd górników, jakeśmy już wspomnieli, odniósł się bardzo sympatycznie do projektu p. Siemiradzkiego i *wydzielił natychmiast komisyą złożoną z przedstawicieli zjazdu, oraz inżynierów górniczych: pp. Choroszewskiego, Hubego i Nechfedowicza, poleciwszy jej zbadać w jak najkrótszym czasie powyższy projekt i obmyśleć środki do jego uskutecznienia.* Panowie przemysłowcy ze swéj strony przyobiecali możliwe poparcie. Według projektu p. Siemiradzkiego, dział górniczo przemysłowy, będzie zawierał okazy rozmaitych ciał kopalnych znajdujących się w Kr. Polskiem, wraz z odpowiedniemi wskazówkami, co do ich miejsca pochodzenia, jakości i ilości w jakich się reprezentowane przez nie ciała kopalne znajdują, co do ich zastosowania w przemyśle itp. Urządzenie podobnego muzeum w Warszawie, (gdzie prócz zbiorów Pusza dla większości niedostępnych i mających zresztą więcéj teoretyczne, niż praktyczne znaczenie, innych nie posiadamy) bezwarunkowo przynieść może znaczne korzyści; życzymy téż temu projektowi jak największego powodzenia.

Drugie postanowienie zjazdu, dotycze poparcia krajowéj produkcyi koksu. Dotąd istnieje przekonanie, iż kraj nasz nie posiada węgli kamiennych, któreby mogły dać koks, zdatny do użytku w wielkich piecach, gdy tymczasem zdaniem wielu specyalistów, niektóre gatunki węgli polskich dały by się zupełnie dobrze w tym kierunku zastosować, braknie tylko dotąd poważnych prób, któreby pokazały, w jaki mianowicie sposób i z jakich warstw węgli naszych, da się otrzymać koks, odpowiedni do potrzeb przemysłu. Kwestya ta ma pierwszorzędne znaczenie dla naszego górnictwa. Dotąd prawie wszystkie piece wielkie w Kr. Polskiém, wytapiają żelazo na węglu drzewnym. Takiego stanu rzeczy jednak za normalny uważać niepodobna, pociąga on bowiem, za sobą coraz większe trzebienie la-

sów, a tém samém wzrost ceny węgli drzewnych. W skutek tego nowe wielkie piece zaczęto zastosowywać do koksu i zapotrzebowanie nań z dniem każdym się zwiększa. Otóż zjazd górniczy, chcąc zachęcić do prób nad otrzymaniem koksu krajowego, wydał postanowienie, według którego *ma być naznaczone premium po 10 k. od puda za pierwszy milion pudów surowca wytopionego na koksie krajowym.* Obok tego inne znów postanowienie zjazdu, dotyczące koksu, zdaje się przeciwdziałać poprzedniemu, projektuje bowiem, na wniosek p. Choroszewskiego i Strasburgera, *zniesienie na 12 lat, istniejącego obecnie cła na koks zagraniczny, przewożony przez komory Kr. Polskiego dla użytku hut żelaznych*, a zatém popiera poniekąd zastosowanie w kraju produktu zamiejscowego. Przeciwdziałanie to jednak było by niém rzeczywiście wtedy, gdybyśmy mieli na widoku tylko produkcyą węgla kamiennego, i nie przyjmowali pod uwagę innych przemysłów z nim związanych. W samėj rzeczy rząd, rozwijając system ceł ochronnych, nałożył cło na koks przywożony z zagranicy w rozmiarze 3 kop. papierowych za pud. Cło to jednak przy braku koksu w kraju, będąc zbyt małą zachętą dla przemysłowców węglowych, do szukania sposobów otrzymania go ze swoich węgli, padło całym swym ciężarem na przemysłowców żelaznych, wywoławszy zwiększenie ceny fabrycznéj surowca wytopionego o $4\frac{1}{2}$ kop. na pudzie, średnio bowiem wypada $1\frac{1}{2}$ puda koksu na 1 pud surowca, w skutek czego konkurencya surowca krajowego z zagranicznym stała się trudniejszą. Zjazd, wydając dwa wyżéj przytoczone postanowienia, starał się rozwiązać ten węzeł gordyjski i rozwiązanie to zdaje się nam być jedyném możliwém; należy więc tylko życzyć, aby rząd zechciał je uwzględnić.

Zdecydowawszy konieczność zniesienia cła od koksu, zjazd jednocześnie postanowił na wniosek p. Mauvego, *popierać nałożenie cła w rozmiarze 3 kop. na pudzie* od innego rodzaju przedmiotów przem. górn., mianowicie *od wszelkich wyrobów z gliny, czy to ogniotrwałych, czy zwyczajnych cegieł, dachówek, rur itp.* co, jeżeli przyjdzie do skutku, obciąży bezwarunkowo przemysł żelazny. Między kwestyą jednak koksu krajowego i wyrobów z gliny zachodzi wielka różnica, którą zjazd musiał uwzględnić. Polega ona na tém, że gdy możliwość otrzymania koksu dobrego z węgli miejscowych oparta jest tylko na przypuszczeniach, istnienie u nas glin w jak najlepszych gatunkach i w znacznych stosunkowo ilościach nie podlega żadnéj wątpliwości. Gliny te dotąd eksploatują się bardzo słabo, przytém po większéj części wywożone bywają jako materyał surowy zagranicę, gdzie uchodzą za najlepsze i skąd następnie wracają do nas w postaci gotowych wyrobów. Dla tych względów, zdaniem większości, cło w rozmiarze 3

kop. od puda od wyrobów z gliny, pozwalając się rozwinąć bardzo ważnéj gałęzi przemysłu krajowego, nie zbyt obciąży przemysł żelazny. Prócz tego zaś rozwój produkcyi wyrobów z gliny będzie miał jeszcze tę dobrą stronę, że rozszerzy zbyt gorszych gatunków węgli kamiennych, które bez żadnych trudności mogą być zastosowane do wypalania tych wyrobów.

Mówiąc o zastosowaniu gorszych gatunków węgli kamiennych, nie możemy pominąć wniosku p. Roguskiego, proponującego zupełnie nowy sposób zużytkowania miału węglowego, oraz łupków węglowych, a mianowicie dla wytworzenia siły elektrycznéj, która następnie przenoszona za pomocą odpowiednich przewodników na mniéj lub więcéj znaczne odległości, mogłaby być zastosowaną bądź do oświetlania zakładów górniczych, bądź do wprowadzania w ruch kolejek elektrycznych, bądź do innych tym podobnych celów. Wniosek p. Roguskiego rozpatrzony przez osobną podkomisyą, złożoną z panów Choroszewskiego, Milicera, Siemiradzkiego i innych, został przyjęty przez zjazd, a dla wprowadzenia go w życie postanowiono prosić departament górniczy o wyznaczenie osobnéj komisyi z udziałem p. Roguskiego, która by zajęła się wystudyowaniem projektu, i o udzielenie z sum departamentu 1000 rs. na niezbędne przytém wydatki.

Wracając teraz do kwestyi rozszerzenia badań ciał kopalnych w kraju, musimy wspomnieć o dwóch postanowieniach zjazdu, z których jedno dotycze eksploatacyi siarki, drugie zaś kwestyi poszukiwań w ogólności. Co do pierwszego, to tu postanowienie zjazdu było wynikiem wniosku właścicieli kopalni siarki w Czarkowéj, pp. Pusłowskich, którzy się domagali cła na siarkę przywożoną z zagranicy. Przemysł siarczany u nas dalekim jest od stanu normalnego, czego najlepszym dowodem jest ta okoliczność, iż dotąd kwas siarczany wyrabiają u nas z siarki czystéj, co jego cenę zwiększa znacznie i uniemożliwia konkurencyą z zagranicą. Gdyby cło na siarkę zostało przyjęte, fabryki chemiczne musiałyby się zwrócić do materyałów surowych miejscowych, które już to w postaci pirytów, już to jako ruda, w obfitości w kraju się znajdują. Zjazd propozycyą cła odrzucił, utrzymując, iż uposadzenia siarki i jéj połączeń u nas nie są dokładnie zbadane i że wskutek tego przy niedostatecznéj ewentualnéj ilości tych ciał kopalnych, mogłoby ich w razie rozwoju przemysłu siarczanego zabraknąć; natomiast jednak uradzono prosić departament górniczy o *przeprowadzenie o ile możności szczegółowych badań nad uposadzeniami siarki i pirytów, znajdującemi się w naszym kraju.* Druga uchwała, jakeśmy to już powiedzieli, dotycze poszukiwań wogóle. Ma ona na celu ułatwienie czynności w razach,

kiedy np. otwory świdrowe, studnie, lub inne roboty poszukiwawcze wypada prowadzić na gruntach prywatnych, co obecnie bardzo jest utrudnione wskutek rozmaitych formalności. Kwestya ta, wraz z kwestyą wywłaszczania włościan z ziemi, w razie jeśli ta ostatnia niezbędną jest dla robót eksploatacyjnych, była już rozpatrywana na poprzednim zjeździe górniczym. Dotąd jeszcze żadna z nich rozstrzygnięta nie została, wskutek czego zjazd zadecydował prosić o możliwe przyśpieszenie decyzyi w tym względzie, która rzeczywiście miałaby doniosłe znaczenie dla przemysłu górniczego. Dotąd zajęcie ziemi włościańskiéj dla potrzeb kopalnianych, w razie konieczności, możliwe jest tylko drogą zamiany na inne odpowiednie grunta. Zamiana taka jednak, jeżeli ma być dobrowolną, częstokroć do skutku przyjść nie może z powodu niechęci włościanina; zastosowanie zaś przymusowego wywłaszczenia, już to z przyczyny wymaganych przytém formalności, już to z powodu, że właściciel kopalni często własnego gruntu dla zamiany nie posiada, połączone bywa z takiemi trudnościami, że przeprowadzenie téj czynności staje się wprost niepodobieństwem. Na téj zasadzie wnioskodawca (p. Wróblewski z Grodźca) domaga się, aby zjazd wstawił się ponownie do rządu o pozwolenie nabywania od włościan ziemi dla kopalni niezbędnych. Pozwolenie podobne, zdaniem p. Wróblewskiego, byłoby równie korzystném dla właścicieli kopalni, jak i dla włościan, którzy by w takim razie mogli dogodnie zbywać grunta, nie mające częstokroć dla nich, jako dla rolników, żadnéj właściwie wartości. Kwestya wywłaszczeń jest tyle skomplikowaną, a przytém do takiego stopnia znajduje się w przeciwieństwie z ogólną zasadą rządu, który, chcąc zapobiedz tworzeniu się proletaryatu, na wywłaszczanie włościan z ziemi nie pozwala, iż wątpliwą jest rzeczą, czy kiedykolwiek w dodatnim dla właścicieli kopalni kierunku rozstrzygnięta zostanie.

Z kolei rzeczy przechodząc do kwestyi eksploatacyi, mamy do zanotowania wnioski hr. Platera i p. Miniewskiego. Pierwszy z nich dotycze jednéj z bardzo palących kwestyi naszego przemysłu górniczego, a mianowicie nieprawidłowego i nieekonomicznego dobywania węgli kamiennych w kopalniach krajowych. Nie mogąc tu się wdawać w rozpatrywanie specyalne tego przedmiotu, pozwolimy sobie jednak w tym względzie zrobić kilka uwag ogólnych. Wiadomo powszechnie, iż węgle polskiego zagłębia węglowego, należą już to wskutek swéj właściwéj konsystencyi, już to wskutek obecności w nich znacznéj ilości siarczyków żelaza do rodzaju bardzo łatwo się zapalających. W zagłębiu naszém przytém prócz jednego bardzo miąższego pokładu, zwanego Redenowskim, znajdują się warstwy cienkie. Otóż eksploatacya węgla u nas odbywa się ogól-

nie (z wyjątkiem kopalni Towarzystwa francusko-włoskiego) sposobem rabunkowym, przy którym całe filary niewydobytego węgla pozostają w kopalniach, co przyczynia się do rozwinięcia znacznéj ilości cieplika. Prócz tego warstwy bardzo cienkie, za bardzo małemi wyjątkami, wcale się nie wyrabiają. W rezultacie wynikają stąd dwie szkody, a mianowicie najprzód, że pozostawione filary i cienkie warstwy, można uważać za stracone nazawsze dla przemysłu, następnie, że przy rozwinięciu się cieplika wewnątrz kopalni, pozostający węgiel się zapala, wywołując niszczące pożary podziemne, z któremi walka jest częstokroć prawie niemożliwą, czego żywy przykład dają niektóre palące się dotąd kopalnie Dąbrowskie. Rząd przyjmując pod uwagę względy powyższe, gdy ustanawiał cło na węgiel, przywożony z zagranicy, uzyskał od przemysłowców obietnicę zaniechania eksploatacyi rabunkowéj, co jednak dotąd do skutku nie przyszło. Hr. Plater w swoim wniosku podniósł ponownie tę nadzwyczaj ważną kwestyą na tegorocznym zjeździe. Przy jéj roztrząsaniu powstała bardzo żywa dyskusya, wskutek któréj, nie wydając ostatecznéj uchwały, zjazd postanowił tylko prosić rząd *o zwrócenie baczniejszéj uwagi na prawidłową eksploatacyą węgla kamiennego w Kr. Polskiém*, z tém jednak zastrzeżeniem, *aby przy wydaniu nowych odpowiednich prawideł uwzględnione było zdanie przemysłowców węglowych*, utrzymujących, iż nie wszędzie owa prawidłowa eksploatacya da się wprowadzić. Tymczasem zaś pożary szerzą się wśród pokładów węgla, ogromne masy jego pozostają na zawsze stracone w ziemi, kraj zaś pozbywa się dobrowolnie bogactwa, które z dniem każdym coraz bardziéj niszczeje.

Wniosek p. Miniewskiego dotyczé wprowadzenia prawidłowéj eksploatacyi kamieniołomów. Wnioskodawca stwierdzając smutny stan tego przemysłu w kraju, proponuje dla postawienia go na nogi, wprowadzenie kilku niezbędnych warunków, między któremi na pierwszym planie stawia cło ochronne, zmniejszenie taryfy kolejowéj i wreszcie przymusowe zastosowanie najnowszych i najlepszych, zdaniem jego, sposobów eksploatacyi za pomocą piły śrubowéj. Zjazd z uwagi, iż na obrobione kamienie istnieje już cło ochronne, że koleje gotowe są, o ile to będzie możliwe, zmniejszyć taryfy na przewóz marmurów kieleckich i innych tym podobnych kamieni, twierdząc wreszcie słusznie, że rząd do kamieniołomów nie może zastosowywać praw, dotyczących eksploatacyi właściwie górniczéj, i że w każdym razie nie jest w stanie wprowadzać przymusowo tego lub owego sposobu wydobywania, wydał rezolucyą, w któréj prosi tylko o *postawienie warunku wykonywania eksploatacyi prawidłowo, przy wypuszczaniu przemysłowcom ziemi rządowych na kamieniołomy.*

Załatwiwszy się ze stroną właściwie górniczą posiedzeń zjazdu tegorocznego, przechodzimy do kwestyi, dotyczących uregulowania wzajemnych stosunków przemysłu z kolejami żelaznemi. W tym względzie na posiedzeniach zjazdu mieliśmy zręczność słyszéć, powtarzaną na rozmaite sposoby starą piosenkę, w któréj zwrotka przemysłowa domaga się zniżenia taryfy kolejowéj do minimum, zwrotka zaś kolejowa twierdzi stanowczo, że obecnie już koleje czynią dla przemysłu więcéj niż mogą. Nie mając zamiaru wchodzić tu w szczegóły debatów, jakie się w tym przedmiocie toczyły, skreślimy je tylko o ile możności w ogólnych zarysach.

Najżywszą dyskusyą wzbudziło żądanie przemysłowców, aby koleje w Królestwie Polskiém przyjęły na przewóz węgla kamiennego, taryfę wprowadzoną na kolejach południowo-zachodnich, a dochodzącą przy pewnéj odległości do $^1/_{125}$ kop. za pudo-wiorstę. Przeciwko temu żądaniu przemysłowców wystąpili wszyscy obecni przedstawiciele dróg żelaznych, twierdząc, iż kolei południowo-zachodnich za przykład do naśladowania w danym razie brać niepodobna, najpierw dla tego, iż żadna koléj Królestwa Polskiego osobno wzięta nie posiada téj długości, na jakiéj taryfa $^1/_{125}$ kop. przyjętą jest na drogach południowo-zachodnich, następnie dla tego, iż naznaczając tak niską taryfę, ze swoją nawet stratą, koleje południowo-zachodnie miały na widoku, przez dostarczenie taniego opału, podtrzymanie chylących się do upadku fabryk cukru, których produkt stanowi dla nich ważniejszy materyał przewozowy, niż węgiel i wynagradza straty na tym ostatnim poniesione, wreszcie dla tego, że drogi południowo-zachod. przewożą właściwie węgiel w wagonach powracających, któreby w przeciwnym razie musiały iść bez ładunku. Koleje Królestwa Polskiego w żadnym razie, nawet dla ruchu prostéj komunikacyi, nie będą mogły o tyle obniżyć swéj taryfy na węgiel. Zjazd uwzględniwszy do pewnego stopnia obronę przedstawicieli kolejowych, *zdecydował ostatecznie prosić o przyjęcie na kolejach Warsz.-Petersb.*, *Warsz.-Teresp. i Warsz.-Bydg. taryfy w rozmiarze* $^1/_{80}$ *kop. od pudo-wiorsty.*—Na drugi punkt obrony przedstawicieli kolejowych możnaby wprawdzie odpowiedziéć, że fabryki cukru w Królestwie Polskiém także potrzebują podtrzymania i że im również nie zaszkodziłoby miéć opał tańszy. Zarzut ten jednakże wyjaśniony został przy debatach co do następującego postanowienia zjazdu, które domaga się, aby na *drodze Warszawsko-Wiedeńskiéj taryfa*, *istniejąca obecnie dla średniego węgla kamiennego, obniżona została do rozmiaru taryfy na miał węglowy.* Wniosek ten został przyjęty, pomimo protestu przedstawicieli kolejowych. Ci, na domaganie się przemysłowców zrównania tych dwóch taryf, twierdzili, iż nie da się ono prze-

prowadzić, z jednéj strony dla tego, że podniesienie taryfy na miał węglowy do taryfy na węgiel średni zbyt by obciążyło fabryki cukru, które obecnie wyłącznie prawie miału węglowego używają; z drugiéj zaś strony dla tego, że obniżenie taryfy na węgiel średni do taryfy na miał węglowy przyniosłoby straty kolejom. Bądź-co-bądź jednak zwycięstwo zostało po stronie przemysłowców, chociaż, niestety, może się ono ostatecznie okazać tylko teoretyczném, od postanowienia bowiem zjazdu do wprowadzenia go w czyn droga jeszcze daleka, którą bodaj czy kolejowcy przejść pozwolą, trzymając w swych rękach do pewnego stopnia monopol przewozowy.

Inne kwestye kolejowe, poruszone na zjeździe, nie obudziły już zbyt gorących debatów, tyczyły się bowiem rozmaitych ułatwień, nie przynoszących wielkich strat kolejom. Tu zaliczam następujące postanowienia zjazdu:

1) *O wyznaczeniu komisyi rządowéj, z udziałem przemysłowców, któraby określiła ilość rzeczywistą węgla tracącego się w drodze.* Dotąd ilość ta zupełnie jest nieustaloną i przemysłowiec nie jest w możności z góry obliczyć, jaka część ładunku dojdzie do miejsca przeznaczenia.

2) *O urządzeniu wag wagonowych na wszystkich stacyach kolejowych, przyjmujących znaczniejsze ilości węgla kamiennego.* Obecnie wiele stacyi, nawet na nowéj kolei Dąbrowskiéj, podobnych wag nie posiada, co wywołuje naturalnie bardzo wiele nieporozumień, a nawet przyprawia częstokroć przemysłowców o znaczne straty.

3) *O wydanie dla powszechnego użytku taryfy kolejowéj, w któréj by były ściśle oznaczone koszta przewozu, z włączeniem wszystkich innych niezbędnych przytém wydatków.* Teraz bowiem, wobec braku ogólnéj tablicy taryfowéj i przy istnieniu rozmaitych dopłat dodatkowych, co do których wskazówki znajdują się tylko w zarządach dróg, niepopodobna z góry obliczyć, ile ten, lub ów transport kosztować będzie. Wszystkim tym trzem wnioskom przedstawiciele kolejowi zupełną słuszność przyznali i przyrzekli nawet ze swéj strony możliwe poparcie. Również jednogłośnie przeszedł wniosek, dotyczący dróg rządowych poleskich, które opalają lokomotywy nie węglem kamiennym, lecz drzewem. Zjazd postanowił prosić rząd *o zastosowanie do powyższych kolei prawa obowiązkowéj zamiany opału drzewnego na mineralny.*

W dalszym ciągu mamy tu jeszcze do zaznaczenia dwie uchwały, dotyczące zwiększenia środków komunikacyi. Pierwsza z nich ma na celu *przyśpieszenie budowy przedłużenia kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiéj do granicy Pruskiéj i Austryackiéj, oraz do Dąbrowy, i żeby*

węgiel mógł być po téj linii przewożony jeszcze nawet przed urzędownem otwarciem na niéj ruchu. Druga zaś na wniosek p. Hempla, poparty następnie przez p. Mauvego, prosi *o pozwolenie budowy nowéj szerokotorowéj gałęzi dr. żel. Iwangrodzko-Dąbrowskiéj od Dąbrowy na północo-zachód przez wsi: Łagisza, Strzyżowice i Siemonia.* Ta ostatnia gałąź kolejowa bardzo będzie ważną, przecięła by bowiem kraj również bogaty jak Dąbrowa pod względem górniczym, nie mogący jednak dotąd rozwinąć przemysłu na odpowiednią stopę, wskutek nadzwyczaj utrudnionych środków komunikacyi. Pomijając kilka innych wniosków mniejszéj wagi, z przyjemnością przechodzimy do najjaśniejszych, zdaniem naszém, kart kroniki tegorocznego zjazdu górniczego, mianowicie do uchwał, dotyczących szkoły górniczéj w Dąbrowie, oraz kasy emerytalnéj i pomocy dla pracowników górniczych. Decyzye te, które na zjeździe zostały zdefiniowane i oczekują tylko sankcyi ze strony władzy, dowiodły, iż przemysłowcy nasi, nie zamykając się w ciasném kole swych osobistych interesów, okazali gotowość do rozumnéj ofiarności na cel szerzéj pojmowany. Mamy nadzieję, że ta ich ofiara sowicie z czasem wynagrodzoną zostanie. Na każdym niemal kroku spotykać się nam zdarza z tém zdaniem, zupełnie zresztą słuszném, iż nie brak nam ludzi, którzy odebrali wyższe specyalne wykształcenie, lecz braknie zupełnie takich, którzy, posiadając pewne niezbędne teoretyczne wiadomości, byliby w stanie pokazać robotnikowi jak się ta lub inna robota wykonywa, wykształcić go odpowiednio do potrzeb danego przemysłu i wprowadzać wogóle w czyn projekta przez inżynierów nakreślone. Brak ten w górnictwie ma właśnie zapełnić projektowana „szkoła górnicza“ w Dąbrowie, mając przygotowywać techników nie tylko dla kopalni, lecz również i dla hut. Ustawę téj szkoły ostatecznie zredagowano i przyjęto na tegorocznym zjeździe, przyczém program jéj bardzo słusznie został zmieniony w stosunku do pierwotnego, który był cokolwiek za obszerny. Obecnie w programie tym uwzględniono głównie, prócz języków: rosyjskiego, polskiego i niemieckiego, trzy działy — mianowicie: matematykę, hutnictwo i górnictwo. Z innych, jako pomocniczych, będą się dawać tylko ogólne pojęcia o tyle, o ile to będzie koniecznem dla lepszego zrozumienia głównych przedmiotów. Uczęszczanie do szkoły ma być bezpłatne. Egzamin wstępny bardzo łatwy. Dla otrzymania jednak patentu, prócz przejścia trzyletniego kursu szkoły, będzie wymagane świadectwo z odbycia 2-letniéj praktyki w kopalni, lub w hutach, stosownie do obranéj specyalności ucznia. Materyalnie szkoła utrzymywana będzie ze składek, opłacanych przez przemysłowców, którzy też odpowiednią deklaracyą na siebie z wszelką gotowością podpisali, zobo-

wiązawszy się nawet zwiększyć na początek te składki o 25%, dopóki nieuformuje się kapitał zapasowy w wysokości 12000 rs. Prócz tego na początkowe urządzenie szkoły zjazd uchwalił prosić rząd o udzieleniu jednorazowo 12000 rs. z sum państwowych, lub też z sum Towarzystwa Kr. Ziemskiego, złożonych w Banku Polskim roku 1871 i przeznaczonych na potrzeby publiczne. Tak więc poruszoną na pierwszym jeszcze zjeździe kwestyą średniéj szkoły górniczéj, możemy już obecnie uważać za rozstrzygniętą, główna bowiem wątpliwość, dotycząca materyalnéj strony, ostatecznie usunięta została. Gdyby zjazdy górników innych rezultatów prócz tego nie osiągnęły, ten jeden byłby wystarczający, dla uznania wielkiéj ich doniosłości dla kraju.

Druga uchwała, nie mniéj ważna, dotycze urządzenia w 1-ym okręgu górniczym kasy emerytalnéj i następnie wspólnych dla obu okręgów kas pomocy. Co do kasy emerytalnéj, to ta może być zastosowaną tylko do 1-go okręgu, ponieważ w drugim przemysł górniczy stoi obecnie jeszcze na bardzo chwiejnych podstawach. W ogólności kwestya ta, chociaż ostatecznie zadecydowaną została i postanowiono téż prosić rząd o jak można najśpieszniejsze zatwierdzenie odnośnego projektu, podległa jednak dość żywéj dyskusyi i krytyce w saméj zasadzie. Sądząc z istniejących przykładów tego rodzaju kas, jak np. kasa inżynierów-górników, kasa inżynierów dróg i mostów, oraz kasy prywatne przy rozmaitych kolejach i większych zakładach założone, nie mają one dość trwałéj podstawy: kapitał w nich w przeciągu pewnego czasu wzrasta szybko, lecz następnie, skoro tylko ilość członków wysługujących emeryturę zaczyna się zwiększać, okazuje się niedostatecznym, co zmusza do podnoszenia składek i w końcu uczestniczenie w kasie dla pozostających staje się niedogodném. Na téj to zasadzie bodaj czy nie praktyczniejszym by się okazał system asekuracyi życia, lub kapitału. Uwagi powyższe zostały podniesione na zjeździe przez niektórych członków, ostatecznie jednak, jakeśmy to powiedzieli, projekt kasy emerytalnéj dla 1-go okręgu górniczego Kr. Pol. został uchwalony, co w każdym razie przynosi zaszczyt pp. przemysłowcom. Co do kas pomocy, to te postanowiono urządzić w obu okręgach Królestwa, a w tym celu ma być opracowaną ogólna ustawa dla nich normalna, bez oznaczenia jednak cyfr, które następnie przez każdy zakład przemysłowy górniczy będą określane odpowiednio do warunków, w jakim się on znajduje. Kasy pomocy mają być, wedug uchwały zjazdu, zupełnie oddzielone od kas emerytalnéj i zaliczkowéj, gdzie takowe się znajdują, mając głównie na widoku udzielanie robotnikom po-

mocy, w tych razach, kiedy ona powinna być uskutecznioną o ile możności najśpieszniéj.

W związku z postanowieniem, dotyczącém kasy emerytalnéj, dyskutowano wreszcie kwestyą odpowiedzialności właścicieli zakładów przemysłowych, w razie kalectwa, lub śmierci robotników w tych zakładach pracujących. Kwestya ta nadzwyczaj jest ważną, zwłaszcza w zastosowaniu do kopalni węgla kamiennego, gdyż, według danych statystycznych, nigdzie tak wiele nieszczęśliwych wypadków się nie zdarza, w stosunku do ilości dobytego węgla, jak w Rosyi i w Polsce. Obecnie w sferach rządowych mają być w tym względzie zatwierdzone nowe prawidła, według których właściciel w razie nieszczęśliwego wypadku ma być wprost powołany przez odnośne władze, dla dowiedzenia braku winy ze swéj strony, co mu prawie nigdy udać się nie może, nawet wtedy, gdy wypadek rzeczywiście się wydarzył wskutek nieostrożności i nieposłuszeństwa robotnika. Otóż zjazd uchwalił, prosić o zaprowadzenie zmiany co do saméj procedury powoływania do odpowiedzialności, mianowicie, aby sami robotnicy byli powódzcami i byli obowiązani dowodzić winy ze strony właściciela. Prócz tego, co do samego wynagrodzenia, to ma ono stanowić tylko różnicę między tą sumą, która przez sąd za odpowiednią uznana została, a tą która danemu robotnikowi z emerytury przypada. Naturalnie będzie to miało miejsce w tych tylko zakładach, które w kasie emerytalnéj biorą udział.

Streszczając teraz prace tegorocznego zjazdu górników, przychodzimy w ogóle do niezbyt wesołych wniosków. Rzeczywiście na posiedzeniach, prócz ostatnich paru uchwał, mających pierwszorzędne znaczenie, nic ostatecznie nie przedsięwzięto takiego, coby mogło stanowczo wpłynąć na poprawienie ekonomicznego stanu naszego przemysłu górniczego. Zresztą ograniczono się wyłącznie prawie na rozpatrzeniu potrzeb przemysłu węglowego, który w gruncie rzeczy do najgorzéj uposażonych u nas nie należy. Wprawdzie co do przemysłu żelaznego, z góry uchwalono zupełnie nad nim nie obradować, z tego powodu, że ma on stanowić przedmiot pracy, otwierającego się wkrótce zjazdu przemysłowców żelaznych w Petersburgu, ale przecież w kraju naszym istnieją inne jeszcze gałęzi przemysłu, o których albo całkiem nie mówiono, albo też ograniczono się na prostéj o nich wzmiance. Do tych ostatnich zaliczamy np. przemysł cynkowy i ołowiany. W tym kierunku usłyszeliśmy tylko jeden wniosek p. Listera, przedstawiciela firmy sukcesorów Kramsty,

domagający się nałożenia cła na wyroby cynkowe a zniesienia onego od rudy, przywożonéj z zagranicy; ale i ten jeden, będąc zbyt ogólnikowo skreślony. bez przytoczenia danych faktycznych, został przez zjazd odrzucony.

Tak więc w rezultacie żadnych nowych dróg wyjścia z teraźniejszego położenia krytycznego nie wskazano, poprzednio zaś obrane, jak system cłowy obecnie już działający, dotąd, prócz obciążenia konsumentów, do żadnych innych rezultatów, niestety, nie doprowadziły.

Marcin Szymanowski.

Z DZIEDZINY PEDAGOGIKI.

Psychologia wychowawcza przez Adolfa Dygasińskiego, (na drugiéj karcie tytułowéj:) Obraz psychicznych zjawisk w organizmie ludzkim. Wykłady przeznaczone dla informacyi wychowawców zestawił... podług licznych podręczników. Warszawa. Nakładem księgarni A. W. Gruszeckiego, ulica Mazowiecka N. 14, r. 1885.

Jeźliby ktoś z mnogości książek i rozpraw, pojawiających się w jakimkolwiek zakresie naukowym, chciał sobie sąd wyrabiać, o ile ogół społeczeństwa pewnemi kwestyami umiejętności się zajmuje, to biorąc na uwagę naszę literaturę, trzebaby chyba przypuszczać, że mimo rozbudzonéj zresztą wielostronnie działalności piśmiennéj, psychologia w postaci systemu teoretycznego znacznie mniejszém niż liczne inne nauki cieszy się powodzeniem. Podczas gdy sąsiadujące z nami Niemcy, jak niemniéj Anglia i Francya, niemal w każdym dziesiątku lat ostatnich pochlubić się mogą już to nowemi poglądami na życie duchowe w ogóle już téż przynajmniéj wielką liczbą monografii, rozwiązujących szczegółowe zagadnienia psychologiczne, gdy tam zastosowują świeżo powstałe teorye filozoficzne i przyrodnicze do wytłómaczenia umysłowego życia człowieka, przyczém przeciwnicy z różnych obozów staczają zawzięte walki z sobą, piszą mnóstwo podręczników z różnych punktów widzenia i naukę szeroko popularyzują i rozpowszechniają, widzimy u nas zaledwie tłómaczenia niektórych dzieł obcych w wyborze niezawsze szczęśliwym i kiedy niekiedy, jakby okolicznościowo, ogłaszane roztrząsania znamionujące pewną obojętność dla przedmiotu i unikanie głębszego weń wejścia. Dowodzimy tém samém nietyle braku pojęcia o ważności rzeczy i jéj treści, ile raczéj małego pociągu do refleksyi, do zwracania się myślą na własny wewnętrzny stan duchowy i dociekania tajemniczych tegoż zjawisk, co bez wątpienia do najtrudniejszych zadań na polu prac umysłowych zaliczyć należy i może do

najmniéj ponętnych dla natury, jaką jest nasza przeważnie, skłonnéj i chętnéj do występowania raczéj w ruch świata zewnętrznego. Tém też skwapliwiéj i z większą ciekawością w rękę bierzemy dzieło, które na szerszą skalę założone, zapowiada się z pierwszego wejrzenia jako utwór poważnego zakroju i wkraczać się zdaje w cały ciąg interesujących spraw duchowych i przyrodzonych własności umysłu ludzkiego. Taką książkę mamy przed sobą pod wyżéj przytoczonym tytułem pióra pana Dygasińskiego. Z przyczyny doniosłości samego przedmiotu zamierzyliśmy zastanowić się nad nią nieco obszerniéj a z odpowiednią rzeczy ścisłością i uwagi nasze szanownym czytelnikom podajemy.

Autor wyznając zaraz na wstępie, że jest autodydaktem, chce widocznie uprzedzić czytelnika, że o przedmiocie, który w swojéj książce przedstawia, sam własną pracą, i wysiłkiem nabył potrzebnéj wiedzy. Nie mam nic przeciw autodydaktyzmowi. Owszem, jakkolwiek boję się trochę, czy nie urażę przez to powagi uczonych, śmiałbym powiedzieć, że nawet od czasu do czasu pożądaną bywa rzeczą, aby na przekór szkolnéj rutynie, która z pewnością większe lub mniejsze więzy na swobodę myśli ludzkiéj nakłada, wystąpił ktoś całkiem niezawiśle od szkolnego wykształcenia i próbował nawet trudniejsze zagadnienia umiejętności rozwiązać sposobem nowym, za pomocą naturalnego rozumu, nieujętego w karby utartéj metodyki. Zjawisko takie wpływa nader ożywczo na postęp nauk, jak tego wielokrotnie dzieje oświaty dowodzą.

Nie czyniąc tedy żadnéj ujmy autodydaktyzmowi jako takiemu, musimy nań przecież nałożyć dwa konieczne warunki. Po pierwsze musimy żądać, aby autodydakt, jeżeli w pracy literackiéj składa swoję wiedzę i do rozkrzewienia wiadomości przyczynić się pragnie, sam naprzód treść i istotę rzeczy sumiennie i jaknajwszechstronniéj rozważył; po drugie, co się tyczy sposobu jéj przedstawienia, aby jéj nadał barwę i charakter swój indywidualny, aby mówił od siebie i poswojemu. Żadnemu z tych dwu wymagań książka pana D. zadość nie czyni. Myśli nieprzetrawione, niezrozumiałe zdania, twierdzenia i poglądy wprost bez żadnego zastrzeżenia wypowiedziane, jakby niezbite i żadnéj wątpliwości nieulegające, chociaż w rzeczywistości niepewne, całe teorye i opisy przytaczane w przekładzie z dzieł obcych albo streszczane bez krytyki i nieraz bez uwagi na główny cel pracy, niewolnicze hołdowanie jednéj doktrynie a chęć utrzymania pozoru jakiéjś niezawisłości; to znowu ustępami opowiadania dokładne i treścią zarówno jak formą udatne, prawdy stwierdzone jasnemi dowodami i obszernie rozwinięte, słowem widok osobliwszy mięszaniny dobrego i złego, niby zdolności w jednem, nie-

poradności w drugiém,—taki obraz przedstawia nam książka. Po przeczytaniu dzieła przychodzi się do przekonania, że autor we wstępném słowie nie przez skromność sam się dyletantem nazwał, lecz jest nim istotnie i niechcąc może, powiedział o sobie najszczerszą prawdę.

Jedną z głównych dążności pana D. jest, aby wyznać jawnie i publicznie przed światem, że hołduje materyalizmowi. W tej myśli wypowiada bez ogródki najśmielsze i najwięcéj awanturnicze poglądy nabytego swojego mniemania, co prawda, zwykle pożyczone od koryfeuszów materyalizmu, ale z taką wiarą i pewnością siebie, że chyba już daléj nikt się w tym kierunku posunąć nie zdoła. Jest to cechą autodydaktyzmu, że chwyciwszy się jakiejś teoryi, nie umie jéj z miarą używać, idzie z nią na przebój zwykle, z większą odwagą niż ci, którzy z trudem i mozołem po długiéj pracy do niéj doszli. Autodydakt, przejmując naukę obcą, staje się według przysłowia więcéj papieskim niż sam papież. Aby uwydatnić zapatrywania materyalistyczne autora, musimy zestawić kilka jego zdań najwybitniejszych. Tak czytamy na stronie 21: „Wszelka myśl odbywa się w związku ze zmianą szaréj materyi w mózgu; bez téj zmiany myśl nie może powstać, a gdy zmiana ma miejsce, myśli nie może brakować." Zjawiska psychiczne powstają, gdy „komórka mózgowa będąc przeniknętą zewnętrznéin pobudzeniem, napręża się, rozwija swą siłę i wyzwala ją z siebie" (str. 38). „Jeżeli myślenie jest jedném ze zjawisk życia i jeżeli jest ruchem, jak każde inne zjawisko życia, to niema tutaj miejsca dla duszy myślącéj" (str. 73). „Dusza jest tylko formą ruchu; forma się zmienia, ruch pozostaje ruchem" (str. 75). Spotykamy wyrażenia: „cerebracya" w miejsce naszego zwykłego „myślenie"; „mózgowe skupienie" zamiast „skupienie ducha;" „umysł albo mózg" „umysł czy mózg" (str. 201 i 202) „tak zwane duchowe czynności" (str. 299). Na dowód, jak dalece same mechaniczne ruchy mózgu tworzą myślenie, przytacza autor ustęp z Carpentera dosłownie: „Pewien przemysłowiec z Bostonu opowiadał, iż miał do przeprowadzenia bardzo ważny interes, którego jednak zaniechał, ponieważ to przechodziło jego siły. Ale miał on świadomość czynności, która się odbywała u niego w mózgu, a była ona tak przykrą i niezwykłą, że lękał się być zagrożonym przez paraliż lub jaki inny atak. Po upływie kilku godzin w takim stanie niedogody, niepokój jego zniknął, pożądane rozwiązanie kwestyi wystąpiło samo przez się: bo wypracowało się ono w owych chwilach zamieszania" (S. 147). Ztąd pochodzą wnioski tak śmiałe jak na str. 469: „ostateczny rezultat rozwagi jest tylko mechanicznym skutkiem cząsteczkowéj zmiany w nerwowym ośrodku," albo na str. 470: „wola jest naj-

wyższym gatunkiem energii nerwowéj, porządkuje ona wszelkie energie ciała i duszy; jako taka, wola trzyma kontrolę energij niższych, co wykonywa przez wpływ wyższych ośrodków na ośrodki podrzędne"—i wiele innych podobnych.

Czy materyalizm taki gruby jest już bezwzględnie pewną nauką? czy jest ostatniém słowem umiejętności trzeźwéj i spokojnéj? Nie wątpię, że pan D. odpowiedziałby bez najmniejszego wahania: tak! Ale nie o to nam chodzi, aby nawracać pana D., burzyć mu jego przekonania i odbierać wewnętrzne zadowolenie, że dotarł do niechybnéj podwaliny wszelkiéj wiedzy ludzkiéj. Chodzi nam raczéj o faktyczny stan rzeczy, o szczere zdanie sobie sprawy przed sądem sumienia, co my wiemy o ostatnich dla materyalizmu niby jasnych a wątpliwych zasadach bytu, abyśmy się przez nieprzezorność i złudzenie nie minęli z prawdą. Oczywiście nie możemy tu zapuszczać się daleko w roztrząsanie niezmiernie ważnych i trudnych kwestyi pojęcia świata, ale, o ile to w kilku zdaniach da się uskutecznić, chcę wskazać przynajmniéj na niektóre główne punkty. Radbym, abym mógł być zaliczony między tych, którzy nigdy nie lękają się prawdy, chociażby ona miała przez otwarcie oczu okazać rzeczywistość nader przykrą i smutną, a zarazem zniewolić do zerwania nawet z najwięcéj ulubionemi myślami i stargać węzeł, który nas łączy z szeregiem znakomitych i szczerze uwielbianych umysłów przeszłości. Tak pierwszybym się chwycił materyalizmu, mimo jego oschłości i zimna, i jakie mu tam jeszcze przypisują przywary—gdyby tylko można w nim znaleść zadawalniające rozwiązanie zagadki tak świata zewnętrznego jak naszego życia i naszéj myśli. Tymczasem, jak w pierwszéj chwili olśnić on zdoła swoją prostotą i ująć łatwością wytłómaczenia mnóstwa zjawisk, tak po niejakiém zastanowieniu spostrzegamy, że schodzi do rzędu zwykłych hipotez, równéj a może mniejszéj wartości, niż wiele innych metafizycznych, zwłaszcza w zastosowaniu do zjawisk duchowych. O ile można wyrozumiéć materyalistów, wyobrażają oni sobie, że na całym świecie i w nas samych nie ma nic więcéj oprócz materyi złożonéj z atomów całkiem jednakowych, i że wszelkie zjawiska powstają przez ruchy i drganie niezmiernie szybkie; od ilości drgań w sekundzie zawisła różnica między zjawiskami. Otóż w obec takich pojęć, trzeba nam zawsze pamiętać, że my przedewszystkiém dotychczas materyi w ostatecznych jéj składnikach wcale nie znamy, ani wiemy jak ją sobie mamy wyobrażać. Są tylko przypuszczenia oparte na badaniu zjawisk chemicznych i fizycznych, ale przecież pewności tu nie ma żadnéj.

Ta chwiejność pojęcia materyi zostaje daléj w ścisłym związku z naszém wyobrażeniem przestrzeni, z którą jako tako umiemy sobie

dać radę tylko do pewnych granic; ale gdy chodzi o podzielność jéj bez końca i o rozmiary nieskończonéj wielkości, stoimy w obec kwestyi dotąd nierozwiązanéj i niedostępnéj dla naszego myślenia. Następnie przyznać przecież trzeba, że aczkolwiek wiele zjawisk, jak dźwięk, światło, ciepło zdołała dotąd umiejętność faktycznie wytłómaczyć jako drganie cząstek tak zwanéj materyi, to przecież zostają jeszcze inne jak elektryczność i magnetyzm niewyjaśnione; niby zagadki od rozwiązania dalekie. A cóż dopiero powiedzieć o zjawiskach psychicznych! Wydają się one tak odmienne od wszystkich innych, które znamy, że bodaj czy nie mają słuszności ci wszyscy, którzy dla ich wywołania od niepamiętnych czasów innego rodzaju istoty tj. dusze przypuszczają.

Temi kilkoma słowy chciałem tylko zaznaczyć, że w zasadniczéj kwestyi pojęcia świata wielka jeszcze panuje niepewność. Swoją drogą rozumiem bardzo dobrze, że znajdzie się zawsze ten i ów, który pracą i rozwagą przychodzi do pewnego stanowczego przekonania i hipotezę pewną ująwszy, według zdania swojego najlepszą, i w nią uwierzywszy, przeprowadza ją systematycznie i naukowo tłómacząc wszystko jednolicie i konsekwentnie. Wtedy pojmuję pewien rodzaj entuzyazmu szlachetnego, który płynie z głębokiego przeświadczenia. Ale nie pojmuję entuzyazmu pożyczanemi słowami i tego uniesienia, tego zapału odgrzewanego ogniem obcym, jaki widoczny jest u autora Psychologii Wychowawczéj.

Jeżeli jednak materyalizm jako hipoteza ma zupełne prawo utrzymywania się w teoryi, byle z pewną oględnością broniony, to przecież w praktyczném zastowaniu—wydaje dotąd zawsze wątpliwe owoce. Zwłaszcza gdy chodzi o wychowanie młodzieży, uwydatnia się cała jego słabość (1); zjawisk najzwyklejszych i najważniejszych nam nie tłómaczy, nie wskazuje drogi i środków, jak wychowawca nawet w najpospolitszych wypadkach ma postępować. Co prawda, to żadna teorya filozoficzna, jeżeli w swój system włączy pedagogikę, nie wielką jéj wyświadcza przysługę; zwykle bowiem jednostronnie ją przedstawia i do naprzód powziętych zasadniczych pojęć nagina. Ale téż znowu, jeżeli uznaje oddzielną istotę ducha i wyższość tegoż nad resztą otaczających tworów, to przynajmniéj pobudza do szczególniejszego zajęcia się nim, podnieca zapał i interes już to w ogóle tych wszystkich, którym dobro młodego pokolenia leży na

---

(1) Zdaniem naszém autor zanadto lekceważąco ocenia zasługi całego kierunku anti-idealistycznego dla pedagogiki. Dość wspomnieć nazwiska Locke'a, Roussa, Basedowa, a z nowszych Spencera i Baina, ażeby wykazać, iż temu-to właśnie kierunkowi zawdzięcza pedagogika najwięcéj trwałych zdobyczy. (*P. R.*)

sercu, już téż osobliwie samych praktyce oddanych nauczycieli i pedagogów. Materyalizm przeciwnie, stawiając czynności duchowe co do swojéj istoty na równi z pospolitemi zjawiskami natury, wyrabia prawie zawsze pewną obojętność i rezygnacyą, która się skłania do zostawienia wszystkiego nieuniknionemu biegowi natury, gotową nawet zejść na poziom fizyczny życia i do niego się całkiem ograniczyć. Gdyby materyalizm był niezaprzeczoną prawdą, to w takim razie odpowiedniemi rozsądnemi środkami trzeba cały świat nań przygotowywać i z nim go pogodzić; ale jeżeli tak nie jest, to raczéj życzymy sobie, aby z tak dalekiém rozpowszechnianiem jego idei jeszcze być powściągliwym. Bo nawet i to zasługuje na uwagę, że książka pod takim tytułem, jak Psychologia Wychowawcza, dostaje się w wielu wypadkach do rąk ludzi, którzy niekoniecznie wyższą nauką się zajmują, a przecież czy to jako rodzice, czy jako nauczyciele początków, radziby się czegoś o wychowaniu nauczyć. Nawet nie przypuszczając, że tacy wierzą we wszystko, co drukowane, to przecież niewątpliwie nie mają oni dość wyrobionego zmysłu krytycznego i niewiele zdołają rozumować nad donioślejszemi kwestyami, za to przejmują częstokroć rzucone, bodaj jak nieuzasadnione myśli i niewyćwiczeni w sylogistyce dają się niemi owładnąć.

Chciejmy jednak ten wzgląd zostawić na uboczu i skorośmy się już rozprawili z autorem o jego zasadniczy pogląd, na tle którego oparł swoje dzieło, zwróćmy się do samego opracowania psychologii, aby rozważyć jéj treść ze stanowiska naukowego. Podział rzeczy zachował pan D. taki sam, z jakim oswoiliśmy się już oddawna w dziełach psychologicznych; mówi więc najprzód o wrażeniach i wyobrażeniach, następnie o uczuciach, w końcu o woli. Wstęp (wykład I i II) może jest nietyle stosunkowo za obszerny, jak raczéj sięga zbyt daleko wstecz, w początki powstania wszelkiego stworzenia na ziemi, w rozwój istot, na który składa się dziedziczność, walka o byt i powolne stopniowe przystosowanie się do warunków życia. Nie powiem, żeby kwestye tego rodzaju nie miały pozostawać w związku ze zjawiskami psychologicznemi; owszem każdy psycholog, idący z postępem nauk, powinien liczyć się z niemi; tłómaczą one i rzucają światło na wiele wypadków zagadkowych, rozszerzając widnokrąg umiejętności na bardzo wielkie rozmiary, na objawy życia i ruchu całego znanego nam bliżéj świata ziemskiego. Jednakowoż wysunięcie ich tak na pierwszy plan, skupienie na początku całéj masy zagadnień w nich poruszonych, czyni wrażenie zbyt sztucznego przygotowania i zapędu do właściwego przedmiotu. Tym sposobem wstęp w znacznéj części swojéj mało wiąże się z dalszym ciągiem dzieła, z istotą nauki psychologii. Opuściwszy całkiem pewne

punkty, które raczéj do ogólnéj filozoficznéj teoryi ewolucyjnéj należą, niż do nauki o duszy, byłby mógł autor, zdaniem mojém, resztę przy konkretnych faktach więcéj złożonych procesów psychicznych dla wyświecenia tychże pomieścić.

Jeszcze przed wykładem o właściwych zjawiskach psychicznych czytamy na str. 21—115 opis budowy i funkcyi mózgu i systemu nerwowego w ogóle, oraz narzędzi każdego zmysłu w szczególności. Ponieważ autor utrzymuje, że duszy jako osobnéj istoty niema, przeto oczywiście mózg i nerwy uważać musi za ostatnie i jedyne źródło wszystkich umysłowych czynności. I słusznie téż na ten ustęp psychologii swojéj, w którym o nich mówi, kładzie bardzo silny nacisk i przypisuje mu nader wielkie znaczenie, streszczając w nim niemal wszystkie wyniki badań fizyologiczno-anatomicznych. Nie chcę obecnie wdawać się z panem D. w spór o istnienie duszy, gdyż w obec przeciwnika, który się pompatycznie trzyma przekonań uznanéj przez siebie szkoły prawie jakby dogmatów, musiałbym wystąpić z rozprawą uzbrojoną w dowody szczegółowe i obszernie rozwinięte, na co szczupłe ramy niniejszego sprawozdania nie pozwalają. Wszelako, nie stawiając dowodów, odwołuję się do tego, com już zaznaczył powyżéj, mówiąc o hipotezie materyalizmu, że ścisła umiejętność nie może przeczyć, a raczéj przemawia za przypuszczeniem istnienia duszy jako istoty osobnéj. Co do mnie, to uważam przypuszczenie takie za najzgodniejsze z prawdą i za najlepszy punkt wyjścia dla nauki psychologii. Z tego stanowiska patrząc, uznaję mimo to, równie jak pan D., za konieczność, aby psychologia rozpoczynała się od nauki o mózgu i nerwach; znaczenie jednak tych organów dla życia duchowego całkiem inaczéj pojmuję. Sądzę, że nie trzeba być materyalistą, aby uwierzyć, że mózg jest niezmiernie ważnym dla człowieka, że różne a tak osobliwéj budowy części jego spełniają odmienne zadania, że jak zdrowie jego jest niezbędne do prawidłowego myślenia i działania, tak choroba lub uszkodzenie pociąga za sobą zboczenia w zjawiskach działalności umysłowéj i fizycznéj. Dlatego psychologia w żadnym razie przedstawienia składu i ustroju mózgu w ogólnym zarysie, tudzież nauki o rozgałęzieniu związku i konstrukcyi nerwów pominąć nie powinna

W książce pana D. rzecz wydaje mi się nawet ze stanowiska materyalistycznego za obszernie rozprowadzoną. Autor nie tylko wylicza zbyt drobiazgowo poszczególne części mózgu, począwszy od ryb aż do człowieka, przeplatając opowiadania przykładami inteligencyi zwierząt. Ta ostatnia nauka wykazuje tylko nader ogólnikowo, że już u zwierząt pewną kombinacyą myślenia spotykamy, ale nie uwydatnia stosunku, w jakim zostają stopnie rozrostu i zmian

mózgowych do stopni psychicznéj wyższości. Wprawdzie i cała dzisiejsza umiejętność nie rozwiązała jeszcze rzeczonego zagadnienia, ale też właśnie dlatego możeby odpowiedniéj było, żeby i psychologia wychowawcza kwestyą tak nierozstrzygniętą jeszcze na uboczu zostawiła, czekając cierpliwie na dalsze prace innych umiejętności. Co się zaś tycze szczegółów o oddzielnych częściach mózgu, to przyznać musimy, że wszelkie dotychczasowe usiłowania, aby ich znaczenie i zagadkowe ich funkcye wyjaśnić czy to przez badanie zwierząt, wiwisekcye, czy przez obserwacye patologicznych wypadków itp. ledwie nieco najelementarniejszych i nie całkiem pewnych nam wiadomości przysporzyły. Więc i na tém polu powinien psycholog, jak na teraz, poprzestać na zakreśleniu ogólnego tła, jeżeli nie chce włączać w naukę o duszy przedmiotów, które życia duchowego niczém nie rozświecają.

Dostępniejsze już za to i jaśniejsze są kwestye, odnoszące się do zmysłów. Obecnie zaprzeczyć nie można, iż organa zmysłów przynajmniéj najważniejsze i najistotniejsze zbadano dosyć ściśle i szczegółowo, wyśledzono starannie, jak podnieta, która powstaje wskutek zewnętrznego zjawiska, oddziaływa na przyrządy umieszczone na powierzchni ciała i przenosi się w dalszym ciągu ku mózgowi. Jeżeli w tym względzie bez zaprzeczenia są jeszcze pewne niewytłómaczone punkty, to przecież w całości przebieg procesu, jaki wrażenia zmysłowe przechodzą, zdołamy sobie z przybliżoną dokładnością przedstawić. Pan D. rzuciwszy naprzód kilka słów o genezie zmysłów, które słusznie tłómaczy wszystkie jako modyfikacye zmysłu dotyku, daje następnie obraz już to postaci organów zmysłowych, już też ich działalności, przechodząc porządkiem każdy zmysł z osobna. Rzecz sama oparta jest na znanych zdobyczach naukowych; mielibyśmy tylko do zauważenia, że nie wszystko w zakres tego działu wchodzące dosyć jasno autor przedstawił. Przedewszystkiém uderza, iż organ wzroku dla kogoś, kto go już zkądinąd dokładniéj nie zna, nie rysuje się dostatecznie wyraźnie. Prawda, że tu sam opis bez rysunku zawsze niejakie braki zostawi, ale przecież znamy plastyczniejsze jakkolwiek zwięzłe i krótkie przedstawienia téj rzeczy w dziełach i podręcznikach zagranicznych.

W drugiéj części swojéj pracy zbliża się autor już prawie odrazu i bezpośrednio do zjawisk czysto duchowych. Wprawdzie w wykładzie VI potrąca jeszcze o fizyczną stronę naszego życia, ale tylko na to, aby wykazać związek między zmianami dostrzegalnemi w ustroju cielesnym a współczesną pracą ducha i aby utorować sobie drogę do rozważania téj ostatniej. Rozpoczyna więc od „czuciowych wrażeń“, czyli po prostu od wrażeń, i koleją rzeczy przechodzi do

spostrzeżeń i wyobrażeń. Sposobność nadarzyła się dogodna, jakkolwiek lepsza była poprzednia przy opisie zmysłów i ich działalności, wtrącić na tém miejscu ciekawe wyniki ścisłych badań nad prądem elektrycznym, który się w nerwach naszych objawia i w chwili ich podrażnienia pewnéj zmianie ulega, tudzież o prawie tak zwaném psycho-fizyczném Fechnera, oznaczającém liczbowo stosunek siły wrażenia do siły podniety. Ostatnia część wykładu wyjaśniając znaczenie spostrzeżeń i wyobrażeń, poucza nas o umiejscowianiu wrażeń oraz o przerzucaniu i odnoszeniu wewnętrznych wyobrażeń duszy w świat zewnętrzny i przedmiotowy. Zaraz następnie w wykładzie VII i VIII rozwija autor całą teoryą pamięci podług dzieła Ribota, tłómacząc jéj fizyologiczne warunki, niemniéj ocenia wartość świadomości, o ile ta pamięci towarzyszy, albo z nią się nie łączy; w wykładzie IX rozprawia o skojarzeniach wyobrażeń, które tworzą tak zwany ciąg myśli, raz odpowiedni prawdzie przedmiotowéj i rzeczywistości, to znowu niekiedy błędny i przewrotny, z którego powstają przesądy i zabobony.

Wszystkie cztery wykłady mieszczą w sobie bogaty i dostatni materyał, wszelako do zwykłych wiadomości, między wykształconymi dosyć rozpowszechnionych, nie dorzucają nowych przyczynków. Co się tyczy formy i sposobu opowiadania rzecz niezupełnie równo wypadła. Z rozmaitém szczęściem udaje się autorowi roztrząsanie trudniejszych kwestyi, zwłaszcza gdy chodzi o plastyczną w drobne szczegóły wchodzącą dokładność. Są pewne ustępy, jak nauka o asocyacyi czyli o kojarzeniach, wytłómaczone przystępnie i łatwo, możebne odmiany i wypadki zestawione wyczerpująco i objaśnione na przykładach z życia wziętych. Do lepszych zaliczamy również opis powstawania spostrzeżeń i wyobrażeń, jakkolwiek przy pierwszych proces lokalizacyi czyli umiejscowiania za mało jest uwidoczniony a raczéj tylko ogólnikowo dotknięty. Mniéj wyraźne pojęcie zyskać zdoła czytelnik o stosunku wrażeń do podniet; może dlatego, że autor wybrał tu sobie i naśladuje wzór nieosobliwy, korzystając z Wundta, który najczęściéj styl ma ciemny i zawiły. A już to, co na str. 152 i nn. ma nam tłómaczyć, jak psychologicznie tworzy się wyobrażenie czasu, należy chyba zaliczyć do prób najniezręczniejszych.

W całéj psychologii od początku do końca natrafiamy krok za krokiem na zagadnienia tajemnicze, ilekroć zamierzamy dotrzéć do saméj istoty i rdzenia zjawisk duchowych, a nie pozwalać sobie na żadne przeskoki w rozumowaniu i przemycanie fałszywych myśli pod zasłoną łudzących obrotów słowa. Otóż już i w tym przedsionku właściwéj nauki o życiu psychiczném—bo tak można nazwać

cztery powyższe wykłady — gdzie niejako pierwsza osnowa nawiązana służyć ma do dalszéj różnobarwnéj tkaniny, spotykamy kwestye, których pewnego sposobu odgadnienia jeszcze nie posiadamy. Wobec trudności nieurojonych i na razie niemożebnych do zwalczenia, wydaje się rzeczą pożądaną, aby się ograniczyć do przejrzystego ugrupowania faktów i nagromadzenia ich z najpowszedniejszego życia. Sama klasyfikacya i wyliczenie ich wraz ze ścisłém określeniem każdego, logicznie poprawném i rzecz w granicach możności uwydatniającém, zaznacza postęp ku rozwiązaniu. Tak też pojmuje dzisiaj, jeśli się nie mylę, nauka psychologii swoje zadanie i tak w przeważnéj części je spełnia. Tymczasem p. D. zamiast łożyć całe staranie na wyrazistość opisów i układ porządny, lubi często iść śladem powag może głośnych, ale jeszcze nie koniecznie bezwzględnéj wartości i dawać poglądy rzekomo umiejętne, tworzyć obrazy z domysłu, np. o tém, co się dzieje z komórkami nerwowemi w procesie pamięci (str. 141), o „modyfikacyi ośrodków nerwowych", „śladach psychologicznych", „skojarzeniach dynamicznych elementów nerwowych" (str. 148 i nast.) i t. p., o których sam powiada (na str. 142), że czém one są, „tego nie zdoła nikt wykryć ani za pomocą mikroskopu, ani odczynników", a przecież jeszcze gdzieindziéj każe nam znowu wierzyć w podobne rzeczy, twierdząc stanowczo, że „to są fakta niezaprzeczone i niezbite."

Ten sam błąd powtarza się bardzo często w ciągu całéj Psychologii Wychowawczéj, jako jedna ze stałych cech dzieła pana D. Czytelnik jednak niniejszych słów zrozumie łatwo, że byłoby ze strony sprawozdawcy rzeczą niewłaściwą, aby skoro spostrzeże w książce braki raz poraz występujące, również często i przy każdéj sposobności miał je wytykać. Raczéj niech jedna wzmianka wystarczy, obok uwagi właśnie wyrzeczonéj, i na niéj chciejmy poprzestać.

Zanim naprzód postąpimy, czuję potrzebę usprawiedliwienia się, dlaczego w téj ocenie trzymam się poniekąd, i częściowo dość pedantycznie, porządku, w jakim wykłady po sobie idą. Otóż zniewala mnie do tego wielce nierówna wartość pojedyńczych wykładów p. D. Gdy bowiem jedne przyjąłbym bez większych zarzutów niemal całkiem od pierwszego do ostatniego wiersza, wydają mi się inne zupełnie chybione. Powodem nierówności jest oczywiście korzystanie z różnych źródeł do różnych przedmiotów, co nadaje książce charakter nie jednolitéj artystycznéj budowy, lecz spojonéj sztucznie mozajki. Zamiast więc, jak to jest obowiązkiem sprawozdawcy, ujmować przedmiot pod pewne ogólniejsze punkty widzenia i ułatwić czytelnikowi oryentowanie się w ogromnym bądź-co-bądź ma-

teryale, widzę się raczéj zniewolonym przepatrywać kartkę za kartką i pomijając milczeniem rzeczy zwyczajne, a jako tako opracowane, wybierać tylko to, co uderza wprost błędną treścią czy formą. Odnosi się to szczególnie do uwag, które zaraz poniżéj w luźnym szeregu zestawiam. Następnie starać się będę ogólniejszym rzutem oka skupić myśl na jeden ciąg kwestyi.

Wykład X poświęcony wyobraźni przypomina żywo styl i ton fejletonowy; czyta się gładko i potoczyście, ale pod względem naukowym nawet pobłażliwéj krytyki wytrzymać nie może. Jest-to raczej wysławianie i podziwianie wyobraźni, ubarwione rozbiorem „Ojca Zadżumionych“ Słowackiego i ustępem krótkim, przytoczonym z Ribota „Dziedziczności psychologicznéj“, aniżeli rozbiór jéj istoty, jako zjawiska psychologicznego. Ani czém jest wyobraźnia, ani jakie są jéj granice i odmiany — dowiedzieć się z wykładu naprawdę nie można. A przecież wytłómaczyć grunt wyobraźni, nie jest zadaniem tak trudném. Należy tylko wziąć za punkt wyjścia naukę o reprodukcyi i w przeciwstawieniu do pamięci, która jest powrotem i odnową dawniéj zyskanych wyobrażeń w postaci niezmienionéj, zdefiniować wyobraźnią jako reprodukcyą tychże w nowém połączeniu kombinacyi. Tę zasadniczą myśl można już jak kto chce szeroko rozwinąć i z nią pozostając w zupełnéj zgodzie, wykazać, że nawet najbujniejsza fantazya niczém innćm nie rozporządza, jak tylko nabytkami, których zmysły poprzednio dostarczyły.

Znając przekonania autora, ciekawy byłem, jak pojmuje i wyświeca fakt świadomości siebie samego, czyli tak nazwanéj przez niego samoświadomości. Jest-to bowiem jeden z tych problemów, które dla teoryi materyalizmu stanowią niewytłómaczoną dotąd zagadkę i bodaj czy kiedy z jéj stanowiska do rozwiązania możebną, niewytłómaczoną, bo trudno sobie wyobrazić, jakimby sposobem materya sama pojęta w duchu materyalistów zdołała wiedzę o sobie osiągnąć i trwać w pewności, że to ona jest, która myśli, czuje i ma wolę. Przypuszczałem, że pan D. ze zwykłą sobie odwagą podejmie się trudnego zadania i roztrzygnienia kwestyi w myśl np. Czolbego lub innego z zupełnych materyalistów. Atoli zawiodła się moja ciekawość i przypuszczenie. Autor nasz bowiem znalazł wyjście łatwiejsze; skorzystał z dzieła Fr. Kirchnera i w wykładzie XII rzecz według jego pojęcia opisał, nie troszcząc się bynajmniéj, że tém samém umieszcza w dziele swojém ustęp, wcale nie licujący z jego własnemi poglądami. Z nauką Kirchnera można się zgodzić i uznać trafność jego wywodów, ale to wymaga całkiem innych pojęć o duszy i o znaczeniu umysłowego życia, aniżeli te, które tak otwarcie głosi p. Dygasiński.

Wykład XIII i XIV zajmuje się kwestyą uogólnionych wyobrażeń, pojęć i wogóle wszelkiéj abstrakcyi, zarazem zjawiskami, które znamy pod nazwą sądu, wniosku i sylogizmu, tłómacząc znaczenie indukcyi i dedukcyi, prawdy, oczywistości i prawdopodobieństwa. Mamy tu zatém obraz czynności inteligencyi, przedmiotu, który niewątpliwie do psychologii należy i zwykle téż do niéj włączany bywa. Ponieważ jednak ten sam przedmiot wchodzi zarazem w zakres logiki, przeto mielibyśmy słuszne prawo żądać, aby autor oznaczył stosunek obu rzeczonych nauk do siebie: że mianowicie psychologia raczéj ma zadanie przedstawić i wytłómaczyć proces powstawania sądów, pojęć, wniosków i t. d., podczas gdy logika tylko zbiera, określa i systematycznie porządkuje gotowe już i wyrobione owego procesu wyniki. Przecież w pracy pana D. nietylko wyświecenia wspomnianego stosunku i rozdziału obu nauk nie znajdujemy, ale ani nawet wzmianki o tém nie czytamy. Sama zaś treść wykładów nie daje nam dostatecznego wyobrażenia, czy autor stanowisko swoje, jako psychologa, z zupełną świadomością pojmował.

Na końcu całego pierwszego działu psychologii, traktującego o wyobrażaniu i myśleniu, podaje autor definicyą rozumu na str. 296 w tych słowach: „rozum jestto suma wszystkich wyobrażeń szczegółowych i ogólnych“ i zaraz następnie: „rozumem nazywamy ogół wszystkich postaci poznania i wszystkich procesów poznania.“ Pominąwszy brak należytéj ścisłości wyrażenia w obydwu definicyach — bo przecież rozum nie jest sumą ani ogółem wyobrażeń czy pojęć, lecz co najmniéj zdolnością tworzenia ich — niepodobna jednak zamilczéć, że autor pojęcie rozumu wziął w zanadto wielkiéj objętości i ryczałtowém określeniem nietylko przedmiotu nie uwydatnił, ale go jeszcze zagmatwał. Przedewszystkiém uderza, iż widocznie sprawy sobie nie zdawał z różnicy, jaka istnieje między rozsądkiem a rozumem i téj różnicy ani w tém miejscu, ani nigdzie indziéj wcale nie poruszył. Nie chodzi nam o wyrazy, lecz o rzecz samą. Wyrazy wspomniane, już w mowie potocznéj nie uchodzą za tak równoznaczne, iżby jeden drugim dał się całkiem zastąpić. Wszak pospolicie utrzymuje się mniemanie, że rozsądkiem nazywamy jakąś władzę ducha niższą, w zastosowaniu do powszedniego życia w sprawach praktycznych potrzebną, rozumem wyższą i znakomitszą, sięgającą już w samę istotę i rdzeń rzeczy ważniejszych. Nauka psychologii wprawdzie nie może w rozsądku i rozumie uznawać osobnych władz czy sił ducha, lecz wyrazy może bez szkody dla siebie przyjąć, uważając je za ogólne, abstrakcyjne nazwy dla pewnych rodzajów zjawisk i utworów umysłowych; oczywiście, jeżeli takie rodzaje zjawisk i utwory umysłowe, całość dla siebie stanowiące, znaj-

dzie i dostrzeże w nich chociażby przybliżenie podobną różnicę, jakiéj się mowa potoczna pod obydwiema nazwami dopatruje albo domyśla. Jakoż istotnie, zdaje mi się, że psychologia bez dalekich poszukiwań, jeno rozpatrując się w materyale przez zwykłe doświadczenie zebranym, może i powinna rozsądek i rozum, jako odmienne *zdolności* także ze stanowiska naukowego wyróżnić; nazwą rozsądku objąć zdolność stosowania się w myśleniu naszém (czyli w łączeniu i rozdzielaniu naszych wyobrażeń) do treści tego, co w zewnętrznym świecie istnieje i odbywa się, a nazwę rozumu nadać zdolności wyższéj, mocą któréj jesteśmy w stanie dociec ostatecznych podstaw nietylko saméj wiedzy, jak materya, siła, substancya, własność, natura i t. p., ale także najpierwszych zasad etycznych, jak doskonałość, życzliwość, prawo, słuszność. Rozsądek zatém przedstawia czynność umysłu powszednią i zwykłą, gdy w słowie i czynie idziemy za naturalnym związkiem rzeczy; rozsądnym jest ten, kto sądzi i postępuje odpowiednio do wymagań wszelkich na razie dających się zebrać okoliczności. Rozum przedstawia zjawisko rzadsze, wymaga większego rozwoju umysłu i obejmuje całość wiedzy i woli ludzkiéj; rozumnym jest ten, kto z wyrobioném przekonaniem, świadom zasad stałych i niemi przejęty, nietylko w sądach swoich o wszystkiém, co spostrzega, ale także w postępowaniu usiłuje cechę zgodności, harmonii i jednolitości utrzymać. Książka, zajmująca się psychologią, różnice te właśnie kilkoma słowy dotknięte powinna określić i szerzéj rozwinąć.

Aby wykazać źródło uczuć i wytłómaczyć ich powstawanie, odwołuje się autor w wykładzie XV na str. 298 do pierwszej podstawy wszelkich duchowych zjawisk. Przypomina, że punktem wyjścia jest tu „czuciowe wrażenie“, czyli oddziaływanie człowieka na wszelkie podniety wogóle, pochodzące już to z zewnątrz, już téż od naszego własnego ciała. „Jeżeli to oddziaływanie zwraca się w kierunku przedmiotu wywołującego czuciowe wrażenie, powstają wówczas w umyśle elementa poznania. Jeżeli zaś rzeczone oddziaływanie zwraca się ku podmiotowi odczuwającemu, wtedy mamy do czynienia z uczuciem.“ Tak wywodzi pan D. genezę uczuć wiernie podług W. Wundta. Dobrym jest w téj teoryi sam początek. Pan D. całkiém słusznie upatruje zawiązku uczuć w owych najpierwotniejszych odezwach organizmu naszego na każdą podnietę bez względu na to, zkąd ona pochodzi, jakby pewnego rodzaju reakcyi wywoływanéj przez obcą zaczepkę. Chcąc tę myśl autora dokładniéj zrozumiéć, musimy pamiętać, że jego wywód zdąża do wykazania, iż uczucie nie jest bynajmniéj osobną i nową władzą duszy, lecz tylko innym wyrazem podstawowych i elementarnych zjawisk jéj życia.

Potrzebujemy w tym celu przypomnieć sobie, co autor powiedział na str. 131, 134 i ustępy tam zawarte związać z niniejszém rozumowaniem, a rzecz złoży się w sposób następujący. U dziecka całego procesu życia duchowego niepodobna sobie inaczéj przedstawić, jak tylko, że powstaje w duszy jego skutkiem wpływów zewnętrznych i wewnętrznych chaos i zupełne zmieszanie czegoś nieokreślonego. Dziecko doznając wrażeń, nie umie w nich żadnéj różnicy zrobić, ani nie wié zkąd pochodzą, czy od zjawisk w świecie zmysłowym, czy od własnego ciała; w pierwszych chwilach nie zdoła ani według nich powodować się, ani przed niemi się bronić, chyba o ile przypuścić możemy, że dziedzicznie instynktowo i całkiem mechanicznie do tego jest usposobione. W całości życie umysłowe dziecka jestto jeden akord zlanych i stopionych z sobą objawów; wtedy niema mowy jeszcze ani o uczuciach w odróżnieniu od wyobrażeń, ani o woli; wszystko jest razem jakby w kiełku i zarodku, jest tylko doznanie podniety i reakcya. Te objawy nazywa pan D. „czuciowemi wrażeniami;“ niektórzy inni nasi autorowie używają w tém samém znaczeniu „czucie,“ mnie się zdaje, że odpowiedniéj i prościéj rzecz samę oddaje wyraz „wrażenie“ bez dodatku „czuciowe;“ język nasz rozumie przez wrażenie nie tylko dotknięcie zewnątrz ale zarazem odczucie wewnętrzne. W każdym razie, jakąkolwiek nazwę przyjmiemy, będzie ona mieć zastosowanie bardzo rozległe. Wrażeniem nazwiemy zarówno u nowonarodzonego dziecka owo zjawisko, które powstaje w umyśle jego, gdy światło przed oczyma jego błyśnie lub ból mu dokuczy, jak u dorosłego i rozwiniętego człowieka, gdy dźwięk muzyki usłyszy albo ręką dotknie jakiegoś przedmiotu.

Podczas gdy u bardzo małego dziecięcia o niczém innném nie mówimy, jak tylko o chaotycznéj gromadzie wrażeń i nic więcéj w téj duszy rozpoczynającéj dopiero swój żywot nie przypuszczamy, zauważamy w dalszym ciągu obserwacyi wydzielające się z pośród zmieszanéj pierwotnie masy i coraz jaśniéj do odróżnienia możebne nowe formy psychicznego życia. Jakoż dopiero wtedy właściwie owo pojęcie „wrażenia,“ które bądź co bądź w odniesieniu do małego nieświadomego dziecka, trudném było do określenia, przybiera postać wybitniejszą, ponieważ mamy już z czém je porównać i od czegoś oddzielić. Dopiero wtedy zdołamy je zdefiniować, jako objaw życia umysłowego, który powstaje mocą oddziaływania naszéj istoty na podniety zewnętrzne lub wewnętrzne, dopóki te podniety jeszcze trwają. W porównaniu z wrażeniem nie widzimy w „wyobrażeniu“ nic nowego, ani co do jakości różnego; lecz raczéj uznajemy w niém to samo wrażenie, pomyślane jednak jako ist-

niejące jeszcze wtenczas, gdy już widoczna i możebna do sprawdzenia podnieta zewnętrzna czy wewnętrzna ustaje, a tylko w samym zakresie umysłowym myśl żyje i występuje. Na łączeniu i kombinacyi wyobrażeń w grupy i szeregi, według pewnych praw, polega cała działalność naszego umysłu, ilekroć się rozchodzi o poznanie, osądzanie i wiązanie faktów, a więc o wszelką w ogólności wiedzę. Bez wątpienia wiedza najgłębsza i najobszerniejsza da się zawsze rozebrać na pierwsze składniki, wśród których nic innego, oprócz wrażeń i wyobrażeń znaleść nie jesteśmy wstanie.

Aż dotąd w głównych myślach, mimo różnic w szczegółach i zarzutów niedokładności, zostajemy w zgodzie z panem D.; o tyle téż zdaje mi się, w ogóle porozumienie między psychologami co do teoryi poznania może łatwo przyjść do skutku. Trudniejsza już jest zgoda, gdy chodzi o wytłómaczenie istoty uczucia. W téj sprawie, jak wszelkie pozory pozwalają przypuszczać, autor nasz nie wyrobił sobie jasnego sądu i jeśli się nie mylę, popsuł cały swój wykład wstępny o uczuciu niefortunnym wyrazem „czuciowe wrażenie“; przymiotnik bowiem „czuciowe“, przypominając brzmieniem swojém „uczucie“, widocznie miesza autorowi pojęcie „czucia“ z pojęciem „uczucia“, o czém świadczy szczególnie końcowa część wykładu, w któréj nazwy „czucie“, „czuciowość“, „uczucie“ (i jeszcze do tego „wrażliwość“) bez skrupułu używane są na przemiany. Ztąd powstaje bałamuctwo pojęć trudne do sprostowania. Chcąc z niego wybrnąć, musimy najpierw usunąć na bok pojęcie czucia, które niczém innéni nie jest, jak tylko wrażeniem, i pojęcie wrażliwości jako zdolności do odbierania wrażeń, jedno i drugie jeżeli mówimy o człowieku. Następnie, wracając do pierwszéj myśli autora, przypomnieć, że według niego „wtedy mamy do czynienia z uczuciem, jeżeli oddziaływanie“ (człowieka na podniety) „zwraca się ku podmiotowi odczuwającemu.“ Ma to być scharakteryzowanie elementu czyli pierwiastku uczucia pod względem psychologicznym. Zaraz już tutaj znajdujemy się w niemałym kłopocie, jak sobie mamy w rzeczywistości owo zwracanie się oddziaływania ku podmiotowi przedstawiać. Z rzeczonego kłopotu nie wybawiają nas nawet słowa na str. 299 przytoczone z Wundta: „przekształcamy czuciowe wrażenie w uczucie, gdy się uwydatnia stosunek do podmiotowego stanu czującéj istoty.“ Jestto bowiem tylko inny zwrot stylistyczny, ale czy powiemy; „odziaływanie zwraca się ku podmiotowi“, czy: „uwydatnia się stosunek (oddziaływania) do podmiotowego stanu istoty,“ rzecz zawsze jednakowo ciemną zostaje. Widać jednak i sam autor czuł niedostateczność powyższego określenia, ponieważ wraca jeszcze raz na str. 310 do zdania sprawy czytelnikowi, czém jest uczucie. Przejście ułatwia sobie

wtrąceniem ustępu z Preyera o uczuciach pojawiających się u dzieci, po którym wyznaje słowami Leona Dumonta, że rozumie „przez nazwę uczucie wszystkie psychiczne procesa, którym towarzyszą pewne zmiany w ruchach narządów krążenia. Jeżeli bicie serca nie doznaje zmiany w skutek przyrostu lub ubytku wstrząśnienia swoich regulujących nerwów, wtedy nie ma miejsca zjawisko zwane uczuciem.“ Ucieka się zatém do wyjaśnienia uczuć pod względem fizyologicznym i zaraz też poniżéj wyraźnie powiada: „Uczucia przyjemne powstają wtedy, jeżeli ogół sił, stanowiących *ja*, zostaje zwiększony; ale przyrost taki sił owych nie może być na tyle znaczny, iżby sprowadził zakłócenie ich związku; uczucia znowu przykre pojawiają się w takim razie, jeżeli ilość sił zostaje zmniejszona.“ Z tą definicyą już prędzéj możemy dojść do pożądanego wyniku. Pan D. wyraża się jaśniéj na gruncie fizyologicznym; ruch dla niego jest wszystkiém, jest nim i „czuciowe wrażenie,“ oprócz ruchu istnieje tylko siła. Łatwo tedy powiedzieć: jeżli ruch i działanie sił są takie a takie powstaje wyobrażenie, jeżeli są inne, powstaje uczucie i znowu jeżli jest wzmożenie ruchu i sił powstaje uczucie przyjemne, w przeciwnym razie nieprzyjemne. My jednak ze swojego stanowiska, któreśmy na początku niniejszéj oceny zaznaczyli, musimy stwierdzić, że jeszcze wszystko to, czém autor usiłuje wytłómaczyć istotę uczucia, właściwie do samego uczucia się nie odnosi, lecz częścią zatrzymuje nas na progu w przejściu z najpierwotniejszych zjawisk psychicznych do uczucia, częścią zaś wyjaśnia tylko fizyologiczne okoliczności uczuciu towarzyszące. Według naszego pojęcia rzeczy, należy koniecznie we wstępie do nauki o uczuciach rozważyć tak zwany *ton wrażenia* od rzeczywistego uczucia. Wiadomo, że przy każdém wrażeniu oprócz treści jego i siły większéj lub mniejszéj możemy odłączyć jeszcze trzecią jego cechę, która na tém polega, że sprawia nam ono pewną przyjemność lub nieprzyjemność. Właśnie tę trzecią cechę nazywamy tonem wrażenia i o niéj to możemy powiedzieć, że da się wytłómaczyć fizyologicznie. Przyjemność lub nieprzyjemność wrażenia jest miarą zgodności albo niezgodności między podnietą obudzającą wrażenie a warunkami naszego procesu życia cielesnego. Ten proces, odbywający się przeważnie w nerwach i nerwowych centrach, przedstawiamy sobie, jako działanie sił całkiem w sposób fizyczny, z nich tworzy się w każdéj danéj chwili większe lub mniejsze ogólne naprężenie i równowaga organizmu, jako wypadkowa wszystkich naprężeń szczegółowych. Otóż wtenczas, kiedy podnieta jakakolwiek, jako przybywające właśnie podrażnienie czyli jako nowa siła, zwiększa ów wypadkowy stopień naprężenia, nie burząc atoli zbyt gwałtownie równowagi, świadomość nasza przyjmuje

wrażenie jako przyjemne; w przeciwnym razie, jeżeli następuje uszczerbek sił i opadnięcie ich, albo nagłe zwichnięcie równowagi, jako nieprzyjemne. Tak rozumiemy ton wrażenia. Jako przykład silnego tonu możemy przypomnieć nader niemiłą woń, rażący błysk światła przeraźliwy pisk albo zgrzyt itp.; w każdym razie towarzyszącą przy tych zjawiskach nieprzyjemność trudno nazwać uczuciem. Właściwie uczucie pojmujemy, jako objaw czysto umysłowy, jakkolwiek nie przeczymy bynajmniéj, że i temu objawowi towarzyszą zawsze pewne zmiany fizyologiczne. Bierzemy jednak towarzyszenie w znaczeniu czysto dosłownêm; więc uczucie rozumiemy, jako zjawisko osobne w duszy, a zmiany fizyologiczne znowu, jako osobne w organizmie cielesnym. Uczucie bywa wprawdzie w swych niższych formach bardzo bliskie tonu wrażenia i nawet przezeń wywoływane: zwykle ton wrażenia przyjemny rodzi uczucie przyjemne, przykry nieprzyjemne. W ogóle nie trzeba zapominać, że wszelkie zjawiska psychiczne nie dadzą się zawsze i wszędzie ostrą granicą od siebie oddzielić, lecz jedne przechodzą nieznacznie w drugie. Zdarzają się jednak wypadki, w których ton wrażenia i uczucie wyróżnić jasno zdołamy; tak, bywają chwile, w których, że posłużę się przykładami zwykle w psychologiach przytaczanemi, rana nie boli, albo przeciwnie najlepsza potrawa nie smakuje, mimo że przecież bolesność bolesnością zostaje, a smak potrawy smakiem. Tu ton wrażenia istnieje, ale uczucie go znosi. Uczucie ma z tonem wrażenia podobieństwo w têm, że równie jak on może być w rozmaitych stopniach przyjemne albo nieprzyjemne; lecz podczas gdy przyjemność albo nieprzyjemność w tonie tkwi pierwotnie w nastroju nerwów, uczucie polega na umysłowéj walce wyobrażeń pomiędzy sobą, które mogą się nawzajem na podobieństwo sił fizycznych przytłumiać, albo popierać i wznosić. Uczucie zawsze ma siedzibę w wyobrażeniu (albo w grupie wyobrażeń), a powstaje wtenczas, kiedy to wyobrażenie występując w świadomości, zostaje pod dwustronnym naciskiem innych wyobrażeń, z których jedne usiłują je w świadomości naszéj wznieść, drugie zaś przeciwne dążą do jego usunięcia. Gdy przeważa siła drugich i wyobrażeniu rzeczonemu swobodnie wystąpić nie pozwala, powstaje uczucie przykre; w razie przewagi pierwszych, przyjemne. Możemy zatém określić ton wrażenia, jako wyraz chwilowy nastroju nerwów przy odbieraniu wrażenia, uczucie zaś jako doznanie w świadomości naszéj poparcia albo przeszkody w wyobrażaniu. Twórcą téj definicyi uczucia jest Herbart, a przyjęli ją w znaczeniu powyżéj krótko wyłożoném, zwolennicy jego psychologii, do których zalicza się także Nahlowsky.

Pan D. w dalszym ciągu opisu uczuć, w wykładach XVI—XX, Nahlowskiego przeważnie się trzyma i korzysta z niego w znacznéj rozciągłości. O tym ustępie nie wiele mamy do zauważenia; przyznajemy, że przedmiot jest dosyć obszernie i jasno rozwinięty i daje w połączeniu z dodatkiem o afektach dokładny obraz rozmaitości jaka w tym zakresie życia umysłowego panuje. Tylko pod względem formalnym wytknąć winniśmy, że jeżeli autor osobny wykład sprawie afektów poświęcił, należało zestawić w nim już wszystko, co się odnosi do afektów najcharakterystyczniejszych jak gniew, strach, zdziwienie, zamiast rozdzielać rzecz w ten sposób, iż raz jest mowa o strachu i zdziwieniu na str. 308—310 i o gniewie na str. 365—368 w wykładzie o uczuciach i znowu o tych samych zjawiskach w wykładzie o afektach na str. 414—417, przez co przedmiot niepotrzebnie się rozrywa i jasności przeglądu na przeszkodzie stoi. Również byłoby, zdaje mi się, stosowniéj o grzechach młodości mówić przy popędach, które do teoryi woli należą, aniżeli przy uczuciach, jak to autor czyni na str. 332—337.

Wśród tego rozwoju psychologicznéj teoryi znajdujemy ustępy widocznie w tym celu wtrącone, aby nadać książce ton i charakter pedagogiczny. Przeważnie są to opisy, wykazujące z fizyologicznéj podstawy zawiązek i pierwsze objawy psychicznego życia w najmłodszych latach dziecięcych; najważniejsze z nich mieszczą się str. 106 — 113, 131 — 134, 165 — 169, 187 — 188, 210 — 217, 255 — 259, 290 — 292, 299 — 310 i 360 — 369, wyjęte głównie z dzieła Preyera. Wartość tych opisów początku myślenia i uczucia jest bez wątpienia dla psychologii bardzo wielka; przez nie bowiem, jeśli obserwacya była dokładna, zyskujemy najlepszą podwalinę do pojęcia i zrozumienia dojrzałych a złożonych produktów umysłowych, śledząc ich genezę w najprostszych i najwcześniejszych składnikach. Nikt téż nie zaprzeczy, że niemniéj dla wychowawcy obserwacya pierwszych lat dziecięcych, nawet miesięcy pierwszych, staje się nader pouczającą i pożyteczną pod wieloma względami. Jeżeli jednak wyniki jéj mają mieć znaczenie dla całości i systemu wychowania, to nie powinny stać odosobnione. Ze stanowiska pedagogicznego wymagać musimy raczéj, aby elementarne zawiązki psychiczne jakokolwiek ująć w łączność z objawami życia umysłu dojrzałego, wykazać krok za krokiem przejście od pierwszych do drugich a przynajmniéj zawisłość drugich od pierwszych takę samę, jaka istnieje między budową skończoną a materyałem i częściami, z których budowa powstaje. Tymczasem u naszego autora genetyczny rozwój zjawisk duchowych ogranicza się do samych początków życia człowieka: urywa się prawie wszędzie na pierwszéj dobie jego

bez ogniwa z dalszym ciągiem umysłowéj działalności. Autor pomija całkiem rozbiór wyższych objawów umysłowego życia, a wielce skomplikowanych już u chłopca mniéj więcéj w wieku lat 5, 6, do 15, 18-tu, i przerzuca się odrazu na widownię myśli wyrobionéj w epoce skończonéj dojrzałości. Zdaniem naszém, psychologia wychowawcza powinnaby w tym zakresie najwięcéj dawać wyjaśnień, bo wychowawca ma zwykle do czynienia właśnie najwięcéj w czasie przeprowadzenia wychowanka przez ten pomost, wiodący od początków nauki aż do chwili, w któréj umysł samodzielnie sobą władać i sam swoim siłom zostawiony być może. Dobrze jest znać pierwsze objawy kiełkującego u dziecka życia umysłu, ale szczerze mówiąc, my wtedy właściwie mało co na rozwój czynności ducha zdołamy wpływać. Wszak wtedy siły fizyczne są jeszcze bardzo wątłe, musimy więc przedewszystkiém ciało odpowiednio odżywiać, pielęgnować i chronić narządy zmysłowe od szkody; wprawdzie musimy także dostarczać, byle nie zbyt sztucznie, wrażeń rozmaitych, natomiast oddalać wrażenia brzydkie i wstrętne, nareszcie, odkąd używanie mowy się zaczyna, nie dopuszczać błędów językowych. Ale bez porównania więcéj trzeba zostawiać naturze i zupełnéj swobody dziecka nie krępować.

Nasza główna działalność w téj dobie życia dziecięcego bywa więcéj zapobiegawcza, niż dodatnia i pozytywna. Potém dość nagle i niespodziewanie, kiedy myśl na większą skalę zaczyna się budzić i zwracać się w różnostronne kierunki, stajemy już w obec uderzająco barwnéj całości, wychowawca widzi przed sobą przeznaczone dla jego pracy pole, na którém już niejeden zasiew, nie wiedzićć zkąd rzucony, wzrósł, i już bujny plon lepszy i gorszy wydał. W takiém położeniu znajduje się każdy nauczyciel, mający przed sobą uczniów w pierwszéj klasie elementarnéj, niemniéj każdy udzielający lekcyi w domu prywatnym, skoro w nauce dzieci wyjdzie poza początki czytania i pisania, a naturalnie jeszcze więcéj nauczyciel w pierwszéj klasie gimnazyalnéj. Otóż tego, jak i czy my możemy wdać się wtedy w rozwój myśli naszego ucznia, co mamy zostawić naturalnemu biegowi rzeczy i przez jak długi czas, do czego zaś czynną rękę przyłożyć, jak pogodzić i powiązać zakres myśli i uczuć, nabyty już poprzednio i nabywany ciągle równocześnie obok szkolnéj nauki w swobodném życiu domowém, z nabytkami pozyskiwanemi w szkole albo podczas lekcyi unormowanym planem objętych,— odpowiedzi na te pytania zadawalniającéj a oczywiście tylko ogólnéj, (bo szczegółowa należy do pedagogiki saméj) nie znajdujemy w naszéj psychologii wcale. Cały następnie szereg kwestyi nasuwających się w ciągu dalszego wychowania i decydujących o jego po-

wodzeniu, jak wpływ pewnych chorobliwych stanów ciała, np. skrofuliczności, na przebieg rozwoju umysłowego, wpływ temperamentu na tempo myślenia i trwałość nabytéj wiedzy, stosunek prawa asocyacyi czyli kojarzenia wyobrażeń do porządku i planu nauki, teorya o postaciach szeregów wyobrażeń niezbędna dla każdéj nauki szkolnéj, zjawisko zwane przez psychologów apercepcyą, tłómaczące jak nabyte już grupy myśli przyjmują, przekształcają lub odrzucają każdą myśl nową, i wiele innych w naszéj psychologii także pominięte. Psychologia nosi nazwę wychowawczéj, a nie wkracza zdobyczami, w swoim zakresie osiągniętemi, ani nawet prawdopodobnemi przypuszczeniami, ani nowemi, ani znanemi już z prac dawniejszych psychologów, w ciąg i postęp wychowania.

Zamiast tych nauk i wskazówek, których mielibyśmy prawo oczekiwać słusznie dla pożytku wychowania, spotykamy ogólniki, jak np. na str. 115: „Z całéj nauki o zmysłach teorya psychologiczna dwa fakta jaknajusilniéj zaleca w sztuce wychowania potomstwa: „Każdy ze zmysłów daje się kształcić oraz udoskonalać w drodze ćwiczeń—naturalnie—w kierunku i zakresie właściwéj sobie sfery odczuwania. Przepisy atoli kształcenia zmysłów nie mogą tu być przedmiotem rozbioru.“ „Innym faktem jest to, że zmysły, gdy chodzi o poznanie świata, wspierają się wzajemnie i kojarzą niejako pracę swoję.“ To jest dostateczne w psychologii saméj, ale w wychowawczéj—tyle co nic. Na str. 191, 196 i 197 znajdujemy zaledwie kilka słów o skojarzeniu zasady z czynem, o zabobonach i wpływie otoczenia dziecka na asocyacyą jego myśli, na str. 292 i 295 tak samo o rozumowaniu. Na str. 317 czytamy protekcyjnym tonem wypowiedziane upomnienie, aby nauka nie była „suchą, oschłą,“ lecz choćby cokolwiek zajmującą, ale rada, jak tego celu dopiąć należy, ogranicza się znowu do napomnienia ogólnego, aby się zniżać do wieku dzieci aby dziatwa nie była posępną i obojętną przy nauce. „Wszystko to zaś zależy—od postępowania, od mądrych czynów i kierunków pedagoga. Wierzajcie, że gdyby dzieci nie nudziły się przy swoich nauczycielach, a często i przy rodzicach, nie unikałyby ich niezawodnie“—„należy poznać dzieci, przeniknąć, o ile się da, ich naturę, i poznanie takie zastosować do pedagogicznéj pracowitéj nauki.“ Więc same frazesy, a żadnéj nauki, jak zasady psychologii każą naukę urządzać, aby się nie stała suchą, nawet nie ma wytłómaczenia, na czém polega oschłość nauki. Tak z tych uwag autora, jakoteż z wielu innych na str. 339 o ciekawości, na str. 350 o religijności, na str. 402 o kształceniu uczuć estetycznych, wychowawca nie wiele się nauczy.

Oprócz przytoczonych miejsc spotykamy jeszcze inne, w których autor nie zwrócił uwagi na ważne ze względów wychowawczych punkty. Tak mówiąc o pamięci w wykładzie VII i VIII, pominął zmianę siły pamięci względnie do wieku, cechy jéj w różnych epokach wieku młodzieńczego i możebny wpływ tych względów na rozkład i plan nauki szkolnéj w ciągu lat, co łatwoby się dało złączyć z ustępem przytoczonym z Baina od str. 170. Mówiąc o wyobraźni na str. 217, twierdzi, że „Nie istnieje żaden specyalny środek wychowywania i kształcenia“ jéj; „Specyalnego gatunku edukacyi być tu nie może, jedno przez uprawianie innych zdolności, które oddziaływają na wyobraźnię, już to dostarczając jéj materyałów, już bodźca, już znowu—celu lub kierunku.“ Według tych słów, przedstawia się wyobraźnia, jakby jakaś tajemnicza siła, z którą nauka wychowania wręcz nie może sobie poradzić, a przecież nie jest ona niczém inném, jak tylko zdolnością szybszéj lub powolniejszéj, łatwiejszéj lub trudniejszéj kombinacyi wyobrażeń już w umyśle będących. Tak pojęta, da się wprost kształcić już to w kierunku pobudzającym, jeżeli na kombinowanie naprowadzamy, już téż w kierunku powściągającym, jeżeli zbytnią pochopność do kombinowania przecinamy i ujmujemy w odpowiednie granice i ład. Naturalnie, wykształcić nikogo nie zdołamy na poetę z bujną wyobraźnią, ale w granicach wieku szkolnego wpływ nauczyciela na wyobraźnią jest możebny, co téż i faktami stwierdzić się daje. Nauka o uwadze w wykładzie XI mało co zawiera przydatnych praktycznych wskazówek; nadto miejscami grzeszy niejasnością, na dowód czego przytaczamy dwa zdania, jedno na str. 229, „malec limfatyczny, mniéj podatny do wrażeń, którego czuciowość zwolna się budzi, którego uwaga leniwo się skupia, może łatwo stać się umysłem jasnym, stałym i praktycznym;“ drugie na str. 236 i 237: „uwaga nie powinna być wyłączną, ciasną, ograniczoną do jednéj rzeczy z zaniedbaniem wszystkich innych. Uwadze ucznia trzeba otwierać szerokie pole, aby w wyobraźni jego nie przeważały zawsze jedne i te same obrazy.“ Tu jedno drugiemu się sprzeciwia, bo jeżeli uwaga leniwo skupiająca się i mała podatność do wrażeń może łatwo wyrobić umysł jasny, to chyba nie należałoby jéj otwierać szerokiego pola, aby znowu nie stał się umysł niejasny i roztargniony. W rzeczywistości wychowanie musi umiéć jedno z drugiém pogodzić i racyonalna pedagogika to czyni, ale jaką naukę w tym kierunku psychologia podaje, o tém autor nie mówi. W tym samym wykładzie zaznacza autor, co się tyczy zatrzymywania uwagi uczniów na jednym i tym samym przedmiocie, na str. 233: „z najmłodszymi nie należy przekraczać poza 5—6 minut, ze starszymi i najstarszymi 30—45,“ a zaraz poniżéj wnosi całkiem ogólnie:

„Na téj też zasadzie czas lekcyi z rana trwa trzy godziny.“ Zkąd nagle taki wniosek, o tém się nie dowiadujemy. Rzecz o stosunku mowy ludzkiéj do myślenia i wpływ jéj na rozwój i ułatwienie myślenia, a zatém przedmiot należący do nader interesujących w psychologii, wielkiéj doniosłości dla wychowawcy i nauczyciela, zbył autor kilkoma zdaniami na str. 259 i 260.

Dziwném też i uderzającém jest, że w całéj obszernéj teoryi o inteligencyi i o uczuciach tak mało znalazł autor sposobności do uwydatnienia cech i właściwości umysłu kobiet. Jeżeli się nie mylę, to tylko w trzech miejscach krótką o nich wzmiankę czyni, raz na str. 221 i 222 mówiąc o wyobraźni, żąda „aby dusza kobiety poznawała tylko szlachetne uczucia“—„ażeby jéj wyobraźnię nawiedzały jedynie myśli podniosłe i czyste,“ a dla upiększenia obowiązku i złagodzenia jego ciężaru żąda dodania ideału. Drugi raz na str. 233, gdy porusza kwestyą trwałości uwagi, dorzuca na końcu: „Niemniéj należałoby uwzględnić płeć, zważywszy że co innego kobieta a co innego mężczyzna; ostatni jest bezwarunkowo wytrzymalszy.“ Nareszcie na str. 327 uważa z H. Spencerem potrzebę ćwiczeń fizycznych za tak samo wielką i ważną dla dziewcząt, jak i dla chłopców. Zresztą nigdzie ani słowem autor nie wspomniał, ani o większéj żywości i łatwości wyobraźni, którą się kobiety odznaczają, ani o takcie i zmyśle oryentacyjnym, ani o braku zdolności i chęci do abstrakcyi i t. d., a przecież to wszystko razem z innemi względami na tok wychowania, plan i metodę nauki dziewcząt ma wpływ bardzo stanowczy.

Jeżeli dział psychologii o inteligencyi i uczuciach, w którymeśmy się dotychczas rozpatrywali, wykazuje wiele stron ujemnych i świadczy o niedostateczném przetrawieniu przedmiotu, to ustęp ostatni o woli, zamknięty w dwóch końcowych wykładach, grzeszy nie tylko nierównością w opracowaniu punktów ważniejszych i mniéj ważnych, ale także rążącą powierzchownością i zamętem w niektórych miejscach, trudnym do opisania.

Jeszcze wykład XXI da się przynajmniéj ogólnie myślą objąć. Wynik jego, jeżeli dobrze związek rzeczy zrozumiałem, możnaby streścić w tém słuszném zdaniu, że do wszelkich objawów woli, jakiekolwiek istnieją i wyobrazić sobie zdołamy, potrzebne jest poprzednie wyrobienie i wprawa w ruchach wszelakiego rodzaju, które w początkach odbywają się całkiem bezwiednie i są tylko prostém oddziaływaniem na zewnętrzne i wewnętrze pobudki; z czasem dopiero, po licznych częstokroć bezowocnych próbach i doświadczeniach, nabierają pewności i stają się o tyle świadome, że człowiek może niemi według potrzeby i uznania rozporządzać. Historya ru-

chu, przedstawiona słowami Preyera, kreśli dosyć rozległy, chociaż nie dość przejrzysty i w ład ujęty obraz czynności i oddziaływania organizmu, począwszy od czasu, kiedy płód znajduje się jeszcze w łonie matki. Opowiadanie przeplatają przykłady z życia dzieci i zwierząt.

Ale i tu w rozdziale XXI natrafiamy na definicye i opisy mylne, albo niejasne i niestarannie sformułowane. Tak np. nazywa autor zjawiska woli następczemi, przypomina czytelnikowi „czuciowe wrażenia“, jako zawiązek wszelkich zjawisk psychicznych, do których również, gdy idzie o genezę woli, odnieść się należy. „One to bowiem stanowią oddziaływanie człowieka na zewnętrzne podniety. Oddziaływanie takie, zwrócone ku przedmiotowi, sprawiającemu czuciowe wrażenia, wytwarza spostrzeganie t. j. element myślenia. Gdy zaś oddziaływanie zwraca się ku podmiotowi czującemu, przekształca się ono w uczuciowe nastroje, a *o ile* z tymi nastrojami, za każdem ich wznowieniem, *kojarzy się wspomnienie* przyczyn przedmiotowych, *o tyle* one zamieniają się na pożądania lub wstręty, to jest *stanowią podstawę woli*.“ To ostatnie zdanie, począwszy od wyrazów „o ile“, ma tłómaczyć powstanie pożądań lub wstrętów, ale co ono znaczy? Co to ma być owo kojarzenie się wspomnień przyczyn przedmiotowych z nastrojami uczuciowemi? Znowu dwa wiersze niżéj czytamy zdanie: „Bo gdy już przeminie uczucie przyjemności lub przykrości, jako takie, to jednak z głębin psychicznych nietylko wspomnienia tych uczuć mogą występować, ale także—pożądanie nowéj przyjemności lub wstręt względem nowéj przykrości.“ A zatém wyraźnie jest powiedziane, że pożądanie może wystąpić „gdy już przeminie“ uczucie przyjemności lub przykrości. Tymczasem przecież, że wezmę najprostszy przykład: pożądanie jedzenia występuje współcześnie i razem z uczuciem głodu, nie dopiero przy wspomnieniu tegoż. Faktycznie rzecz się ma tak, że żadnego pożądania *bez uczucia* nie podobna sobie wyobrazić; pożądanie łączy się z uczuciem bezpośrednio, ono z uczucia wyrasta, ale pociąga je za sobą bezustannie bez najmniejszéj chwilki przerwy; nie powstaje zaś dopiero wtedy, gdy już uczucie przeminie. Na téj saméj stronie mówi autor, że J. Luys ze stanowiska *fizyologicznego* przedstawia w faktach woli dwie fazy rozwoju: Pierwszy okres obejmuje chwilę, w któréj *jedynie* pobudzenie *czysto duchowe* stanowi początek woli. Daléj dowiadujemy się, że wola nasza właśnie w tym pierwszym okresie jest „aktem mózgowego życia, na mocy którego człowiek wyraża (?) swój sposób bytowania i zapatrywania się (?) wobec pobudzeń bądź fizycznych, bądź moralnych.“ Jeszcze daléj, że ta „czynność duchowa, stanowiąca początek aktu woli, jest sama przez

się tylko dalszym ciągiem ruchu już poprzednio istniejącego" — więc *ruchem fizycznym.* Jak tu ma czytelnik pogodzić ową „jedynie czystą duchowość" z ruchem fizycznym?

Największą może wadą tego ustępu o woli, o którym obecnie mówimy, jest brak ścisłych określeń zwyczajnych zjawisk, w zakres woli wchodzących. Na samym wstępie nie wyjaśnił autor, czego my właściwie pożądamy przy najpospolitszém pożądaniu, że mianowicie pożądamy tylko zmiany wyobrażeń, czyli wyobrażeń odmiennych, że np. przy pożądaniu pieniędzy nie o to chodzić może, aby pieniądze jako rzecz zewnętrzna, przeszły w naszą świadomość, lecz tylko wyobrażenie dowolnego rozporządzania niemi. Należało wskazać, że wyobrażenie, w którém pożądanie ma swoję siedzibę, trwa ciągle w dążeniu wyswobodzenia się wbrew powstrzymującym je przeszkodom, aż wyzwolone zupełnie sprowadza ów stan umysłu, który nazywamy zaspokojeniem. W chwili, gdy pożądanie powstaje, przedstawiamy sobie wrażenia idealnie, przy zaspokojeniu doznajemy ich w rzeczywistości. Jestto kwestya, tłómacząca zasadniczo proces pożądania, i w psychologii w żaden sposób nie powinna być pominiętą milczeniem. Do zwyczajnych zjawisk woli zaliczamy również popęd, skłonność, pociąg, instynkt, namiętność, nałóg, chuć, żądzę; autor jednak nie uważał za stosowne podać ich definicyi albo przynajmniéj opisu tak dokładnego, iżby różnice i podobieństwa między jednemi a drugiemi wystąpiły. Czytelnik, któryby oprócz psychologii pana D. żadnéj innéj nie znał, naukowego pojęcia o rzeczonych zjawiskach wcale z téj psychologii nie zyska.

Wykład ostatni wypadł może najgorzéj z całego dzieła. Ma on być z Henryka Maudsleya „Fizyologii i Patologii duszy" niby tłómaczeniem; w rzeczywistości zaś jest tylko częściowo tłómaczeniem, zresztą przeróbką z powtrącanemi zdaniami pana D., tak, że sądzić raczéj rzecz trzeba nie jako naukę Maudsleya, lecz jako wywód autora „Psychologii Wychowawczéj." Przedmiot, którym się rzeczony wykład zajmuje, ma niezmiernie wielką doniosłość zarówno dla teoryi o wychowaniu, jak dla pedagogiki praktycznéj, tyczy się bowiem sprawy wolności woli i charakteru; uznanie albo nieuznanie pierwszéj rozstrzyga o możności skutecznego wychowania, wyrobienie drugiego pojmowane bywa jako cel ostateczny wszelkich naszych zachodów około młodszego pokolenia. Nieszczęściem obiedwie te kwestye wypadają na zakończenie psychologii i właśnie najniekorzystniéj wyszły z rąk autora, zamykając tym sposobem niefortunnie całą pracę obszerną.

Byłoby bez celu iść w wykładzie zdanie za zdaniem, myśl za myślą i szczegółowo roztrząsać i wykazywać, gdzie przekład jest

wierny i dokładny, gdzie zmieniony, gdzie wtrącona myśl jest nietylko niepotrzebna, ale nawet konsekwencyą wnioskowania psuje, zwłaszcza, że rozciągnęlibyśmy w takim razie nasze uwagi na zbyt wielkie rozmiary. Poprzestaniemy na wskazaniu kilku wybitniejszych punktów.

Już sam początek wykładu niemile uderza swoją niejasnością tak dalece, że niepodobna sobie wyobrazić, co słowom wypowiedzianym odpowiada w rzeczywistości. „Chcenie — twierdzi autor— jestto związek pewnego pożądania lub wstrętu z wyobrażeniem, w celu osiągnięcia lub uniknięcia czegoś.“ Przecież chcenie nie jest „związkiem“, lecz samém pożądaniem tkwiącém w wyobrażeniu i nie „w celu osiągnięcia czegoś“, bo to samo przecież wyobrażenie, w którém tkwi pożądanie, jest celem, tylko że już swobodne, bez żadnych przeszkód i zwykle wrażeniami poparte i uwidocznione. A w każdym razie z owém „czegoś“ nie wiemy co począć, wyraz ten bowiem oznacza rzecz nieokreśloną, gdy tymczasem cechą chcenia jest właśnie świadomość czego chcemy i to od pierwszéj chwili, w któréj chcenie powstaje; tylko przy popędach odzywających się w naszéj naturze, doznajemy wewnętrznego poparcia bez wiedzy, do czego dążymy. Chcenie zresztą wymaga jeszcze tego bliższego określenia, że oznacza ono nie tylko cel, którego pożądamy, ale także drogę, którą do celu zdążyć zdołamy.

Zaraz niżéj występuje p. Dygasiński z wielką energią przeciw wolności woli. Kwestya wolności woli, jak powszechnie wiadomo, jest jedną z najtrudniejszych w psychologii; bardzo wielu wykształconych ludzi nie umie z nią sobie dać rady, nawet między najznakomitszymi geniuszami istnieje spór, dotąd nie całkiem załatwiony, obracający się koło pytania: czy wolność woli istnieje czy nie istnieje? Dodać należy, że spór ten zaostrza się i niepokoi do wysokiego stopnia, ponieważ tyczy się rzeczy wcale nie obojętnéj, lecz ma rozstrzygać o całym szeregu sądów i wniosków, z których tworzy się pojęcie o wartości życia ludzkiego. Wobec wielkiéj trudności sprawy i doniosłego jéj znaczenia, potrzebném jest jaknajstaranniejsze określenie głównego punktu spornego, bo właśnie najczęściéj niejasne tegoż uchwycenie pociąga za sobą najprzykrzejsze nieporozumienia. Otóż w tym względzie ułatwił sobie autor pracę w sposób niedozwolony, dotknął bowiem rzeczy tylko po wierzchu, jakby ją wszyscy dobrze już rozumieli, a nie wytłómaczywszy istoty jéj i rdzenia, wymierza srogie pociski na samo znienawidzone brzmienie wyrazu.

Czém jest wolność woli, dowiadujemy się tylko z tych kilku słów na str. 462: „Cały spór o wolną wolę sprowadza się do tego, iż

jéj obrońcy twierdzą, jakoby każdy człowiek miał możność wybierania między dwiema pobudkami i następnie swobodnego działania lub wstrzymania się od czynu.“ Z pewnością każdy zdrowo i rozsądnie myślący człowiek przeczytawszy przytoczone zdanie, pomyśli sobie, że owi rzekomi obrońcy wolności woli mają zupełną słuszność. Uprzytomnijmy sobie tylko dwie jakiekolwiek współczesne pobudki z zakresu zwykłych zjawisk codziennego życia, np. gdy zgrzany jestem a szklanka zimnéj wody przedemną stoi, natenczas jedna pobudka, aby zaspokoić pragnienie, skłania do wypicia wody, druga—aby nie narazić się na chorobę, wstrzymuje od wypicia; albo gdy znajduję się w takiém położeniu, że kłamstwo może mi korzyść przynieść, natenczas znowu jedna pobudka, aby zysk osiągnąć, radzi skłamać, druga—aby się nie narazić na sąd sumienia naganny, każe prawdę powiedzieć. W tych wypadkach, obudwu pobudek jestem zupełnie świadom, rozważam je, szeregi myśli w przeszłość i przyszłość sięgające stają po obu stronach i nareszcie „mogę wybierać“ między niemi, a „następnie swobodnie działać lub wstrzymać się od czynu.“ Wolności w tém pojęciu — a tak ją właśnie autor określa—nikt nie ma prawa człowiekowi odmówić, jeżeli nie chce wręcz z widoczną prawdą stanąć w sprzeczności. I rzeczywiście téż, wszyscy psychologowie, którzy się liczą z faktami, nie zaprzeczają jéj, a dla nacechowania, jako wolności swojego rodzaju, nadają jéj nazwę „wolności psychologicznéj“, albo „wolności wewnętrznéj,“ o któréj jeszcze poniżéj kilka słów powiemy. To, co p. D. określił, to nie jest owa wolna wola. którą nazywa „niedorzecznością“, ani owa „wymarzona przez metafizyków, a przesadnie określona przez teologów.“ Cała wojna, którą p. D. (naturalnie słowami nie swojemi) prowadzi, czyni wrażenie walki z nieprzyjacielem, którego wojujący sam nie zna.

Wolność woli, przeciwko któréj pan D. występuje, zasługuje istotnie na odparcie, jako wymysł zupełnie niepotrzebny i wprowadzający zamieszanie w pojęciu woli wogóle. Wymysł ten polega na przypuszczeniu bezwzględnie niezawisłych emanacyi woli, na które nie mają wpływu żadne warunki, czy to fizyczne czy psychiczne. chęci występujących całkiém bezpośrednio z duszy jakoby istoty stojącéj po za związkiem przyczynowym zjawisk natury i niezależnie tak od zewnętrznych chwilowych stosunków, jak niemniéj od wewnętrznego rozwoju i postępu umysłowego. Obrońcy wolności woli wyobrażają sobie, że człowiek swojém „chcę“ może w cudowny sposób stworzyć i rzucić w świat absolutnie pierwsze ogniwo, po którem może nastąpić dalszy szereg skutków, wniosków i t. p., przed którém jednak niema nic oprócz duszy, źródła prawdziwie boskiéj

produktywności. Przytém nie wchodzi u nich w rachubę i niema żadnego znaczenia, czy człowiek ów dziś żyje, czy żył przed tysiącem lub kilkoma tysiącami lat, czy młody jest czy starszy, wykształcony czy niewykształcony, cywilizowany czy dziki i t. d. Zawsze on, według ich pojęcia, może wyzwolić się zupełnie i wyrwać się z pośród wszystkiego, co go otacza i co go poprzedzało. Takiéj wolności woli niepodobna uznać za fakt, za rzecz niewątpliwie istniejącą, wierzyć w nią tylko będzie, chyba ktoś taki, co przypuszcza transcendentalną działalność duszy, od téj natury, którą zmysłami i doświadczeniem poznajemy wyswobodzoną i od zjawisk w tejże spostrzeganych odmienną. Do takiéj to wolności woli, w imię nauki opierającéj się na pewnych podstawach, stwierdzonych dostępném dla naszego umysłu badaniem, stosować się mogą zarzuty, które p. D. za Maudsleyem powtórzył, ale nie do owéj niewinnéj, którą sobie on sam według własnego pomysłu wyobraża.

Traktat o wolności woli, jak również cały rozdział o woli z książki Maudsleya przerobiony, ma znaczenie czysto teoretyczne, jako abstrakcyjne rozumowanie nad jednym rodzajem zjawisk psychicznych. P. Dygasiński nadał swojéj książce tytuł „Psychologii Wychowawczéj“, zatém zajął już naprzód stanowisko, na którém stojąc, potrzeby pedagogiki powinien mieć na względzie. Ma się rozumiéć, nie wyłącznie; tego nie możemy żądać. W każdym jednak razie spodziewalibyśmy się, że rozwijając teoryą psychologii, szczególnie te punkta w niéj uwydatni i podniesie, które dla wychowawcy albo torują drogę w żmudnéj pracy około edukacyi młodszego pokolenia, albo mu ją przynajmniéj rozświecić są zdolne. Otóż, jeżeli p. D. dołożył starania, aby wymarzone pojęcie wolnéj woli z gruntu wykorzenić, co jako dobra chęć zasługuje na uznanie, to przecież znowu o woli, już nie wymarzonéj ale rzeczywistéj, z którą się zawsze liczyć w życiu musimy, a szczególnie na któréj ukształcenie możemy i winniśmy wpływać, aby się w dobrym kierunku rozwinęła i w nim wytrwała, o téj woli, powtarzam, i o zjawiskach w jéj zakres wchodzących dał nam pan D. bardzo słabe wyobrażenie. Negatywnie usiłował wyrugować z umysłu pedagogów błędne przypuszczenie, pozytywnie nie dał im prawie żadnych wskazówek.

Pan D. przedstawił wychowawcom człowieka jako maszynę nader wielorako skombinowaną, ale pchaną i partą prawami natury na oślep, według nieubłaganego porządku, z którego nic się wyłamać nie może. Cóż z takim uczniem-maszyną, wychowawca sam także maszyna ma począć, gdy chodzi o wychowanie moralne i to takie, które ma rzucić grunt i podstawę na całe przyszłe samoistne życie? Prawda! Jest na to odpowiedź na str. 464: „Celem wychowa-

nia z punktu widzenia etyki jest wytworzyć naturę, dla której moralność czynów nie jest sprawą niepewną i oddaną pod kontrolę (?) osobistego roztrząsania, ale jest *nałogiem*, gdzie znika dowolność czynów" — „drogą (str. 465) powtarzania dobrych czynów, powstaje nałóg. wykuwa się, jakby inna, lepsza natura ludzka. Wszelki bowiem wykonany czyn moralny, na mocy własności *materyi nerwowéj*, ułatwia nam spełnianie podobnychże czynów, a przeto zaprowadza zmiany w naturze jednostek: ma tu miejsce niejako *fabrykacya* moralności w organizmie. Gdy się już nałóg raz rozwinął, organizm zmierza do działalności w myśl tego przywyku, a przyjemność zadawalniania owéj skłonności czynienia dobrze, staje się sama przez się wystarczającą pobudką." Pomijam już niewłaściwe w przytoczonych zdaniach wyrażenia, jak „nałóg", „fabrykacya moralności" o przedmiocie dla życia ludzkiego najcenniejszym. Rzecz to osobistego smaku;—zwykle mówiąc o sprawach ważnych i cennych, dobieramy wyrazów podnioślejszych i szlachetniejszych, lecz jeżeli kto chce, może przenośnie używać słów z świata rzemieślniczego, przemysłowego, także z pijaństwa, szulerstwa i t. p. Mniejsza o to. Patrzmy raczéj na samę treść i ducha nauki głoszonéj przez naszego autora. P. Dygasiński wskazuje nauczycielom i rodzicom, aby się przyczyniali do fabrykacyi moralności w materyi nerwowéj i doprowadzali uczniów do nałogu moralnego, ale nie wskazuje psychologicznéj drogi, jaką do tego celu dojść można. Chciałby on widocznie, aby młodzież wkładała się bezmyślnie do dobrych czynów i sądzi, że to bezmyślne wdrożenie za młodu już wystarczy na całe życie, zabezpieczy przed moralnym upadkiem i da zapewnienie ciągłego w dobrym kierunku postępu. Istotnie, kto zna cokolwiek wychowanie z praktyki i życie ludzkie umie z psychologicznego stanowiska sądzić, ten zgodzi się bez wątpienia na to, że w moralności przyzwyczajenie wczesne i wprowadzenie na drogę postępowania dobrego odgrywa bardzo znaczną rolę. Poprzestać jednak na téj powierzchownéj metodzie nie można. Człowiek ma zanadto ruchliwą myśl obok nieprzejrzanéj ilości wyobrażeń, zarazem zanadto wiele rozmaitych pożądań, mających siedzibę w owych wyobrażeniach, aby się wychowanie jego mogło ograniczyć do samego mechanicznego wyrobienia. Z drugiéj strony znowu, właśnie nie chcielibyśmy wcale, aby czyny wykształconego były bezwiednym wynikiem sił w nim działających. Jeżeli więc jedno i drugie w pamięci mieć będziemy, a więc ową łatwą zmienność i lotność myśli, tudzież potrzebę ile możności jasnego przeświadczenia o tém co czynimy, to w takim razie postępowanie nasze w wychowaniu moralném musi być podwójne. Po pierwsze musimy działać przeciw chwiejności myśli i rozrywają-

cym na wszystkie strony pożądaniom, nakłaniając ucznia bezwzględnie do czynów odpowiednich zasadom moralnym, które samemu uczniowi jeszcze nie są znane, które atoli wychowawca całkowicie jako stałe normy działania znać powinien. O tych zasadach poucza nas etyka, która je rozwija i wznosi do idei etycznych; wychowawca znający je potrzebuje tylko energii dla utrzymania elewa swojego w należytém posłuszeństwie. Po drugie, musimy także ucznia stopniowo przekonywać o wartości tychże zasad i idei, stopnie i różnice między niemi wskazywać i nareszcie wyrabiać świadomość o nich coraz jaśniejszą i głębszą. Tu psychologia ma wdzięczne pole do pouczenia wychowawców, a szczególnie ten jéj dział, który mówi o wspomnianéj już przez nas wyżéj psychologicznéj czyli wewnętrznéj wolności. Ponieważ pan D. całkiem jéj nie zna, wypada nam małą wzmiankę o niéj uczynić i znaczenie jéj w praktyce pedagogicznéj podnieść.

Ktokolwiek chce w wychowaniu osiągnąć korzystny rezultat, powinien się liczyć z przyszłością wychowanka. Dopóki sam osobiście nad nim czuwa i ma go ciągle pod swojém okiem, zdoła przy należytéj staranności kierować jego krokami ku dobremu i powściągać rozmaitemi środkami od złego. Wychowanek jednak z czasem wyjdzie z pod jego opieki. Na czémże tedy ma wychowawca oprzéć swoje nadzieje, że uczeń jego i wtenczas, gdy zostawiony będzie sam sobie, jeszcze w dobrym kierunku wytrwa? Oczywiście musi już liczyć na jego wewnętrzną władzę nad sobą samym, na to, że sam sobie będzie pomagał i sam się będzie pilnował. Takie przekonanie żywiąc, winien jak przy każdéj rozumnie podjętéj i ważnéj czynności, tak i tu przedewszystkiém znać cel, do którego prowadzi, wiedziéć co to jest samodzielność moralna i jakie są jéj warunki. Przez samodzielność nie rozumiemy nic innego jak tylko ową wewnętrzną czyli psychologiczną wolność woli. Psychologia przedstawia ją jako możność rozstrzygania i wyboru między dwiema lub większą ilością pobudek wiodących do czynu, na mocy zasad i przekonań własnych, jeżli już nie wyłącznie, to przynajmniéj według nich przeważnie. Możności téj doświadcza każdy człowiek myślący i poczuwa się właśnie w niéj jako swobodny i niezawisły. Wprawdzie po bliższém zastanowieniu się nie powiemy, iż to jest wolność bezwarunkowa, lecz raczéj uznamy ją za względną i pewnym prawom podległą, nie mamy jednak słusznego powodu nazwy wolności jéj odmawiać; bo chociaż wszystkie czynniki tworzące ją i ostatni wynik są zapewne zawisłe od stałych wszędzie w naturze panujących praw, czego swoją drogą, nawiasem mówiąc, niepodobna nam w całéj pełni wykazać, to przecież nie trzeba zapominać, że my ludzie po pierwsze mamy pod-

czas ostatecznego działania owych czynników zupełniejszą lub mniéj zupełną świadomość. Jeżeli człowiek ma do wyboru dwie lub więcéj pobudek i decyduje się iść za jedną z nich a innych nie uwzględniać, to wtedy ten człowiek, rozważający pobudki i wybierający jednę z nich, jest rezultatem mnóstwa przyczyn, które sprawiły, że do takiéj czynności jest zdolnym, więc spełnia ową czynność dlatego, że takie a takie odebrał wykształcenie i wprawę, może przez szkołę, że pewne zasady kierownicze zyskały w nim grunt w przeszłości psychologicznéj, że żyjąc w pewném społeczeństwie takie a takie w stosunkach z ludźmi przeszedł doświadczenie, że może ustrój jego cielesny, nerwowy, mózgowy pewną ma formę i właściwości, że niektóre swoje przymioty odziedziczył po przodkach itd. Wtedy, to jest w owéj chwili procesu, gdy rozważa pobudki i ma z nich jedną wybrać, także pobudki mają swoje przyczyny i nareszcie ostateczna decyzya mieć je musi i to wszystko według pewnych praw stałych i niezmiennych. Godzi się atoli nie spuszczać z uwagi, że w każdym owym psychicznym procesie, gdy ważą się pobudki i czyn następuje, człowiek wie o tém, czuje siebie i widzi okiem duchowém walkę motywów, a ta świadomość chociaż nie zmieni żadnego prawa przyrody ani go nie stworzy z niczego, ani nie zniszczy bez śladu, sprawia jednak, że proces umysłowy nasz niezmiernie różni się od fizycznych procesów. Świadome rozważanie pobudek i świadomy wybór, a w następstwie spokój lub wyrzuty sumienia—wszystko zawarunkowane niezłomnemi prawami i z pewnych koniecznych przyczyn, to przecież co innego niż zbliżenie wodoru do tlenu, zmieszanie, złączenie a w następstwie woda—tak samo zawarunkowane prawami i tak samo odbywające się z pewnych przyczyn koniecznych. Do tego jeszcze dodajmy po drugie, że rozważający, wybierający, rozstrzygający, jakoteż mający pobudki i zasady i z niemi występujący, to wszystko jeden i ten sam człowiek, on gospodaruje i rządzi swojemi siłami nad swojemi własnemi zasobami i znowu, gdy się przechyli i przeważy na pewną stronę, to i tu także w grę wchodzą przeważnie jego własne, na ostatni wynik największy wpływ mające czynniki. Tak więc pokazuje się, iż człowiek pomimo tego, że stoi w pośrodku przyrody i jest jedném z ogniw jéj związków przyczynowych, że obsaczony jest na około jéj potężną mocą, przecież stanowi dla siebie odrębny świat, w którym włada autonomicznie, sam sobą, i o żywotności *swojéj swoję* wiedzę posiada. Innéj wolności, dopókąd nie ośmielamy się sięgnąć myślą poza rzeczywistość możebną do stwierdzenia, wcale nie żądamy. Do takiéj samodzielności i jasnéj wiedzy o sobie ma wychowawca obowiązek ucznia przygotować i zaprawiać; środki odpowiednie i metodę postępowa-

nia zmierzającą do rzeczonego celu wskazuje mu pedagogika, w któréj zakres już wchodzić nie chcemy.

Zostawiając na boku wielką tyradę pana D. przeciw nieznanéj mu wolności woli, doszliśmy do rezultatu, że właśnie ta wolność woli, któréj definicyą podał, a do któréj owa tyrada żadną miarą stosować się nie może, zasługuje nie tylko na obronę jako rzeczywiste i interesujące zjawisko życia duchowego, ale także jest celem, do którego kierownictwo wychowawcze zdążać powinno. Bez niéj nie podobna myśléć ani marzyć o poważnym planie pracy pedagogicznéj. Ona téż dopiero, czego łatwo się dorozumiéć, daje nam tło, na którego podstawie można mówić o ideale wychowania tj. o silnym a szlachetnym charakterze, mającym się ostatecznie u każdego ucznia wyrobić.

Pan D. rozwodzi się także nad charakterem, ale bynajmniéj nie tym, który tu mamy na myśli. Wspomina on o charakterze w znaczeniu bardzo mało używaném i zdaje mi się, że chciał mówić raczéj o indywidualności. Rozumiem przez indywidualność usposobienie wrodzone każdemu człowiekowi, które go od innych więcéj lub mniéj odróżnia. Wiadomo powszechnie, że każdy z nas posiada pewne właściwości wyłącznie swoje; dwóch ludzi bezwzględnie równych na całym świecie nikt znaleść nie zdoła. Fakt ten znamy, chociaż ani wszystkich powodów owéj różnicy odszukać nie jesteśmy w stanie, ani nawet częstokroć saméj istoty różnicy nie umiemy jasno sformułować. Przypuszczamy tylko, że powody tkwią w odmiennym ustroju ciała, nerwów, mózgu i spostrzegamy np. różne odcienie temperamentu, tempa myśli, jéj żywości, obszerności, różne stopnie nastroju uczuciowego i energii itp. Takie wyłączne właściwości, naturalnie żaden obcy wpływ nieprędko i niełatwo zmienić zdoła. Jeżeli kto określoną indywidualność za charakter uważa, to może zdoła pojąć, jakim sposobem pan D. mógł wypowiedziéć zdanie na str. 479: „Na reformę czyjegoś przekonania (?) nie działa nigdy ani argument wystosowany do jego rozumu, ani silny promień poznania“, chociaż i tak, w téj formie jak zdanie jest wypowiedziane, jest ono mylne. Należało raczéj zacząć: „na reformę czyjegoś indywidualnego usposobienia;“ wtedy pisalibyśmy się na nie bez mała zupełnie.

Rozbierać całéj rozprawy o charakterze, jak go sobie pan D. wyobraża, nie mam zamiaru. Chcę tylko stwierdzić, że w książce autora nie ma wcale mowy o tym charakterze, który określamy i pojmujemy jako konsekwencyą całéj woli i działania przez poddanie się stałym zasadom i poddanie znowu tych zasad jednéj zasadzie naczelnéj. Jeżeli ta zasada główna i owe jéj poddane są moralne,

w takim razie również charakter nazwiemy moralnym. W życiu a nawet w całéj historyi ludzkości rzadko się zdarza spotkać wzór tegoż zupełnie doskonały, zaledwie pojedyńczych rysów niezachwianéj konsekwencyi dopatrujemy się w znamienitszych osobistościach, które wśród najrozmaitszych okoliczności i stosunków, w walce z przeciwnościami zgodnością w przekonaniach swoich i czynach celują, a zarazem odwiecznym prawom etyki zadość uczynić są zdolne. Nic w tém dziwnego. Charakter bowiem moralny jest najwyższém arcydziełem życia psychicznego, świadomém przeprowadzeniem tego, co wiedza ostatnim wysiłkiem myśli zdobyła, w praktyce powszedniéj i w rzeczywistości, w zgiełku świata ze wszystkiemi jego zabiegami, ambicyami i nieznającém kresu współzawodnictwem. Aczkolwiek zwykle dopiero wiek dojrzały i męzki zdobywa w pomyślnym wypadku wybitniejsze znamiona charakteru, a pierwowzór jego dla słabszych sił człowieka wydaje się niedoścignionym, to przecież pedagogika ideał ten przed oczyma mieć zawsze powinna i już w wychowaniu młodzieży wytknąć sobie drogę i naznaczyć nawet tak daleki cel, aby ku niemu wszystkie ścieżki, któremi kroczy, chociażby się przerwać miały gdzieś w środku, w każdym razie przynajmniéj były zawczasu skierowane. Dlaczego pan D. rzeczy tak powszechnie uznanéj w swojéj psychologii *wychowawczéj* ani słowem nie dotknął, to się tylko tém tłómaczy, że wynotował ustęp z Maudsleya, w którym przypadkiem jéj nie znalazł.

Przejrzeliśmy tedy całą pracę pana Dygasińskiego.

Przy niektórych szczegółach musieliśmy się dłużéj zatrzymać nie tylko, aby wykazać, że stanowisko autora i zasadnicze jego poglądy są, zdaniem naszém, mylne i że autor niejedno uważa za pewne, co jeszcze bezsprzecznie zostaje wątpliwém, ale także aby uwidocznić, iż w niektórych znowu innych kwestyach zamało dołożył starania, aby je należycie zrozumiéć i tego niezrozumienia złożył w książce swojéj niewątpliwie dowody. Bardzo wielu punktów nie dotknęliśmy wcale, o innych wspomnieliśmy tylko krótko, że je autor poruszył i rozwinął. Słowa za słowem na tak obszerném polu, jakie psychologia obejmuje, nie podobna rozstrząsać, zwłaszcza jeśli różnice zapatrywań między autorem a sprawozdawcą są małego znaczenia.

Na ostatku zostaje nam jeszcze jeden obowiązek zebrania sądu o całości dzieła i o jego ogólnéj wartości.

Że książka cała jest kompilacyą, o tém już mieliśmy sposobność wspomniéć poprzednio i sam autor z zupełną otwartością do tego się przyznaje. Z przeszło 30-tu dzieł, autor częścią tłómaczy i przerabia wyjątki większe i mniejsze, częścią streszcza lub z opusz-

czeniem pewnych zdań ustępy przytacza. Kompilacya sama przez się może być pożyteczną, zwłaszcza jeżeli brak w jakimś przedmiocie oryginalnéj i samodzielnéj pracy. Kompilacya jednak dobra jest zadaniem trudném, bo z różnorodnych urywków, z których każdy z inną całością organicznie był związany, musi stworzyć całość nową, zręcznym sposobem zestawioną i częstokroć obszerniejszém rozumowaniem uzupełnioną. Pan D. wyzyskał wprawdzie prace, których znaczną część do znakomitych w swoim rodzaju zaliczyć należy. Układając jednak swoje notaty w dzieło, nie zauważył, że stawia obok siebie zapatrywania i wywody z całkiem przeciwnych zasadniczych poglądów wypływające. Kto zna literaturę psychologiczną i wybitne cechy szkół, jakie w niéj się wytworzyły, tego zdumienia ogarnia, jak w idyllicznéj zgodzie obok grubych materyalistów tacy wrogowie materyalizmu, jak wszyscy zwolennicy Herbarta, przemawiać w jednéj książce mogą i zdania jednych tworzyć dalszy ciąg przekonania drugich. Ale nawet bez znajomości rzeczonéj literatury uderzyć musi każdego, kto czytając dzieło pana D. chce myśleć konsekwentnie i umie wnioskować ściśle, ilekroć wpada na zdania dziwnie nieharmonizujące z głoszonemi przez autora materyalistycznemi tezami. Jakżeż np. pogodzić z materyalizmem takie zdanie, jak na str. 133: „Wprawdzie nie możemy poznać rzeczy, jakiemi one są same w sobie; lecz nigdy nie zdołamy zaprzeć się przekonania,—że one się różnią pomiędzy sobą, że rozmaitość zjawisk każe nam przypuszczać rozmaitość rzeczywistego bytu i stawania się.“ Wszakże to Kantowskie „das Ding an sich“ i Herbartowska metafizyka o rozmaitości bytu! A takich niespodzianek jest dosyć wiele.

Pan D. jak tytuł książki jego świadczy, zamierzał napisać psychologią pedagogiczną. Ten zamiar obowiązywał go, skoro już postanowił, stworzyć kompilacyą przynajmniéj z tych psychologów i te ustępy wybierać, które przez jasne wytłómaczenie duchowych procesów dla wychowawcy mogą być szczególniejszą informacyą. Nie uczynił tego jednak wszędzie, że przypomnimy tylko wykład o woli ostatni, który najmniejszego pożytku dla nauczycieli nie przynosi. Natomiast znowu oczywiście wiele rzeczy całkiem niepotrzebnie włączył jak np. z początku większą część nauk z teoryi ewolucyjnéj.

Ponieważ dzieło nie jest oryginalném, mógłby mi kto zarzucić, że nie należało wdawać się w ocenę zdań w niém wyrażonych, lecz tylko stwierdzić, o ile przekład wyjątków z obcych dzieł jest wierny i dokładny. Jestto poniekąd zarzut słuszny, ale nie trzeba zapominać, że autor jakkolwiek wymienia dzieła, z których czerpał, przecież przerabia, uzupełnia i skraca wywody obcych autorów tak, że najczęściéj raczéj dzieło jego trzeba uważać za pracę według swoje-

go rozumienia rzeczy skomponowaną. Występuje zresztą z taką pewnością siebie i tak jest przejęty wielkością myśli wypowiedzianych, iż zapewne gniewać się nie będzie, żeśmy jego dzieło obszerniejszéj ocenie poddali.

Musiałem przytém mieć na uwadze publiczność czytającą naszą, któréj może mniéj chodzi o sprawdzenie sumienności przekładu i porównanie tekstu polskiego z niemieckim, francuskim, lub angielskim, aniżeli o rzecz samę. Téj publiczności pragnąłem wskazać przynajmniéj, aby książkę pana D. z ostrożnością brała do ręki i wiedziała naprzód, że tylko pewne szczegóły w niéj umieszczone zasługują na uwagę, całość zaś jest sztuczną kombinacyą, która się tu lepiéj tam gorzéj udała, ale w ogólności ani ścisłością myślenia ani nawet trafnością wyboru z obcych książek nie celuje.

Dr. Leon Kulczyński.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Jerzy Gordon Lord Byron. Don Juan. Przekład Edwarda Porębowicza. Warszawa, 1885.

Przed laty przekład wierszowy głośniejszego dzieła był u nas zjawiskiem, które nadawało rozgłos tłómaczowi i utrwalało wziętość jego w narodzie, nawet bez innych z jego strony zasług literackich. Piotr Kochanowski, następnie Józef Szymanowski, Kamińscy, Osiński, w znacznéj części Odyniec, tego rodzaju pracom głównie zawdzięczają imię. Był to czas, kiedy czytający ogół jeszcze nie umiał odróżniać na razie i z należytą ścisłością przepaści dzielącéj kopię od oryginału, egzekucyą od kompozycyi, a ulegając bezpośredniemu wrażeniu, w którém główną dlań rolę odegrywał język, tłómacza stawiał sobie na pierwszym planie: oczywiście na pierwszym, — dla krótkowidza.

Dzisiaj położenie się zmieniło. Tłómacze stracili dawniejszy urok, a to nasamprzód skutkiem większego upowszechnienia się znajomości języków obcych, która dostępnemi czyni dla ogółu utwory literatury powszechnéj, porównanie zaś oryginału z przekładem nietylko staje się łatwiejszém, ale i zawsze wypada na niekorzyść ostatniego; powtóre, skutkiem téż rozszerzenia się pojęć estetycznych, które pomiędzy znaczeniem wewnętrznéni produkcyi i reprodukcyi różnicę bliżéj określać dozwalają.

Jakkolwiek jednak dzisiaj najpoprawniejszy przekład nie będzie ogłoszony za zjawisko, do zjawisk wszakże niepospolitych w téj drugorzędnéj pracy literackiéj zaliczyć można taką, jak świeżo dokonane tłómaczenie bajronowskiego „Don Juana", choćby ze względu na obszerność wynoszącą przeszło *piętnaście tysięcy* wierszy. Ale nie sama obszerność, dowodząca w każdym razie olbrzymiéj pracy, stanowić może przedmiot zastanowienia. Drugim warunkiem jest

określona ścisłość formy, tak pod względem ilości zgłosek w wierszu, jakoteż ilości wierszy w strofie, a nadto pod względem ściśle określonéj kombinacyi rymów w wierszach składających strofę. Byron bowiem pisał swój utwór formą zapożyczoną od epopei włoskiéj z czasów odrodzenia. Jestto strofa składająca się koniecznie z wierszy ośmiu, a ułożonych tak, ażeby również koniecznie rymowały się wiersz pierwszy z trzecim i piątym, drugi z czwartym i szóstym, siódmy zaś tylko z ósmym. Strofa, w któréj podobna kombinacya rymów sprawia wrażenie wysoce muzykalne, a końcowe zwłaszcza dwa rymy wybijają eufoniczny efekt pod względem czy to patetycznym, czy (stosownie do treści) humorystycznym,— nazywa się oktawą. W poezyi, oktawy, tercyny, sonety, tryolety, i tym podobne formy o taktach muzycznych, powstające w nowotworzącéj się poezyi Zachodu, na miejsce dawnych, nierównie bogatszych i bardziéj urozmaiconych form poezyi grecko-rzymskiéj, stanowią cząstkę tego stylu renesansowego, jaki zapanował we współcześnie kiełkującéj sztuce powszechnéj na południu i zachodzie Europy, a dotąd jeszcze, pomimo opozycyi romantyzmu i zawzięcia się na wszelkie ścieśnienia, z natury rzeczy nie straciły wartości, lubo z potokiem czasu modyfikują się i ulegają dowolnym urozmaiceniom.

Jeżeli tłómacz ma do czynienia z formą mniéj krępującą, jak naprzykład epopeja grecka, układana wielce swobodnym hexametrem, lub dramat wogólności, o ileż zadanie jego jest mniéj uciążliwém! Nie ogląda się on wtedy na żadną strofę, na żadną kombinacyą rymów, mając do wyboru całą czwórkę; bal może nawet w ostateczności i wcale rymów nie używać, poprzestając na wierszu czysto miarowym, tak zwanym białym (o ile tekst go do tego upoważnia) i zadanie swe spełni dostatecznie, choć, zdaniem mojém, ze względu na naturę poezyi polskiéj, lubującéj się w rymie, niezupełnie. Inna rzecz, jeżeli tekst oryginalny wyraźnie pewną określoną ścisłość formy zastrzega, tak jak to z całego ujęcia architektonicznego, ściśle połączonego z treścią poematu, chciał mieć w „Don Juanie“ Byron. Wymaganiu temu w zupełności zadość uczynił tłómacz, téj sobie nawet ulgi nie czyniąc, jak Baworowski, ażeby dla łatwiejszego uporania się z tekstem, wiersz jego jedenastozgłoskowy na trzynastozgłoskowy zamienić, uważając słusznie, że na tém rozdłużeniu ucierpiałaby dosadność językowa.

Formalnéj więc stronie poematu, jego ciału, jak widzimy, z trudem którego nikt nie oceni należycie, kto sam tego nie probował, tłómacz uczynił zadość. Ale ciało nie wyczerpuje wszystkiego; pozostaje najważniejsza strona duchowa: wierność. Zaglądamy do tekstu oryginalnego, porównywamy.

Chociaż Byron, jak powiedzieliśmy, do poematu swego przyjął formę z czasów odrodzenia, duch jego naracyi wszakże zgoła nie odpowiada téj epoce. On tę naracyą zastosował do stylu, którego początek nie o wiele poprzedził jego własną epokę, do stylu barocco, odpowiedniejszego treści, jaką wziął przed się. Po epopei antycznéj przyszła epopeja renesansowa (Camoens, Tasso), która, jak w całéj sztuce przestrzennéj i idealnéj jeszcze się opiera na podstawie starożytnéj i miesza oba żywioły. Ale odkąd historya właściwa wzięła pod swą opiekę bohaterów i wielkie wypadki dziejowe, Muza, w miarę postępu historyi, tak w Grecyi, jak i w świecie nowożytnym, zaczęła ich ze swéj opieki wypuszczać, ustępować w tym względzie kroku poważniejszéj siostrze. Myt, legenda, stanowiące najwalniejszą przyprawę eposu, dziwnie wyglądały w krytyczném świetle rzeczywistości. Epopeja musiała się zreformować stosownie do nowych warunków.

Twórczość Byrona przedstawia *par excellence* tę epopeję zreformowaną, która ostatecznie znalazła nie najmniéj świetne wyrazy i w naszéj poezyi romantycznéj, i zjechała aż na poziom powieści i romansu. Jego bohaterowie, jakkolwiek fikcyjni, ale wybierani są ze świata powszedniejszego, a działania ich nie ulegające już wpływom sił nadziemskich, wyobrażają raczéj proste objawy i komplikacye psychologiczne. I ton téż jego opowiadań zmienia się stosownie do powagi i znaczenia bohatera.

„Don Juan“ jest to bohater dość lichego organizmu, jako człowiek: temperament wielce romansowy, zapalność miłosna zgoła tylko samolubna, miłość bez uczucia, przytém odwaga istotna — oto rysy składające się na indywidualność, śmieszną raczéj niż sympatyczną. Więc téż ten tytułowy bohater jest tylko pretekstem poematu, w którym głównie prześwieca sam autor. Wziął on sobie za przedmiot stare podanie hiszpańskie, bez wartości, ażeby, zdaje się zyskać wątek naracyjny, byle jaki: na téj dopiero kanwie haftuje on najrozmaitsze arabeski, pełne dowcipu i tego klasycznego angielskiego humoru. Tutaj to wylał on całą żółć swoję na ludzi i instytucye ludzkie; wyśmiał, wydrwił, wyszykanował rozmaite powagi, rozmaite urządzenia społeczne; nie darował nikomu i niczemu, począwszy od Biblii aż do krytyki literackiéj. Tutaj to najjaskrawiéj może przedstawia się z całą swą kapryśną i splinową naturą ten wielki sceptyk i romantyk, który owę „ironią romantyczną“, jeden z żywiołów jego epoki literackiéj, tu mianowicie wyzyskał do najwyższego stopnia, wytwarzając mnóstwo różnojęzycznych naśladowców. Ton téż jego poematu, z takich złożonego elementów, od samego początku jest jedną drwiną, śród któréj błyskają jak gwiazdy tu i owdzie, krótkie,

nieporównanéj piękności poetycznéj obrazki; jak gromy huczą oburzenia na złość, obłudę lub głupotę ludzką. Poemat, pomimo formy nieco hulaszczéj, a nic sobie nie robiącéj z czytelnika, w gruncie posiada zasadę surowéj prawości i etyki poprawnéj.

Otóż, możemy powinszować tłómaczowi polskiemu, że pomimo ogromnych rozmiarów dzieła, wszędzie zachował nader szczęśliwie ten ton sarkastyczny i jowialny oryginału, i zastosował się umiejętnie do odcieni odskakujących od głównego tła. Zrozumiał warunki efektów harmonijnych wiersza, tak, iż efekt ogólny przekładu prawie dorównywa oryginałowi.

Powiadamy, prawie; gdyż o tożsamości efektu trudno marzyć. Różnice natury i zasobów językowych sprawiają, że często wierność przeszkadza gładkości i nawzajem. P. Porębowiczowi przeważnie chodziło o pierwszą, i dla osiągnięcia jéj poświęcił, gdy nie mógł inaczéj, ogładę, przez co nie wszystkie jego strofy posiadają tę artystyczną okrągłość, jaką odznacza się oryginał. Czasami wyrwie się rym niezdarny:

„nie mogąc roz*proszyć*
Oszczerstw, rozdźwięki ich chciała przy*głuszyć*",

albo trzykrotnie zrymuje się wyraz na *ając*.

Zkądinąd, pod pretekstem igraszek dozwolonych w stylu rokoko, niekiedy ukaże się jakiś umyślny dziwoląg wierszowy, np.

„Z nim wyszedł jego „posse comi*tatus*,"....
Lecz go Antosia gniewna nakształt *gratu*, z
Izby wypchnęła."

Usiłowanie zamknięcia się w szczupłéj a treściwéj formie, nakazanéj przez oryginał, doprowadza czasem do niejasności, jak:

„Żart — żartowała czasem, — jak z Attyki."

Nie z Attyki to żartowała Ines, jak możnaby z tego układu mniemać; ale żarty jéj posiadały charakter attycki, ów wytworny, zwany solą attycką.

Albo też ten sam zapewne powód doprowadza do błędu gramatycznego:

„Zostanie imię, portret, butów *parę*; (recte *para*);

lub do niepoprawności logicznéj:

„Większyś ty (Plato) zamęt sprawił twojém mglistem
Mamidłem w serca niestrzeżonem ziarnie,
Niż wieczne bardy...."

Jakim to sposobem można *zamęt* sprawić w *ziarnie*? Co to za obraz?

Nie zawadzi też zwrócić uwagę tłómacza na częste a zgoła nawet potrzebą niewywoływane łamanie rytmu przed cezurą; w rodzaju np. „Czarne jak*o* śmierć.... w rzęs jedwabnym cieniów." W ten

sposób użyta fałszywie arsis, z nadwerężeniem harmonii wiersza jedenastozgłoskowego, co chwila się napotyka; a przecież i tu nawet przez proste przestawienie możnaby tego uniknąć: „Jako śmierć czarna“....

Próbki tych wykroczeń, zanotowane na wyrywki w jednéj tylko pieśni, powtarzają się do końca. Warto było ich uniknąć, zapewne; ale są to tylko drobne pyłki na wielkiéj przestrzeni połyskującéj talentem wykonania. Kto tak na wstępie do zaczarowanego kraju Muz potrafił zespolić się odrazu z duchem wielkiego poety, a przedewszystkiém potężnego artysty, ten daje otuchę, że z nim przybywa nowa a istotna siła do naszéj literatury, nie wiemy o ile twórcza, ale posiadająca kunszt językowy, doprowadzony do znakomitego stopnia i niezaprzeczoną zdolność asymilacyi.

Kaz. Kaszewski.

= **Wiktor Gomulicki. Obrazki prawdziwe.** (*Warszawa, T. Paprocki i Sp.*). — Szereg „obrazków“ otwiera artysta. Na imię mu było Coelio. Człowiek prostoty gołębiéj żył, jak żyją ptaki niebieskie, nie latał dla tego tylko, że skrzydeł nie posiadał, ale śpiewał i nie siał, ani orał. O jutro nie dbały, zamykał się w chwili dzisiejszéj a powodował wrażeniami chwili. Z racyi téj w długach po uszy siedział i miłość swoję lokował na chybił trafił. Rozkochał się był np. w Lorce niejakiéj, śpiewaczce ogródkowéj, wymodelowanéj na wzór i podobieństwo „Nany“ i przekonany był, że miłość ta „odmładza go, zmężnia, podnosi.“ Potrzebując żywić starą matkę i siebie, chwytał się robót dorywczych po redakcyach, teatrach, u wydawców i muzyków. Jeden z przedsiębiorczych dyrektorów teatrów ogródkowych wziął go na wyzyskiwanie. Coelio się zamknął i napisał arcydzieło, które mu się wydawało głupstwem — teatr osiągnął zyski ogromne; Coelio się zamknął powtórnie i napisał głupstwo, które mu się wydało arcydziełem, a które, przez publiczność wygwizdane i przez krytykę niemiłosiernie schłostane, przyprawiło go o śmierć.— Obrazek drugi jest opowiadaniem o przedśmiertnych, na mrozie, przekupki, pani Maciejowéj, marzeniach. Zamarzło biedactwo. — Treści do obrazka trzeciego dostarczyła panna Hortensya, która, na rezydencyi u braterstwa zostając, o sobie jeno myślała, ale się poprawiła i kosztem własnym siostrzeńca do szkoły posyła.—„Swój do swego“ daje nam poznać hrabiego, co wziął z ulicy dziewczynkę, wychował ją na bawidełko dla siebie, zbytkami otoczył i tego się doczekał, że piękna Mańka z pałacu uciekała do najohydniejszego rzędu szynku, do Janka pijaka, który ją bił, ale którego ona ko-

chała: wreszcie ostatecznie uciekła— z ulicy wzięta, na ulicę wróciła. —„Marysia“ przyszła na świat w suterynie, ojciec ją odszedł, matka na ręce ludzkie oddała; dziewczyna dorosłszy, po służbach się tyrała, przez ręce stręczycielek przechodziła; za mąż iść miała, ale z racyi ospy nie poszła; wkońcu tyfusu dostała i umarła w szpitalu, kiedy w sali mężczyzn skonał „jeden chory na *delirium tremens*. Był to ojciec jéj.“ Wyniesiono ich razem na cmentarz i pochowano obok siebie. Ale wprzód jeszcze przeszli oboje przez prosektorium.“ — Człowiek nerwowy— w obrazku p. t. „Garść kwiatów“ — opowiada, jak, zrobiwszy kilka, jedną po drugiéj rzeczy na przekór sobie i drugim, żeni się się wkońcu z Zośką dla téj racyi, że Zośka owa kwiatami go obsypała. — „Nicefor“ jest-to Coelio na inny sposób: młody człowiek bogaty, artysta i próżniak — próżniak z wyrozumowania. Posiadał on psa. On spotkał niejaką Waleryą, a pies niejaką Sabę. Walerya wskazała Niceforowi drogę pracy, wszedł na nią i umarł,— pies nawet, zajęty miłością Saby, za trumną jego nie szedł.—O trzech ostatnich obrazkach — „Pierwszy mróz“, „Próba w cyrku“ i „Pocałunek“—powiemy jeno, że dopełniają tomiku, który się czyta z rozkoszą, nie dla treści tych obrazków miniaturowych, która jest mniéj więcéj znaną, nie dla myśli, która się na wierzch nie wydobywa, nie dla czego innego, jak dla kunsztowności obrobienia. Autor włada po mistrzowsku językiem i ma na rozporządzenie swoje porównania i zwroty szczęśliwe, nadające obrazkom jego koloryt właściwy—ten koloryt, który malarze nazywają „ciepłem.“ Nic nadto, nic za mało. Utworek każdy przedstawia całość zaokrągloną i w sobie pełną. Są to obrazki „prawdziwe“ — w rzeczy saméj prawdziwe, ale malujące postacie i sytuacye, stanowiące wyjątkowości na tle życia powszedniego. Coelie, Nicefory, Mańki etc., nie trafiają się na każdym kroku.

═ **Kobiéta w poezyi polskiéj.** *Głosy poetów o kobiecie przez autora Antologii polskiéj. Z 8-ma rysunkami E. Andriollego.* — P. Władysław Bełza ułożył a pp. Gebethner i Wolff. wydali książkę, która może śmiało rywalizować z ozdobnemi wydawnictwami zagranicznemi, jakie się zazwyczaj przed Nowym Rokiem ogłaszają, by służyć mogły na miłe i ładne podarki. Papier, druk, ozdoby okładki nic nie pozostawiają do życzenia albo bardzo mało przynajmniéj. P. Andriollemu wszakże możnaby zrobić zarzut, że trochę sobie lekceważył robotę, która na lekceważenie bynajmniéj nie zasługiwała. Z ośmiu rysunków jeden tylko, przedstawiający Zosię Mickiewiczowską pięknym nazwać można, inne nie tylko naprawdę ładnemi, ale poprostu udatnemi nie są; a np. „Królowa zabawy“ (do wiersza Felicyana), „Przy okienku“ (do wiersza St. Grudzińskiego), „Przy kaganku“ (do wiersza Wł. Bełzy) są albo niezgodne z treścią illustrowa-

néj przez nie poezyi, albo wykonane bardzo niedbale. Co do wyboru samych poezyi, jest on wogólności trafny i dostarcza obfitego wątku do dumań lub uśmiechów, zapożyczonego od 80 poetów, którzy pisali u nas o kobiecie począwszy od wieku XVI aż do chwili obecnéj. Rzecz naturalna, że o wyczerpaniu materyału mowy tu być nie mogło, że mianowicie dawniejsze stulecia bardzo skąpo zostały uwzględnione (bo tylko na 34 stronach), gdy przeciwnie czasy najnowsze aż zanadto znalazły w książce przedstawicieli. Rozumiemy bardzo dobrze, że w książce dla szerokich kół czytelniczych przeznaczonéj stara literatura nasza nie może zajmować dużo miejsca; mimo to uważamy za błąd redaktorowi jéj, że tak rdzennie polskiego pisarza jak Mikołaj Rej w niéj nie pomieścił. Z jego „Wizerunku“ dałyby się przytoczyć bardzo malownicze obrazki życia rodzinnego w Polsce XVI w. ujęte w wiersze wcale gładkie i potoczyste. Podobnież szkoda, że z Szarzyńskiego nic nie wzięto, choćby sonet: „I nie miłować ciężko i miłować“, albo téż który z ślicznych, subtelnych nagrobków dla Kostczanki. Zamiast pomieszczonych tu wierszy Kniaźnina, lepiéj było dać jego „Matkę obywatelkę“ albo wyjątek z „Matki Spartanki.“ W najnowszym natomiast okresie poezyi naszéj można było bez najmniejszéj szkody dla książki obejść się bez niejednego utworu poetów, a raczéj wierszopisów mniéj utalentowanych. Błędy te i usterki są małoznaczące i łatwo usunięte być mogą przy drugiém wydaniu, którego książka ta prawdopodobnie rychło się doczeka. Wówczas téż można będzie poprawić nieliczne błędy pisowni i omyłki druku (poszustny, kłuciła, hyzi, *Scholarów* piarum) oraz niewłaściwe, widać przez redaktora wprowadzone formy gramatyczne: dzisiej, tutej, stale się powtarzające, jak nie mniéj niemiłą usterkę składniową w wierszu samegoż redaktora: dwie *pereł* (str. 331).

= **Szkice z Gruzyi** *przez Artura Leista.* — Nie pierwszy to raz zapoznaje się nasza publiczność za pośrednictwem literatury z tą piękną, poetycznie nastrojoną krainą. Szczególniéj opowiadania i opisy Kazimierza Łapczyńskiego, R. Klonowskiego, W. Podlewskiego, drukowane przed laty w „Tygodniku illustrowanym“ roztoczyły przed nami piękne krajobrazy, zaznajomiły z ludnością, jéj obyczajami a po części i literaturą. Prawdopodobnie opowiadań tych p. Leist nie znał, jako nie tak łatwo dostępnych, gdyż żadna w odbiciu książkowém nie wyszła; nie podejmował zresztą pracy naukowéj, kreślił tylko wrażenia, jakich doznawał w podróży po morzu Czarném i podczas pobytu w Batumie, Tyflisie, na wsi gruzińskiéj, w Mechecie, Kutaisie; notował swoje spostrzeżenia i podał owoc studyów swoich nad literaturą ormiańską i gruzińską. O tym ostatnim

przedmiocie pisał już p. Leist osobno w naszém „Ateneum“ i w „Magazin für die Litteratur des In-und Auslandes“; obecnie w wydaniu książkowém szkic ten został zupełnie nanowo przerobiony, opatrzył go autor kilkoma przekładami poezyi gruzińskiéj; ustęp ten może być uważany za istotne wzbogacenie naszego piśmiennictwa wiadomościami o literaturze znanéj u nas tylko bardzo ułamkowo. Co do opisów przyrody i charakterystyki mieszkańców, nie widać tu wprawdzie jakiegoś szczególnego talentu, ale wszędzie znać czuły na piękności natury umysł, wykształcenie wyższe, smak wytworny i umiejętność chwytania rysów rzeczywiście znamiennych. Książka-to ze wszech miar warta czytania.

= **Lira polska**, tomik 7: *Deklamator*. Ładne wydawnictwo „Liry polskiéj“, pięknym drukiem na ładnym papierze rozpowszechniające najcelniejsze utwory krótsze poezyi polskiéj, znalazło powodzenie i rozwija się ciągle. Obecnie ogłoszony tomik 7-y zawiera utwory do deklamacyi przydatne, wybrane z pism 18-u już to znakomitych już to mniéj znakomitych ale utalentowanych autorów i jednéj autorki. Z pism Mickiewicza podano tu część prologu do III części „Dziadów“ oraz prawie całą improwizacyą z tychże. Z poezyi Słowackiego pomieszczono cudny liryczny wyjątek z Beniowskiego, poprzedzający znane dobrze przedstawienie jego do Mickiewicza stosunku, wyjątek z Podróży na Wschód, a wreszcie żartobliwo-satyryczny fragment p. n. „Bajka“, niedawno z rękopismów wydobyty. Z utworów Krasińskiego wydrukowano tu znany „ułomek z glosy ś. Teresy.“ Z nowszych poetów najwięcéj wydawcy dostarczyły wyjątków poezye Asnyka, Konopnickiéj, Ujejskiego, Lenartowicza, Bałuckiego i Mirona. Oprócz tu wymienionych po jednym utworze dostarczyły poezye Anczyca, Balińskiego, Czesława, Gawalewicza, Jaśkowskiego, J. N. Kamińskiego, Romanowskiego, W. Szymanowskiego i Wolskiego.

= **Niepoprawni**, *powieść społeczna J. Turczyńskiego* (Lwów, 1885) Niepoprawnymi nazwał tu autor potomków rodzin starożytnych, grzeszących dumą rodową i wiarą „w coś, co się stać musi bez ich pracy,“ oraz zbogaconych i powierzchownie ucywilizowanych żydów, grzeszących dumą majątkową i „rasową wiarą w nieomylność rachunku.“ Pierwszych nie oszczędza wprawdzie, ale ma dla nich pewne spółczucie; nie ma zresztą nic o nich nowego do powiedzenia i wystawia ich tak, jak się oni zazwyczaj ukazują w powieściach Zacharyasiewicza. Z żydów natomiast drwi, wyciągając na jaw wszystkie Geldhabowe śmieszności i Shylokowe drapiestwa, akcentując dążność do panowania nad światem i do zjadania owoców z drzew, których nie szczepili. Różnicę kapotowego ojca od tużurkowego syna,

uwydatnioną kilkakrotnie w akcyi, streścił p. Turczyński w słowach: „Ojciec jego (tj. Dawida Badmera), żyjący w innych czasach, przyzwyczajony panów uważać zawsze za panów a żydów tylko za żydów, nie czuł żadnéj goryczy ni żalu do innoplemiennych; zastawiał na nich sidła, gdyż tak czynili jego ojcowie, toż i on tak czynił, nieprzyzwyczajony bojować z otwartą przyłbicą, ale żółci najmniejszéj ni goryczy pana Dawida nie miał wcale; jego bowiem nikt nie mógł obrazić ani miną, ani nawet słowem najdotkliwszém: na takie rzeczy był zanadto doświadczonym. Nie mógł nawet pojąć, dlaczego ich dzieci dzisiejsze takie nerwowe a drażliwe, wszak oni im téj dumy w spuściźnie nie przekazali? Oni im kazali tylko pracować i zbierać i chwalić Pana Boga po zakonie, a w sabat po sześciu dniach trudu i mozołów spoczywać. Nowe pokolenie ani się tyle modli, ani dosypia sabatu, lecz jeżeli się nie bawi nakształt Edomczyków, prowadzi wtedy daléj, bogdaj w domu, sprawy dni roboczych...“ (str. 107) Dawid Badmer miał dwie córki Eulalię i Rozynę. Eulalia miała pretensye do wysokiego wykształcenia, choć nie lubiła Szekspira i czekała, ażeby się wyrobił; miała też pretensyą do znakomitéj gry na fortepianie i śpiewu, choć goście w salonie drżeli na samo wspomnienie jéj produkcyj; pragnęła błyszczeć, ale nie miała gustu; wyszła najprzód za bogatego Meszulema Herzberga, który jako modny narzeczony cierpliwie słuchał jéj gry i śpiewu, a jako mąż powiedział, że te talenta na nic się w interesie nie zdadzą; rozstała się więc z grubianinem i wyszła za Veilchenbluma, który sam lubił grać, ale także lubił się kochać w kawiarkach i szansonistkach, tracąc grube pieniądze, więc i z tym wzięła rozwód. Rozyna nie była podobna do swéj siostry w niczém, żyła jakby obca w zwykłém towarzystwie zbierającém się w domu jéj rodziców, ujrzała raz a następnie pokochała pięknego blondyna o czarném oku, chrześcianina, siostrzeńca hr. Drużopolskiego, którego majątek obdłużony miał przejść na własność Dawida Badmera. Rozyna i Zygmunt sądzili, że postępowy Dawid zezwoli na ich związek; ale w tym razie Dawid okazał się wiernym tradycyi religijnéj; surowo zakazał Rozynie myśléć o Zygmuncie, projekt ucieczki popsuł i wydał ją za mąż za krociowego spółwyznawcę. Rozyna słabła coraz bardziéj i umarła a Zygmunt, na którym hr. Drużopolski pokładał wielkie nadzieje, stał się „niezdolnym do niczego hipokondrykiem.“ Ton drwiący w obrazowaniu życia żydowskiego może się podobać pewnéj części ogółu, ale odbiera powieści znaczenie studyum społecznego, zamieniając ją na jednostronną satyrę, niewolną tu i owdzie od karykatury. Kompozycya jest bardzo luźna; rozdziały następują po sobie dowolnie; autor przerywa jeden wątek bez widocznéj potrzeby, ażeby snuć drugi, a następnie znów

wrócić do niego itd. Styl nie posiada zalet żywości i barwności; a język pomimo starania o poprawność nie jest wolny od błędów rażących; jest to niestety prawie powszechną wadą pisarzy galicyjskich, iż nie umieją używać słów przechodnich z przeczeniem i piszą: „ojciec *nie ceni pieniądz* nadewszystko“ (str. 121), starzec nie lubi *myśl swą* nużyć (str. 127) itp. itp.

— **Marysia**, *komedya w 1 akcie przez J. Jordana* (War. 1885). Jestto obrazek życia wiejskiego, przedstawiający stosunki kmiecia, połownika i zagrodnika, czyli innemi słowy arystokraty, szlachcica i plebejusza sielskiego. Połownik Niezgoda ma córkę, ładną Marysię, która kocha zagrodnika Wojtka. Połownik patrzy na tę miłość krzywém okiem, dokucza matce Wojtka Drobniaczce, tak że ją zmusza wraz z synem, do wyprowadzenia się ze swéj chałupy. Marysię kocha także kmieć Bartek, zyskuje sobie ojca i pewny jest że wobec jego zamożności i godności kmiecéj dziewczyna przyjmie go z chęcią. Ale Marysia nie doznaje olśnienia i niezgrabne zaloty Bartka przyjmuje z niechęcią. Chwilowo i ojciec jéj przeciwko Bartkowi występuje, gdy Drobniaczka rozpuściła wieść, że syn jéj wygrał wielkie pieniądze na loteryi, lecz przekonawszy się, że to bajka, nastaje na córkę, by losu nie odpychała. Wówczas, Marysia bierze się na sposób; korzystając ze znajomości sztuki pisania, która Bartkowi obcą była, pisze list do organisty i każe go natrętnemu konkurentowi podpisać, list, w którym Bartek wyrzeka się zamiaru żenienia się z Marysią i prosi organisty, ażeby go poparł w obec matki, tego związku najbardziéj pragnącéj. Figiel ten, w farsie ujść mogący, ale nie w komedyi, doprowadza zawikłanie do szczęśliwego rozwiązania sztuki, która ma kilka scen udatnych, a odznacza się trafnemi spostrzeżeniami co do sposobu myślenia i postępowania naszych wieśniaków; duma rodowa, chciwość na pieniądze, upór, kłótliwość, a w gruncie dobre serce: oto cechy główne. W języku nie zachowano konsekwencyi; ta sama osoba raz mazurzy, drugi raz nie; wyrażenia po większéj części są dobrze do sfery pojęć ludowych zastosowane, tak że się wydają, jakby żywcem z ust ludu pochwycone; rubaszne są a malownicze.

= **Dzisiejsi**, *komedya w 1-ym akcie oryginalnie napisana przez Maryana Gawalewicza* (Warsz. 1885). Autor, znany dotychczas jako gładki wierszopis, gładki feljetonista, i gładki twórca lekkich i zabawnych fraszek dramatycznych, w „Dzisiejszych“ potrącił kwestyą głębszą i przeprowadził ją z niezwykłą zręcznością i dowcipem niemałym. Chciał on przedstawić tę pustkę serc, jaka w towarzystwie salonowém wskutek wyziębienia uczuć serdecznych, szczerych powstaje, zapełniając się mniéj lub więcéj wyszukaną frazeologią uda-

jącą uczucia i namiętności. Julia, młoda wdowa, mająca zapewne i dobrą i złą naturę, ale nie lubiąca dobréj pokazywać światu, zbyt przezorna i wyrachowana, zbyt niedowierzająca w sprawach serca, kokietka, wywołująca wyznanie, ażeby je dowcipnie wyśmiać i tym sposobem się ubawić, fantastyczka, która dla zadowolnienia swych zachceń zdeptać gotowa kornie ku niéj chylące się głowy i serca, chce zrobić doświadczenie na jednym ze swych kapitalnych i najbardziéj godnych poważania wielbicieli, na doktorze Juliuszu. Doprowadziwszy tego wytrawnego i w sztuce odpierania słownych ciosów wypróbowanego salonowca do wyznania swéj miłości, zażądała od niego jakiegoś niezwykłego dowodu, że uczucie to wszelkie przetrwa próby. Miała jakiś eliksyr indyjski, dający jakoby najprzód cudne marzenia a potém śmierć; kilka kropli tego eliksyru wlała do herbaty doktora i swojéj i wezwała Juliusza, by pierwszy wypił tak zaprawiony napój. Zgodził się na to doktór, przeniknąwszy dotkliwy żart Julii, napisał list jakoby ostatni; a potém nie dowierzając skuteczności eliksyru. dolał znów belladony do herbaty; zapraszając Julię ze swéj strony do spełnienia próby. Julia uwierzyła w istotnie trujący wpływ płynu wlanego przez doktora, i nie chciała narażać swego życia, zaniepokoiła się stanem doktora, ale gdy ten odchodził, by umrzeć u siebie, nie przywołała go, by nie okazać mu swéj słabości. Z listu dowiedziała się, że owa belladona była zwyczajną solą „do trzeźwienia czasem omdlałych kobiet, a czasem mdlejącego pomysłu,“ przytém radę, że „serdecznéj struny w mężczyznie nie należy nigdy przeciągać, a w miłości źle być... za sprytną.“ Julia, pomimo, że doktór zapowiadał w liście, iż opuszcza jéj salon wyleczony zupełnie ze złudzeń i chęci pozyskania jéj serca i ręki, zamyśla go znowu prosić do siebie, bo „zabawnych mężczyzn i zajmujących tak mało, ah, jak mało!“, a przepędzić wieczór w towarzystwie takiego Juliusza... bardzo przyjemnie... „Dzisiejsi“ kończą się jak fraszka, ale mają w swém rozwinięciu kilka scen pobudzających do głębszego namysłu nad tém zdenerwowaném, zmuszoném do szukania sztucznie ekscytacyi towarzystwem, oraz wiele dowcipnych słów i zręcznie obmyślonych położeń, w których możnaby chyba wytknąć powtarzanie tylko przez doktora pomysłów Julii; sprawia to zamierzony efekt, ale możeby lepiéj było, gdyby doktór zamiast podrzeźniać, zrobił coś samoistnego.

== **Gramatyczka polska dla Anglików**. Księgarz londyński Trübner podjął wydawnictwo bardzo zwięzłych, albo „uproszczonych,“ jak tytuł powiada, gramatyk, chcąc ogarnąć w tym zbiorze wszystkie główniejsze języki europejskie i azyatyckie. Redakcyą ogólną zajmuje się Reinold Rost, a obrobienie działów wzięli na siebie specya-

liści. Po gramatyce indostańsko-persko-arabskiéj, węgierskiéj, baskijskiéj, nowogreckiéj, rumuńskiéj, tybetańskiéj, duńskiéj, tureckiéj i szwedzkiéj, nastąpiła i polska, napisana przez znawcę języka i literatury naszéj W. R. *Morfill'a.* Mieści się ona na 63 stroniczkach i obejmuje najważniejsze prawidła i wzory wymawiania, deklinacyi, konjugacyi, etymologii i składni. Autor powiada w króciutkiéj przedmowie, że zajmujący się filologią porównawczą może sobie z téj gramatyczki utworzyć wolne od błędów pojęcie (*a correct idea*) o budowie języka polskiego, a ten kto pragnie czytać w oryginale dzieła takich pisarzy jak Mickiewicz i Krasiński, może się nią posłużyć jako pierwszym, początkowym podręcznikiem. Jest to zdanie bardzo optymistyczne. Ani z 3 deklinacyj według rodzajów, ani z 3 konjugacyj, według zakończenia 3 os. l. p. cz. t. żaden zapewne cudzoziemiec nie pozna odmian naszych rzeczownikow i słów w tym stopniu, ażeby mógł ich formy tworzyć lub je nawet pochwycić; a zajmującego się filologią porównawczą, taki podział, dla Polaka w praktyce może wystarczający, niczego prawie nie nauczy. Cenimy dobre chęci autora, ale nie możemy powiedziéć, ażeby ze swego zadania wywiązał się szczęśliwie. O błędach ortograficznych nie wspominam, ale wytknąć wypada twierdzenie, iż wyraz *ksiądz* ma w dopełniaczu *księże* (str. 7); może to także błąd drukarski, zamiast wołacza wydrukowano dopełniacz; ale błędu tego nie sprostowano w erratach.

= **Historya filozofii od Talesa do Comte'a** *przez Jerzego Henryka Lewesa.* Wolny przekład z 5-go angielskiego wydania Adolfa Dygasińskiego (Warsz. 1885). Przerażająco szczupły zasób książek, odnoszących się do dziejów filozofii, w literaturze naszéj każdemu pragnącemu poznać tę naukę za pośrednictwem języka polskiego dotkliwie uczuwać się dawał. Istotnie książek przedstawiających całość historyi filozofii mieliśmy tylko trzy i to wszystkie przestarzałe. Ani dziełko Tennemana, ani Schweglera, ani Saisseta nie mogą zadowolnić najskromniejszych nawet wymagań dzisiejszego ucznia t. z. „królowéj nauk." Rozpoczęte wydawnictwo obszerniejszego podręcznika Laforeta przerwane zostało, tak że tylko część dziejów filozofii starożytnéj posiedliśmy; znakomita zaś praca Langego („Historya materyalizmu") tylko jeden kierunek filozoficzny w jego dziejowym rozwoju przedstawia. Podjęcie zatém przekładu historyi filozofii Lewesa, wysoko cenionéj przez Niemców, mających nadmiar dzieł w tym rodzaju, uważać musimy za nadzwyczaj trafny pomysł a uskutecznienie go i ogłoszenie drukiem za istotną przysługę dla umysłowości naszéj. „Wolność" tłómaczenia p. Dygasińskiego zasadza się na tém tylko, że obszerniejsze przypiski z cytatami tekstów oryginalnych w znacznéj części wypuszcza, nie dozwalając sobie zresz-

tą żadnych zmian ani skróceń w samym wykładzie Lewesa. Nie robi się przez to żadnéj szkody czytelnikom naszym, bo ci, coby mogli z tekstów np. greckich korzystać, już nie potrzebują tłómaczenia dzieła Lewesa; dla ogółu zaś książka, balastu erudycyjnego pozbawiona, będzie dostępniejszą. Nie wszystkie wszakże teksty greckie wyrzucił tłómacz; najważniejsze pozostawił. Przekład jest dokonany sumiennie, językiem poprawnym.

═ **Choroby woli. Choroby osobowości** *przez T. Ribota, przełożył J. K. Potocki.* (*Warsz. 1885*). — Z artykułu p. Ochorowicza o chorobach woli, pomieszczonego w „Ateneum" 1884 r. czytelnicy znają treść, metodę i wartość dzieła Ribota, nie potrzebujemy więc tutaj wykazywać korzyści, jakie przekład jego na język nasz z sobą przynosi. *Choroby osobowości* są ułożone według tego samego planu; w czterech rozdziałach wyczerpuje autor obrany temat, mówiąc o zaburzeniach w organach zmysłowych, o zaburzeniach uczuciowych i zmysłowych, a wreszcie o rozprzężeniu się osobowości. O jedném ze zjawisk chorobnych osobowości, t. j. o zdwojeniu świadomości, mamy również w naszéj literaturze rozprawę p. Ochorowicza. Przekład wspomnianych dzieł Ribota naogół biorąc, jest staranny.

═ **Złota przędza poetów i prozaików polskich,** wydawana w Warszawie, w trzecim swoim tomie, który niebawem dobiegnie końca, zawiera życiorysy i wyjątki z celniejszych utworów okresu Mickiewiczowskiego w jego jesiennéj dobie rozwoju. Obejmie on tych tylko pisarzy, co działalność swoję jakimś znakomitszym dziełem zaznaczyli przed rokiem 1863. W dotychczasowych 9-ciu zeszytach są reprezentowani następni autorowie i autorki: J. I. Kraszewski, H. Rzewuski, I. Hołowiński, L. Sztyrmer, J. Gołuchowski, F. B. Trentowski, J. Kremer, K. Libelt, A. Cieszkowski, J. Moraczewski, L. Zienkowicz, R. Berwiński, S. Koźmian, F. Żygliński, E. Wasilewski, J. N. Jaśkowski, A. Czajkowski, A. Wilkoński, G. Zieliński, K. Baliński, W. Wolski, R. Zmorski, T. Lenartowicz, J. Majorkiewicz, P. Wilkońska, N. Żmichowska, T. Szczeniowski, A. Marcinkowski, E. Żeligowski, L. Kondratowicz, A. Pietkiewicz, Z. Kaczkowski, J. Dzierzkowski, J. Zacharyasiewicz, W. Łoziński, K. Ujejski, H. Jabłoński, M. Romanowski, J. Supiński, K. Szajnocha. Nierównomierność życiorysów jest wadą wydawnictwa co do planu, ale bezwzględnie wzięte niektóre z nich są rzeczywistém wzbogaceniem zewnętrznéj strony dziejów piśmiennictwa naszego. Trafność wyboru wyjątków niekiedy może być zakwestyonowana, ale zupełnie niewłaściwych niéma tu chyba wcale. Gdy wydawnictwo to ukończoném zostanie, będziemy mieli najobszerniejszy, najbardziéj wyczerpujący podręcznik do czytania wzorów literatury polskiéj wieku XIX. Potrzebne

byłyby podobneż wypisy z autorów dawniejszych, choćby na mniejszą skalę; wówczas bowiem nauka historyi literatury naszéj ułatwionąby została wielce, zarówno dla nauczycieli jak i dla uczniów. Podobno wydawcy po ukończeniu trzeciego tomu, obrazującego wiek XIX, mają przystąpić do ogłoszenia takiego, ze wszech miar pożądanego podręcznika.

= **Le Play i jego szkoła** *przez Achillesa Brezę. Odbitka z „Przeglądu Powszechnego.“ Kraków 1885, str. 34.* — Broszurka ta jest pierwszą w literaturze naszéj obszerniejszą wiadomością o pracach francuskiego podróżnika-socyologa. Niestety, o tém co stanowi właśnie oryginalność Le Playa. a mianowicie o jego metodzie badań, dowiaduje się czytelnik od p. Brezy nie wiele. Za to wyniki poszukiwań, głoszące prawdy stare jak świat, oraz błędy również nie nowe i oddawna wyświetlone, przedstawione są obszernie w formie niesmacznéj, bo zupełnie bezkrytycznéj apologii spóźnionego odkrywcy. Widząc w swéj ojczyźnie szerzące się ciągle niezadowolenie upośledzonych warstw ludności i stały wzrost, płynącéj z tego źródła dążności do radykalnego przewrotu społecznego, a nie uznając żadnego ze środków zbawienia, podawanych przez rozmaitych reformatorów, Le Play postanowił sam drogą obserwacyi porównawczéj różnych społeczeństw wykryć, na czém rzeczywiście polega trwałe szczęście jednostek i grup ludzkich, i na tak ugruntowanéj podstawie dopiero dążyć do przeprowadzenia reformy w łonie swego narodu. Zamiar, jak widzimy, bardzo chwalebny i śmiały, droga do celu w ogólnych zarysach dobrze obrana, ale, niestety, wykonanie nie dopisało założeniu. W badaniach swoich autor posługuje się tak nazwaną przez siebie „metodą monografii rodzin.“ Odbył on liczne podróże po Rosyi europejskiéj i azyatyckiéj, Persyi, Turcyi, Morawii, Węgrzech, Karyntyi, Tyrolu, Włoszech, Niemczech, Danii, Szwecyi, Norwegii i Anglii. We wszystkich tych krajach, wybrawszy sobie jednę, lub kilka rodzin robotniczych, żyjących szczęśliwie, opisał ich wierzenia, oświatę, zwyczaje i obyczaje, majątek, dobrobyt, stanowisko społeczne, stosunki zależności, źródła pomocy w razach niedostatku i t. p. i t. p. Monografie te zawierają często wiele szczegółów bardzo cennych i zajmujących, lecz, niestety, jednych za wiele, innych za mało, a co ważniejsza, najwięcéj właśnie takich, które socyologowi nie przydadzą się na nic, Co bo naprzykład będzie on robił z wiadomością, jak się przygotowuje kwas z mąki, briaga, kumys, jak się piecze chléb i t. p. Czy wreszcie szczegóły życia pojedyńczych rodzin w rozmaitych stronach świata mogą dać klucz do rozwiązania tak skomplikowanéj i tak ściśle z przyjętym w krajach cywilizowanych systemem produkcyi, związanéj kwestyi społecznéj? Autor

przypuszczał, że źródło szczęścia musi stanowić to, co wszystkie rodziny szczęśliwie żyjące mają między sobą wspólnego, a ponieważ tą wspólną ich cechą okazało się tylko życie moralne (i to nie zawsze, a przynajmniéj niezupełnie!) i posiadanie chleba powszedniego, więc wywnioskował, że dwa te warunki stanowią istotną podstawę szczęścia ludzkiego: „j'ai toujours été ramené à la vérité que j'avais reçue de ma mère dès l'age de cinq ans: je reconnais de plus en plus, comme criterium du bonheur et de la prospérité, la vie morale et le pain quotidien, c'est-à-dire les deux premiers biens que les chrétiens demandent à Dieu dans leur prière.“ Gdy dodamy, że przez ów „chleb powszedni“ rozumié Le Play „ogół środków utrzymania ustalony zwyczajowo w każdéj danéj miejscowości“, będziemy musieli przyznać, że pogląd powyższy jest zarówno słuszny, jak nie nowy. Ale chodzi właśnie o to, jak owe dwa najniezbędniejsze dobra rozpowszechnić na świecie, a przedewszystkiém w krajach cywilizowanych? Na pytanie to odpowiada Le Play w streszczeniu p. Brezy, jak następuje: „Ażeby nadwerężony gmach społeczny odrestaurować, należy zacząć od wzmocnienia podwalin, przywracając uległość prawu najwyższemu (dekalogowi); tę zaś osiągnie się przez głoszenie szczeréj prawdy w nauce (t. j. poglądów La Playa — *przyp. rec.*) i za pomocą działającego w duchu bożym duchowieństwa. W duchu bożym działając, zasłużyło ono na nazwę „ojcze“ i ojcostwem tém duchowém winno być przeniknięte (niestety, jednakże według samego Le Playa, duchem tym przeniknięte ono bywa nie zawsze, a zwłaszcza łatwo zapomina o swych obowiązkach i ulega zepsuciu wtedy, gdy je władza popiera — patrz *La Réforme sociale en France.* Tom I, rozd. I, § 14). Daléj należy rozwinąć siły rodziny.... rozwinąć więc władzę ojcowską przez przywrócenie wolności testowania, ubezpieczyć stanowisko kobiety, przywrócić małżeństwo religijne, obowiązkowe. W stosunku pracodawców z pracującymi wyrabiać ducha patronatu u jednych i przywiązanie u drugich za pomocą trwałości zobowiązań. Oprzéć wreszcie konstytucyą społeczną na życiu wiejskiém, ograniczając i izolując miejskie.“ — W radach tych wychodzą rażąco na jaw wszystkie błędy Le Playowskiéj metody. Opierając się wyłącznie na obserwacyi pojedyńczych rodzin, stracił on zupełnie z oczu całość dzisiejszego ustroju społecznego i dlatego nie spostrzegł, że specyalne warunki tego ustroju nie pozwalają stanowczo na urzeczywistnienie proponowanych przezeń reform. Jak bowiem mógłby kto wymagać od dzisiejszego wielkiego przemysłowca, żeby wszedł ze swymi robotnikami w trwałe zobowiązania na całe życie, czy bodaj na jakiś dłuższy przeciąg lat, kiedy pierwsze lepsze przesilenie ekonomiczne w takich warunkach mogłoby go przypro-

wadzić do ruiny? Oprzeć konstytucyą społeczną na życiu wiejskiém byłoby rzeczą bardzo pożądaną, ale, niestety, reformator nasz bynajmniéj nie dowiódł, żeby było — możebną. Koncentracyą życia przemysłowego w miastach wytworzyło nie tylko zamiłowanie do rozrywek i przyjemności miejskich, jak to sobie naiwnie wyobraża Le Play, lecz głównie i nadewszystko wymagania dzisiejszego systemu produkcyi i obiegu dóbr w społeczeństwie. Żadne więc, choćby najwymowniejsze i najlepszemi chęciami natchnione kazania na temat zepsucia miejskiego i wyższości wsi, nic na to zło nie zaradzą. Środki poprawy tych stosunków leżą gdzieindziéj. Że zupełna wolność testowania nie zawsze wychodziłaby na dobre dla dzieci, jak również, że małżeństwo religijne nie zapewnia jeszcze szczęścia rodzinie i nie „zabezpiecza stanowiska kobiety“—dowodzić nie potrzebujemy. Na zakończenie winniśmy jeszcze wspomniéć, że p. Breza niesłusznie narzuca Le Playowi jakieś specyalne sympatye dla katolicyzmu. Pod tym względem Le Play jest zupełnie bezstronny; wszystkie religie chrześciańskie uważa on za równie dobre, a co więcéj w tym rozdziale „Reformy społecznéj we Francyi“, na który się p. Breza powołuje, kilkakrotnie gani nadmierną centralizacyą hierarchii katolickéj. Wreszcie ceniąc nadewszystko pokój społeczny i uważając każdą religią głównie za środek wywierania umoralniającego wpływu na społeczeństwo i składające je jednostki, zacny reformator francuski przemawia tak gorąco i niejednokrotnie za jak najszerszą tolerancyą religijną, że narzucanie mu w tym względzie jakichkolwiek uprzedzeń jest bardzo nie na miejscu. Że téż to u nas bez tego obejść się nigdy nie może! *W. W.*

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Prasa warszawska i republikanie francuscy.—Publiczność kozłem ofiarnym. Wspomnienie omnibusów. — Dziennikarska gruntowność. — Walka o byt wobec kwalifikacyi literackich. — Nowy pogromca powag naukowych.— Opozycyjny dowcip felietonisty. — Stacye meteorologiczne. — Siła wyższa i nasze złudzenia. — Cukrownictwo w tarapatach.

Prasa nasza znajduje się w téj chwili w takiém położeniu, jak republikanie francuscy po wyborach 4 października. Strach przejmuje nawskróś, zęby nie mogą jakoś wrócić do równowagi, a zakłopotanéj miny niepodobna ukryć przed światem. Istnienie zawisło na włosku. Wczoraj jeszcze czuło się taki twardy grunt pod nogami, dziś robi się coraz bardziéj grzęsko... W chwilach powodzenia nie zawsze hołduje się cnocie skromności; pewność siebie rodziła przechwałki, wywoływała takie zapewnienia i przyrzeczenia, które teraz barwą purpury zdobią oblicze, a nieznośna pamięć, tak zwykle słaba, stała się nagle uporczywie dokładną.

Republikanie oczekiwali gorącéj wdzięczności narodu, spotkał zaś ich chłód przy zaprosinach do Izby,—prasa nasza była niby *arka przymierza*, naród miał w téj składać swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty, a tymczasem cofanie się prenumeratorów grozi przykrą mielizną. Świat słyszał zapewnienia że prasa jest termometrem życia, okazuje się, że termometr ten ma swoje upodobania, chętnie i wysoce obiektywnie zaznacza stan rzeczy, gdy rtęć ku górze dąży, w przeciwnym razie zdradza wyraźne niezadowolenie z temperatury.

Zawód nad Sekwaną był bardzo przykrą niespodzianką, niepowodzenia nad Wisłą są równie objawem mocno niemiłym. Nic jednak tak nie uczy, jak dotkliwe zdrady losu. Republikanie francuscy na chwilę chociaż potrafili skorzystać z lekcyi i w znacznéj części uratowali zagrożoną pozycyą. Dotąd nic jeszcze wyraźnie nie wskazuje, czy prasa warszawska umie być mądrą po szkodzie. Całe niemal brzemię odpowiedzialności za zobojętnienie ogółu do druko-

wanego słowa zwala się — niby na starotestamentowego kozła ofiarnego — na zubożenie powszechne. Przytém szanowna publiczność od czasu do czasu musi usłyszéć niemało przykrych słów za to, że w ciężkich dniach nie potrafili przyoblec się w wytrwałość starego rzymianina i pozbywa się najgorętszego przyjaciela, najnieomylniejszego mistrza, najgruntowniejszego znawcę, a zarazem najbezstronniejszego sędziego wszystkich spraw, toczących się po padole ziemskim.

Bez kwestyi, konieczność myślenia o materyalnych potrzebach rzuca zawsze cień na wszystkie przejawy życia. Podupadający z powodu złych czasów rolnik, przemysłowiec, czy urzędnik nie powinien zrywać téj nici telegraficznéj ze światem, jaką stanowi gazeta. Ale czy prasa jest rzeczywiście tylko bierną ofiarą, która jęknie wprawdzie czasem wśród cierpień, ale to jedynie z boleści nad zaślepieniem tych, których darzyła i gotowa wciąż darzyć dobrodziejstwami? Zastanówmy się nad tą kwestyą, nie zaczepiając nikogo, abstrakcyjnie.

Onego czasu, w epoce przedtramwajowéj, kursowały po ulicach Warszawy—jak to wszyscy dobrze pamiętamy — niekształtne budy, nazwane omnibusami. Niedoświadczony mieszkaniec prowincyi, albo odważny warszawiak, dostawszy się do wnętrza takiego ekwipażu, nabierał dokładnego pojęcia o losie wiezionego na targ drobiu i bywał nieraz narażony na podróż powolniejszą, niż gdyby był wcale nóg nie odrywał od ziemi. Nie wiem, jakie interesy robili właściciele omnibusów, ale chyba nie szczero-złote, kiedy miejscowi kapitaliści nie mieli ochoty ubiedz belgijskiego Towarzystwa w sprawie budowania tramwajów. Otóż, jeżeli rzeczywiście obojętność chodzącéj publiczności zawiodła oczekiwanie przedsiębiorców jeżdżących bud, to zapewne był niejeden pesymista, co snuł z tego powodu czarne dumy o naszéj wartości: w New-Jorku koleje szybują nad ziemią, w Londynie pod ziemią, Paryż, Wiedeń etc. etc. porznięte są wzdłuż i wszerz przez szyny kolei konnych, a my nie chcemy korzystać nawet z omnibusów — jedynego ulepszonego u nas środka lokomocyi. Takie wnioski o zupełnéj nieprzystosowalności naszéj do postępu, miały by niejakie pokrewieństwo z biadaniem na odstępstwo od pism. Dziennikom naszym i tygodnikom nie o wiele bliżéj do europejskiéj prasy, jak karetom „Plac Krasiński — Trzy krzyże“ do podziemnéj kolei londyńskiéj. Wprawdzie *Agencya Hawasa* jednakowo przesyła wszystkim pismom telegramy, ale lakonizm onych wymaga komentarzy, a dokładniejsze informacye o sprawach świata—korespondencyj i znawstwa. Pisma nasze niemal wszystkie posiadają żółwią szybkość w komunikowaniu wiadomości, niektóre zaś z nich prócz tego mają dziwny talent przekręcania faktów. Miasta w redakcyj-

néj gieografii są niby ptaki w powietrzu, przelatują nieraz z kraju do kraju, przesuwają się o setki tysięcy mil. Cokolwiek uważniejszy i mający lepszą pamięć czytelnik, przebiegając szpalty niejednego pisma, doznawać musi nie mniejszych przykrości, jak przy podróżowaniu omnibusem.

Pisma Europy zachodniéj i Ameryki północnéj posiadają olbrzymie środki pieniężne, które potęguje nieustająca dbałość, skrzętność. Dokładne informacye stały się punktem honoru. Nasze pisma nie posiadają nawet tyle kapitału, ile by przynieśli procentu prenumeratorzy *Times*'a, gdyby każdego z nich zamienić tylko na złotówkę. A że zapobiegliwość w żadnym przypadku, wraz ze zmniejszaniem się kapitału, maleć nie powinna, lecz przeciwnie zastępować go, więc redaktorzy pism naszych obowiązani są być czynni i czujni, jak kapitanowie wątłych okrętów na niespokojnych i skalistych morzach; tymczasem przypominają oni żydów furmanów, wożących pasażerów w tak zwanych *fraktach*. Kto wskutek swych zajęć potrzebuje mieć dokładne wiadomości o ruchu w świecie politycznym, przemysłowym, handlowym i t. d. nie może obejść się bez *blattów* i *zeitungów*. Czy więc wobec tego uczucia obywatelskie wymagają od nas więcéj dbałości o pomyślny stan kasy wydawców polskich, niż onego czasu miłość postępu—tłuczenia sobie boków w omnibusach? O gaszeniu świateł można mówić tylko z zastrzeżeniem, bo w iluż to pismach naszych ciemnota siedlisko obrała! Gdyby kto chciał słuchać się rad lekarskich i przepisów higienicznych, sianych przez dzienniki, to by musiał pożegnać się ze światem po pierwszéj próbie (jedno z pism lekarskich przygotowało na gwiazdkę piękną wiązkę tego rodzaju recept, zebraną z różnych pism brukowych i niebrukowych). Astronomia, fizyka, chemia, historya odbijają się nieraz w łamach pism warszawskich niby w niemiłosiernie pogiętych zwierciadłach. Jeżeli w jakim kraju jest dwóch znanych ludzi jednego nazwiska, z których jeden bada, dajmy na to, napisy na kamieniach w Małéj Azyi, a drugi stosuje elektryczność do mechaniki, to z pewnością jaki sprawozdawca nasz poplącze ich z sobą (tak postąpił sobie specyalny polityczny informator jednego z tygodników z Ribotem, filozofem i politykiem). Niektóre pisma tak wszechstronnie wyzyskują talenty współpracowników, jak gdyby potrzeba znajomości omawianego przedmiotu nie istniała nigdy. Niemający praktyki medycy piszą artykuły geograficzne, studenci wydziału filologicznego uczą ogół ekonomii politycznéj. Toż samo pióro, co ciskało gromy w obronie uniwersytetu dla kobiet, z chłodem znawcy ocenia wartość okazów na wystawie ogrodniczéj. Wiele obiecujący technik-socyolog w jedném piśmie rozważa wartość astronomicz-

nych prac Faye'a (stary i wytrawny kierownik obserwatoryum w Paryżu), a w drugiém druzgoce wywody równie poważnego psychologa itd. itd. Gorliwego współpracownictwa szóstoklasistów w łamach pewnego dziennika nie podkreślam, bo nawet u nas jest to fakt pojedyńczy.

Mowa polska, nie poniesie znowu tak wielkiego szwanku z powodu upadku pierwszego lepszego pisma. Kilka bowiem redakcyi, szczególniéj tygodników, dba bardzo o poprawność swego głosu, ale większość dziennikarskich pracowników (?) pióra, z tłómaczami wiadomości i wiadomostek z *Figara* i *Fresse* na czele, wyrobiła sobie rodzaj żargonu, będącego bluźnierczą karykaturą języka Mickiewicza, Słowackiego, a nawet Sienkiewicza. Wygodnie jest z tém panom pracownikom jak w rozchodzonych pantoflach i ani myślą uszlachetniać swego słowa. Nie kształcą więc nikogo, przeciwnie zwiększają jedynie ilość czynników kaleczącvch nasz język.

Prasa wszędzie jest ważnym, a u nas jedynym organem opinii publicznéj, czy nie należy więc ubolewać z tego względu nad bankructwem wziętości gazeciarskiéj. Ciekawym, czy téż ktokolwiek, słuchając jéj głosu, potrafił co kiedy zrozumiéć wśród krzyku i zgiełku kupieckich zachwalań swego towaru, przekleństw współzawodnikom. W prasie naszéj ostatniemi czasy tylu się wyemancypowało z wszelkiéj przyzwoitości, że dla nabycia wprawy w sztuce wymyślania sobie nie potrzeba wcale chodzić nad Wisłę ani za Żelazną-Bramę: dosyć jest czytać niektóre felietony. Poważniejsze i sumienniejsze organy niejednokrotnie nie chcą i nie mogą odezwać się z obawy, ażeby niedostać się w błoto wymysłów i insynuacyi. Nie... opinia naszego kraju jest o wiele zdrowszą niż rzecznicy jéj interesów w Warszawie.

Ze słów naszych wnosić nie należy, że fakt zmniejszania się liczby czytelników uważamy za objaw pocieszający. Bynajmniéj! Ale tyle już trzeba było ubolewać nad moralnym upadkiem prasy, że nie można teraz rozwodzić żalów z powodu jéj materyalnéj klęski. Nie należy widziéć w prasie jakiegoś świętego derwisza, którego obowiązek każe karmić bezwzględu na to, czy jest bogobojnym kapłanem, czy lichym wydrwigroszem. Dla społeczeństwa nie jest wcale rzeczą pożądaną, aby obywatelski fetyszyzm gwarantował dziennikom istnienie na wieki wieków i pozwalał im upadać coraz niżéj... A z drugiéj strony okazało się, że przytarcie rogów wyszło na dobre republikanom francuskim, rozzuchwalonym na obroku powodzenia. Zresztą nietylko w tym wypadku potrzeba bronienia bytu wydała błogie owoce. Zjawisko to powtarza się na każdéj karcie historyi. Strach zmusił ludzi do szukania ratunku we wzajemnéj pomocy i wy-

tworzył pierwsze zawiązki społeczne. Walka o byt wybudowała miasta, zrodziła przemysł, wpoiła w ludzi wiele cnót społecznych. Ona to nauczyła kochać towarzyszy w szeregu, ona kazała się wyrzec egoistycznéj niezawisłości, poskromniła wybryki indywidualizmu, ona z barbarzyńcy zrobiła człowieka cywilizowanego, zmuszając go przez potrzebę solidarności i zgody do pobłażliwości, dobroci, pokory, itd. Czy zjawienie się tych wszystkich cnót nie było by pożądaném wśród pism warszawskich? Powinny one były w zwartym szeregu bronić jednéj sprawy, a tymczasem hulają sobie jak konie w stepach przed zaludnieniem. Żadnéj łączności. żadnego planu we wspólnéj pracy. Miały wytworzyć wśród społeczeństwa moralną powagę, jako organ opinii, a podkopują się jedynie, wszczynając kłótnie o najmniejszy drobiazg, dyskredytują się wzajemnie, wymyślając sobie, gorsząc opinią skandalicznemi procesami. Powinny przykładem uczyć roztropności i taktu w trudnych warunkach bytu, a tymczasem reporterzy przez lekkomyślność stali się prawdziwą plagą społeczną, co tydzień niemal zbroją coś takiego, co mogłby zrobić jedynie bardzo gorliwy wróg ogółu. Przypominają oni nieraz dzieci, zapalające papierosa wśród mozolnie zebranych plonów rolnika; dla marnych kilku wierszy brukowéj wiadomostki, bezmyślnie narażają wysiłki lat całych. Przykładów mógłby przytoczyć wiele każdy, pracujący realnie na polu dobra publicznego.

Łatwiéj jest dopatrzyć stron ujemnych niż stworzyć ideał dodatni. Cofamy się więc w tém miejscu od kreślenia wzoru, jaką prasa być winna. Dopuściliśmy się pomimo to krytyki w téj myśli, że zawiera ona pozytywne wskazówki. Wniknąwszy jednak w warunki i potrzeby społeczne, przypatrzywszy się obecnemu stanowi prasy naszéj, niepodobna powstrzymać się od zawarcia swych wrażeń w następującém żądaniu: więcéj szlachetnego zrozumienia własnego interesu, więcéj gruntowności i sumienności, a przedewszystkiém więcéj poczucia obywatelskiego w spełnianiu swego powołania. Pióro nie może dziś przestać być narzędziem zarobkowania, ale niech będzie jednocześnie symbolem pracy, gotowéj do poświęceń. Wszelka reforma musi się zawsze zacząć od doskonalenia ludzi. Są redakcye, które w całym komplecie swoim robią wrażenie Spodków, Spojów, Dutków, grających rolę aktorów w komedyi Szekspira. Tu walka o byt drogą doboru naturalnego może oddać prasie naszéj wielkie korzyści, usuwając tych wszystkich, k tórzy z wiedzy swéj z talentu i charakteru bardziéj by się nadawali na administratorów piwa bawarskiego, lub roznosicieli listów. Przerażająca jest rzecz, jak mało obecnie potrzeba, aby mieć kwalifikacyę na literata; nowicyat na czeladnika w każdym rzemiośle jest trudniejszy niż na au-

tora popularno-naukowych artykułów, mających nas zaznajamiać z wynikami wiedzy europejskiéj.

W każdym zawodzie trzeba jakiś czas ćwiczyć się i doskonalić zanim się zostanie czeladnikiem. W stosunkach literackich bywa tak, że młody adept uważa się od pierwszéj chwili za mistrza, mającego prawo poniewierać wszystkiém i wszystkiemi. P. *Lud. Krz.* naprz. debiuty swoje rozpoczyna od poniewierania powag, szanowanych przez najgłębsze umysły epoki naszéj. „Darwiny, Spencery, Drapery i tutti quanti“ są traktowani przez niego jak żaki szkolne. Pióra M Müllerów, Reville'ów spłodziły „mnóstwo niedorzeczności.“ Ze Spencerem mówić niemożna, bo jest burżua, gdyż posiada akcye kolei żelaznéj. Wywody profesora Lanessana „są niżéj wszelkiéj krytyki.“ Bez kwestyi orlę, choćby bardzo młode, może bez spuszczenia powiek patrzeć w oblicza słońc. P. *Lud. Krz.* z wyżyn swego ducha widocznie jest w stanie od jednego rzutu oka poznać nicość tych, w których zwykli śmiertelnicy widzą olbrzymów; ale niechby zechcial nie ograniczać się na dogmatycznych twierdzeniach i szumnych okrzykach lecz dał nieco dowodów. Jeżeli obali Molochów fałszu, Darwinów i Max Müllerów, i sam roznieci ogniska niepokalanéj wiedzy i prawdy, będziemy go czcić i bronić wobec całego choćby świata, gorącéj niż Kopernika wobec Niemców; ale obecnie niepodobna nie miéć żalu, że z wyżyn swoich nie chce nigdy zrzucić narodowi tak małego nawet dźbła wiedzy pozytywnéj, jak ziarnko gorczyczne. W liczbie autorytetów, które zwolennikom bezgranicznéj swobody pojęć spać nie dają, u nas nie powinna chyba figurować nauka. Każdy mąż, obdarzony chłopskim rozumem, ani dba o to, że inni twierdzenie swoje opierają na dziesiątkach lat pracy. Jak mu się co niepodoba, to porąbie, zwymyśla, kopnie nogą nietylko Darwina i Galiteusza, ale nawet Pitagorasa za tabliczkę. Odgrodzeni od świata, niby góral w zawalonéj śniegiem chałupie, z ech tylko dowiadujemy się o pracy zachodu; udziału w niéj brać nie możemy, ogół dalekim jest od ocenienia wpływów i roli nauki. Czyż wobec tego godzi się, aby szermierz w imię prawdy i postępu dyskredytował to, co jedynie zwalczyć może szkodliwe nawyknienia i złe przesądy. „Przegląd Tygodniowy“ miał przecie krzewić cześć dla wiedzy, walczył on o szacunek dla imion zasłużonych na tém polu, dla myśli powstałych po latach pracy, okupionych zaparciem się przyjemności i zaszczytów. Co sobie pomyślą czytelnicy, którzy dowiadują się nagle, że ci wszyscy, których pojęcia pismo to przez tyle lat wszczepiało w ich mózgi i dzieła których wciąż tłómaczy, wydaje i zaleca w artykułach innych autorów, nie są wcale ani poważnymi, ani głębokimi, ani nawet sumiennymi myślicielami. Artykuły p. Lud Krz. są tak właściwe na

szpaltach dbającego o dobro ogółu pisma, jak niedojrzałe jabłka, dane na pożywienie choremu w domu zdrowia.

Wątek kroniki dzisiejszéj snuje się uporczywie z kądzieli ułomności ludzkich. Niepodobna go jednak jeszcze zerwać, gdyż w prądzie życia przemknął jeden fakt, drobny bardzo, ale niezmiernie charakteryzujący już nie stan prasy, ale dziwny jakiś nastrój całego ogółu. Dzięki licznym zapewne przyczynom, ale może także i wskutek tego, że daleko więcéj możemy mówić niż robić, powstała wśród nas żyłka szczególnéj kłótliwości. Cudzoziemcy, przesuwający się tylko przez Warszawę, zdołali to zauważyć w restauracyach, w cukierniach, w teatrach. Ponieważ wszystkie niemal zamiary nasze skazane są na zastygnięcie w projektach, nie żałujemy więc sobie czasu i pracy na obgadywanie—są to jedyne dzieci, niechże będą doskonałe. Wobec możności pracy chętnie zrzecze się każdy opozycyi w drobnych rzeczach, ale jeżeli się tylko mówi, to czemu sobie nie pozwolić. Ze wszystkich przejawów życia, tylko gra Żółkowskiego nie wzbudza u nas żółciowych zaprzeczeń. Dziesięć konkursów nie zdołało by wywołać takiego pomysłu, którzy by wszystkich zadowolnił. Nawet sam fakt kanalizacyi ma swoich wrogów. Niewinna ta zabawka w opozycyą dla opozycyi bywa bardzo niewłaściwą, gdy zostanie zastosowaną do pożytecznego projektu, mogącego wejść lub już wchodzącego w życie, gdzie należałoby wszelkie siły wspólnie wytężyć, a nie bróździć krytyką, posiadającą czasem wiele przymiotów literackich, ale szkodliwą, lub niesłuszną. Niedawno naprz. Towarz. popierania przemysłu i handlu, zostało skrzyczane ze strony, od któréj się miało prawo spodziewać gorącego poparcia. Teraz znowu p. Prus wyśmiał w Kuryerze Warszaw. projekt założenia łaźni ludowéj na Koszykach. Wada jest bardzo widocznie rozpowszechnioną, kiedy jéj ulegają nawet ludzie z takim zasobem dobréj woli i chęci jak p. Prus. Miesięcznik poświęcony higienie, „*Zdrowie*“, zwrócił uwagę, że obecnie nastręcza się sposobność łatwego urządzenia łaźni ludowéj, tak niezbędnéj dziś w Warszawie. Podczas nieustannéj pracy machin, jaka już za kilka miesięcy odbywać się zacznie na stacyi filtrów na Koszykach, wytwarzać się będzie wielka ilość wody kondensacyjnéj, dochodzącéj do 40°R., czystéj, zdrowéj, a niemającéj żadnego ważniejszego przeznaczenia. „Czyż należało by dopuścić—słusznie wnioskuje *Zdrowie*,—ażeby to mnóstwo ogrzanéj wody spuszczone było bez użytku do Wisły, lub służyć miało tylko do przepłukiwania urządzeń stacyi.“ Sądząc z pozoru, zdawało by się, że projekt ma za sobą wszystko i że najpracowitsze łamanie głowy nie zdoła wynaleść innych wątpliwości, jak tylko chyba takie, czy nie można z téj wody zrobić jeszcze lepszego użytku, albo, jeżeli łaźnie są

najlepsze, jak je urządzić. Tymczasem humor p. Prusa potrafił sprawę wprowadzić na inny grunt. Ośmiesza on projekt z tego względu, że z Muranowa i Pragi na Koszyki bardzo daleko, korzystający więc z łaźni musiałby, powracając, zapylić się, zaziębić, brać dorożkę, coby spowodowało koszt większy niż wykąpanie się w zwykłéj wannie.

Takie stawianie kwestyi miałoby może swoją zasadę, gdyby urządzenie łaźni na Koszykach znosiło możność, lub nawet tylko utrudniało budowanie podobnéj łaźni na kilku jeszcze innych ulicach. Warszawa jest dziś tak duża i ludna, że chyba p. Prus nie potrafi wskazać punktu, do którego byłoby zewsząd blisko, ani gmachu w pośrodku miasta, któryby mógł być jedyną łaźnią ludową. W okolicach Koszyków jest dużo fabryk i mieszka sporo robotników, dla czego nie skorzystać ze sposobności, która niesłychanie ułatwia częściowe zaspokojenie palącéj potrzeby? Co za dziwna polityka, która każe pozbawiać dogodności, a nawet dobrodziejstwa, wielu dla tego, że nie wszyscy będą mogli zeń korzystać.

Muzeum przemysłu i rolnictwa zaczyna nareszcie wkraczać w epokę życia osiadłego, po dziesięcioleciu przykrego tułactwa. Jakkolwiek ostatecznie nastąpi to dopiero po Nowym Roku, kiedy siedziba Muzeum zostanie zupełnie wykończoną i podwoje jéj otworzą się dla publiczności, to jednak energiczny zarząd nie ociąga się z robieniem tego, co można. Już w lipcu r. b. urządzone zostało w nowym gmachu biuro meteorologiczne, które wypracowało i obecnie ogłosiło drukiem instrukcyą dla stacyi, powstałych i powstających w różnych punktach kraju.

Żądania systematycznego prowadzenia obserwacyi meteorologicznych i zużytkowywania ich następnie w celach ogólniejszych, teoretycznych i doraźnych, praktycznych, powstawały niejednokrotnie w prasie już od lat wielu. Dopiero jednak w roku zeszłym myśl, rzucona przez p. Dembego na zebraniu cukrowników, została szczęśliwie odznaczoną powodzeniem, zyskała orędownictwo, wywołała czyn i stała się ciałem. Profesor Dziewulski na posiedzeniu II sekcyi Towarzystwa popierania przemysłu i handlu wytłómaczył cel i znaczenie spostrzeżeń meteorologicznych, a zarazem podał plan urządzenia stacyi i biura centralnego, które by zestawiało wyniki obserwacyi, wyciągało w razie potrzeby i możności wnioski i następnie podawało do wiadomości ogółu. Wskutek tego przedstawienia, upoważniono prezydyum sekcyi, ażeby z pomocą pp. Deikego, Dziewulskiego i Jurkiewicza zajęło się wykonaniem projektu. Muzeum przemysłu i rolnictwa odezwało się sympatycznie na głos inicyatorów, ofiarując powstającéj instytucyi pomieszczenie wraz z po-

trzebnemi dla centralnego biura urządzeniami. Koszta zaś utrzymania i prowadzenia ciążyć będą na kasie Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Kierunek naukowy biura oddany został profesorowi Kwietniewskiemu, który przed rozpoczęciem pracy zwiedzał odpowiednie urządzenia zagranicą. Dotąd założono już 15 stacyi prowincyonalnych, a mianowicie: 7 w gubernii warszawskiéj, po 1-éj w gubernii radomskiéj, kieleckiéj, lubelskiéj, płockiéj, kaliskiéj, wołyńskiéj i 2 w gubernii podolskiéj. Stacye te istnieją przy cukrowniach i podzielone są na trzy klasy, odpowiadające ilości posiadanych narzędzi. Opis, ocena i wyjaśnienie znaczenia prac biura wymaga specyalnego artykułu, w kronikarskiém sprawozdaniu ograniczyć się musimy do zewnętrznéj strony jedynie. Sądzimy jednak, że czytelnicy „Ateneum“ rozumieją dobrze doniosłość, jaką mają systematycznie prowadzone spostrzeżenia meteorologiczne dla klimatografii krajowéj, dla potrzeb rolnictwa i przemysłu, i że wskutek tego powezmą sympatyę dla instytucyi, a uznanie dla jéj założycieli i pracowników.

Urządzenie tego biura posiada inną jeszcze stronę, zasługującą na podniesienie. Powstało ono jedynie dzięki inicyatywie prywatnéj, pracą i środkami miejscowemi, bez uciekania się do siły wyższéj. Spółdziałanie téj siły bywa, co prawda, tu i owdzie bardzo pożądane, bez niego trzeba się wyrzec nieraz wielu, bardzo wielu rzeczy; abstrakcyjnie powinniśmy uznać zupełną słuszność takiego punktu widzenia.... stąd jednak nie wynika, aby się oddawać złudzeniom. Tymczasem myśmy tak sobie w nich upodobali, że nieustające starania Towarzystwa popierania przemysłu i handlu zużywają się wyłącznie niemal na gorące westchnienia ku górze. Dobrego także może być czasem zawiele. Zdaje się, że w tym razie mogą powstać dosyć uzasadnione obawy, czy nawet uwieńczone powodzeniem starania ziszczą nadzieje projektodawców.

Przed kilku, lub najwyżéj przed kilkunastu laty wzywanie opieki państwa dla przemysłu było rodzajem herezyi obywatelskiéj; tylko to miało monopol na przynoszenie pożytku, co rodziło się i żyło, nie wykraczając ze sfery prywatnéj. Obecnie na usiłowania jednostek patrzy się z politowaniem, jak na ramię liliputa wobec sił przyrody. Dawniéj chciano budować, nie zakładając fundamentów, dzisiaj upierają się, że fundamenty starczą za wszystko. Poczciwa ta opinia, tak lubi uważać się za głos Boga, a nigdy miary utrzymać nie potrafi. Na wszystkie rany społeczne ma obecnie pomagać kredyt państwowy, cła, zakazy, przywilej i t. d. Tak utrzymują w Niemczech, w Szwajcaryi. Wobec tego, my wczoraj jeszcze ufni we własne siły, niby młodzieniec, nieznający rozczarowań, zaczynamy naśladować żabę z bajki, wystawiając nogę, kiedy niema kowala, coby

się chciał i umiał zająć jéj okuciem. Zresztą samo okucie—to jeszcze nie wszystko, podejmie się uskutecznienia go każdy za odpowiednie wynagrodzenie; ale co będzie, jeżeli się okaże, że podkowy są źle przypasowane? A i to przecie roztropność każe przewidywać.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu rozesłało do różnych przedsiębiorców 200 egzemplarzy kwestyonaryusza, chcąc się dowiedziéć o stanie różnych gałęzi przemysłu drobnego. Oczywista rzecz, że zwrócono się nie do masy, obawiającéj się wszystkiego, niemogącéj nieraz dobrze zrozumiéć o co chodzi, bezwładnéj z natury, lecz do niewielkiéj ilości ludzi, ktorzy powinni byli widziéć potrzebę zakrzątnięcia się koło własnego dobra i którzy mieli środki zrobienia tego. Tymczasem odpowiedzi przyszło jedynie 42, z których można się głównie dowiedziéć, którzy przemysłowcy chcą ceł ochronnych, a którzy podwyższenia lub zniżenia taryf przewozowych. Gdyby na wytworzenie tego kierunku myśli i pożądań nie wpłynęło doktrynalne przejęcie się przykładem sąsiadów, lecz gdyby on powstał jedynie pod naciskiem potrzeb i konieczności, to oczéwista rzecz, stać by się to u nas mogło tylko po *dokładném zbadaniu warunków* i przekonaniu się, że jeżeli na téj drodze nie znajdzie się ratunek, to go wcale nie ma. Tymczasem posiedzenie sekcyi V-téj Towarzystwa w dniu 27 października przekonywa nas, że tak nie jest, gdyż omawiano tam przez wiele godzin kwestyą potrzeby cła na wyroby litograficzne, chromolitograficzne i oleodruki, a na końcu sesyi pp. projektodawcy i oponenci dowiedzieli się od p. Reichmana, że cła takowe już istnieją. Podobne traktowanie rzeczy dowodzi, że nie umiemy jeszcze brać się do pracy jak należy; bez kwestyi jednak, praktyka Towarzystwa popierania przemysłu i handlu wiele nas nauczy i wyrobi.

Jako dowód, że pomoc państwowa nie zawsze potrafi wyratować z toni taką gałąź przemysłu, w której organizmie zaczęło się coś psuć, posłużyć mogą dzieje cukrownictwa z dwóch lat ostatnich. Onego czasu szczęśliwi wytwórcy słodyczy miewali po 50 a nawet 60% dochodu. Wobec takiego wabika, nic dziwnego, że ilość cukrowni wzrastała. Prócz tego widmo konkurencyi amerykańskiéj skłoniło przerażonych rolników do plantowania buraków, zamiast siania pszenicy, cena więc wytwórczego materyału spadała, pozwalając wyrabiać więcéj cukru. Przytém używano coraz to lepszych gatunków buraków i stosowano coraz to bardziéj udoskonalone środki techniczne; w ten sposób ilość cukru produkowanego wzrastała w stosunku jeszcze znaczniejszym, niż ilość cukrowni. Aż nareszcie w roku zeszłym okazało się, że wytworzono cukru o dwa miliony pudów więcéj, niż tego wymagały potrzeby wewnętrzne. Na targach krajowych niepodobna go było zbyć. Rząd pośpieszył z po-

mocą i ułatwił wywóz za granicę, zwracając akcyzę i płacąc rubla od każdego puda, opuszczającego terytoryum państwa. Środek ten okazał się tak zachęcającym, że w tym roku nadprodukcya wynosi przeszło 5 milionów pudów, a może nawet znacznie przewyższa tę cyfrę. Między właścicielami cukrowni popłoch wielki; chcą sprzedawać o 15% niżéj kosztów fabrykacyi, ale i to nie zawsze się udaje. Projekty się krzyżują: jedni żądają ograniczeń, inni przywilejów. Rząd rozciągnął premia na nieograniczoną ilość wywiezionych pudów, ale płaci teraz już tylko po 80 kopiejek. Zagranicą wiedzą doskonale o trudnym położeniu fakrykantów cukru i ofiarują bardzo skromne ceny. Pomoc rządowa jest właściwie tylko pożyczką, która ma być spłaconą w ciągu 4 lat. Jest to więc rodzaj kredytu, który ma pozwolić słabszym przedsiębiorcom przetrwać czas kryzysowy i zająć bardziéj niezależne stanowisko wobec kupców obcych. Czy to przyniesie pożądany skutek? Jeżeli cukier wytwarzany w granicach państwa rosyjskiego potrafi sobie, dzięki téj pomocy, zdobyć jakiś rynek zagraniczny większy, na którym stale i bez zawodu można będzie zbywać cukier niesprzedany w kraju, to cel zostanie osiągnięty; jeżeli zaś nie, to opieka rządowa przedłuży tylko na rok lub dwa egzystencyą fabryk, skazanych na zagładę, a natomiast narazi na straty przedsiębiorców, mających warunki rozwoju.

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Leon Ulrych** zmarł w Paryżu w listopadzie. Urodzony 1811 r. był kolegą uniwersyteckim Z. Krasińskiego, następnie wojskowym. Udawszy się za granicę, poświęcił się studyom literackim i publicystyce; tłómaczył Szekspira, Arystofanesa i Plutarcha. Niektóre z jego tłómaczeń Szekspira weszły do zbiorowego wydania dzieł angielskiego dramaturga, wydanych w Warsz. 1875/6. Jest on także autorem oryginalnego obrazu dramatycznego, poświęconego wspomnieniom r. 1833 (druk. w Paryżu 1834).

† **Aleksander Szukiewicz**, urodzony 22 listopada 1816, po ukończeniu studyów oddał się publicystyce, redagując w r. 1848 razem z Leonem Ulrychem dziennik polityczny w Krakowie p. n. „Jutrzenka"; następnie wszedł do redakcyi „Czasu" i aż do r. 1879 brał w niej bardzo czynny udział. Był on również beletrystą; między innemi napisał „Powieść krakowską", drukowaną w r. 1856 w dodatku miesięcznym do „Czasu". Zaniewidziawszy, osiadł w Przemyślu i tam umarł w listopadzie r. b.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Listopada 1885 r.

---

1. **Instrukcya dla stacyj meteorologicznych** wydana staraniem sekcyi II cukrowniczej Oddziału Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Warsz. 1885, 8-vo. str. V+46 i tabl.
2. **Historya filozofii od Talesa do Comte'a** przez *Jerzego Henryka Lewesa.* Wolny przekład z 5-go angielskiego wydania Adolfa Dygasińskiego. (Warszawa, u Ant. Lesmana i Petersburg u Henr. Glińskiego, 1885) 8-vo, zeszyt 3 (od str. 193 do 288).
3. **Nauka teorytyczna i praktyczna rachunkowości** czyli buchalteryi kupieckiej pojedynczej i podwójnej do użytku szkolnego i domowego wyłożona przez *Edwarda Pietrzyckiego.* Wydanie 2-e przerobione i pomnożone. Lwów. 1886, 8-o, tom I str. XVIII i 322; tom II, str. VI i 236.
4. **Apostołowie Słowian śś. Metodyusz i Cyryl.** Treściwy opis życia i działalności tych świętych, opracował *Ludomir Prószyński.* Warszawa, 8-o, str. III i 81.
5. **Złota przędza poetów i prozaików polskich**. Wypisy. Tomu III zesz 9 (od str. 641—720. Warsz. 1885 nakł. W. Maleszewskiego i Teod. Paprockiego.
6. **Grzechy królewskie**. Powieść historyczna *Wincentego Rapackiego.* Warsz. nakł. M. Orgelbranda, 1886, 8-o, tom I str. 221; tom II str. 371.
7. *Maryan Gawalewicz.* **Dzisiejsi**. Komedya w 1-ym akcie oryginalnie napisana. Warsz. nakł. M. Orgelbranda, 1885. str. 32
8. **Donkiszot żydowski.** Szkic z literatury żargonowej żydowskiej. przez *Klemensa Junoszę.* Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1885, 8-vo, str. 156.
9. **Życie dworskie Kochanowskiego** (Przyczynek do biografii poety). Napisał *Stanisław Windakiewicz.* Kraków, 1886, 8-o, str. 43.
10. **Fiłosowskij spor o pokazatiele prawa**. *K. L. Pokory Lichtanskawo.* Otwiet na otzyw Wiestnika Jewropy o knižkie. „Osnowanja naucznych gosudarstwiennych strojenij“. Warszawa 1886, 8-vo, str. 55.
11. **Materyały do fauny krajowej. Owady żyłkoskrzydłe** (Neuroptera polonica). Systematyczny wykaz krajowych sieciarek i prasiatnic z dodaniem odnośnego mianownictwa polskiego przez *Erazma Majewskiego.* Warsz. nakład. księgarni T. Paprockiego i S-ki, 1885, 8-vo, str. VIII i 38 oraz karta nieliczb.
12. **Kobieta w poezyi polskiej.** Głosy poetów o kobiecie przez autora Antologii polskiej. Z 8-ma rysunkami E. Andriollego. Kraków i Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1885, str. XV, 333.
13. **Marysia**, komedya w jednym akcie przez *J. Jordana.* Warszawa, Nakładem T. Paprockiego. 1885, str. 69.